

JOANNE HARRIS

NASIENIE ZŁA

CZEŚĆ PIERWSZA
MŁODA ŻEBRACZKA

Wstęp

Nadnaturalnie wielka, o twarzy i dłoniach zaskakująco białych na płótnie ciemnym i wąskim jak trumna, o oczach przepaścistych jak kraina cieni i wargach lekko maźniętych krwią, Prozerpina zdaje się obserwować w melancholijnej zadumie jakiś przedmiot poza krawędzią obrazu. Przy piersi, niczym berło, trzyma owoc granatu, którego złocistą doskonałość szpeci szkarłatne rozcięcie, znak, że ugryzła go i tym samym zrzekła się swojej duszy. Skazana na to, by pozostać przez pół roku w świecie zmarłych, tęsknie wypatruje odblasków odległego słońca na obrosniętych bluszczem ścianach.

A przynajmniej tak się nam wmawia.

Jednak Królowa Krainy Cieni jest kobietą o wielu obliczach; stąd bierze się jej moc i czar. Stoi biała jak opary kadzidła, a obramowujący jej twarz kwadrat światła nie dotyka jej skóry; Prozerpina jaśniej własnym blaskiem i choć z jej pozy wyziera znużenie stuleci, wypełnia ją siła zrodzona z nieśmiertelności. Nigdy nie patrzy obserwatorowi w oczy, a mimo to jej spojrzenie nieustannie utkwione jest w punkcie tuż za jego lewym ramieniem; może widzi tam innego mężczyznę, skazanego na to, by zaznać straszliwej rozkoszy jej miłości, innego wybrańca. Owoce, który trzyma,

jest czerwony jak jej wargi, czerwony jak ukryte w jego głębi serce. I któż może wiedzieć, jakie apetyty, jakie ekstazy spoczywają w tym szkarłatnym mięszu? Jakie nieziemskie rozkosze czekają, by zrodzić się z tych nasion?

Z „Błogosławionej Paniienki”, Daniel Holmes

Prolog

Masz tu rozmaryn na pamiątkę;

Proszę cię, kochany, pamiętaj.

Hamlet, akt 4, scena 5

(TŁUM. ST. BARAŃCZAK)

W dzieciństwie miałem dużo zabawek; moi rodzice byli bogaci i, jak sądzę, mogli sobie pozwolić na ich kupno nawet w tamtych czasach, ale tą, która najbardziej zapadła mi w pamięć, był pociąg. Nie nakręcany czy nawet taki, który się za sobą ciągnie na sznurku, tylko prawdziwy, pędzący przez swoją własną krainę, pozostawiający w tyle smugę białej pary, gnający coraz szybciej w kierunku celu, którego nigdy nie osiągał. To był bąk, z dolną połową pomalowaną na czerwono, a na górze wykonany z czegoś w rodzaju przezroczystego celuloиду, pod którym cały świat świecił i obracał się jak klejnot: małe żywopłoty, domy i rąbek namalowanego kręgu nieba, tak czystego i błękitnego, że niemal raziło, kiedy za długo na nie patrzeć. Ale co najlepsze, gdy pompowało się małym tłokiem („ostrożnie z tym tłokiem, Danny, nie kręć bąkiem za szybko”), pociąg dzielnie, z sapaniem wyruszał w drogę, jak smok uwięziony pod szkłem i magicznie zmniejszony do miniaturowych rozmiarów; z początku powoli, potem coraz szybciej, aż mijane domy i drzewa zlewały się w nicość, a świst bąka ginął w triumfalnym gwizdzie loko-

motywy, jakby mały pociąg śpiewał pijany radością, że jest już tak blisko celu.

Mama oczywiście mówiła, że bąk może się zepsuć, jeśli zakręci się nim za mocno (i zawsze uważałem na wypadek, gdyby to była prawda). Myślę jednak, że nawet wtedy wierzyłem, że pewnego dnia, jeśli będę nieostrożny, jeśli pozwolę sobie choć na chwilę nieuwagi, to pociąg może wreszcie dotrzeć do swojego tajemniczego, nieosiągalnego celu jak wąż, który zjada własny ogon, a wtedy wyrwie się z hukiem na świat, buchając ogniem, krzesząc stałą iskry do cichego pokoju zabaw, żądny zemsty za swoją długą niewolę. I może częścią całej przyjemności była ta świadomość, że jest moim więźniem, że nigdy nie ucieknie, bo jestem zbyt ostrożny, i że mogę go oglądać, kiedy chcę. Jego niebo, jego żywopłoty, jego szalony pęd przez świat były moje i tylko moje, i mogłem to wszystko puścić w ruch i zatrzymać, kiedy chciałem, a to dzięki temu, że byłem ostrożny i cwany.

A może i nie. Nie przypominam sobie, żebym w dzieciństwie lubił bujać w obłokach. A już na pewno nie miałem chorych myśli. Te zawdzięczam Rosemary - zapewne jak my wszyscy. Zmieniła nas na powrót w dzieci, górowała nad nami niczym zła wiedźma w chatce z piernika, a my, piernikowe ludziki, biegaliśmy w kółko jak małe pociągi pod celuloidem, podczas gdy ona patrzyła z uśmiechem i pompowała tłokiem, by puścić swój świat w ruch.

Błądzą myślami; zły to znak, podobnie jak zmarszczki wokół oczu i włosy rzadniejące na czubku głowy. To też sprawa Rosemary. Kiedy pastor powiedział „Z prochu powstałeś, w proch się obrócisz”, podniosłem wzrok i miałem wrażenie, że zobaczyłem ją znowu, tylko przez chwilę, opartą o pień głogu, z uśmiechem w oczach. Gdyby na mnie spojrzała, chybabym krzyknął. Ale ona patrzyła na Roberta.

Robert był blady jak ściana, wyzierająca spod kapelusza twarz zdawała się pusta, udęczona, ale to nic dlatego, że ją zobaczył. Ja jeden ją widziałem i to tylko przez moment; gdyby światło było inne, gdyby coś się poruszyło, pewnie bym jej nie zauważył. Ale nic mi nie przeszkodziło. Zobaczyłem ją. I to przede wszystkim dlatego piszę teraz do ciebie, moja przyszłości, zza grobu, by opowiedzieć o sobie, Robercie i Rosemary... tak, Rosemary. Bo widzisz, ona wciąż pamięta. Rosemary pamięta.

1

To był piękny, rześki dzień złotej jesieni, na ziemi stał się jaskrawy kobierzec liści, niebo było tak okrągłe i błękitne jak to, pod którym dawno, dawno temu pędził mały pociąg. Ludzi przyszło mało: ja, Robert, garstka innych, wszyscy w czerni, o twarzach jak mgliste plamy w słońcu. Twarz Roberta jest jedyną, którą mam żywo w pamięci, blada, zmieniona przez rozpacz w swoją własną karykaturę. Jego widok sprawiał mi ból.

„Tylko białe kwiaty”, napisali w ogłoszeniu w „Cambridge News” i tego dnia były ich setki: lilie, róże, wielkie, kosmate, rozbuchane chryzantemy, ułożone wokół grobu, wzdłuż trawiastej ścieżki i wieńczące opuszczaną do ziemi trumnę. Ich woń dusiła, ale mroczny zapach z grobu był jeszcze silniejszy i kiedy ksiądz wypowiedział ostatnie słowa nabożeństwa, cofnąłem się od wykopanego dołu jak człowiek odsuwa się od krawędzi urwiska, przejęty cierpieniem przyjaciela, ale jednocześnie dziwnie zamroczony. Może to przez te kwiaty.

Wybrał dla niej piękną kwaterę: w głębi cmentarza, przy samym murze, pod splecionymi gałęziami głogu i osłaniającego od słońca cisu. Drzewo śmierci stało pod rękę z drzewem życia, ich jasne jagody zdawały się drwić z rozpaczny żałob-

nika, jakby w zмовie ze słodyczą dnia przywdziały swoje najradośniejsze barwy, by uczcić odejście zmarłej. W lecie będzie tu pięknie, pomyślałem sobie, nic, tylko cień, zieleń i cisza. Tego roku cykuta i wysokie chwasty zostały powyrwane z okazji pogrzebu, ale odrosną.

Odrosną.

Ta myśl jakoś mnie zaniepokoiła, ale nie miałem pojęcia, dlaczego. A niechże odrosną, niech się wedrą w ten cichy zakątek, niech okryją grób, kamień i pamięć o Rosemary na zawsze; niech z jej niewidzących oczu wystrzelą kwiaty. Gdyby tylko to był koniec, pomyślałem. Gdyby tylko dało się o niej zapomnieć. Ale Robert oczywiście będzie pamiętał. Przecież ją kochał.

Rosemary pojawiła się w naszym życiu wiosną 1947 roku. Szedłem obok jazu przy moście Magdalene do herbaciarni, gdzie umówiłem się z Robertem; potem mieliśmy pójść do biblioteki. Miałem dwadzieścia pięć lat i byłem na studiach doktoranckich; pisałem rozprawę o prerafaelitach (pogardliwie podówczas traktowanej szkole malarstwa, na którą miałem nadzieję przywrócić modę). Egzystowałem w świecie książek i prawd absolutnych, co odpowiadało mojej skrytej i cokolwiek obsesyjnej osobowości. Niezmałcone od stuleci milczenie kamieni i kocich łbów Cambridge było idealnym tłem dla moich studiów i dawało mi schronienie od oszałamiających postępów współczesnego świata. Żyłem przeszłością i było mi z tym dobrze.

Miałem jednego serdecznego przyjaciela, bardzo przyzwoiłą kwaterę przy drodze na Grantchester i pokaźne kieszonkowe od ojca. w uzupełnieniu stypendium przyznanego mi przez uczelnię. Byłem święcie przekonany, że po obronie doktoratu zostanę na uczelni jako pełnoetatowy wykładowca. Może w Pembroke, gdzie pracował mój opiekun naukowy,

doktor Shakeshafte, który zawsze wiązał ze mną wielkie nadzieje. Moje życie zaplanowane było tak starannie i precyzyjnie jak ogrody i trawniki Cambridge i do głowy mi nie przyszło, by ten plan zakwestionować czy liczyć na coś więcej.

Tamtego szczególnego dnia, kiedy jasne poranne słońce złociło wielodzielne okna Magdalene College, było mi lekko na duszy. Na moście przyspieszyłem kroku i już zaczynałem coś sobie nucić, kiedy usłyszałem w dole jakiś dźwięk i znieruchomiałem.

Czasem się zastanawiam, co by się stało, gdybym zignorował ten dźwięk, gdybym przebiegł przez most, ile sił w nogach, nic oglądając się za siebie, ale oczywiście nie było takiej możliwości. Za dobrze wszystko zaplanowała. Bo widzisz, ten dźwięk, którego nie dało się pomylić z żadnym innym, to był plusk czegoś wpadającego do rzeki.

Była wiosna i Cam osiągnęła swój najwyższy poziom. Sto metrów dalej woda rozbijała się z hukiem o jaz i gdyby ktoś w tym miejscu wpadł do rzeki, prawie na pewno uwiązłby wewnątrz słuzy i tam utonął. Dlatego właśnie nie wolno było wpływać łodzią za most; zresztą, nikt nie był aż tak głupi, by próbować. Przez chwilę stałem nieruchomo i wychylony za poręcz wypatrywałem zmrużonymi oczami kłody, uszkodzonej łodzi czy jakiegoś niesionego prądem śmiecia, który był źródłem tego dźwięku; i wtedy zobaczyłem ją, jej bladą, rozmazaną twarz, jasną, wydymającą się suknię, zapadnięte oczy i rozmyte rysy, jakby już była duchem.

- Hej! - zawołałem i na moich oczach jej głowa zagłębiła się w rwącym nurcie niczym głowa zmęczonego dziecka opadająca na poduszkę. Nie krzyknęła, nie pomachała, nic zrobiła nic. Przez ułamek sekundy miałem wrażenie, że to przywidzenie, tak nierzeczywisty był ten obraz. A potem nagle dotarło do mnie, że to nie żaden przypadek, nie sen, tylko jakaś nieszczęsna desperatka, którą pół minuty

dzieliło od śmierci w mule i ja jeden mogłem ją uratować. Dlatego zerwałem się do biegu, tak jak tego oczekiwała, popędziłem brzegiem rzeki, ściągając płaszcz, marynarkę i buty, okulary zsunęły mi się z nosa, zdyszany krzychałem: „Zaraz! Hej! Proszę pani! Proszę pani!”, a ona nawet na mnie nie zerknęła. Wskoczyłem do wody kilka metrów w dół rzeki od powoli dryfującej nieznajomej, przygotowany na szok towarzyszący zetknięciu z zimną wodą. Poczułem pod bosymi stopami muł na dnie, ale przynajmniej nic było dla mnie za głęboko. Wyciągnąłem do niej ręce. Moje dłonie musnęły jej suknię i zacisnęły się jak imadła. Lichy materiał się rozdarł, aie mój chwyt już wtedy był pewny i trzymając z całych sił półprzytomną dziewczynę, usiłowałem przebić się z powrotem w stronę mostu. Nie wiem, jak długo to trwało i jak tego dokonałem; nigdy nic byłem człowiekiem czynu, ale przypuszczam, że młodość i niewiedza pracowały wówczas na moją korzyść, i jakimś cudem, przytrzymując się obmurowanego nierówno ułożonymi cegłami brzegu, zdołałem wciągnąć nas oboje na bezpieczną, spokojną wodę. Najpierw wydobyłem z rzeki dziewczynę, potem sam wywlokłem się na brzeg i musiałem chwilę odpocząć, dysząc chrapliwie i lekko krwawiąc z nosa. Ona leżała w pozycji, w jakiej ją zostawiłem, z głową odrzuconą do tyłu i rozkrzyżowanymi rękami, ale jej powieki trzepotały, a oddech był miarowy. W pierwszej chwili pomyślałem, że musi jej być zimno, wziąłem więc swój płaszcz, pierwszą z części garderoby rozrzuconych wzdłuż brzegu, i nieporadnie okryłem nim jej ramiona; teraz, kiedy nic już jej nie groziło, jakoś krępowałem się jej dotykać, jakby w obawie, że taka poufałość mogłaby ją rozgniewać.

Moją następną reakcją było zadziwienie jej urodą.

W tamtych czasach w Cambridge nie brakowało pięknych kobiet; widywało się je na przyjęciach, w teatrze, na balach, spacerujące po ogrodach pod rękę ze swoimi sympatiami.

pływające płaskodennymi łodziami po Cam. Ta jednak, kiedy tylko ją zobaczyłem, wydała mi się kimś z innej epoki. Była smukła, o przejrzystej skórze jak z najdelikatniejszej porcelany, blada, nieszczęsna, krucha. Miała wydatne kości policzkowe, pełne wargi, drobne, dziecinne rysy. Jej włosy, jak się domyślałem, po wyschnięciu będą rude. Tak naprawdę jednak nie temu zawdzięczała swoją urodę. Jej piękno było olśniewające, płomienne, aroganckie; to było piękno kogoś, kto patrzy na brzydotę po to tylko, by stać się jeszcze piękniejszym. Była jedną z tych kobiet, wiedziałem to już wtedy, którym najbardziej do twarzy w łachmanach; może to samo pomyślał legendarny król Kofetua, kiedy po raz pierwszy zobaczył młodą żebraczkę. A potem otworzyła oczy, ciemnoszare, prawie lawendowe; z początku puste, po chwili wpiły się w moją twarz z dzikością, która rozdarła mi serce.

- Nie umarłam? - szepnęła.

- Nie, skądże - odparłem głupio. - Wszystko w porządku.

Cóż, oczywiście, wtedy tego nie wiedziałem. Powiedziałem to, żeby ją pocieszyć. Tak naprawdę nic nie było i już nigdy nie miało być w porządku.

2

Pręgowana kotka wskoczyła Aiice na kolano, jakby po to, by jej przypomnieć, że pół godziny beczynnego siedzenia wystarczy i pora wziąć się do roboty. Alice z westchnieniem pocałowała Kotkę w puszysty łebek i postawiła ją na podłodze.

Kotka miauknęła i przewróciła się na grzbiet, energicznie młóćąc łapkami powietrze. Alice uśmiechnęła się szeroko i zerknęła na swój szkicownik. Pierwszą kartkę zajmował pełen życia rysunek śpiącego kota; ciało i łapy nakreślone pewnymi pociągnięciami ołówka, szczegóły w połowie wypełnione brązowym tuszem.

Całkiem niezły, pomyślała; zwłaszcza że potrzeba było cudu, by skłonić Kotkę, żeby choć minutę posiedziała spokojnie. Tyle że to nic była prawdziwa praca; Alice od pół roku nie namalowała nic godnego uwagi i nadszedł czas, by znów na serio zabrać się do roboty. W ubiegłym roku miała całkiem udaną wystawę w Kettle's Yard, dzięki której dostała dobrze płatne zamówienie na zilustrowanie serii bajek dla dzieci, ale od tamtej pory strumyczek natchnienia jakby wysechł i wyglądało na to, że w tym roku nie będzie czego wystawiać. Cóż, tak to już jest, pomyślała Alice. Jej obrazy - te dobre - wymagały czasu i skupienia, a pomysły

albo przychodziły, albo nie. Na razie nie było sensu się tym wszystkim przejmować; wtedy pracowałyby jeszcze wolniej. Zerknęła na trzy oficjalnie wyglądające koperty przypięte pinezkami do tablicy (nawet z tej odległości mogła odczytać kwieciste logo „Red Rose” przecinające jedną z nich) i westchnęła. Główne źródło dochodów, pomyślała z gorzką ironią. Magazyny. Młodzieżowe romanse. To dzięki nim nie musiała już dzielić lokum z dwójką innych studentów w niebezpiecznej okolicy przy Mill Road i żyć z zasiłku. Na tę myśl ogarnęło ją gwałtowne zniechęcenie i pospiesznie wstała, odwrócona twarzą do okna. Aż tak nisko upadła? Ilustracje do marnych romansideł? Zasługiwała na coś dużo iewszego. „Legendy celtyckie” to było jej pierwsze ciekawe zlecenie od wystawy „Duch przygody” w Kettle’s Yard, a potem... Alice wzruszyła ramionami. Zapomnij, powiedziała sobie w duchu. Nie ma co siedzieć w domu i kwękać.

Włożyła bluzę od dresu i wypuściła ją na dżinsy, wsunęła na nogi stare, zdarte tenisówki. Przypięła niedokończony szkic pinezką do tablicy, przeczesła krótkie brązowe włosy palcami zamiast grzebienia, i, gotowa stawić czoło światu, wyszła na słoneczną ulicę. Ciepło i mieszające się zapachy kwiatów laku i magnolii z miejsca poprawiły jej samopoczucie i zaczerpnęła duży haust rześkiego powietrza.

Zdała sobie sprawę, że dawno nie wybrała się na spacer do Cambridge. Dziwne, pomyślała. Kiedy studiowali tam z Joem, zawsze lubili centrum miasta, ze sklepami, małymi galeriami i brukowanymi ulicami w cieniu lip. Ale to było dawno temu. Lepiej nie myśleć o Joem. Lepiej go za dobrze nie pamiętać, nie wyobrażać go sobie, stojącego obok z rękami w kieszeniach i oglądającego witryny zmrużonymi oczami.

Lepiej w ogóle o nim zapomnieć.

Nagle wpadła w przygnębienie. To przez te myśli o Joem, powiedziała sobie. Zwłaszcza w połączeniu z upałem i wi-

dokiem wypełniających Cambridge tłumów z aparatami fotograficznymi, szalikami w barwach college'ow i tym wszechobecnym duchem szorstkiego koleżeństwa.

Jej ulubiona herbaciarnia była zaraz za rogiem i Alice znalazła wolne miejsce przy oknie. Już miała zamówić earl greya, ale w końcu ni z tego, ni z owego poprosiła gorącą czekoladę ze śmietaną i duży kawałek ciasta czekoladowego. Czekolada jakoś dobrze na nią wpływała.

W „Copper Kettle” zawsze było sympatycznie. Na studiach Alice przesiadywała tu całymi godzinami z filiżanką earl greya albo gorącej czekolady i przyglądała się przechodniom w przyjemnym rozmarzeniu, nieświadoma upływu czasu. Teraz, przy tym samym oknie, obserwując tę samą ulicę, wdychając zadymione powietrze przepojone zapachem czekolady i starej skóry, Alice patrzyła w głąb King's Parade, na błyszczące w słońcu czyste białe kamienie gmachu Senatu, ciepłą złocistą fasadę King's College i, po swojej lewej, mury St Catherine's College połyskujące za wysokim ogrodzeniem. Nigdzie nie było takiego światła jak w Cambridge: ciepłe, senne, złociste, zmieniało się ponad zawieszonymi w powietrzu iglicami i uśpionymi ogrodami jak pejzaż z obrazu Dalego. Cóż to za piękne miasto, pomyślała Alice, miasto iluzji, duchów i snów. Nawet studenci, choć prowadzili ożywione rozmowy, wydawali się dziwnie nieobecni, jakby mimo wszystko wiedzieli, że są czymś ulotnym, ot, snem tych starych, na poły rozbudzonych kamieni.

Patrząc teraz na tych studentów, Alice czuła się staro. Pamiętała samą siebie sprzed lat, szczuplejszą, z długimi, nieokiełznanymi włosami, w obciętych džinsach i obszernych pulowerach, indyjskich spódniczkach i koralach. Pamiętała, jak jeździła na rowerze w deszczu. Jak wieczorami gramoliła się przez bramę, by wymknąć się na miasto. Jak spała z Joem w jego wąskim łóżku. Wyteżyła pamięć. Czy już

wtedy to czuli, pomyślała, to brzemień przeznaczenia? To, jak szybko uciekał pisany im krótki czas? Czy mieli tę straszną świadomość śmierci?

Niespokojnie zamknęła oczy i starała się w ogóle o niczym nie myśleć.

Nagle, pośród stłumionego gwaru w zatłoczonej herbariarni, usłyszała znajomy głos. Poderwała powieki zaskoczona i w jej sercu jakby mimowolnie naprężyła się jakaś struna. Dobrze znała ten głos, mówiący z tym północnym akcentem; przypomniała sobie, jak siedziała w „Copper Kettle” i słuchała opowieści Joego o jego licznych pasjach: Jaco Pastoriusie i Royu Harperze, i o tym, jak marksizm odmieni świat...

Rozejrzała się, ciekawa, czy to było złudzenie. Nie widziała go trzy lata, od czasu, kiedy się wyprowadził. To absurdalne, że nadal przyprawiał ją o to żałosne drgnienie serca. I że obejrzała się ukradkiem, jakby naprawdę tam był. A nawet jeśli, to co? Pewnie okaże się, że jest z dziewczyną.

Już prawie przekonała samą siebie, że coś jej się pomyliło, że to wcale nie był jego głos, kiedy wreszcie go zobaczyła. Siedział w kącie sali, jego znajoma twarz była przechylona w ten znajomy sposób, który sygnalizował zasłuchanie, dłoń osłaniała papierosa, ramiona były zgarbione, włosy opadały w nieładzie na wąską twarz, spod okrągłych drucianych okularów wyglądały przenikliwie niebieskie oczy. Czyli znów zaczął palić, pomyślała Alice i przypomniała sobie zapach jego papierosów, to, jak wszystko nim przechodziło, jego ubrania, jego włosy.

Zrobiło jej się ciężko na sercu. Nie był sam. Miał ze sobą dziewczynę i, choć większa część jej twarzy ginęła w cieniu, Alice mogła się domyślić drobnej, zgrabnej sylwetki, idealnego łuku obojczyka pod splotem jasnorudych włosów. Bo i czego się właściwie spodziewała? A jeśli nawet znalazł sobie inną, to co? Przecież minęło tyle czasu...

Już odsuwała się z krzesłem od stolika, by wyjść, kiedy znów doleciała ją dźwięk jego głosu i struna w jej sercu drgnęła raz jeszcze.

Nie mogła rozróżnić poszczególnych słów, ale ton wystarczył. Jego rysy, przesłonięte dymem z papierosa, wydawały się niepokojąco przezroczyste, ale w półmroku Alice mogła się domyślić jego uśmiechu.

Z głębin pamięci, jak porwany wiatrem uschły liść, wyłoniło się wspomnienie. W tętniącej życiem małej herbaciarni nagle zrobiło się zdecydowanie za luźno i Alice, starając się nie zwrócić na siebie jego uwagi, wypadła na słońce z zaciśniętymi ustami, zła na siebie, że tak się przejęła, ale niezdolna nic na to poradzić. Powodowana gniewem, do którego nie śmiała się przyznać, przyspieszyła kroku i wyruszyła za miasto. Ponad godzinę później zorientowała się, że nieświadomie zaszła aż do Grantchester. Właściwie nawet jej to nie zaskoczyło. Spacerując, odreagowywała stres. Przez następne tygodnie i miesiące po zerwaniu z Joem nachodziła się za wszystkie czasy. Zwolniła kroku i się rozejrzała.

Przed nią był kościół. Spomiędzy drzew wyrastała mała okrągła wieża. Alice nie знаła tego miejsca za dobrze, choć w Grantchester bywała - teraz jednak ten kościółek przyciągał ją do siebie, a cień drzew wyglądał kusząco. Trawnik od frontu był starannie przyszyty, groby dobrze utrzymane i wysprzątane. Teren kościoła ogrodzono falistym, solidnie wyglądającym starym murem. Tu i tam między nagrobkami i pomnikami wiła się ścieżynka, czule dotykająca to jednego, to drugiego, jak przyjaciel. Alice przeszła nią kawałek, odczytując napisy na grobach. Niektóre były jeszcze starsze, niż przypuszczała; pod drzewem znalazła jeden z datą 1690, choć większość pozostałych zdawała się pochodzić z czasów późniejszych. Ścieżka zaprowadziła ją za kościół i dalej, na następny cmentarz, jeszcze dokładniej osłonięty

od pierwszego, tonący w cieniu cedrów i jabłoni. Wiewiórka śmignęła jej przed oczami i wdrapała się na porośnięty bluszczem mur. Alice poszła za nią. Na końcu ścieżki był luk z osadzonymi w nim półotwartymi drzwiami prowadzącymi na trzeci cmentarz, bardziej współczesny, odgradzony od drogi tym samym murem i w połowie pusty.

Bywa tak czasem, że ślepy traf prowadzi ludzi tam, gdzie trzeba: przy innych okazjach wydarzenia stykają się ze sobą jak nici w tkaninie, jeden obraz zachodzi na drugi, szorstkie obszycie na odwrocie gobelinu łączy się tak, że bohaterka płynnie przechodzi w łotrą, niebo i morze ziewają się w jedną burzliwą całość, wyraziste krawędzie zanikają i stają się dziwnymi, niepokojącymi granicami z tym, co po drugiej stronie. Bez względu na to, jak później próbowała na to patrzeć, Alice była pewna, że to tam się wszystko zaczęło, że od chwili, kiedy jej wzrok padł na te drzwi, wszystkie jej poczynania były wytłumaczalne. wszystkie myśli dopełniały coś dużo potężniejszego i starszego od niej. Krawiec z Gloucester, bohater bajeczki Beatrix Potter, omal nic stracił wszystkiego dla kawałka skręconej nici w kolorze wiśni; z powodu jej braku nie można było ukończyć haftowanego płaszcza i kamizelki dla burmistrza. I wspominając te wydarzenia później, kiedy wszystko wreszcie zaczęło się układać w logiczną całość, Alice zawsze widziała oczami duszy długą jedwabną nić prowadzącą do tych małych drewnianych drzwi i dalej, na drugą stronę obrazu, gdzie nie obowiązywały żadne reguły i gdzie wkrótce coś miało się przebudzić.

Oczywiście, wtedy nie przyszło jej to do głowy. Takie myśli pojawiły się później, razem z Ginny i Joem. Na razie, kiedy pchnęła drzwi i weszła na ukryty cmentarz, powitała ją tylko głęboki spokój i przyjemny dotyk nieruchomego ciepłego powietrza. Groby były piękne, zadbane, obsadzone krzewami i kwitnącymi drzewami. Kilka przechylonych

nagrobków częściowo ginęło w zaroślach, ale nie czuło się tu przygnębienia, lecz raczej dostojną atmosferę, tak, jakby miało się przed sobą grupę zmęczonych starszych ludzi, którzy przysiedli sobie w trawie. Na dwóch grobach rosły kwiaty, posadzone zapewne przez krewnych; tak, to było dobre miejsce. W głębi, pod samym murem, stały dwa drzewa, kwitnący głóg i kontrastujący z nim ciemny cis, okrywające cieniem grób ginący wśród roślin. Była ciekawa, czyja to mogiła, porośnięta wysokim, dorodnym zielskiem, tak pięknie i niemal wstydliwie obramowana dwoma drzewami.

Przyjrzała jej się z bliska i zobaczyła, że nie ma ani nagrobka, ani widocznego nazwiska, ale uznała, że w grobie tak eleganckim leżeć może tylko kobieta. Płytę wieńczyła prosta rzeźba. Uchylona furtka, kołyszająca się swobodnie na zawiasach, z napisem od zewnątrz:

Coś we mnie pamięta i nie zapomni.

Alice pociągnęła za pnącze bluszczu, próbując je wyrwać. Korzenie były długie, ale suche, i ustąpiły bez większego oporu, pozostawiając blade blizny w niszczącym kamieniu, ale u dołu płyty wreszcie ukazała się słabo widoczna inskrypcja. Wyglądała bardziej współcześnie, niż wskazywałyby na to stan grobu, i głosiła:

*Rosemary Virginia Ashley
Sierpień 1948*

Alice poszukała innych szczegółów: czy Rosemary miała męża, na co umarła, kim był kochanek albo mąż, który obiecał nigdy nie zapomnieć, ale nie było już nic więcej do oglądania. Odłożyła bluszcz na miejsce, zasłaniając inskrypcję. Miała wrażenie, że jakoś niestosownie byłoby zostawić grób odkryty; że to byłoby tak, jakby zostawiła nieopatrzoną ranę.

Kiedy kończyła odkładać płożący się bluszcz, była tak zamyślona, że z początku nawet nie zauważyła schowanego pod liśćmi cienkiego kawałka metalu, który musnął jej palce. W pierwszej chwili wydało jej się, że to kółko z puszki coca-coli; też był lekki, o tak samo nierównych, ostrych krawędziach. Na jednym końcu miał otwór, jakby był kiedyś do czegoś przyczepiony, i od jednej strony przylgął do niego mech, ale mimo to dało się odczytać napis:

*Rosemary
Na pamiątkę*

Alice mocniej zabiło serce. To z pewnością nie mógł być zbieg okoliczności. Ta blaszka była dla niej, Rosemary, ktoś położył ją na grobie podczas pogrzebu. Może była przywiązana do wieńca albo bukietu. Z jakiegoś powodu samo odnalezienie tego małego kawałka metalu sprawiło, że wszystko stało się jeszcze bardziej rzeczywiste, jeszcze smutniejsze. Alice zastanawiała się chwilę, czy rzucić blaszkę z powrotem na grób, po czym wzruszyła ramionami i schowała ją do kieszeni, właściwie bez namysłu; tak jak kot schował ostatni kawałek jedwabnej nici koloru wiśni przed krawcem z Gloucester.

Zaraz po powrocie do domu Alice zrobiła sobie herbatę, przeszła z nią do pracowni (stół, stołek, sztaluga, okno wychodzące na północ, adapter i bezładna sterta płyt), wywlokła blok z pękającej w szwach szafy i zaczęła rysować. Pomysł zrodził się w pełni uformowany, towarzyszył jej przez całą drogę z Grantchester, nie chciał dać jej spokoju, a teraz powoli oblekał się w kształty, kreska po kresce, lekki i precyzyjny na papierze, nabierający głębi w miarę, jak linie robiły się coraz grubsze, oddając cień, światło słońca, zieleni.

Postać dziewczyny, wąskiej w ramionach, ale o czystym półprofilu na poły ukrytym w kaskadzie włosów, bosej i ubranej w długą białą szatę. Siedziała na ziemi, obejmując kolana, z głową odwróconą od obserwatora pod dziwnym kątem, w pozie dziecka. Wokół niej, wysoka trawa, kwiaty i chwasty; w tle, dwa niewyraźne drzewa i kontur postaci, prawdopodobnie męskiej, lekko schylonej pod gałęziami. Alice cofnęła się o krok, by obejrzeć ukończony szkic i uśmiechnęła się z satysfakcją. Kompozycja była rozmyślnie prerafaelicka: uporządkowany nieład roślinności kontrastujący z głębokim spokojem tajemniczej dziewczyny, która wpatruje się w rzekę w osobliwym skupieniu, podczas gdy zamazana postać w głębi obserwuje albo czeka.

Wzięła łyk zimnej herbaty i zastanowiła się nad kolorystyką. Puściła płytę i zaczęła wprawnie nanosić barwy. Rozmyte odbicie w lustrze wody... suknia dziewczyny niewiadomego koloru - później się go uzupełni aerografem - włosy jak jedyna eksplozja barwy pośród stłumionych zieleni i szarości. Całkiem niezłe, pomyślała Alice. Jednak w zapale twórczym często tak jej się wydawało. Może jutro okaże się, że to nic nadzwyczajnego. A mimo to dawno nie widziała obrazu, który wywarłby na niej takie wrażenie.

Robiło się coraz ciemniej. Zapaliła światła i pracowała dalej. Dwa razy przesłuchała pierwszą stronę płyty, zanim się zreflektowała i ją przewróciła; druga strona grała trzy razy. *Zza* drzwi dobiegło miauczenie, znak, że pora nakarmić koty; dzwonił telefon, ale nie odebrała. Farby akrylowe zastąpiły tusze; Alice ostrożnie malowała i zrywała gumę maskującą, kolorując aerografem trójkąt nieba, wodę i sukienkę dziewczyny, zamieniła cienki pędzel do farb akrylowych na jeszcze cieńszy i uzupełniła szczegóły liści, trawy, faktury włosów dziewczyny, i w końcu cofnęła się, upuściła pędzle i obejrzała swoje dzieło.

Bez dwóch zdań, było dobre. Na tyle proste, że jego re-produkcja świetnie nadawałaby się na plakat albo okładkę książki, na tyle klasyczne, by je powiesić w przestronnej galerii, na tyle spokojne, że można by nim ozdobić kościelny ołtarz. Nigdy jeszcze nie udało jej się uzyskać tak czystych kolorów przy użyciu tuszów i farb akrylowych; nigdy nie stworzyła równic przejmującej kompozycji. Dosłownie przykuwała spojrzenie; nawet sama Alice mimo woli zaczęła się zastanawiać, kim jest ta dziewczyna, co robi i kim też może być postać w tle.

Długo patrzyła na obraz, aż w końcu znów sięgnęła po pędzel i podpisała swoje dzieło. Potem, po chwili wahania, swoim delikatnym, precyzyjnym charakterem pisma wykaliografowała pod spodem tytuł:

Wspomnienie: Szaleństwo Ofelii

Teraz już była wyczerpana; oczom nie wierzyła, kiedy spojrzała na zegarek i zobaczyła, że jest prawie dziesiąta, co znaczyło, że przepracowała połowę popołudnia i większą część wieczoru, ale to było przyjemne zmęczenie, zupełnie jakby praca odpędziła wszystkie zmartwienia i czarne myśli. Jej umysł już działał na przyspieszonych obrotach. Może po tak długim okresie posuchy wreszcie trafiła na nowe źródło inspiracji; może powstaną następne obrazy z Ofelią, może cała ich seria, którą latem będzie można wystawić w Kettle's Yard. Nowe pomysły wirowały jak karuzele i, nagle wygłodniała, zrobiła sobie późną przekąskę, nakarmiła koty, położyła się do łóżka i przez resztę nocy spała jak zabita.

1

Nigdy nie zamierzałem wrócić na jej grób. Przez trzy miesiące po pogrzebie omijałem Grantchester z daleka, jakbym samą swoją obecnością mógł przyciągnąć tam tłum niespokojnych duchów. Jeśli spoczywała w pokoju, tym lepiej, ale, myślałem, nie mnie czuwać nad jej spoczynkiem. Nerwowy i przybity po jej odejściu, często ją widywałem; czy raczej tak mi się zdawało. Dziewczyna w czerni, lekko odwrócona ode mnie, wsiadająca do taksówki. Dziewczyna w deszczu, z twarzą schowaną pod ciemnym parasolem. Raz, dziewczyna spacerująca nad rzeką, z płomiennymi rudymi włosami pod jasnym szalem. Nie, nie miałem wyrzutów sumienia, ale ona szydziła ze mnie, nie odstępowała mnie na krok, prowadziła swoją delikatną, pajęczą dłonią.

A przynajmniej tak mi się wydawało. Chyba byłem chory; lekarz powiedział, że nadmiar pracy i zmartwień spowodował niedokrwistość, zalecił treściwą dietę i dużo wina, doradził, żebym tydzień-dwa odpoczął od pracy. Ja potajemnie postawiłem swoją własną diagnozę, potraktowałem radę lekarza dotyczącą wina trochę zbyt dosłownie, zapadłem na zapalenie płuc i omal nie umarłem.

Kiedy parę miesięcy później wróciła mi chęć do życia (moja gospodyni troskliwie pielęgnowała mnie przez cały

okres choroby, spędzony w stanie rozkosznej półświadomości, wolnej od zmartwień i niepokojących realiów), było już za późno. Robert nie żył od przeszło dwóch tygodni, pochowany na tym samym cmentarzu co Rosemary; w czasie, gdy potrzebował mnie najbardziej, ja spałem, rzucałem się po łóżku i marudziłem, myśląc jak zwykle tylko o sobie. Później uświadomiłem sobie, że to, co się stało, nie powinno być dla mnie szczególnym zaskoczeniem; w chwili, gdy zobaczyłem, jak patrzyła na niego w dniu pogrzebu, powinienem był odgadnąć, co knuła. Jej uśmiech był zaborczy, zazdrosny, pobłażliwy, przerażająco wymowny. Tak samo Błogosławiona Panienska z obrazu Rossettiego patrzy na swojego umęczonego, cierpiącego kochanka; cierpliwie, w milczeniu, z cieniem uśmiechu na ustach. Ile razy później widziałem ten obraz, przechodził mnie dreszcz, bo choć nigdy nie dostrzegłem jakiegokolwiek fizycznego podobieństwa tej postaci do Rosemary, było w niej coś - może ten uśmiech, a może po prostu jej nadludzki ogrom w porównaniu ze skazanym na zgubę kochankiem - co przypominało mi ją aż nadto wyraziście. Piętnaście lat później napisałem książkę, poprawioną wersję swojego doktoratu o prerafaelitach, w której analizowałem fascynację Rossettiego pięknymi kobietami o urodzie czarodziejek; oficjalnie dedykowałem ją swojemu wykładowcy historii sztuki ze studiów, ale wiedziałem, że napisałem ją dla Rosemary, do Rosemary, o Rosemary. Zatytułowałem ją „Błogosławiona Panienska”. Zdaje się, że nadal jest w sprzedaży.

Pięć dni czyniłem sobie wyrzuty i ziałem nienawiścią do samego siebie, zanim w końcu poszedłem na grób Roberta. Do tego czasu zabrano już wieńce i wstęgi, i został tylko wzgórek ziemi i kilka krzaków w kamiennym korytku przed grobem. Małe zielone rośliny, brak wszelkich kwiatów. Na cienkiej łodyżce jednego z krzaków była przywieszka,

blaszka podobna do tych, jakie się widzi na łodygach krzewów różanych nagrodzonych na wystawach ogrodniczych. Obróciłem ją, by przeczytać napis na niej.

Rosemary

Na pamiątkę

Zdaje się, że nawet udało mi się wtedy zachować spokój, mimo pierwszego ataku paniki, który omal mnie nie sparaliżował. Za dużo widziałem, by przeraził mnie niewybredny żart. Wiedziałem już, że ona tam jest. Samo to nie mogło wystarczyć, użądać mi ból - mało tego, naiwnie myślałem, że po śmierci Roberta nie mam już się czego bać. Ona nie wróci, powiedziałem sobie, leży zapomniana w ziemi. Złożyłem małą wiązkę gałęzi jemioli i ostrokrzewu u szczytu grobu i odwróciłem się, by odejść.

Biedny Robert.

Nagle poczułem ją, jej obecność napełniającą cały cmentarz. Jej nienawiść, a z nią rozbawienie. Z rządka krzaków przede mną, ogrzanych padającymi z ukosa promieniami zimowego słońca, uniósł się zapach rozmarynu, słodki i budzący dziwną tęsknotę, woń wiejskich kuchni, szuflad z czystą białą pościelą, dziewcząt ze wsi wczesujących w długie włosy olej z rozmarynu. Byłem święcie przekonany, że gdybym podniósł głowę, zobaczyłbym ją, patrzącą na mnie spod przymrużonych powiek, z bladą twarzą i smutnymi ustami wykrzywionymi prawie, a jednak nie do końca, w uśmiechu... Byłem tak pewny, że tam jest, że kiedy spojrzałem przed siebie, rzeczywiście ją zobaczyłem, stojącą w cieniu drzewa głogu, zaraz jednak zmieniła się w mozaikę światła i cienia na nagiej ścieżce, w miejscu, gdzie kępa brązowych, zamarniętych chwastów pochylała się niemal niezauważalnie nad nagrobkiem, którego dotąd nie dostrzegłem.

Przez chwilę patrzyłem jak głupi. Pomysł był w zasadzie prosty: płaski kamień osadzony w porośniętej mchem ziemi, na którym wznosiła się mała, może półmetrowa rzeźba z żeliwa. Rama, jakby framuga, zwieńczona czymś w rodzaju godła, a w niej coś jakby drzwi albo furtka, zamocowane na zawiasach. Na moich oczach podmuch wiatru naparł na tę furtkę i otworzyła się cicho, by zamknąć się z trzaskiem, kiedy wiatr ustał. U szczytu grobu było wąskie kamienne korytko, w którym kilka małych zielonych krzaczków kołysało się i szeptało.

Oczywiście. To musiał być jej grób, pamiątka, o której mówił Robert. Jego pomysł. Nie wiem, czemu podszedłem bliżej; powinienem był wiedzieć, że nic mi to nie da. Może chciałem się przekonać, o czym mój przyjaciel myślał przed samobójstwem, może liczyłem, że odbywając pokutę przed grobem Rosemary, pomogę ukoić jego udręczoną duszę. Może ruszyło mnie sumienie. Trzeba ci bowiem wiedzieć, że to ja ją zabiłem, a przynajmniej zrobiłem, co mogłem, żeby tego dokonać. A może poszedłem tam z tego samego powodu, dla którego młode dziewczę zagłada do komnaty Sinobrodego, dwoje dzieci wchodzi do domku z piernika, a chłopiec wypuszcza dżinna z butelki...

Oczywiście, przeczytałem napis. W końcu po to tam był.

Coś we mnie pamięta i nie zapomni.

Rosemary Virginia Ashley

Sierpień 1948

„Coś we mnie pamięta...”. Od tamtej pory często tam chodziłem, nie mogłem się powstrzymać; to miejsce mnie jednocześnie fascynowało, odpychało i przerażało. „Coś we mnie pamięta...”. Tak naprawdę tylko ja rozumiałem

te słowa. Wszyscy brali je za przesłanie od Roberta, dowód jego miłości do nieżyjącej żony.

Ale ja za dobrze go znałem. Może i był słaby, ale nie sentymentalny. Może po pogrzebie Rosemary coś w nim umarło, ale nie otwierałby tak swojego serca po to tylko, żeby kochankowie mieli się na co gapić na romantycznych spacerach po cmentarzu w Grantchester. Był człowiekiem praktycznym, a tacy najbardziej cierpią z miłości, kiedy ich w końcu spotka. I cokolwiek wynika z dowodów, wiem, że się nie zabił. To była wiadomość dla mnie od niej. Wyzwanie rzucone zza grobu. Ona nie umarła i chce, żebym to wiedział. Ma czasu pod dostatkiem. I wciąż pamięta.

Ale ja się nie boję. Jestem bezpieczny. Mam w zanadru jeszcze jeden atut, asa w rękawie, który mnie ochroni. A wiesz, czym jest ten as w rękawie? To ty, przyjacielu. Nie wierzysz? Poczekamy, zobaczymy. Czytając ten pamiętnik, będziesz mnie nienawidził, gardził mną, ale uwierzysz. Spokojnie, nie musisz przebrnąć przez całość za pierwszym podejściem; schowaj książkę do szuflady, zapomnij o niej na jakiś czas, na całe lata, jeśli chcesz, ale koniec końców do niej wrócisz. Ja to wiem. Prędzej czy później będziesz musiał, bo ona tu jest. Czeka na ciebie. Tak jak czekała na mnie. Dlatego bądź ostrożny.

Kiedy nadejdzie czas, wiele może zależeć od tego, jak tobą pokieruję.

2

Przez cały dzień Alice nie mogła wysiedzieć na miejscu. Teraz, pogryzając herbatniki, włączyła telewizor. Czarno-biały film, talk show, rosyjska kreskówka... wyłączyła to.

Zaparzyła herbatę, usiadła, poczekała, aż herbata ostygnie, wylała ją do zlewu, nastawiła płytę, puściła ją dwa razy, w ogóle jej nie słysząc, zdjęła ją z adaptera.

Sięgnęła po list z Red Rose i próbowała na nowo rozbudzić w sobie zainteresowanie robotą, którą jej zaproponowali. Była względnie prosta - sześć rysunków kreskowych i obwoluta romansu dla nastolatków pod tytułem „Liceum Złamanych Serc”. To powinna być łatwizna, myślała Alice; a mimo to większość dnia strawiła na napełnianiu kosza na śmieci niedokończonymi szkicami, aż w końcu przyznała sama przed sobą, że wszystko przez to, że zobaczyła Joego z dziewczyną, że tak niespodziewanie usłyszała jego głos.

Oczywiście, teraz to i tak bez znaczenia. Tamto należy do przeszłości. Temat zamknięty.

A jednak tego wieczoru czuła się samotna. Może akurat dziś miło byłoby usłyszeć dzwonek telefonu. Przelotne pytanie z głębin podświadomości (*coś we mnie pamięta...*): no właśnie, kto by ją pamiętał, gdyby jutro zniknęła? Matka, zawsze wierna tym, których straciła, trzysta kilometrów stąd?

Jej kontakt z Red Rose? Jedyjni znajomi, jakich miała, byli też znajomymi Joego; tracąc jego, straciła także ich. A kiedy dobrze im się układało, on jej w zupełności wystarczał. Cholera. Nagle rozżłościła się na samą siebie. Czemu nie mogła sobie odpuścić? Po części sprawił to widok tego nagrobka, ta niewytłumaczalna zazdrość względem martwej dziewczyny, której nie mógł zapomnieć jej kochanek.

Zastanawiała się przez chwilę czy nie zadzwonić do mieszkającej w Leeds matki, jedynej osoby spoza branży, która się do niej czasem odzywała, ale wzruszyła ramionami i z powrotem usiadła. Nie. Miło byłoby usłyszeć głos mamy, aie dzwoniąc do niej, tyko dałaby jej pretekst do wszystkich zwykłych wyrzutów, krytycznych uwag i dociekań: „Kiedy przyjedziesz nas odwiedzić?”; „Znalazłaś już pracę?” (Jakby jej fach był tylko swoistym hobby mającym przygotować ją do »prawdziwej pracy«.); „Dbasz o siebie? Na pewno?”.

Biedna mama, pomyślała Alice, mama, która po tym, jak rak w końcu zmógł tatę, z roku na rok robiła się coraz twardsza i ostrzejsza, mama, która od swoich pięćdziesiątych urodzin traciła na wdzięku, a zyskiwała na wadze, i która zawsze mówiła tym samym ostrożnym kodem, nigdy nie zdradzając do końca, co ma na myśli, może z braku właściwych słów.

Kiedyś była pełna życia: czarno-białe zdjęcia ukazywały ciemnowłosą dziewczynę, szczupłą w talii, o cudnym uśmiechu, trzymaną pod rękę przez przystojnego młodzieńca, jakim był tata, zanim tak wcześnie wyłysiał. Była dość romantyczna, by nadać córce imię Alice, od Alicji w Krainie Czarów. „Bo”, jak tłumaczyła, „, miałś takie same wielkie, zadziwione oczy”. Teraz jednak dziewczyna z tamtych zdjęć była zgorzkniałą grubaską, spospoliciałą i przywiedłą nie z rozpaczy, lecz wskutek niszczącego działania wpływających ponurych dni;

a najgorsze było to, że Alice ogromnie bała się, iż pewnego dnia zajrzy w lustro i zobaczy twarz swojej matki.

Westchnęła i spojrzała na zegar. Wpół do jedenastej. Uznała, że chyba trzeba by położyć się spać, ale nie czuła się zmęczona. Sięgnęła na regał i wybrała pierwszą lepszą książkę w nadziei, że po przeczytaniu paru stron łatwiej jej będzie zasnąć. Może w lodówce zostało trochę lodów czekoladowych, pomyślała; nic mogła sobie przypomnieć. Poszła sprawdzić, z niejasnym poczuciem, że ostatnio za dużo je i że powinna trochę się ograniczać. Odpędziła obraz matki, siedzącej po śmierci ojca w salonie ich starego domu i pochłaniającej z pustką w oczach kolejne paczki chipsów krewetkowych.

Zabrzęczały butelki w drzwiach lodówki i nie wiadomo skąd zjawiły się cztery koty, by wybadać, czy jest szansa na mleko. Alice poczuła ich ciepłe ciała ocierające się o jej nogi i trochę ją to odprężyło.

Fala nieproszonych wspomnień o Joem. Joe w sypialni na górze, straszący koty ćwiczonymi w nieskończoność riffami gitarowymi. Joe pochylony ze zmarszczonym czołem nad stertą kartek i przepełnioną popielniczką. Joe na czele demonstracji antywojennej, niosący wielki transparent „Bomby są do dupy”. Joe kłóący się z policjantem, odciągany przez Alice za ramię. Joe zwijający skręta jedną ręką, wpatrzony ze zmarszczonymi brwiami w jeden z jej obrazów, mówiący: „Jakieś niewyraźne te kontury. Z daleka nic nie będzie widać”.

Alice: „Tak ma być, ty profanie. Ma wyglądać eterycznie, jak u Rackhama”.

Alice zakradająca się później tej nocy do swojego atelier, by wyraźniej zaznaczyć kontury.

Joe grający w swoim pierwszym zespole, pijany w sztok, a mimo to bezbłędny.

Szaleństwa; seks na nieposłanym łóżku, wśród walających się na podłodze butelek po winie, papierków po czekoladkach i pudełkach po pizzy. Zażarte kłótnie w pokoju muzycznym Joego, kiedy Alice odniosła sukces, a Joe nie. Jego zazdrość, jego wyrzekania na wszystko: na zespół, z którym nikt nie chciał podpisać kontraktu, na brak pieniędzy, na to, że nigdy nie dano mu szansy. I, z czasem, na przychodzące i odchodzące roczniki studentów, na fakt, że to do nich należy świat, i w końcu na konieczność pogodzenia się z tym, że jest starszy o dziesięć lat i nawet nie zauważył, kiedy wyrosło zupełnie nowe pokolenie. Młodzi ludzie, którzy byli silni, bystrzy i wiedzieli, czego chcą. Którzy ubierali się jak należy. Którzy chodzili na koncerty odpowiednich zespołów. A ze świadomością tego faktu przyszło swoiste poczucie bezradności i złość na tych gówniarzy, na rząd, na wszystkie pijawki, które powoli wysysały z niego krew.

Alice uśmiechnęła się do swoich wspomnień. Gdyby tylko potrafił pozostać jej przyjacielem. Gdyby tak się nie bał.

Cóż, klamka zapadła. I w zasadzie nie było czego żałować. Zajrzała do lodówki. A jednak - miała lody czekoladowe. To bardzo pomoże, pomyślała.

Nagle zadzwonił telefon i Alice wiedziała, że to Joe.

- Alice? - Jego głos był tak zdyszany, że z początku go nie poznała. Potem trybiki pamięci zaskoczyły gwałtownie jak przerzutka w starym rowerze.

- Joe! Co u ciebie? - Usiłowała zapanować nad sobą. Zobaczyć go, myśleć o nim, a teraz usłyszeć jego głos, to było dziwne uczucie, bliskie oszołomieniu, zupełnie jakby dawno unieruchomione koło zaczęło się obracać.

- W porządku. - Głos lekko mu drżał, jak to się czasem zdarzało, kiedy był wyjątkowo podekscytowany albo zły; połączenie było tak kiepskie, że Alice, choć wyęczała słuch, nie mogła stwierdzić, jak jest tym razem.

- Nadal grasz bluesa? - spytała, by zyskać na czasie, automatycznie przechodząc na dawny ton ich rozmów, pełen lekkiego, ciętego humoru, pod którym skrywało się tyle namiętności.

- Jak to ja, bóg gitary.

Chwila przerwy.

- A co u ciebie, Al? Widziałem twoją książkę. Niezła. Dla dzieci, ale i tak... Wiesz, zawsze wiedziałem, że ci się powiedzie. A, i widziałem twoją wystawę. Jeszcze trochę, a wezmą cię do Akademii Królewskiej. - Parsknął śmiechem, od którego skoczyło jej serce. - Ale widzę, że ciągle masz ten sam problem z konturami.

- Pochlebca.

- Ja mam nowy zespół. Nazwaliśmy się Fiddle the Dole. Gramy razem już prawie rok. Elektryczny folk, covery i nasze własne kawałki. Co sobota występujemy w Wheatsheaf. Wpadnij kiedyś posłuchać. Jesteśmy dobrzy. - Przerwa. - A jak ty się miewasz?

- Dobrze, Joe. Jestem...

- Jess mówiła mi o... już wszystko w porządku?

- Rozmawiałeś z moją matką? - spytała Alice. - Kiedy?

- Spoko, spotkałem ją przypadkiem, jak graliśmy na uczelni w Leeds. Mówiła, że chorowałaś. Chciałem się tylko dowiedzieć, jak się czujesz.

- Nie chorowałam - powiedziała Alice chłodno. - Po prostu na jakiś czas wypadłam z obiegu.

- Ja wróciłem na dobre - ciągnął Joe. - Mam mieszkanie na Maid's Causeway, powiedziałem gospodyni, że piszę doktorat, i uwierzyła. Jest głucha jak pień i pozwala nam robić próby w swojej piwnicy. Mówi, że lubi irlandzką muzykę, bo jest niepraktykującą katoliczką. I bardzo dobrze, byle nie wsłuchiwała się w teksty.

Alice uśmiechnęła się mimo woli.

- Są aż tak złe? - spytała.

Mruknął coś wymijająco.

- Mogłyby być lepsze - przyznał. - Mimo wszystko nie jest najgorzej, z zasiłku daje się żyć, a kiedy pogramy trochę dla studentów, kto wie, może dorobimy się grona wyrobionych fanów. Wiesz, takich, co to rzucają pełnymi puszkami, nie pustymi.

- Joe... - powiedziała ostrożnie. - Już późno. Czemu do mnie dzwonisz? Minęły przeszło trzy lata...

- A musi być powód? - Jego głos stał się prawie agresywny. - Zawsze doszukiwałaś się we wszystkim drugiego dna. Weź się wyiużuj, co? Chciałem się dowiedzieć, co u ciebie, i tyle. Może poszlibyśmy na spacer, na pizzę, wszystko jedno. Może nawet zachce ci się wpaść na mój koncert.

W głosie Joego nie brzmiał już gniew - a może nie było go w ogóle? - i jego propozycja nagle wydała się nie tylko możliwa do przyjęcia, ale wręcz kusząca. Znowu nastąpiła przerwa, w czasie której Alice wyjrzała przez okno na magnolię kołyszącą się w pomarańczowym świetle latarni. W końcu usłyszała dziwny, ściśnięty głos Joego.

- To co tam u ciebie, Al? Chyba nie wyszłaś za chłopaka z sąsiedztwa, co?

- Chłopakiem z sąsiedztwa byłeś ty - powiedziała. - A co z tobą? Znalazłeś już To na „M”? Gra na wiolonczeli? Zawsze marzyłeś o wiolonczeliste.

- Nie. na wiolonczeli nie gra. - Joe zaśmiał się cicho. - Ale... - Alice miała wrażenie, że przez jego żartobliwy ton przebija niepokój. - Poznałem ją przez przypadek. W życiu nie spodziewałbym się jej zobaczyć w takiej spelunie jak „Sluice”, znasz lokal? Wypijają piwo i zagryzają kuflem. W każdym razie patrzę, a tu na samym przodzie siedzi ta dziewczyna i oczu ode mnie nie odrywa. Słyszałaś kiedyś, żeby ktoś poszedł na koncert i wgapił się w basistę? W wokala, jasne.

Śliczny chłopczyk, długie blond włosy, słodkie, zabiedzone chucherko. Ale we mnie? Kimże ja jestem? Poszedłem po piwo i nawet wtedy na mnie patrzyła. Dziwnie się czułem. Jakby przejrzała mnie na wylot. Dlatego ciągle uciekałem z oczami, rozumiesz? Myślałem, że w końcu się znudzi i sobie pójdzie. A ta nic, siedzi dalej. No to w końcu obczaiłem ją raz jeszcze, potem podszedłem, żeby poznać ją bliżej. A ona czekała, jakby wiedziała. I potem, jak to się mówi, już samo poszło.

Alice milczała, zasłuchana. Zaczynała mieć wrażenie, że rozumie. Ten telefon, po tylu latach... Ogarnęło ją trudne do opisanie uczucie; po trosze żal, ale bardziej ulga.

- Gratulacje - powiedziała wreszcie, uświadamiając sobie, że mówi serio.

- Poważnie?

- Oczywiście. Joe, jesteśmy przyjaciółmi, pamiętasz?

W odpowiedzi zaśmiał się niepewnie i Alice poznała, że jest wzruszony.

- Boże, ale mi ulżyło!

- Mnie też. Przynajmniej nie będę musiała do końca życia oglądać się przez ramię ze strachu, że za mną łazisz.

Dobrze było śmiać się we dwoje. Alice delectowała się tą chwilą, tym ciepłem, świadoma, że dla Joego był to swoisty egzorcyzm, uwolnienie od niej, od ich szalonych, złych lat, od ciężaru, jakim było to, że, jak wciąż uważał, został przez nią odtrącony. Nagle wezbrała w niej niezaborcza, prosta miłość do niego, do smutnego Joego skrywającego swoje osamotnienie za maską błazna, Joego, który aby rozkwitnąć, potrzebował tylko kogoś, komu byłby potrzebny, kogoś, kto by go pragnął i przy nim był. Miała nadzieję, że ta dziewczyna będzie dla niego odpowiednia, że polubi elektryczny folk, że będzie chciała dzieci, małżeństwa i wszystkiego, czego chciał Joe, a z czego Alice zrezygnowała w imię swojej wolności.

Coś zimnego, twardego i samotnego roztopiło się w jej sercu i zniknęło, i towarzysząca temu ulga była błogostawieństwem.

- No dobrze - powiedziała Alice - to jaka ona jest?

- Cóż... - zaczęła. - Inna. Inna niż wszyscy. Lubi Virginie Woolf, sztukę egipską i muzykę kameralną... kto by pomyślał, że mógłbym zakochać się w dziewczynie, która słucha muzyki kameralnej? Z wyglądu trochę przypomina Kate Bush i... może lepiej odwołam się do kryteriów estetycznych, które coś ci powiedzą. Jesteś taka nie na czasie, że pewnie nie łapiesz tej fachowej terminologii.

- Uważaj sobie - przestrzegła Alice.

- Cóż, ma włosy á la Rossetti, twarz jak z obrazu Burne-Jonesa...

- Niezły zestaw. A do tego, zgaduję, broda á la William Morris? - powiedziała Alice z szerokim uśmiechem.

- Może sama się przekonasz? Musisz ją poznać; głównie dlatego dzwonię.

- Aha - powiedziała Alice. - Jasne.

Chyba wyczuł jej niechęć.

- Mówię serio, Al - oświadczył stanowczo. - Naprawdę chciałbym, żebyście się zaprzyjaźniły.

Alice zawahała się na chwilę i dojmujący żal ścisnął ją za gardło. Z wysiłkiem wzięła się w garść. Prawie.

- Chętnie ją poznam, Joe - powiedziała. - I bardzo chciałabym się z tobą zobaczyć. Straciłam kontakt ze zbyt wieloma starymi znajomymi, żeby przepuścić taką okazję. - Usiłowała nie pozwolić, żeby głos jej się załamał. - Może spotkamy się na mieście? Albo przyjdę na koncert twojego zespołu. Czy... - Urwała. - Joe, tłumoku, nawet mi nie powiedziałeś, jak jej na imię.

Joe się zaśmiał.

- Nie? Hej, nie wymagaj ode mnie, żebym o wszystkim

pamiętał. Ma na imię Virginia, Virginia Mae Ashley, ale wszyscy nazywają ją po prostu Ginny. Mówi, że Virginia Mae to jak dla niej trochę za dużo. Jadasz jeszcze pizzę? Jak chcesz, moglibyśmy pójść gdzieś na pizzę. Zespół gra dopiero we wtorek, ale moglibyśmy wyskoczyć, nie wiem, do kina czy gdzieś. Co ty na to?

- W porządku.

- Co się dzieje? Jesteś jakaś zdołowana. Wszystko gra?

- Jasne. Jestem tylko trochę zmęczona. Wiesz, późno już.

- No tak... hm... już kończę i możesz kłaść się spać. Jest jeszcze jedna sprawa, ale prawdę mówiąc... trochę to dla mnie kłopotliwe i wiesz, że normalnie nie prosiłbym, ale... cóż... Ginny nie zna Cambridge i ma mało pieniędzy... więc pomyślałem sobie, że może zatrzymałaby się u ciebie?

- Joe...

- Jeśli przeginam, powiedz to wprost - ciągnął - ale to kwestia jednego-dwóch dni. Nie mogę jej wziąć do siebie, gospodyni nie pozwoli. Szukamy mieszkania czy czegoś w tym stylu, ale sama wiesz, jak trudno upolować coś przyzwoitego w Cambridge o tej porze roku, wszystkie lepsze kwatery pozajmowali studenci i turyści. To na krótko, może parę dni, zanim czegoś nie znajdziemy, a jeśli nam się nie uda, mam w Grantchester znajomego, który w piątek jedzie do Stanów i powiedział, że na jakiś czas możemy zadekować się u niego, więc nawet w najgorszym razie zostałyaby u ciebie najwyżej do końca tygodnia. - Zamilkł. - Alice? Co ty na to?

Alice westchnęła w duchu.

- Czemu nie - powiedziała, zgodnie z jego oczekiwaniami. - Gdzie mieszka teraz?

- Na razie nigdzie - odparł. - Dopiero co wyszła z Fulbourn.

- Fulbourn?

- Proponowali jej, żeby na jakiś czas zatrzymała się u nich, ale nie chcę, żeby gniła w tym syfie dłużej, niż to konieczne. Wystarczy raz tam zajrzeć, żeby dostać nieuleczalnej depresji.

- O nie. Mówisz serio? - Z Joem nigdy nic nie wiadomo; lata wcześniej, kiedy byli serdecznymi przyjaciółmi, jeszcze zanim intymność odebrała im tę przyjaźń, Alice mogłaby śmiało powiedzieć: „Fulbourn? No tak, musi być stuknięta, skoro coś w tobie widzi”, ale teraz więź między nimi wciąż była zbyt słaba, zbyt nadwerżona złymi wspomnieniami, by wystarczyła na coś więcej niż tylko chwilowe złagodzenie napięcia. - To znaczy... była pacjentką?

Joe zacmokał z przyganą.

- Szczerze mówiąc, wiedziałem, jak zareagujesz. Wiesz, nie ma w tym nic złego, jedna osoba na trzy przechodzi załamanie z takiego czy innego powodu. Twoja mama mówiła, że tobie też niewiele brakowało, kiedy byłeś w dołku, więc nie rób z niej...

- Nie gadaj głupstw. Nie to miałam na myśli. Chodziło mi o to... - Szukała właściwych słów. - Jak się czuje?

Odpowiedź Joego była dość chłodna; Alice pomyślała, że może posunęła się za daleko. W końcu jakie miała prawo wnikać w jego życie osobiste?

- To nie jest tak, że nie chcę ci tego powiedzieć, Al - odparł - ale ostatecznie mówimy tu o prywatnych sprawach Ginny i nie wypada mi bez jej zgody trąbić o tym na lewo i prawo. Nie jestem pewien, co chce, by ludzie wiedzieli o tym, co ją spotkało. Powiedziałem ci o Fulbourn tylko po to, żebyś uważała, co przy niej mówisz i jakim tonem. Jest jeszcze bardzo krucha.

To tak jak ja, pomyślała Alice, ale pominęła to milczeniem.

- Al? To ci nie przeszkadza, co?

- Nie - odparła.

- To dobrze. - W jego głosie brzmiała wyraźna ulga. - Poza tym, z nią jest wszystko w porządku. Nawet nie pomyślałabyś, że tyle przeszła. Wiesz, ma dopiero osiemnaście lat, całe życie przed nią. Spodoba ci się, Al. Wszyscy ją uwielbiają.

Urwał na chwilę i cicho zaśmiał się pod nosem.

- Myślę, że to jest to, Al. No wiesz, To na „M”. Zabawne, co? Kiedyś myślałem, że nigdy nie poczuję czegoś takiego, że w moim życiu jest miejsce tylko na muzykę, na to, żeby grać, zasuwać jak bury osioł i być obrzucanym butelkami na scenie, a wszystko w nadziei, że to się kiedyś opłaci. I w przewrotny sposób się opłaciło. Gdybym nie zagrał w „Sluice”, nie poznałbym Ginny. Bóg raczy wiedzieć, co w ogóle tam robiła. Ale od tamtej pory przynosi mi szczęście. Wszystko idzie ku lepszemu.

Alice długo milczała. Nie podobało jej się to, co mówił Joe. Wcale a wcale. Nie dlatego, że wciąż go kochała; chodziło o to, że te słowa w jego ustach brzmiały zupełnie obco. Joe tak nie mówił. To nie w jego stylu. Joe myślał tylko o sobie, o swojej muzyce i swoich ambicjach; Joe był uroczy, sympatyczny, zabawny, ale pod tą maską krył się zatwardziały samolub. Nie można było liczyć na niego w potrzebie, nie zważał na uczucia innych... zwykle był zbyt zaprzątnięty swoimi pasjami. I nigdy nie wspominał o, jak to nazywał, Tym na „M” - i myślała, że tak już mu zostanie.

Ale był przyjacielem... przynajmniej kiedyś, a ona wtedy źle postąpiła, jak zawsze, kiedy przyjaźń wyradzała się w intymność. Może teraz nadarzała się okazja, żeby mu to wynagrodzić. Co więcej, czuła, że pragnie znów go zobaczyć, porozmawiać z nim, odnowić ich dawną, swobodną zażyłość. Kiedy śmiał się razem z nią, ciepło jej się robiło na dźwięk jego serdecznego śmiechu, śmiechu przypominającego stare

czasy, przywołującego tamtą atmosferę, i wiedziała, że to powraca przyjaźń, której tak jej brakowało, i że zrobi, co w jej mocy, żeby ją podtrzymać, nawet gdyby w tym celu musiała przemocować dziewczynę Joego. Zaśmiała się mimo woli.

- Nie ma sprawy - powiedziała. - Kto wie? Może będzie mi tu z nią dobrze. Ty też możesz się u mnie zatrzymać. Chętnie przyjmę was oboje.

I prawie że mówiła prawdę. Resztki dawnej urazy stopniały i Alice bez wysiłku nabrała sympatii do tej Ginny, dziewczyny, której nie widziała na oczy. Tak przyjemnie było poczuć, jak ta przepaść wreszcie zaczyna się zamykać, zupełnie jakby rozgoryczenie i pustka przez cały ten czas gdzieś tam były, na wpół uświadomione, ale zamaskowane, przejmujące wszystko chłodem... Alice zorientowała się, że Joe coś mówi.

- Moglibyśmy spotkać się u ciebie, jeśli to nie będzie kłopot - zaproponował. - Wypijemy herbatę czy coś, potem pójdziemy na pizzę albo do kina, albo i tu, i tu. Co ty na to?

- Zgoda.

Musiała się zawahać, bo Joe od razu to wychwytał.

- Hej, Alice? Jesteś pewna?

Przybrała pogodny ton.

- Już nic mogę się doczekać, Joe. No dobra, bluesmenie, wracaj do gitary, co?

-Trzymaj się. Będę koło szóstej. Mówię ci, wszystko pójdzie świetnie. Nie będziesz zawiedziona.

1

Nie sędę, żebym w jakikolwiek sposób mógł zapobiec temu, co zaplanowała. Jak wspominałem, była niezwykle przebiegła i aż za dobrze znała moje słabości. Kiedy wciągałem ją, ociekającą wodą, do taksówki, z moim płaszczem zarzuconym troskliwie na jej ramiona, sam częściowo rozebrany - moje buty, kapelusz i krawat wciąż leżały na brzegu Cam - musiała się uśmiechnąć pod nosem, jak takie istoty mają w zwyczaju. Musiała uśmiechać się swoimi lawendowymi oczami, kiedy cuciłem ją brandy ze swojej piersiówki i dyszałem nad nią jak gorliwy pies. Nie miałem innego wyjścia, jak tylko zabrać ją do Grantchester, do domu mojej gospodyni, zaofiarować jej gościnę (teraz już drżała i zdołała chwiejnie przejść od taksówki do domu), wyjaśnić wszystko najlepiej jak potrafiłem i patrzeć bezradnie, jak zatroskana pani Brown, cmokając językiem, prowadzi ją na górę, do owego niepoznawalnego, pozbawionego wyraźnie wytyczonych granic królestwa, w którym czekała gorąca woda i miękkie poduszki. Całe szczęście, że była tak dobra i wyrozumiała. Inne, bardziej podejrzliwe gospodynie mogłyby potraktować mojego gościa mniej uprzejmie; ale w swoim długim i bogatym życiu nie poznałem drugiej tak dobrej kobiety jak pani Brown. Obdarzyła ją współczuciem, troską i her-

bata - swoim lekarstwem na wszystko - po czym ulokowała Rosemary w najlepszej sypialni, grożąc mi najstraszliwszymi konsekwencjami, jeśli zakłócę spokój młodej damy, i zajęła się swoimi sprawami, zupełnie nieporuszona, jakbym codziennie sprowadzał do domu podtopione niewiasty. Złota kobieta.

Sama w najlepszym pokoju gościnnym, z umyтыми płomienorudymi włosami, ubrana w wykrochmaloną lnianą koszulę nocną pani Brown, och, jakże Rosemary musiała się śmiać. Śmiać z głupoty tego wszystkiego: z naszej dobroci, naszego źle ulokowanego współczucia; mojego uwielbienia, podsyłanego nadzieją. Nie mogłem przestać o niej myśleć.

Resztę tego dnia spędziłem jak we śnie. Nie śmiałem wyjść z domu na wypadek, gdyby coś się wydarzyło; gdyby dziewczyna zniknęła, Jej twarz nie dawała mi spokoju. Wspomnienie tej chwili, kiedy zobaczyłem ją, w milczeniu unoszącą się na wodzie, nastroiło mnie poetycko. Przez długie czarowne godziny leżałem na swoim łóżku i raz po raz przeżywałem na nowo te zda się wyśnione chwile, nasłuchując najłżejszego dźwięku z sekretnego, cichego pokoju, w którym spała, i moje serce rozsadzało coś w rodzaju muzyki. Pani Brown przychodziła i odchodziła; z pogodą i troską robiła, co do niej należało. Do pokoju śpiącej dziewczyny trafił najpierw wazon z wczesnymi kwiatami wiśni, potem patchworkowe poduszki; wreszcie, koło wpół do piątej, taca z herbatą i herbatnikami. O piątej pani Brown oznajmiła, że młoda dama może zechcieć wstać i zjeść gorącą zupę; i o szóstej siedziałem już przy stole, drżący z niecierpliwości i rozgorączkowany wpatrywałem się w dodatkowe nakrycie, z rękami schowanymi pod stołem i zaciśniętymi w pięści.

Chyba usychałem z miłości; bo i który młody mężczyzna nie usychałby na moim miejscu? Ona przyszła do mnie z baśni, blada Ofelia przyniesiona znikąd przez mętłą falę i szept

poranka. Nawet nie pomyślałem o groźbie skandalu, burzy domysłów, które mogłyby zrodzić się w kręgu moich znajomych; dla mnie Rosemary była jak nowo narodzona, Wenus z morskiej wyłoniona fali. I w takim właśnie nastawieniu czekałem, by zobaczyć ją po raz pierwszy; byłem trochę stremowany, może obawiałem się, że teraz doszukam się jakiejś skazy na jej doskonałości. Niepotrzebnie. Coś zaszeleściło na schodach jak skrzydła motyla, zastukały wysokie obcasy, i zobaczyłem ją, jej rysy, zamazane przez taniec światła i cienia na korytarzu i nagle wyostrzające się na tle okna, przed którym stanęła. Jej włosy lśniły płomienną aureolą w słońcu; sylwetka była smukła i drobna, wręcz dziecięca. Miała bladą twarz, zagubione i melancholijne oczy, ale nawet wtedy była najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek widziałem. Nawet wtedy. Nawet teraz.

Przez chwilę patrzyła na mnie w milczeniu, po czym lekko odwróciła się w stronę słońca tak, że dostrzegłem jej trzepoczące powieki. Włosy miała tak jaskrawe, że rzucały miedziane odbłaski na jej policzek, na falistą linię jej szyi.

- Życ - powiedziała cicho i znów odwróciła się do mnie. Jej głos był ochrypły i słodki, jak zadrapane srebro. - Jakże znikoma jest różnica między życiem a śmiercią. Zgodzi się pan? - Zdaje się, że tylko patrzyłem na nią i nie wiedziałem, co powiedzieć, w ogóle nie myślałem. - Życ - powtórzyła - to tak ulotna tajemnica, zbyt szybko przemijająca, by ją zrozumieć. Ważne, by mieć moc. Moc jest wszystkim i trwa wiecznie.

I w tej chwili wszystko powinno stać się jasne; poznałem credo Rosemary Ashley, a mimo to tylko gapiłem się jak głupek, wyraziłem swoje współczucie, zupełnie niepotrzebnie, i pod wpływem impulsu wyciągnąłem do niej rękę (w słońcu zbiełała, jakby uszła z niej cała krew).

- Proszę nic nie mówić - poprosiłem. - Niech pani spróbuje coś zjeść. Jest pani wśród przyjaciół.

Na chwilę utkwiała we mnie swoje dziwne spojrzenie.

- Przyjaciół - powiedziała prawie bez wyrazu.

- Wyciągnąłem panią z rzeki - wyjaśniłem, usiłując nie sprawiać wrażenia zbyt zadowolonego z siebie. - Proszę mi uwierzyć, jestem pani przyjacielem, o ile mnie pani zechce... jeśli mi pani zaufa. Rzeka to nie odpowiedź... cokolwiek się stało... nie tędy droga.

Możliwe, że w głębi ducha podejrzewałem, że kryje się za tym jakaś kiczowata historia, jakaś wstydliva opowieść o uwiedzionej i porzuconej kochance, ale to pierwsze wrażenie prysnęło, ledwie spojrzałem jej w oczy. Była niewinna. Przysiągłbym, że tak było; gotów byłem oddać za to życie, co zresztą w pewnym sensie zrobiłem. Niewinność biła z niej jak blask reflektora. A przynajmniej tak mi się wydawało.

Później poznałem ją lepiej. To nie niewinność z niej promieniała, przeświecała przez jej przejrzystą skórę i błyszczała w jej liliowych oczach.

Myślę, że to była moc.

3

Zamknął książkę i znowu podszedł do okna. Padało; świetliste strugi waliły falami w grubą szybę i odbijały się od parapetu z dźwiękiem rozrywających się szrapneli. Było wpół do trzeciej nad ranem, a ona jeszcze nie przyszła.

Podszedł do barku i nalał sobie whisky. Tak naprawdę wcale jej nie lubił, choć nigdy by się do tego nie przyznał, ale to właśnie piła ona, whisky bez lodu; a on wciąż był zbyt głęboko zakochany i chciał się tego napić dla niej, jakby sam smak trunku mógł sprawić, że poczuje jej bliskość. Przełknął, skrzywił się odruchowo, po czym wypił do dna i z rozmachem odstawił szklankę na stolik przed sobą, gestem, który, jak sądził, zaimponowałby jej, gdyby go widziała.

Ale nie przyszła. Gdzie się podziewała? Coś mignęło na zewnątrz i jeszcze raz wyjrzał zmrużonymi oczami przez okno; czy to ludzka sylwetka tam w dole, na podwórzu, czy to plastikowy płaszcz przeciwdeszczowy błysnął w świetle latarni? Chwilę szarpał się z zatraskiem okna, aż wreszcie je otworzył, nie bacząc na wpadający do środka deszcz.

- Tutaj! - krzyknął przez łoskot rury przelewowej i postać zatrzymała się, podniosła wzrok. Przez chwilę widział jej twarz ponad lśniącem czarnym kołnierzem, zobaczył, jak skinęła głową, i znów, jak zawsze w jej obecności, przeszył go ten

znajomy dreszcz, potężna eksplozja adrenaliny, która zaczynała się gdzieś w okolicy żołądka i rozchodziła cieniutkimi, mrowiącymi kręgami aż po dłonie i pięty; rozkosz, na którą składały się żądza, zadziwienie i swoiste, przerażające poczucie własnej znikomości. Kiedy mu się oddawała, to jej nie zmieniało. Za każdym razem, niby księżyc, odnawiała swoją cnotę; skalany był tylko on.

Jej kroki rozbrzmiały na schodach. Nalał sobie następną whisky i jednym haustem wypił pół; bał się, że ona zobaczy, jak drżą mu ręce. Jego pani nie była dobrą kobietą, o nie; znała jego słabości i z nich szydziła. Czasem, w tych chwilach, kiedy wracała mu jasność umysłu, zastanawiał się, czemu aż tak jej pragnął, skoro nie ofiarowała mu nic prócz rozkoszy strachu i upokorzenia, i mrocznej euforii jak w wesołym miasteczku wypełnionym fetorem potu i bestii, którą był on sam. Nie kochała go. Nie mieli ze sobą nic wspólnego, nigdy nie rozmawiali jak para przyjaciół. A mimo to jej kroki na podeście, lekkie, szybkie, kocie, przyprawiały go o szybsze bicie serca i zawrót głowy. Rzucił się otworzyć drzwi, gorliwy jak uczeń.

Tak smukła, tak krucha; nawet teraz nie przestawała go zadziwiać tym, że tyle perwersji mogło się zmieścić w tak drobnym białym naczyniu. Stała przed nim w półmroku, odgadując jego uczucia, drwiąc z niego. Była ubrana w czarny plastikowy płaszcz przeciwdeszczowy, ciasno przewiązany paskiem w talii; postawiony kołnierz obramowywał jej twarz. Zanim otworzył, zdjęła kaptur i gęste, jasnorude loki rozsypały się po jej ramionach. Miała intensywnie czerwone usta; kiedy była tak blisko, kręciło mu się w głowie, czuł się, jakby wpadał w te usta, widział, jak wargi rozchylają się lekko, by mu na to pozwolić... Rozwiązała pasek, rozchyliła poły ruchem ramion; zrzuciła płaszcz na podłogę, w kałużę wody deszczowej, i uśmiechnęła się. Pod spodem była naga, jej

ciało opalizowało w odbitym świetle latarni, włosy opadały burzliwą kaskadą, oczy, wargi, koniuszki piersi, ciemny trójkąt włosów łonowych były jak otwory w tym bladym ciele, otwory, z których wysnuwały się nici mistycznej mocy, oplatające go, przyciągające coraz bliżej, a on nie mógł stawić najłżejszego oporu.

- Nie tutaj... - wymamrotał. - Nigdy nic nie wiadomo... portier... inni...

Schylił się po jej płaszcz; doleciał go bijący od jej ciała zapach szypru i deszczu, mignęły mu krople perlące się na smukłym udzie i potknął się, oszołomiony i przejęty. Zaśmiała się cicho, z pogardą.

- Mój mały džentelmen - szepnęła. - Taki troskliwy...

Weszła lekkim krokiem do pokoju, zostawiając pod drzwiami swoje buty na płaskim obcasie, tak pełna wdzięku i nieskrępowana swoją nagością, jakby była całkowicie ubrana. Pospiesznie zamknął drzwi; nawet żądza nie mogła zaślepić go na tyle, by nie wiedział, co mu grozi, jeśli kogoś zobaczy; jako człowiek na stanowisku, musiał zachować dyskrecję. Powiesił jej płaszcz obok zlewu, gdzie woda mogła kapać bez szkody dla dywanu, i odwrócił się, niemal wystraszony teraz, kiedy wszystko było gotowe.

Siedziała w jego fotelu, z nogą założoną na nogę i dłońmi lubieżnie splecionymi we włosach. Uśmiechała się. Wbrew sobie zadygotał i odwrócił się, by to ukryć.

- Napijesz się? - Miał sucho w ustach, kiedy dopełniał swoją szklankę.

- Whisky bez lodu - powiedziała i nalewając jej, nagle nabrał pewności, że ona się z niego śmieje, bo wie, że to w jej rękach są sznurki, za których pociągnięciem on tańczy, że przy niej to on jest dziwką.

- Proszę. - Podał jej szklankę z ulgą, że ręce przestały mu drżeć.

Piła to oleiste paskudztwo jak wodę, szybkimi małymi łyżkami, jej wiotkie gardło falowało jak u łabędzia. Jeszcze jedna jej sztuczka, pomyślał. Czy przez ten czas nie poznał ich wszystkich?

Była tylko kobieta, nieledwie dzieckiem; wyciągnął ją z rynsztoka, umierającą z głodu, niemal otrutą tanim dżinem i zakazanymi narkotykami. Ulokował ją w ładnym mieszkanku, gdzie nikt o nic nie pytał... więcej niż połowę swojego dużego grantu na badania wydał na nią, na jej mieszkanie, tabletki i pudry, jej lekarzy i terapeutów... a nie prosił o nic więcej niż to, tę drobną pociechę. Do licha, pomyślał, kochał ją. Powinna należeć do niego ciałem i duszą.

-I co, nabrałeś dość odwagi? - Jej głos wyrwał go z zadumy. - Śmierdzisz whisky. Utopiłeś w niej swoje burżuazyjne skrupuły?

Wzdrygnął się.

- Łyczek nie zaszkodzi - odparł, zły na siebie, że próbuje się usprawiedliwiać. - Sama od tego nie stronisz.

Zaśmiała się.

- Myślisz, że jak inaczej zniosłabym to, że mnie dotykasz?

- Niech cię diabli, cięty masz język.

- Dlatego mnie pragniesz - zauważyła i przeciągnęła się w fotelu jak kot. - Lubisz, jak się tobą pomiata. Już ja was znam, intelektualści. W końcu tyłu ich miałam.

- Ilu?!

- Nie krzycz - powiedziała. - Pamiętaj o portierze i innych.

- Do diabła z nimi! - warknął. - Ile ty w ogóle masz lat? Siedemnaście? - Próbował się roześmiać.

- Więcej niż się z pozoru wydaje - odparła. - Dość, by wiedzieć wszystko o takich jak ty. Takie z was ofiary. - Jej drwina zaprawiona była jadem.

- Siedź cicho.

- Oczywiście. Przecież za to mi płacisz, nie? Chcesz, żebym krzyczała podczas orgazmu?

- Cicho! - Złapał ją za nadgarstek i poderwał z fotela. Jej małe kości poruszyły się pod skórą i wiedział, że zadaje jej ból, ona jednak mimo to wciąż się jakby uśmiechała. Cokolwiek robił, zawsze panowała nad sytuacją. Podniósł jej ręce wysoko nad głowę, pchnął ją w stronę łóżka i cisnął na nie z brutalnością, która jednocześnie sprawiła mu satysfakcję i rozdarła serce. Ona mimo to upadła z gracją, jak kot; prawdę mówiąc, kiedy o tym pomyśleć, nigdy nie widział, by robiła cokolwiek bez tego naturalnego wdzięku - tak się z nim drażniła, na ten i wiele innych, równie niepojętych, sposobów.

- O Boże... - Wydyszał jej imię. - Przepraszam... ja... tak bardzo cię kocham. Proszę...

Błaganie zamarło mu na ustach. Choć była jak dziecko, mogła zrobić z nim, co chciała, mogła go dla kaprysu zniszczyć albo uszczęśliwić; miała moc jak z baśni, tę cygańską zmysłowość, nieogarnioną rozumem. Jej bezdennie głębokie oczy były tunelami z deszczu. Światło wydobywało z mroku linię jej szyi, idealny obojczyk, białą wydnię pierś. Jej piękno było czymś więcej niż tylko pięknem człowieka; to było piękno wieczne, piękno księżycowej bieli. Rozłożyła ręce i upadł na nią z przeciągłym, bezdźwięcznym okrzykiem radości.

Poruszała się pod nim jak tancerka, nie w reakcji na jego dotyk, lecz pod wpływem jakiejś dziwnej, nicodgadnionej żądy. Przesunęła wargami po jego twarzy, jego ramieniu. Jej chłodne dłonie odnalazły jego szyję. Jego twarz zastygła w grymasie na poły przyjemności, na poły bólu, jak po ugryzieniu niedojrzałego owocu... Poczul na swoim gardle jej wargi, poczul dotyk jej małych, ostrych zębów i ucisk mocno przytrzymujących go dłoni.

- Au! Przestań! - Zabrał ręce z jej ciała i zaczął gwałtownie wierzgać nogami, ale nie puściła. Zaśmiała się i poczuł na skórze jej tchnienie. A potem, z nagłym chrzęstem, ugryzła. Głowa opadła mu na bok i trysnęła krew; zalała jego koszulę, spłynęła po twarzy dziewczyny, kapała z jej wilgotnych, niesfornych kosmyków. Próbował krzyżeć, próbował się zerwać, ale ból, ruch, dotyk jej chłodnego ciała, wszystko to było jakby na końcu ciemnego tunelu, końcu coraz odleglejszym, zmieniającym się w punkcik światła i ciepła pośród lodowatego mroku. Usiłował wypowiedzieć jej imię: wyszło z jego ust bąbelkiem krwi, który pękł i ściekł strużką po ramieniu, on jednak tego nie poczuł. Był sam w tunelu i zapadał się w jego głąb, coraz dalej i dalej... i wcale nie wbrew swojej woli; przeciwnie, cieszył się, że ucieka od, dzięki Bogu już zanikającego, wspomnienia tego ostatniego chrzęstu, który rozerwał go jak brzoskwinie, i stłumionego bulgoczącego śmiechu wpijającej się w niego dziewczyny.

Kiedy -jakiś czas później - zaspokoiła swój apetyt, pieczołowicie wytarła twarz chusteczką martwego mężczyzny. Zawsze myła się po jedzeniu.

2

Kiedy przyszli, zapadał już zmrok i latarnie paliły się na Gwydir Street. Alice, stojąca w oknie na górze, zobaczyła ich na długo przed tym, zanim zapukali, i miała czas, by jeszcze raz rzucić okiem na swój nienagannie wysprzątny salon, tu poprawić poduszkę, tam wyprostować obraz. Denerwowała się jak przed pierwszą randką; ubrała się z większą starannością niż zwykle. Może w głębi ducha chciała, by Ginny zobaczyła w niej rywalkę.

Wykluczone. Chyba nie była aż tak prymitywna. Mimo to, kiedy usłyszała pukanie, odczekała chwilę, by przygładzić włosy przed lustrem i wyzywająco unieść podbródek.

Przyjaciele, myślała gorączkowo. To wszystko. Nie ma innego wyjścia. To ona zdecydowała, że lepiej dla nich, by zamieszkali osobno. Nie miała już nad nim żadnej władzy i nigdy jej nie zdobędzie. Baw się dobrze i tyle, pomyślała, idąc do drzwi. O ile się da.

Joe stał przed drzwiami z bukietem w ręku; białe róże w przezroczystym, marszczonym papierze celofanowym. Cudowny zapach. Cudowna chwila.

- Cześć, Joe - powiedziała cicho i uśmiechnęła się.

- Kupę lat - odparł, szczerząc się radośnie, i uniósł pięść jak w salucie. Potem obejrzał się przez ramię, niemal ukrad-

kiem, i czar prysł. Z ciemności wyłoniła się sylwetka: łuna płomienistych włosów, łuk światła wzdłuż linii wystającego obojczyka, reszta schowana w cieniu.

- Hej, Alice...

Jego głos był lekko drżący, jak u dziecka.

- Alice... to Ginny.

Dziewczyna stanęła w świetle.

Alice miała wrażenie, że powiedziała, co trzeba; dzięki za kwiaty, wejdźcie, usiądźcie, wszystkie te uprzejme banały. Jednak cały czas dyskretnie przyglądała się Ginny, zwracając uwagę na najdrobniejsze szczegóły; każdy kontur, każdy włos wryły się w jej pamięć jak wytrawione kwasem.

Wyobraźnia jest niczym, pomyślała.

Wyobrażała sobie, że nie ulegnie zazdrości, że nie będzie prymitywna, a mimo to odkryła w sobie takie pokłady zazdrości i... tak, niemal nienawiści, że ją samą to przeraziło. Czuła, jak włosy jej się jeżą na karku.

Dziewczyna w sumie była całkiem ładna, stwierdziła Alice. Filigranowa, ale nie za drobna, giętka jak witka brzozowa, lekka niczym tancerka, w sukience z szeroką spódnicą, sięgającej prawie do kostek. Miała dość krótkie rude włosy, niedbale odgarnięte z twarzy, a jej oczy w niezwykłym odcieniu koloru lawendowego pełne były światła i lustrzanych odbić. Uroda dziewczyny zdawała się jednak czymś więcej niż sumą tych wszystkich cech. Wydawała się abstrakcyjna, eteryczna.

W czasach studenckich Alice miała na ścianie w swoim pokoju obraz, marną reprodukcję akwareli Rossettiego „Pierwsze szaleństwo Ofelii”. Przedstawiała ona tę zgubioną dziewczynę w ni to wianku, ni to koronie z kwiatów, z rozpuszczonymi długimi włosami i bladą twarzą, w której majaczą ciemne oczy i otwarte usta; to była ta scena, gdy Ofelia śpiewa, niebaczną na zaniepokojenie przyjaciół, śpiewa

pieśń smutku i szaleństwa, beztroska jak dziecko. Co powiedział Joe? Że przeszła załamaniem? Że była na oddziale dla psychicznie chorych? Alice mogła w to uwierzyć. Ginny miała to samo spojrzenie, co postać z tamtego prawie już zapomnianego plakatu. Jej piękno było jak otchłań, samo w sobie było szaleństwem.

Kiedy Ginny obrzuciła ją chłodnym, taksującym wzrokiem, Alice przez chwilę miała wrażenie, że widzi samą siebie jej oczami; zobaczyła siebie taką, jaka musiała się wydawać w porównaniu z tą samotną wyspą młodzieńczego opanowania. Za wysoka, oczy za małe za tymi drucianymi oprawkami, rysy zbyt grubo ciosane, zbyt wulgarne. Parząc im kawę, widziała swoje własne niezgrabne ruchy, widziała, jak Joe jej się przygląda i choć nic nie komentuje, zauważa każdy kilogram, o który przytyła przez te trzy lata, nowe, drobne zmarszczki okalające jej oczy. A najgorsze w tym wszystkim było to, że on sam nic a nic się nie zmienił; gdyby tak było, gdyby zdołała wypatrzeć pierwsze ślady siwizny w jego włosach, nowe bruzdy wokół jego ust, tłuszcz na tych wątych ramionach, może łatwiej byłoby jej się pogodzić z własnymi niedostatkami urody, ale cóż, kiedy nic takiego nie dostrzegła. Ten sam uśmiech, te same uroczo przymrużone oczy pod okularami, to samo chude jak szczapa ciało i lekko przygarbione plecy. Była w lekkim szoku, kiedy uświadomiła sobie, że pociąga ją jak kiedyś.

Przez resztę wieczoru miała zupełny zamęt w głowie. Przed oczami przewijały jej się kolejne miejsca i twarze, których właściwie nie zauważała; pizzeria gdzieś w górnych Backs, posiłek ten jeden raz zjedzony bez apetytu, w tym samym zawziętym skupieniu, jakie widziała u swojej matki; ścieżka nad rzeką, most. Sierp księżyca rzucający mroźne cienie na trawę i rzekę. Jaz, pochylony nad czarną jak noc wodą, oglądający odbicia neonów w szumowinach na powierzchni.

Jadła, piła, prowadziła rozmowę, bez wysiłku, bez myślenia. Joe brylował; Ginny wpatrywała się w niego z nieśmiałym uśmiechem. Wieczorny seans w kinie, film, którego Alice właściwie nie widziała. Kelnerzy. Bileterki. Student rozdający ulotki. Odbicie światła z ekranów w oczach Ginny. Błyszczące oczy Joego, gdy kupował czekoladę... Joe szczęśliwy, niczego niepodejrzewający, obejmujący Ginny ramieniem, patrzący na nią z góry tym skupionym spojrzeniem, które, Alice to wiedziała, brało się z jego krótkowzroczności. Ginny ulegle uśmiechnięta, mówiąca ledwo słyszalnym szeptem dziecka, przed odezwaniem się zerkająca na Joego, jakby to on miał klucz do jej słów. Bezdźwięczne obrazy, nic nieznaczące ruchy warg, bezładnie pomieszane, fascynujące kolory jak na pokazie latarni magicznej. I oni sami, aktorzy w tym przedstawieniu, barwne cienie na płaskim ekranie.

A wśród tego wszystkiego twarz Ginny, wpatrzona w nią jak przez szkło, lekko zniekształcona, przybierająca coraz to inne kształty; a to przypominająca twarz kobiety, która zagląda do kulistego akwarium, a to z nagle powiększającym się jednym okiem i ustami wykrzywiającymi się w groteskowym, szyderczym grymasie. Twarz Ginny. Początki obsesji.

Alice przez chwilę tak była tym zaabsorbowana, że zapominała, gdzie jest. Zalewały ją kolory, mieszające się dźwięki wypełniały bezdźwięczny świat. Z głębin wynurzyła się ku niej twarz... i nagle wróciła normalność, jakby nic się nie stało, jakby mroczna karuzela, na której jeździła tego wieczoru, wreszcie się nią znudziła, odrzuciła ją z odrazą, podczas gdy wesołe miasteczko wciąż działało, może w innym wymiarze, a może po prostu za rzeką.

To była twarz Joego.

- Dziękuję - powiedział i musnął dłonią jej rękę. Od jego dotyku włoski na nadgarstku stanęły jej dęba. - Naprawdę miło cię znów zobaczyć. Powinniśmy byli się spotkać daw-

no temu, ale pewnie byłem zbyt niedojrzały, a może zbyt zadufany w sobie, żeby to zaproponować.

- Nie ma sprawy - odparła mechanicznie. - Dobrze się bawiłam.

- Wiedziałem, że tak będzie. - Jego głos był serdeczny. - Tak się cieszę, że poznałyście się z Ginny. Wiedziałem, że ona polubi ciebie i miałem nadzieję, że ty polubisz ją. - Lekko zniżył głos i zerknął przez ramię na Ginny, by upewnić się, że go nie słyszy. - Wiesz, jej potrzeba kogoś takiego jak ty. Ten wieczór naprawdę świetnie jej zrobił; może tego nie zauważasz, bo nie znasz jej jeszcze za dobrze, ale ja widzę, jak bardzo cię polubiła.

Alice bezradnie skinęła głową. Teraz już miała wrażenie, że jej niedawne burzliwe doznania to coś jak jeden z tych snów, które wydają się logiczne, gdy się je śni, potem jednak rozplywają się z powrotem w niezrozumiały kod podświadomości, z którego powstały. Obejrzała się na Ginny, która siedziała w fotelu przy kominku, i próbowała na nowo rozbudzić w sobie tę pewność, tę świadomość czegoś złowrogiego, zdeprawowanego... Przetarła oczy grzbietem dłoni.

- Napijcie się czegoś? - spytała, kiedy znów zapanowała nad uczuciami.

Ginny wzruszyła ramionami z nieobecny, słodkim uśmiechem.

- Czemu nie? - powiedział Joe. - Co masz?

- Herbatę i kawę.

- Herbatę? Kawę?

- Zimne piwo w lodówce. Nic lepszego nie wytrzasnę. - Alice się uśmiechnęła.

- To już coś - powiedział Joe i poszedł do kuchni.

- Tobie też przynieść? - zawołał do Ginny, ale ona tylko pokręciła głową, nerwowo wykręcając liche materiały sukienki długimi, bladymi palcami.

Alice była poirytowana. Może drażniło ją to, że Ginny robiła się na osobę tak bierną, tak zupełnie niesamodzielną: że we wszystkich, *nawet* najdrobniejszych sprawach, zdawała się na Joego, a kiedy na niego nie patrzyła, skromnie spuszczała powieki. I mimo jej nieśmiałości Alice czuła się przy niej jakoś nieswojo. Żeby spróbować to przemóc, po raz pierwszy tego wieczoru zwróciła się wprost do niej.

- Pierwszy raz w Cambridge? - spytała, postanowiwszy coś z niej wyciągnąć.

Ginny podniosła głowę. Jej dziwne oczy były jak popękane lustra i Alice zobaczyła uwiecznione w nich swoje odbicie.

- Kiedyś tu byłam, dawno temu.

- Niewiele się zmienia, co?

Ginny w milczeniu pokręciła głową.

- Co podoba ci się najbardziej? Backs? College'e?

Ginny się uśmiechnęła.

- Cmentarze. I rzeka, oczywiście - powiedziała.

Alice mruknęła coś w odpowiedzi, już znużona. Joe za to zdawał się nie zauważać, że coś jest nie tak; inna sprawa, że prawie cały wieczór pił jak bąk, więc nie oczekiwała po nim, że wyczuje napięcie. Wrócił z kuchni z sześciopakiem piwa i szklankami, a w końcu złopał prosto z puszek, jak zwykle.

- Hej, Al - rzucił między łykami - widzę, że nadal masz starą Kotkę. I słowo daję, że mnie pamięta. Jak otworzyłem lodówkę, zaraz przyszła i zaczęła mnie smyrać nosem po nodze. To się nazywa pamięć, co? Zawsze lubiłem tę kocicę. Nawet jak mi srała *do* butów.

- Chyba po prostu wie, że w lodówce jest jedzenie.

- Aha. - Przez chwilę był jakby zawiedziony, po czym coś mu przyszło do głowy i znów się rozpromienił.

- Jutro gramy w „Corn Exchange”. Duża sprawa. Koncert dobroczynny z trzema innymi kapelami. Spodoba ci się.

Ginny też chce nas posłuchać. Może przyszybyście razem?
Gin trochę się boi iść sama.

Ginny lekko skinęła głową, Alice zmusiła się do uśmiechu.

- Chętnie. Co właściwie gracie?

Alice wiedziała, że wystarczy jedna wzmianka o jego ukochanym zespole, by Joe miał o czym gadać przez cały wieczór. Teraz musiała tylko się uśmiechać, kiwać głową i robić zainteresowaną minę, a będzie zadowolony; tak czy owak, była zbyt wykończona, żeby poruszać jakikolwiek inny temat. Poza tym, była z nimi Ginny, a sama jej obecność w jakiś niewytłumaczalny sposób krępowała Alice. To wrażenie było tak silne, że w odpowiedzi na słowa Joego mówiła praktycznie byle co, aż w końcu, choć tak zapatrzonej w siebie, spojrzał na nią badawczo.

- Jakaś cicha jesteś - powiedział ze śmiechem. - Co, złagodniałaś z wiekiem czy po prostu śmiertelnie cię nudzę? Dawniej więcej miałaś do powiedzenia.

Alice zerknęła na Ginny.

- A ty mawiałeś, że kobiety za dużo gadają.

Wyszczrzył się radośnie.

- Bo to prawda.

- Jak ty znosisz to jego gadanie, Ginny? - Alice zmusiła się, by wciągnąć milczącą dziewczynę do rozmowy.

- Doskonale. - Joe otworzył jedną ręką następną puszkę.

- Nie znam drugiej tak spokojnej kobiety.

- Nie daj się zwieść - powiedziała Alice. - Ten jego urok jest tylko pozorny. Tak naprawdę to męski szowinista, jakich mało.

Ginny spojrzała jej w oczy z lekkim, nieodgadnionym uśmiechem, po czym znów spuściła głowę. Mruknęła coś zwiewnym głosem, Alice nie dosłyszała co, ale Joe zaśmiał się cicho. Alice uznała, że jej udawany entuzjazm wypadł dość przekonująco, by przynajmniej on dał się nabrać.

- Niestety, muszę już lecieć - powiedział i zerknął na zegarek. - Jutro przyjdę najwcześniej, jak będę mógł. O dziesiątej mam próbę, potem jeszcze jedną o trzeciej, ale na pewno znajdę czas, żeby zabrać was obie na lunch.

Alice uśmiechnęła się automatycznie i w tej chwili wreszcie dotarło do niej, jak to wszystko się skończy: on wyjdzie, a ona zostanie sama z Ginny.

- Napijesz się kawy przed wyjściem? - spytała, na wpół zdesperowana, bo on dopijał ostatnią puszkę piwa, bo miał na sobie płaszcz, bo był w połowie drogi do drzwi...

- Lepiej już pójdę, Al. Późno się zrobiło. Ale dzięki. Na razie.

- Na razie - rzuciła Alice rozpaczliwie w stronę drzwi, kiedy wyszedł w noc. - Aha, Joe...

Ale jego już nie było, szybko oddalał się ulicą, w pomarańczowym blasku latarni przemieniony w dziwną, pstrą postać.

- Dobranoc - bąknęła Alice; i tak nie pamiętała, co właściwie chciała mu powiedzieć. Odwróciła się i zobaczyła Ginny, czekającą cierpliwie przy schodach, z tym lekkim, znaczącym uśmiechem na twarzy i oczami schowanymi w smudze cienia tak ciemnej, że wyglądała jak maska. Alice próbowała odwzajemnić uśmiech, ciężko pokręciła głową i zrobiła dwa kroki w stronę kuchni.

- Ginny, napijesz się czegoś? - zaproponowała z wysiłkiem.

- To miło, że pytasz - powiedziała Ginny. Jej głos był cichy, ale wyraźny, z nutą drwiny i słabym, nieokreślonym akcentem. - Ale jeśli nie masz nic przeciwko temu, wolałabym pójść na górę i się przebrać. Poczuję się dużo swobodniej.

- Oczywiście! - Uśmiech Alice teraz już był bardziej szczerzy, nie tak wymuszony. Może to dlatego, że Joe po-

szedł. - Obawiam się, że na górze jest lekka prowizorka, ale nic więcej nie mogłam zrobić w tak krótkim czasie. Jak chcesz, możesz schować ubrania do szafy i zawołaj mnie, gdybyś czegoś potrzebowała.

- Dziękuję. Poradzę sobie.

- Jasne. Nie ma pośpiechu.

Ginny nie odpowiedziała, ale Alice usłyszała, że poszła na górę.

Wtedy uświadomiła sobie coś, co nią wstrząsnęło: że przecież to zwyczajna nieśmiała dziewczyna, która znalazła się daleko od rodzinnych stron. Zrobiło jej się wstyd, że żywi do niej taką antypatię. Zapewne to tylko i wyłącznie jej wina, że Ginny była taka mało kontaktowa. Powinna była okazać więcej taktu, spróbować wciągnąć dziewczynę do rozmowy, zachęcić ją, by częściej się odzywała.

Karząc się w duchu za to, że jej dobre zamiary spaliły na panewce, postanowiła dać Ginny szansę, zaprzyjaźnić się z nią i podjąwszy tę decyzję, od razu poczuła się lepiej. Nastawiła wodę, wyjęła dwie filiżanki, uśmiechnęła się i wyciągnęła jeszcze pudełko herbatników. Kiedy wykładała herbatniki na półmisek, zaczęła nawet nucić pod nosem.

1

Tej nocy znów mi się śniła; sam nie wiem, po co w ogóle o tym wspominam, skoro śni mi się co noc, niezawodnie, za każdym razem w innym potwornym odzieniu, w snach rozdętych jak trujące owoce. Po co o tym piszę, kiedy jej twarz patrzy na mnie z kartki, kiedy czuję, jak jej delikatna dłoń ściska rękę, w której trzymam długopis? Och, Rosemary.

Jej obecność jest jak aromat rozchodzący się w powietrzu, jej głos jak gwizd na wietrze. Ostatniej nocy śniłem o niej. Ubrana na szaro, z kwiatami w dłoniach i długimi rudymi włosami rozwiewanymi przez wiatr, szła ze śpiewem na ustach brzegiem rzeki, tam, gdzie rosła wysoka cykuta, i pomyślałem sobie: zabłądziła, jest w niebezpieczeństwie. Wstałem więc i ruszyłem ku niej przez cmentarz; w pośpiechu potknąłem się o nagrobek, a ona obejrzała się i mnie zobaczyła. Chyba nic nie powiedziała, ale kiedy się odwracała, zauważyłem, że miała coś w ręku, coś okrągłego i szklanego, jakby szklaną kulkę, i z uśmiechem wyciągnęła to w moją stronę. Wiatr przelatywał przez ten okrągły przedmiot z dziwnie żalonym świstem, i kiedy sięgnąłem po niego, ujrzałem swoją własną twarz, patrzącą na mnie ze szklanej powierzchni, wydłużoną i zniekształconą, o niewyobrażalnie szeroko rozciągniętych ustach, z których wydierał się jęśliwy krzyk. Kulka zaczę-

la rosnać mi w oczach, aż przez jej wypukłą powierzchnię zobaczyłem drzewa i domy, krzaki, drogę i tory kolejowe wijące się przez las... Nagle ogarnął mnie strach. Rozejrzałem się. Nic.

Nic, tylko drzewa, tory, gwizd odległej lokomotywy. Spojrzałem w niebo. I wtedy zrozumiałem. Ona tam była, była przez cały czas i z włosami unoszącymi się jak na wietrze patrzyła w dół oczami niczym przepaściste tunele śmierci, większe od świata. A na zewnątrz świata, w tym dziwnym rybim oku, z którego wyglądała, nie było nic prócz ciemności. Zamiast nieba pomalowane na niebiesko wnętrza bąka, zamiast słońca jej oczy, zamiast księżyca okragłe, różowe odciski jej kciuków na szkle. I wiedziałem, że prędzej czy później przypomni sobie o tłoku, czerwonym drewnianym tłoku, który kręci światem... a gdzie wtedy będę ja? Czy będę wirował bez końca w ciemności, zdany na jej łaskę i niełaskę, pod jej czujnym spojrzeniem? Moja Błogosławiona Panienska.

Naraz z zadumy wyrwał mnie dźwięk: powolny, głęboki, ni to pomruk, ni to zgrzyt, niesamowicie donośny, płynący z maszynerii ziemi, jakby wznowiła tam pracę jakaś prastara podziemna kuźnia. Towarzyszyła mu jazgotliwa muzyka, wydawałoby się z najstarszej, najbardziej zdewastowanej karuzeli na świecie. Nabierała coraz szybszego tempa, aż w końcu przeszła w melodię z wesołego miasteczka, głośną i nieprzyjemną dla ucha, męczącą i fałszującą. Zmieniło się światło; teraz większa część ziemi ginęła w cieniu, który okrył wszystkie drzewa i krzaki, z wyjątkiem kilku miejsc, gdzie w nagłych eksplozjach blasku (zielonego, różowego, jaskrawoniebieskiego) ukazywały się rozkołysane, upiorne zarysy to pniaków, to wystających gałęzi. Gałęzi? Dlaczego pomyślałem o gałęziach? Bąk wirował coraz szybciej, muzyka była coraz bardziej rytmiczna, i złapałem się pierwszego

lepszego dobrze umocowanego przedmiotu, który wpadł mi w ręce. W półmroku wymacałem twardą, pomarszczoną powierzchnię, szorstką końską grzywę i usłyszałem dźwięk dzwonek... No tak, jest karuzela, to musiał być i koń, czemu tu się dziwić? Zamknąłem oczy (karuzela obracała się bardzo szybko, koń podskakiwał), ale nie było mowy, bym puścił jedyny pewny punkt oparcia w moim świecie i trzymałem się z zamkniętymi oczami, aż poczułem się trochę lepiej, trochę spokojniej i odważyłem się lekko uchylić powieki.

Znów było jasno, ale nie tak, jak w dzień; to było jaskrawe światło wesołego miasteczka, wulgarnie, a jednocześnie widmowe. I tym w świetle zobaczyłem, że nie ja jeden jeżdżę na karuzeli Rosemary. Były też inne konie, czerwone, białe, czarne, niebieskie, z dzwonekami u siodła i długimi grzywami rozwianymi na wietrze, o oszalałych szklanych ślepiach i rozdętych czerwonych chrapach. I był tam także Robert, z kłykciami zbiegającymi od ściskania lejców, w płaszczu, który trzepotał za nim jak skrzydła. Zawołałem go po imieniu, w nadziei, że usłyszy mnie przez ogłuszającą muzykę... i odwrócił się do mnie.

Nieszczęsny Robert był martwy. Miał bladą twarz, pomalowaną jak u klauna, i zsiniałe usta. Oczy uciekły mu w głąb, widać było tylko ich białka. Kiedy krzyknąłem z przerażenia i żalu, karuzela nagle szarpnęła i jego głowa odleciała w bok i zwiła na skręconym karku. Wtedy zobaczyłem, że każdy z koni ma jeźdźcę; martwego jeźdźcę. Byli to mężczyźni i kobiety, część znałem, inni byli mi zupełnie obcy. Niektórzy szczyrzyli się do mnie, kiedy galopowaliśmy obok siebie; zamaskowana kobieta posłała mi całusa, który cuchnął padliną. Inni siedzieli bezwładnie pochyleni; ci mieli poderżnięte gardła albo poprzetrącane kręgosłupy. Głowa jednego z jeźdźców była całkowicie wykręcona do tyłu, jak u lalki. I wtedy naszała mnie myśl, która zmroziła mi krew

w żyłach. Widziałem wszystkich na karuzeli oprócz jednej osoby. Jednej.

Zimny powiew na plecach, jakby od nagłego przeciągu. Kłoczny odór zgniłych warzyw. Coś jakby dotyk, przerażająco intymny, na moim ramieniu. Odwrócenie się wymagało nadludzkiego wysiłku; to było tak, jakby próbować iść pod wodą. I znów dotyk, tym razem na twarzy.

Zimno.

Zacząłem się szamotać, na próżno usiłując zapobiec temu, co mi przeznaczone. Zdaje się, że wierzgałem nogami, jakby w daremnej próbie ucieczki przed tym, kto mnie ścigał. Jeszcze raz spróbowałem się odwrócić. I tym razem się udało.

Mój krzyk utonął w muzyce, która huknęła ze zdwojoną siłą; przerażenie uderzyło mi do głowy jak odór sfermentowanych śliwek. Była w masce, spod aksamitu wystawały tylko jej usta i czubek nosa, ale ją poznałem. To była Ofelia, dziesięć dni po tym, jak utonęła, wciąż cuchnąca rzeką i czymś innym, mroczniejszym. We włosach miała muł z Cam, pod jej białą suknią rysowały się przykurczone, zniekształcone, opuchnięte członki. Kiedyś miałem japońską rycinę, ukazującą sześć etapów rozkładu zwłok młodej dziewczyny, pozostawionych na zboczu góry; to, jak obwieszony biżuterią trup w białych szatach pogrzebowych zmieniał się, puchł, by następnie się kurczyć, zawsze wydawało mi się makabryczne, a zarazem fascynujące...

- Jestem panienką u twego okienka - zaskrzeczała do mnie. a ja znowu krzyknąłem i rozpaczliwie usiłowałem się cofnąć, wczepiając się paznokciami w boki konia. Paliły mnie dłonie, strzępy mojej skóry zostawały na wypolerowanym drewnie i resztki rozumu ulotniły się ze mnie potężnymi, roziskrzonymi eksplozjami jak na pokazie fajerwerków (i przez chwilę rzeczywiście je widziałem, jaśniejsze od świateł wesołego miasteczka), ona zaś zaczęła czołgać się ku mnie.

- Panienką u twego okienka... - ciągnęła nieprzerwanie -
na dzień świętego Walentego... - Wtedy jej dłonie zacisnęły
się wokół mojej szyi, miękkie i zimne, a usta otworzyły się
i buchnęła z nich wielka chmura tego mrocznego, cmentar-
nego fetoru; i poleciałem w stronę tych ust, bez woli, bez
czucia, do ciemnego tunelu, którym była Rosemary, gdzie
nawet krzyki tracą znaczenie.

2

- Jaką pijasz kawę, Ginny? - Alice urwała w pół zdania. Filiżanka zachybotała w jej ręku, ale nie spadła.

- Dziękuję - powiedziała Ginny łagodnym tonem - ale chyba zrezygnuję z kawy. Chciałabym na jakiś czas wyjść.

- Słucham...? Ach tak, oczywiście.

Alice była tak zdumiona przemianą Ginny, że aż zaniemówiła, za to przez głowę przebiegały jej dziesiątki bezużytecznych myśli. Czy to naprawdę Ginny? Na ulicy by jej nie rozpoznała; zmieniło się nic tylko jej ubranie, ale i ona sama, jakby zrzuciła skórę, ukazując swoje prawdziwsze ja. Nie była już w tej jasnoniebieskiej sukni, która upodabniała ją do średniowiecznej damy. Czarnym lakierem w sprayu wymalowała sobie na oczach poprzeczny pasek, przypominający maskę, jej rude włosy sterczały wokół twarzy jak kolce jeżozwierz. Miała na sobie sprane dzinsy (z długim rozdarciem na górze każdej nogawki, odsłaniającym białą skórę), i T-shirt z oberwanymi rękawami, na którym widniał obrazek wyszczerzonej trupiej czaszki i kwieciste logo ŚMIERĆ. Jej buty z fioletowego zamszu były sznurowane do połowy uda; ich wysokie obcasy zostawiały w puszystym dywanie w salonie Alice małe wgłębienia, niczym otwory wentylacyjne dla wszelkiego drobiazgu, który mógł pod nim

żyć. W tym krzykliwym stroju nastolatki wyglądała jeszcze młodziej niż przedtem, wydawała się dziwnie bezbronna, wciąż przejmująco piękna, ale przy tym jakby mądrzejsza. Starsza.

W jej oczach tańczyły niepokojące, wielobarwne iskierki.

- Przyjechało wesołe miasteczko - powiedziała radośnie. Zmienił się nawet jej głos, przeszedł z szeptu nieśmiałego dziecka w lekko nosową, niewdzięczną intonację nastolatki.

- Tak? - spytała Alice.

- Na Parker's Piece. Dopiero jedenasta, zamykają o północy. Nie idzie się tam długo.

Jej oczy skrzyły się niebezpiecznie pod warstwą sprayu, jak dwa pryzmaty załamujące światło. Chyba nawet nie wiedziała, jakie robi wrażenie.

- To o której wrócisz? - spytała Alice dość chłodno.

Ginny wzruszyła ramionami.

- Nie za późno. Spotkam się tylko ze znajomymi... nie czekaj na mnie, dobrze?

- Zostawię otwarte drzwi.

- Dziękuję.

Jej dłoń była już na klamce. W Alice nagle wezbrały gwałtowne emocje: gniew, niepokój i reakcja przeciwko wszystkiemu, co kazano jej przeżywać tego wieczoru. Pod wpływem impulsu wyciągnęła rękę i złapała Ginny za ramię. Skóra dziewczyny była chłodna i gładka.

- Ginny?

- Tak, o co chodzi? - I znów ta szydercza nuta, niemal jakby... jakby znała myśli Alice lepiej niż ona sama.

- Joe... lubisz go, prawda?

Ginny przez chwilę stała twarzą do niej, po czym lekko przechyliła głowę na bok, jak lalka. W głębi jej szarych oczu tańczyły światła wesołego miasteczka.

- Joe? - zaszczebiotała. - Kto to jest Joe?

Drzwi się otworzyły i wyszła w noc.

Alice chwilę stała pod drzwiami; gniew mieszał się w niej ze wstydem i dziwnym uczuciem może nie strachu, ale zaniepokojenia na pewno.

Nie mogła oprzeć się pokusie, by wyrzeć przez listwy żaluzji na ulicę. Nie szybko, przelotnie, niby przypadkiem, lecz powoli, uważnie, z wyrachowaniem. Wiedziała, czego wypatruje, i na tę myśl zaniepokoiła się już nie na żarty; trudno było jej się do tego przyznać, ale chciała obejrzeć znajomych Ginny, zdobyć choć cień dowodu, że jest nieodpowiednia dla Joego, że coś z nią jest nie tak. Odwróciła się z obrzydzeniem od okna, ale zanim to zrobiła, zobaczyła to, co spodziewała się zobaczyć, na co liczyła. Mężczyzna stał pod latarnią, z twarzą odwróconą od domu, ale jego sylwetka rysowała się wyraźnie w jasnym pomarańczowym świetle i Alice mogła dobrze mu się przyjrzeć. Był wysoki, z długimi włosami związanymi w kucyk, w długim szynelu z postawionym kołnierzem i butach do jazdy motocyklem z łańcuchami z tyłu, które mrugały do Alice z ciemności. Na jej oczach Ginny potruchtała do niego lekkim krokiem tancerki - mimo tych jej groteskowych butów - i ufnie wzięła go pod rękę. Lekko odwrócił się do niej, coś powiedział, dotknął jej ramienia dziwnie czułym gestem, zaśmiał się. Ginny zawtórowała mu i Alice dosłyszała słabe echo jej śmiechu, dźwięczące na opustoszałej ulicy. Zacisnęła zęby. Nie, Ginny Joego jej się nie podobała, jej znajomi też; mężczyzna w szynelu miał w sobie coś niepokojącego i nie chodziło tylko o te butnie wyprostowane ramiona, bijący po oczach połysk metalu na przyszwach butów, czy nawet to, jak opiekuńczo obejmował Ginny ramieniem, prawie jakby chciał ją zasłonić. Alice zastanawiała się przez chwilę, czy dziewczyna będzie z nim bezpieczna.

I wtedy odwróciła się od okna zarumieniona, bo choć wiedziała, że to niemożliwe, miała wrażenie, że w tej właś-

nie chwili mężczyzna się odwrócił - był za daleko, żeby dostrzegła jego twarz - i obejrzał dom. Trwało to tylko moment i nic było szans, pomyślała Alice, żadnych szans, by mógł ją zobaczyć, a tym bardziej poznać, że mu się przyglądała, ale mimo to... była pewna, że wiedział, iż ona tu jest, że jego oczy odszukały ją, nawet gdy schowała się za żaluzjami... że zobaczył ją i uśmiechnął się na jej widok.

Alice przewróciła się na lewy bok i usiłowała opróżnić głowę z myśli. Próbowwała zasnąć. Ciemność pod jej powiekami wypełniały obrazy, twarze, głosy, a także migające w przebłyskach jej prace i niewykryształizowane pomysły na następne. Gdzieś w tle tego wszystkiego pulsował urywek piosenki, rytm i słowa:

*Dziwna dziewczynka kiedyś na ciebie spojrzy
Ty smutek w oczach dziwnej dziewczynki dojrzysz
Opuściła dom, dzieciństwa kraj
do miasta uciekła dalekiego
Strzeż się w mieście, strzeż się wszystkiego
Dziwna dziewczynko...*

Alice potrząsnęła głową na rozgrzanej poduszce i znów zmieniła pozycję.

Cholera.

Ze zniecierpliwieniem włączyła lampkę nocną i sięgnęła po książkę. Może pół godziny czytania pomoże. Jej dłoń na chwilę zatrzymała się na okładce książki, wyciągnęła się znowu, zastygła w bezruchu. Znowu to samo, dźwięk, jakby szepty. Głosy. Alice usiadła prosto, nasłuchując, po czym się odprężyła. To nic takiego, pomyślała. Ginny wróciła z wesołego miasteczka. Przez chwilę panowała cisza; potem

znowu rozległy się szept, ciche i nieprzyjemnie intymne, dochodzące z pokoju Ginny.

Znajomi Ginny z tego wieczoru?

Alice obruszyła się na samą myśl; wspomnienie wyglądu Ginny, jej sennych odpowiedzi, tego, jak bezszelestnie zniknęła ze swoim nieznanym przyjacielem w ciemności... to wszystko przekonało ją, że coś tu jest nie w porządku, ale co z tego, że to wiedziała, skoro nic, zupełnie nic, powtórzyła w duchu, nie skłoni jej do tego, by wstała z łóżka i pchała nos w nie swoje sprawy. Nie jej interes, kogo Ginny sobie sprowadza do domu. Nie zamierzała tego sprawdzać; tylko zrobiłaby z siebie idiotkę. W końcu mógł to nawet być Joe. Dopilnuje, by Ginny do końca tygodnia zabrała swoje rzeczy i się wyniosła, to już postanowione, i będzie ją miała z głowy. Znów rozbrzmiały te głosy, więcej niż dwa, chyba trzy, może cztery. Alice wiedziała, że gdyby był wśród nich głos Joego, toby go rozpoznała.

Niemal ze złością, odwróciła głowę na poduszce i próbowała ignorować szepty. Urywek muzyki, na wpół wyobrażony:

*Dziwna dziewczynka kiedyś na ciebie spojrzy
Ty smutek w oczach dziwnej dziewczynki dojrzysz
Dziwna dziewczynka...*

Szlag by to. Czemu nie mogła sobie dać na wstrzymanie? To nie jej sprawa. Nie zamierzała się w to mieszać.

Na tym jej bieg myśli się urwał, bo uzmysłowiła sobie, że mimo wszystko już odrzuciła pościel i wstała. Co gorsza, dotarło do niej, że jednak się w to wmiesza, że nie zazna spokoju, dopóki nie wyjdzie ze swojej bezpiecznej sypialni i nie zajrzy ukradkiem do pokoju Ginny, tylko po to, żeby się upewnić, powiedziała sobie, żeby zobaczyć. Wciągnęła

dżinsy i T-shirt, uważając na skrzypiące od czasu do czasu deski, i poczępała boso do drzwi. Wciąż te konspiracyjne, niemal drwiące szepty, ledwo słyszalne, nieuchwytnie i wabiące. Ciche szszszsz otwieranych drzwi po puszystym dywanie, potem kroki po podeście, każdy odpowiadający jednemu wstrzymanemu zda się na całą wieczność oddechowi. Z obolałymi mięśniami, po włóknach dywanu kłujących podeszwy stóp jak sosnowe igły, Alice skradała się do niewyobrażalnie odległego pokoju Ginny. Spod zamkniętych drzwi tryskało światło. Kiedy podeszła bliżej, w ciemności buchnęły głosy, potężne, bezkształtne jak kwiaty z dymu. Nie mogła uchwycić ich sensu, jej wytężony słuch wzmacniał dźwięki i zmieniał je w grzmiące, ogłuszające sylaby. Wyłapywała tylko pojedyncze słowa, *groźne, pełne* tajemnych *znaczeń*.

Głos mężczyzny: „Kiedy będzie spać... obraz... wiem... myślicie, że... obraz...”.

Inny głos: „...w dyskretnym miejscu...”.

Głos Ginny, najgłośniejszy ze wszystkich, już nie tak niewyraźny jak przedtem. W obecności przyjaciół mówiła zdecydowanym, władcym tonem:

- Cicho. Nie chcę ryzykować, że on zacznie coś podejrzewać. To był błąd... (Tu głos *zaniki*, bo odwróciła się od drzwi.) Dajcie mi czas. Teraz już pamiętam wszystko.

Alice aż w głowie się kręciło z napięcia, gdy stała tu, oblewana ze wszystkich stron ciemnością. Nagle chwyciła ją durna pokusa, by wybuchnąć śmiechem, i zachichotała nerwowo pod nosem.

Czego się właściwie spodziewała? Czarnej magii? Zielonych ludzików z Marsa? Krztusiła się z nerwowego śmiechu i oprócz tego, że się bała, zrobiło jej się głupio. I co z tego, że Ginny ma gości? Najprawdopodobniej palą trawę czy coś, bo wiedzą, że tu nikt im nie będzie przeszkadzał. Nie *jej* sprawa. Joe mógł sam o siebie zadbać. Alice nie

chciała znać szczegółów. Kroki za drzwiami, głos, wyraźny i bliski.

- Dość gadania... za dużo straconego czasu... tyle czekania. .. znajdź to... zrób, co... należało zrobić... gotowe... znajdź to i pozbadź się tego... niebezpiecznie byłoby tam to zostawić... pewnego dnia ktoś... może dowiedzieć się, kto...

Głos Ginny, rzeczowy, niosący się przez dom:

- Nie ma powodu do obaw. Biedny Daniel już *nie* żyje, jest skończony. Tylko jeszcze tego nie wie.

I wtedy drzwi się otworzyły.

W szczelinie między zawiasami drzwi ciemnej łazienki Alice zobaczyła światło rozkwitające na przykrytych chodnikiem schodach, trzy postacie idące przez oświetloną część korytarza, i kształty: trójkąt światła na wydatnej kości policzkowej, czerwono fioletową plamę galonu płaszcza, zimny błysk łańcucha na bucie *do jazdy* motocyklem... i nagle zapadła ciemność, kroki przeszły w najdelikatniejszy szmer, szepty stały się ciche jak odgłos pocieranych o siebie drobinek kurzu.

- Nie można jej obudzić... drzwi na zatrask... nic prostszego. .. śpi jak zabita... (Śmiech, lekki jak pajęczka nić)... Wrócę przed świtem... dziecinna igraszka...

- Podejrzewa... pamiętaj... obraz... znajdź i pozbadź się...

Schodami w dół... *szz... szsz... szsz... szsz...* to poły długiego szynela szurające o chodnik. Alice odrobinę szerzej uchyliła drzwi łazienki. Światło było zgaszone. Gdzieś tuż za schodami zobaczyła czy raczej miała wrażenie, że zobaczyła słaby poblask latarni ulicznej prześwietlający przez zaciągnięte zasłony. Drzwi otworzyły się szerzej. Jej stopy cicho uderzały w podłogę, ale stapała ostrożnie, unikając skrzypiących desek, przy schodzeniu w dół dla pewności

trzymając się poręczy. W ciemność wdarł się cichy dźwięk; trzask zamka. Smuga światła wsączyła się do środka, spenetrowała mrok, po czym zamigotała i się wycofała.

Alice została sama.

Po ciemku zbiegła lekkim krokiem na dół, rozchyliła zasłony na parę centymetrów... byli już w połowie ulicy, ich sylwetki wydłużały się jak cienie, ich kroki były równe i zdecydowane. Alice odsunęła się od okna i zawadziła nogą o swoje buty. Włożyła je bez namysłu. Zamek praktycznie otworzył się sam.

Trzask.

Drzwi zamknęły się za Alice i ruszyła za Ginny i jej znajomymi w oświetloną pomarańczowym blaskiem ciszę.

Pozostawała w ukryciu; miała miękkie pantofle, jej ubrania, wybrane na chybił trafił, były ciemne. Znała te ulice i trzymała się cieni; zaułków i bram nie brakowało. Nocne powietrze było nieruchome i zimne, chodniki tu i ówdzie skrzyły się szronem, para z ust niosła się za nią po spirali... szła swobodnym, sprężystym krokiem. Przemierzyła miasto; ulice były opustoszałe, budynki college'ów przypominały puste maski karnawałowe, w których gdzieś widać mrugające oko - okno jakiegoś studenta-nocnego marka. Wreszcie miasto zostało z tyłu. Droga robiła się coraz węższa, coraz ciemniejsza, budynków było coraz mniej. Tamci dwukrotnie przeszli przez rzekę, przecięli jezdnię, przebrnęli przez pole pszenicy. Alice zaczekała, aż dotrą na jego drugi koniec, zanim ruszyła ich śladem; przez to została daleko w tyle, ale wiedziała prawie na pewno, dokąd idą - to był skrót do Grantchester. Świetnie znała tę drogę za dnia; nocą wyglądała złowieszczo, niewidoczny księżyc rozjaśniał niebo zasnutę ogromnymi chmurami, w ciemnościach dużo bardziej przytłaczające niż w świetle słońca. Alice ogarnął niepokój, ale oswoiła się z nim jak z czymś przeżywanym we śnie i po-

biegła truchtem, by dogonić trzy cienie, ziemia przemykała pod nią jak czarodziejski dywan. Nie czuła zmęczenia ani niecierpliwości, tylko emocje towarzyszące pościgowi, włoski na jej rękach elektryzowały się z zimna i podniecenia. W jej głowie wciąż grał ten sam urywek piosenki, w rytmie zgodnym z rytmem jej kroków:

Dziwna dziewczynko, dokąd idziesz?

Dziwna dziewczynko, dokąd idziesz?

Czy sama to wiesz?

Grantchester przycupnęło na końcu drogi, mała, przysadzista wieża kościoła z krótką iglicą odcinała się czernią na tle świetlistego nieba. Trzy postacie były już prawie przy samym kościele. Przed bramą zwolniły kroku. Do uszu Alice dobiegł głos, wyraźny, niemal beztrouski. Słów nie dosłyszała, ale poznała, że ten, kto mówił, był nieprzejęty, nie bał się.

Metal cicho zazgrzytał o metal i ktoś wskoczył na zwieńczoną kolcami bramę, po czym wylądował po drugiej stronie. Druga postać zrobiła to samo, a po niej trzecia, także bez większego wysiłku. Jedno leniwie wypowiedziane słowo; śmiech. Postacie wtopiły się w mrok, jakby wchłonięte przez kościół. Alice dygotała. To nie były wygłupy studentów czy jakiś figiel; to było coś, co robili już wcześniej, być może wiele razy. Teraz już na myśl o czarnej magii nie było jej do śmiechu. Mimo to ruszyła za nimi, zafascynowana i przerażona, z tworzącą się w głowie mandalą strachu i złego przeczucia, aż stanęła przed bramą. Chwilę oglądała kościół, z jakiegoś powodu zrażona widokiem jego zimnej fasady, małych, nędznych okienek. Brama nie była zbyt wysoka, a już na pewno nie wyższa od bramy college'u, przez którą Alice przechodziła, wymykając się wieczorami do miasta. Była za to zamknięta na klucz.

Ciekawio ją, po co w ogóle zamyka się cmentarz; przypomniała sobie mgliście Joego (wracali wtedy z jakiejś nocnej eskapady, ona z ręką w kieszeni jego płaszcza), mówiącego do niej ciepłym, żartobliwym tonem:

- Pojęcia nie mam, po kiego je zamykają. O ile wiem, nikt się tam nie pcha, a raczej nie sądzę, żeby ktoś *chciał* stamtąd wyjść!

To wspomnienie było jak smutny duch pośród cichej, zimnej nocy, jego ciepło wyparowało, pozostawiając tylko bladą tęsknotę. Sam żart zaś wydawał się teraz ponury; myśl, że ktoś miałby próbować się stamtąd wydostać, zmroziła jej krew w żyłach. Dotknęła drewnianych sztachet; mursz przebił się przez warstwę farby i jego drobiny przylgnęły do jej palców. Za bramą była Strefa Mroku, druga strona lustra. Alice pragnęła zobaczyć, co tam jest, ale bała się zejść z bezpiecznej drogi; mimo to, jak we śnie, wiedziała, że to robi, czy tego chce, czy nie. Podciągnęła się i świat zatańczył jej przed oczami; po ciemku miała wrażenie, że jest na wysokości kilkudziesięciu metrów, zawieszona nad mroczną otchłanią. Przechyliła się, ostrożnie szukając oparcia dla nóg... i przegramoliła się przez bramę.

Odnalazła ich pod osłoną nocy i schowała się za pomnikiem, żeby zobaczyć, co robią; ale mur trzeciego cmentarza okrywał ich cieniem i Alice widziała tylko pomieszane kształty, pozbawiony znaczenia teatr cieni, dolatywały ją urywki rozmów, dźwięki metalu uderzającego w kamień i w ziemię... odgłosy kopania.

Pierwszą, rudowłosą postacią była Ginny, tyle zdołała dostrzec, słyszała jej głos, wyższy i wyraźniejszy od głosów pozostałych, widziała jej sylwetkę tancerki przemykającą wśród grobów. Drugi był ten wysoki mężczyzna z długimi włosami związanymi w kucyk, z czymś metalowym na przy-

szwach butów. Trzecia postać była jasnowłosa, niewiadomej płci; twarzy Alice nie dostrzegła.

- ...gdzieś niedaleko... musi tu być... nie miał czasu... gdzie indziej... znajdę, choćbym musiała... go odkopać... jasne... wiem...

Długo czekała i słuchała, najpierw odgłosów kopania, potem dźwięków drewna uderzającego w metal i, wreszcie, metalu w metal. Znaleźli to, czego szukali, czymkolwiek to było; Alice poznała to po ich głosach. Znow dźwięki, rozrywany papier, zgrzyt metalu... kroki. Alice czuła je w swoich zębach. Kucnęła i przywarła do pomnika, pulsowanie jej bębienka odbijało się echem w zimnym kamieniu. Kroki minęły ją i ucichły w oddali. Zaczekała chwilę i wstała.

Jej oczy oswoiły się z ciemnością i widziała dość dobrze; łomoczący w sercu strach na razie ustąpił miejsca dziwnemu, niezmaconemu spokojowi. Zrobiła dwa kroki w stronę płamy cienia, w której teraz już rozpoznawała otwarty grób; jeszcze krok i stanęła. Przed sobą miała dół, który w zniekształconej przez mrok perspektywie wydawał się dużo głębszy niż w rzeczywistości; obok, starannie ułożona, spoczywała odwalona z niego płyta z rzeźbionego kamienia. Tknęła ją pewna myśl; już tu kiedyś była. Poznała ten kąc cmentarza, cis i głóg... odwróciła się pospiesznie i w oczy rzucił jej się grób, który oglądała za dnia, ten z małą furtką. *(Coś we mnie pamięta...)*

Furtka teraz była otwarta, smużka światła księżycowego muskała framugę i przez jedną przerażającą chwilę Alice miała wrażenie, że widzi coś po jej drugiej stronie, coś, co czeka, by wyjść. I nagle te małe drzwiczki poruszyły się, bez wątpienia pchnięte podmuchem wiatru, odchyliły się na zawiasach z cichym zgrzytem zardzewiałego metalu, jakby bujało się na nich małe, niewidzialne dziecko. Alice nie czuła wiatru, ale drzwiczki zakołysały się znowu, tym razem

bardziej gwałtownie, otworzyły się, zamknęły, otworzyły się... zamknęły... otworzyły się... zgrzyt składał się z trzech nut, dwóch opadających, jednej wznoszącej się, jak w pieśni bagiennego ptaka: *Ti-ri-liiii... tiriliiii*. A Alice, z szeroko otwartymi oczami i ustami, tylko patrzyła i w żołądku kotłowało jej się z panicznego strachu; pieśń bagiennego ptaka podążała za nią, raz za razem powtarzając te trzy smętne, kalekie nuty, osamotnione i żałosne jak płatki śniegu w ciemnej studni, a furtka przez cały ten czas kontynuowała swój taniec, otwarta, zamknięta... otwarta.

Sama była ciekawa, dlaczego nie krzyczy.

2

Alice zerwała się ze snu, wciąż mając w oczach ostatni obraz koszmaru, i przez chwilę nie wiedziała, gdzie jest. Wszystko ją bolało; miała zeszywniałą szyję i nogi podkulone pod siebie w niewygodnej pozycji, wilgotne ubranie lepiło się do jej skóry.

- Ginny?

Potrząsnęła głową, by oprzytomnieć, i usiadła prosto. Co ona robiła, do licha? Pracowała? Na to wyglądało; nie pierwszy raz zasnęła w pracowni, ale nigdy jeszcze nie zdarzyło jej się po przebudzeniu nie pamiętać, jak tam trafiła. Przypomniała sobie. Co? Sen? Uznała, że tak, to musiał być sen, niespotykane wyrazisty sen. Wstała z łóżka, to pamiętała na pewno. Ale przed sobą miała obraz, ustawiony na sztaludze i osłonięty od kurzu kawałkiem muślinu; zapewne sama go tam zostawiła.

Jak to więc możliwe, że w ogóle nie pamiętała malowania jakiegokolwiek obrazu? Nie było nic oprócz tego przekłętą snu kołaczącego się w obolałej głowie, nic, tylko on i na wpół rozwiane złe przecucie, układające jej myśli w mandalę strachu. Zastanawiała się, ulegając teraz już dobrze znanej paranoi, czy Ginny ją uspiła. Wstała, rozruszała ścierpłe nogi, niezdarnie wytrząsnęła z brązowej buteleczki tablet-

kę aspiryny, rozgryzła ją i krzywiąc się, połknęła, wysypała na dłoń jeszcze dwie.

Przypomniała sobie wyjście z Joem, to, jak kładła się spać, przypomniała sobie sen, bo to był sen, prawda? Nie pamiętała, by poszła do pracowni, nie pamiętała obrazu.

Obraz!

Jeśli zobaczy go znowu, na pewno rozbudzi to w niej jakieś wspomnienie, przywoła fragment tego utraconego czasu; na pewno. Zatrzymała się z ręką nad płachtą; przez cienki materiał widziała zieleń, szarość, paletę wciąż wymazaną farbami akrylowymi, dzbanek wypełniony do połowy zieloną wodą... Nic była pewna, czy rzeczywiście chce zobaczyć, co kryje się pod muślinem. Czuła jednak wewnętrzny przymus, któremu nie mogła się oprzeć... a poza tym może wciąż nie wierzyła własnym oczom, kiedy widziała tę znajomą sztalugę obarczoną obcymi wspomnieniami, na których ledwie co wyschła farba.

Uniosła materiał. W jej oczy uderzyła burza chaotycznych kolorów, kolorów łączących formę i ruch, symetrię i szal w doskonale kompletnej kompozycji. To była jej praca, bez wątpienia, jej styl, a mimo to wciąż nie pamiętała, by ją namalowała. Jej podpis w rogu. Na skraju wykaligrafowany jej ręką tytuł obrazu. I to jakiego obrazu! Rzeka, na brzegu trawa i kwiaty polne układające się w kształt spirali, korzenie surrealistycznie rozsnuęte w przejrzystej szarej wodzie, wierzba widziana z góry, w perspektywie przyprawiającej o zawrót głowy, niewyraźne, rozedrgane odbicie w rzece; zieleń, tunel zieleni z białą postacią na końcu, białą damą rozmytą pośród zieleni i wody... Alice przysunęła się bliżej. Teraz, patrząc pod innym kątem, zorientowała się, że postać jest zanurzona, a obserwator widzi ją z góry, znad powierzchni wody. Kobiętę przesłaniała woda i częściowe odbicie drzewa; w załamującym się świetle wyraźnie widoczna była

1

tylko twarz: blady owal, w cieniu liści zielonkawy, otwarte oczy i ciemne usta pod wodą, rude włosy pod powierzchnią niemal szczerzące, za to ponad nią odzyskujące swój blask, jak kępy płynącego zielska, jaskrawo odcinające się na tle spokojnej szarości rzeki. Rysy były wyraźne, nie na tyle, by Alice mogła być tego pewna, a mimo to była: kobieta miała twarz Ginny. Tytuł obrazu brzmiał:

Skrucha: Utonięcie Ofelii

Alice długo się przyglądała tej niepokojącej pamiętce z krainy snów, była bowiem jednocześnie podobna i niepodobna do innych jej prac. Kolory były jej - miała farbę na rękach i za paznokciami - detale, światło też. Obraz był tej samej wielkości co jej poprzednia praca, dawał to samo wrażenie przestrzeni i jasności, szczegóły zostały szybko i pewnie naniesione farbami akrylowymi na świetliste odcienie tuszów. Boże, musiała nad tym siedzieć godzinami! Nigdy w życiu nie pracowała tak szybko. Wróciło podejrzenie, że miała to związek z narkotykami, teraz już bardziej wiarygodne, przerażające, a przy tym jakoś podnoszące na duchu. Łatwiej uwierzyć, że podano jej jakiś halucynogen, niż zaakceptować te sny, tę lukę w pamięci - nawet ten obraz. Niezdolna się od niego oderwać, przyjrzała mu się uważniej. Tak, było w nim coś więcej, coś, co skrywało się w świetle, coś jeszcze bardziej zatrwającego od faktu, że Alice zupełnie nie pamiętała, jak i kiedy to namalowała; wrażenie... sama nie wiedziała, czego, wiedziała tylko, że nie dawało jej to spokoju. Było coś w tej dziwnej perspektywie, co wytwarzało u obserwatora złudzenie, że to on jest pod wodą, że to on tonie, że to ku niemu wyciągają się gałęzie wierzby, a postać kobiety to unosząca się nad nim zjawą, rozbita na milion faset załamane światła, z uśmiechniętą twarzą i włosami opadającymi ku topielcowi...

Alice odsunęła się, zafascynowana. Złudzenie ruchu było niesamowicie silne. Patrząc w obraz, wręcz czuła, jak po-

rywa ją nurt, jak kołująca jej w oczach kompozycja wciąga ją w głąb... Czy to naprawdę jej dzieło? Kiedy obejrzała je raz jeszcze, z zaniepokojeniem powoli przechodzącym w podziw i zachwyt, uprzytomniła sobie, że to jej najlepsza praca, lepsza nawet od poprzedniej „Ofelii”. I wpatrzona w nią, miała wrażenie, że widzi wir własnej podświadomości, wwiercający się głębiej i głębiej, i każdy kolejny poziom był jak nowy, nieodkryty świat obracający się wokół własnej osi, zmieniający się jak w kalejdoskopie w niekończącej się pętli cienia i przeciwcieńca; i ruch ten porwał ją, przyciągał coraz bliżej, aż w końcu bezwiednie wybuchnęła śmiechem.

Czymkolwiek był ten czar, prysł na dzwonek telefonu, przenikliwy świergot, który przeciął ciszę pustego domu. Alice aż podskoczyła. Nagle powróciło wspomnienie snu (ciemność, zapach starości i ziemi, postacie podskakujące i tańczące wokół otwartego grobu), obraz, który rozmył się, ledwie podniosła się na nogi. Zanim dopadła do telefonu, dzwonek umilkł. Spojrzała na zegarek. Już po dziesiątej.

Ginny!

Wciąż otrząsając się ze wspomnień ostatniej nocy, Alice powlokła się do kuchni i nastawiła wodę. Na lodówce siedział Davy Crockett; kiedy tylko zobaczył swoją panią, zeskoczył na podłogę i miaucząc, owinał swoje długie, puszyste ciało wokół jej nóg.

- Chwilę, Dave... - mruknęła Alice. - Zobaczę tylko, czy Ginny już wstała.

Po cichu wbiegła na górę, zatrzymała się, by otworzyć okno na podeście, po czym lekko zapukała do drzwi Ginny.

- Ginny? Nie śpisz? - zawołała łagodnie.

Żadnej odpowiedzi.

- Ginny? - Tym razem głośniej.

Znowu nic. Alice zerknęła na zegar na podeście. Było już prawie piętnaście po dziesiątej.

- Ginny, wstałaś? - Na próbę nacisnęła klamkę; drzwi się otworzyły i Alice zajrzała do sypialni.

Otwarte okno i rozsunięte zasłony wpuszczały do ładnego pokoju świeże, poranne powietrze i słaby zapach kwiatów laku. Łóżko było posłane, poduszki chłodne i ubite, bladożółta narzuta leżała na swoim miejscu; Alice złapała się na tym, że podziwia schludność swojego gościa. Nagle zrodziło się w niej pewne podejrzenie. Odchyliła rąbek narzuty, by obejrzeć pościel... było tak, jak przypuszczała.

W łóżku nikt nie spał. Koszula nocna leżąca na stoliku nawet nic została rozłożona. Otworzyła szarpnięciem szafę. Kilka sukienek, dwie bluzki, na nich starannie złożony pulower... na dole buty. A w głębi, w niedbale zwiniętym tłumoku, Alice znalazła rozdarte džinsy, T-shirt i fioletowe buty, w których Ginny była zeszłego wieczoru, pochłapane błotem. Dręczona niejasnym poczuciem winy, wyciągnęła to wszystko, a oprócz tego kilka innych rzeczy: ubłocone tenisówki, błyszczący płaszcz przeciwdeszczowy, czarną skórzaną kurtkę, jeszcze jeden T-shirt, tanią biżuterię, ciężki pas ze sprzączką w kształcie uśmiechniętej twarzy, kolczyki w kształcie czaszek, odwrócony do góry nogami krzyż na łańcuszku. Wyzywające, ale niegroźne ciuchy, w typie tych, jakie noszą grupy małolatów krążących wieczorami po centrum handlowym, wszystko to wciśnięte najdalej w głąb szafy, jak się dało. A pod spodem, plastikowa torba z dwiema strzykawkami, jedną prawie nową, drugą tak zużyta, że czubek był przetarty i wystrzępiony. A więc to tak, pomyślała Alice. Strzykawki wyjaśniały wszystko.

Alice niepokoiła się jednak o Joego, Joego, który był tak ufny i tak naiwny. Joego, który nie miał pojęcia, że dziewczynka, w której tak głęboko się zakochał, poszła sobie, ledwie drzwi się za nim zamknęły (i to w towarzystwie kogoś, kto wyraźnie był jej bliski, choć podobno nikogo tu nie znała), i nie wróciła na noc.

Wszystko stało się dla Alice jasne, nawet to spotkanie z tak zwanymi znajomymi... Ginny wyszła, żeby skołować sobie narkotyki, i tyle. A co z tymi snami? To tylko sny, powiedziała sobie. Tylko sny.

O dziwo, zrobiło jej się źlej na sercu. To było coś, co mogła zrozumieć, słabość Ginny, którą w pełni dało się wytłumaczyć, prawdziwa przyczyna jej braku pewności siebie. Alice znów zaczęła myśleć ciepło o tej dziewczynie, tak ślicznej w tych jej pożyczonych ubraniach. Uznała, że była niewrażliwa, wzięła zagubienie za wyrachowanie, okazała wrogość, gdy powinna służyć pociechą i zrozumieniem. A teraz Ginny odeszła.

Odkładając złość na bok, Alice zeszła na dół, pogłaskała szylkretowego kota, który siedział na lodówce, nalała mleka pozostałym, nakroiła chleba i włożyła do opiekacza, żeby zrobić grzanki. Kot wskoczył na kuchenkę, zamiauczał i z zaciekawieniem obwąchał kromkę.

Alice wzięła go na ręce i przytuliła; kocia sierść wchodziła jej do nosa, kocie wąsiki muskały twarz. Niebo za oknem było szare; nie najlepszy dzień na spacer, pomyślała. Poszła do drzwi, zabrała gazetę z wycieraczki i usiadła, żeby ją przejrzeć, zanim grzanki się zrobią. W „Cambridge News” zwykle czytała tylko program kin i teatrów. Także tym razem pewnie nawet nie spojrzałaby na pierwszą stronę, gdyby nie rzuciło jej się w oczy znajomo wyglądające zdjęcie, zamieszczone u dołu, pod fotografią mężczyzny w średnim wieku i nagłówkiem SKANDAL NA UCZELNI: WYKŁADOWCA ZAMORDOWANY W WYNAJĘTYM POKOJU. Z początku nie zorientowała się, skąd zna to miejsce. Zdjęcie było ciemne i dość niewyraźne, krótki akapit pod nim wyraźnie dołączony w pośpiechu.

Ten mur, ta brama, ściana kościoła po lewej stronie, zarys ostrołukowego okna w ciemnej ścianie... to był kościół w Grantchester; fotograf musiał stać przy bramie prowadzącej na cmentarz.

Znów przebiegło jej przez głowę ulotne wspomnienie (dziewczyna tańcząca przy otwartym grobie... odgłosy kopania... błoto... metal... drewno), które zaraz pierzchnęło. Artykuł był krótki i prosty; informacje w nim zawarte skąpe, ale bulwersujące.

CMENTARZ W GRANTCHESTER SPROFANOWANY PRZEZ WANDALI

Zeszłej nocy na teren cmentarza przy kościele w Grantchester dostali się wandalę, którzy oszpecili graffiti budynek kościoła i kilka grobów.

Policja bada wyrządzone szkody, które, jak donoszą nasze źródła, są „znaczące”, ale dotąd nie wydała oficjalnego komunikatu.

Wielebny Martin Holmes (1.45), pastor w Grantchester, nazwał ten akt wandalizmu „małostkową i okrutną napaścią na naszą społeczność” i winą zań obarczył „studentów dowcipnisiów”. Zaprzeczył twierdzeniom świadków, jakoby cmentarz w przeszłości wykorzystywany był do obrzędów czarnej magii.

Alice przeczytała artykuł raz jeszcze i mgliste wspomnienie zaczęło nabierać coraz wyraźniejszych kształtów. Sen? Czy to był sen? Pamiętała dźwięk metalu uderzającego o drewno i o kamień. Pamiętała, jak kryła się w cieniu, jak szła przez pole zielonej pszenicy. Pamiętała błoto na swoich butach... Podniosła głowę, zobaczyła swoje tenisówki na wycieracze, pokryte aż po sznurówki zaskorupałym błotem z cmentarza...

I przypomniała sobie wszystko.

1

Zastanawiam się czasem, jak dużą część mojego życia stanowią sny, czy raczej sny o snach. Może obudzę się z kłami własnego urojenia zatopionymi w swojej szyi, a może po prostu odpłynę rzeką eteru. Dziś znów był u mnie mój miły młody lekarz i ze zmarszczonym czołem oglądał moje żyły. On też ma zęby, które śnią mi się po nocach. Prosiłem go, żeby odegnał sny, ale tylko się uśmiechnął. Przez chwilę widziałem w nim Rosemary.

No tak. Rosemary. Nigdy daleko od niej nie odchodziłmy, co? Tak czy owak, swoją historię spisałem; nie łudzę się, że ona o tym nie wie, ale myślę, że znalazłem sposób, by przez jakiś czas utrzymać ją z dala od siebie. Wiesz, jaki? Tak myślałem. To powinno zapewnić mi bezpieczeństwo, nie sądzisz? Bo ona wkrótce przyjdzie, ja to wiem. Przyjdzie, by sprowadzić mnie z powrotem, jak Elaine i pozostałych. Ale ja za nią nie pójdę. O nie. Lepszy już mrok. Lepszy już mrok.

Jeszcze jedna szklaneczka whisky, żeby odpędzić sny.

Co napisałem zeszłego wieczoru? Chciałem opowiedzieć ci o Robercie, o tym, jak został usidlony, a tu okazuje się, że pisałem tylko o swoich snach, jakbym i bez tego nie miał ich dosyć, jakbym poczuł potrzebę zwielokrotnienia sza-

leństw, które atakują mnie na każdym kroku. Bo widzisz, nadal zaglądam do Grantchester; pozwalają mi na to, bo myśla, że to dobrze mi robi. Nie po to, by ją zobaczyć (widzę ją co noc), lecz żeby się upewnić, że nadal tam jest. Gdyby wróciła, wiedziałbym o tym. Na pewno. Jest jednak bezsilna, nie może nikogo skrzywdzić. Wreszcie spoczywa w pokoju. Czasem ją jednak widzę, czuję, jak porusza się głęboko w ciemnej ziemi. Może wysysa życie z okrywającego ją całunu, jak czarownice w zamierzchłych czasach. Ale ja mam wiarę. Wiara to odpowiedź na wszystko. Mówię to sobie, kiedy do mnie przychodzi: odwracam wzrok i się modlę.

Wiara to wszystko, czego mi trzeba.

Może to wiara mnie wtedy ocaliła; wiem, że straciłem dla niej głowę, że byłem oczarowany każdym jej ruchem. Nie miej mi tego za złe; zachowywałem się jak głupiec, ale ona była tak piękna! Była jak pryzmat, jak promień słońca, jak tańcząca błyskawica. Pamiętam nasz pierwszy wspólny posiłek; słońce jak magiczny ogień w jej włosach, okalająca jej twarz aurę drobinek światła i kurzu. Z początku byłem onieśmiony; patrzyłem na nią znad nietkniętej kolacji i słowa nie mogłem z siebie wydobyć, ona zaś jadła delikatnie, jak kot, drobnymi, precyzyjnymi kęsami, pozostawiając małe, równe ślady zębów w kromce chleba, którą kładła obok talerza, cichy brzęk jej łyżeczki o najlepszą porcelanę pani Brown potężniał we wzburzonym powietrzu, wypełniał pokój jak oko widziane w soczewce. Do głowy mi nie przyszło, żeby cokolwiek powiedzieć; zdaje się, że tylko patrzyłem, głupawo uśmiechnięty, nieświadom, że ona też obserwowała mnie spod skromnie spuszczonej rzes, że widziała wszystko przez woal swojej drwiny. Nic jej nie umknęło. Ja i Robert też nie.

Jestem pewien, że to ona odezwała się pierwsza, znad półmiska z górą owoców. Były tam jabłka, brzoskwinie, pomarańcze... w niektórych częściach Cambridge prak-

tycznie nie odczuwało się skutków racjonowania żywności; myślę, że pani Brown szczyliła się tym, iż zaopatruje swoich „chłopców” w jedzenie, jakiego pewnie nie dostaliby nawet w najlepszych restauracjach. Sięgnąłem po półmisek, żeby podać go Rosemary, i w tej samej chwili zrobiła to ona... ręka ześliznęła mi się niezdarnie i trąciła jej dłoń. Pospieszenie ją cofnąłem i, czerwony na twarzy, wymamrotałem przeprosiny. Jej dłoń była chłodna, jak dłoń dziecka.

- Och. proszę wybaczyć, pani... - wyjąkałem.

Rosemary uśmiechnęła się nieśmiało.

- Nawet nie wie pan, jak mam na imię, prawda? - powiedziała.

Zmieszałem się jeszcze bardziej. Wyjąkałem coś zupełnie niezrozumiałego.

- Rosemary - powiedziała. - Jak rozmaryn, wic pan. Na pamiątkę.

- Piękne imię - palnąłem jak idiota.

- A panu jak na imię? - spytała. - Wiem, że żadne słowa nie wystarczą, by wyrazić wdzięczność za to, co pan zrobił, ale proszę przynajmniej powiedzieć mi swoje imię. - Jej uśmiech znów rozświetlił cały pokój. - Pasowałoby Lancelot - oświadczyła z nutą drwiny. - Albo może Galahad.

Nie miałem wprawy we flirtowaniu; Bogiem a prawdą, byłem strasznym nudziarzem. Potrząsnąłem głową.

- Nie, nazywam się Holmes. Daniel Holmes. - Znów przez chwilę walczyłem z nieśmiałością. - Tak się cieszę. To znaczy...

- Rosemary. Proszę, mów mi Rosemary.

- Rosem... rose... - Zaśmiałem się nerwowo.

- I czuję się już lepiej - ciągnęła. - Dzięki tobie, Danielu. Trzeba było nie lada odwagi, by stawić czoło nieznanemu, wskoczyć za inną do rzeki... A przecież w ogóle mnie nie znasz, prawda? Kto wie, kim... czym mogłabym się okazać.

- To dla mnie bez znaczenia - powiedziałem, już śmielej.
- Jesteś cudowna jak wiersz...

*Ręce swe na piersi zaplotła;
Słowami jej piękna nie opiszesz;
Boso młoda żebraczka stanęła
Przed króla Kofetuy obliczem.*

- Poeta! - krzyknęła Rosemary i zaklaskała w dłonie.
- Nie, nie. - Poczzerwieniałem. - To z Tennysona.

Uśmiechnęła się, już jakby smutniej. Zwróciła twarz ku słońcu i zbłąkany promyk padł na przejrzystą tęczęwkę jej oka, przemieniając ją w świetlisty półksiężyc.

- Teraz aż trudno mi w to uwierzyć - powiedziała cicho.
- Że chciałam umrzeć, to mam na myśli. Ale wiesz, to tylko odroczenie egzekucji. Pewnego dnia nie będzie w pobliżu Daniela Holmesa, który ocaliłby mnie i przywrócił mi wiarę w siebie; będzie tylko rzeka, czekająca na okazję. Wkrótce będę musiała odejść, a ty mnie zapomnisz.

- Zapomnieć? Ciebie? - wydyszałem.

- Nic nie trwa wiecznie - powiedziała Rosemary. - Miałam przyjaciół. Danielu. Myślałam, że mogę na nich polegać. Ale teraz zostałam sama i mam w sobie zimno, którego nic nie roztopi. Nazwałeś mnie młodą żebraczka; może tym właśnie jestem, zawsze na uboczu, zawsze sama.

-Ale...

- Mam twarz - przerwała Rosemary. - To chciałeś powiedzieć? Piękną twarz? Wolałabym jej nie mieć! - Zamknęła oczy; jej pełne tragizmu usta zacięły się, spoczywające na kolanach dłonie zacisnęły się w pięści. Pragnąłem jej dotknąć, pocieszyć ją, ale nie śmiałem, jej smutek wydawał się bowiem czymś świętym, nietykalnym. Nigdy nie zapomnę tego, co przy niej czułem, tego żarliwego przypływu współczucia i miłości. Oczy nabiegły mi łzami; nie wstydę się tego. Była doskonałą aktorką.

- Moi rodzice byli ubodzy - ciągnęła. - Nie winię ich za to, nie mam im też za złe, że chcieli skorzystać na mojej urodzie. Nie rozumieli. Myśleli, że taka ładna dziewczyna jak ja bez trudu znajdzie męża, który utrzyma i mnie, i ich, w Cambridge jest tylu porządnych młodych mężczyzn, przekonwali.

- Nie musisz mi tego mówić - powiedziałem. - To nie ma najmniejszego znaczenia, Rosemary!

- Ale ja chcę ci o tym opowiedzieć - nie ustępowała. - Chcę, żebyś poznał prawdę, nawet gdybyś przez to miał mną wzgardzić. Chcę, żebyś spróbował zrozumieć. Dostałam pracę w pubie. - Wzdrygnęła się. - Było w nim gorąco i głośno; czasem pracowałam do późna i bałam się wracać po nocy do domu. Wynajęłam małe mieszkanie w centrum miasta; do domu rodziców w Peterborough było za daleko, żeby stamtąd dojeżdżać. Moja gospodyni była podejrzliwa, może zazdrosna o moją urodę. Zdarzało się, że mężczyźni szli za mną aż pod sam dom. Nigdy ich nie wpuszczałam!

Wpiła we mnie swoje lawendowe oczy, przenikliwe, pełne żaru.

- Zrozum, Danielu, nigdy, przenigdy!

Skinałam głową. Ty też byś jej uwierzył.

- Wreszcie pewnego dnia poznałam, cóż, nawet teraz nie śmiem ci powiedzieć, jak się nazywa. Nieważne; może to nawet nie jego prawdziwe nazwisko. Mówił, że jest profesorem jednej z uczelni. Był przystojny, inteligentny i, jak mi się wydawało, miał dobre serce. Jak tylko mnie zobaczył, powiedział, że się we mnie zakochał, że nie powinnam pracować w takiej spelunie, że chce się mną zaopiekować. Z początku mu nie ufałam, ale mówił tak szczerze... życzliwością i troską przełamiał moje opory, dał mi do zrozumienia, że chce się ze mną ożenić. Nigdy nie powiedział tego wprost, ale... - Urwała i przesunęła dłońmi po oczach. - Mijały tygodnie. Był dla

mnie dobry. Spacerowaliśmy za rękę po parku, chodziliśmy do teatru. Pewnego dnia zabrał mnie swoim samochodem do Londynu... ale nigdy nie przyjął mnie w swoim domu. Nie miałam o to pretensji. Wiedziałam, że gdyby się ze mną ożenił, jego rodzina przeżyłaby szok. Czekałam cierpliwie, zaślepiona szczęściem. No i pewnego dnia zobaczyłam go, kiedy wracałam z zakupów. Zawołałam go. Obejrzał się... i zobaczyłam, że prowadzi pod rękę jakąś kobietę.

Urwała, łzy napłynęły jej do oczu i pod wpływem impulsu wzięłam ją za rękę.

- Usłyszałam, jak ta młoda dama pyta: „Kto to?”. A on tylko się odwrócił i powiedział... Boże, pamiętam to jak dziś! „Nikt, kochanie”. Nikt! Oto, kim jestem, mimo mojej urody. Kobieta niewartą szacunku porządnego mężczyzny. Młoda żebraczka! Nie mógłbyś tego lepiej ująć, Danielu. Mój drogi Danielu.

Próbowałam ją pocieszać, ale mówiła dalej.

- Nie! Chcę, żebyś usłyszał całą historię. Chyba już wtedy wiedziałam, że nie ma nadziei, ale nie mogłam znieść myśli, że to miałoby się tak skończyć. Wypatrywałam go na ulicach; daremnie czekałam, aż zadzwoni i wszystko wytłumaczy... zdaje się, że wciąż byłam dość zdesperowana, by chcieć uwierzyć w każde kłamstwo, jeśli tylko dzięki temu wszystko byłoby jak dawniej... ale nie przyszedł. Nie mogłam się przemóc, żeby wrócić do pubu, szyłam więc na zamówienie mojej gospodyni... zarabiałam tyle, że starczało na życie, nic więcej. Baba była zadowolona, już ja to wiem. Wiedziała, że coś się stało... nawet sobie nie wyobrażasz, jak pogardliwie mnie traktowała... te aluzje... te komentarze... ale bałam się odejść. Bałam się, że nikt inny nic przyjmie pod swój dach samotnej kobiety. Piłam... sama, nocą, w swoim pokoju... piłam dżin, jak najpodlejsza wywłoka. Okropne świństwo, ale przynajmniej trochę łagodziło samotność

i rozpacz. Aż pewnego dnia zobaczyłam go znowu, jak wychodził ze znajomymi z teatru. Bałam się do niego odezwać. Byłam niechlujnie ubrana, może podpita, nie pamiętam. Poszłam za nim do domu. Czekałam pod drzwiami, aż jego znajomi pójda, nie wiem, ile czasu. Chyba długo. W końcu zapukałam.

Nie od razu podszedł do drzwi; zaczynałam się bać, że w ogóle nie otworzy... i wtedy zobaczyłam go przez szybę w drzwiach. Otworzył... patrzył na mnie przez chwilę. Miał zimne oczy. „Przykro mi”, powiedział. „Nie znam pani”. I zamknął mi drzwi przed nosem. Długo czekałam, zmarznięta... zrozpaczona, aż zobaczyłam, że świta. Przeszłam tam całą noc. Nie mogłam zrozumieć, dlaczego tak bardzo się zmienił, i ta niewiedza była w tym wszystkim najgorsza. Kiedy wróciłam do swojego mieszkania, moje rzeczy czekały na mnie na progu, starannie spakowane do torby i walizki. Jestem pewna, że musiało jej to sprawić przyjemność... dotykać wszystkiego po kolei, oglądać z pogardą cały mój dobytek... napisać ten liścik, który znalazłam przypięty szpilką do drzwi. Chyba nawet tobie nie mogłabym powiedzieć, co w nim było. Danielu; choć byłam niewinna, przejął mnie wstydem do głębi, sprawił, że poczułam się brudna. I dlatego poszłam nad rzekę. Ale gdzieś na tym świecie musiało zostać jeszcze trochę litości, bo zjawiłeś się ty. Zjawiłeś się ty.

I wtedy wybuchnęła płaczem - gwałtownym, spazmatycznym, rozdzierającym szlochem, który ranił moje serce - z twarzą ukrytą w dłoniach, jak mała dziewczynka. Objąłem ją ramieniem, mamrotałem żałosne, szczerne, szczeniackie słowa pociechy. .. poczułem to drgnienie serca, którego nie doznałem nigdy przedtem ani potem; aż w końcu podniosła na mnie oczy i uśmiechnęła się, a ja jakbym dostąpił objawienia.

Nie, za nic w świecie nie mógłbym mieć do Roberta pretensji - nawet gdyby nie był moim przyjacielem - o to,

że mi ją odebrat. Rosemary wbiła klin między przyjaciół; z uczciwego człowieka zrobiła przestępcę, z dobrego człowieka - mordercę. Nic wątpię, że na jego miejscu postąpiłbym tak samo i czasem krew lodowacieje mi w żyłach na myśl, jak łatwo nasze role mogłyby się odwrócić. To ja mógłbym teraz leżeć na cmentarzu w Grantchester. I może jeszcze tam trafię.

CZEŚĆ DRUGA
BŁOGOSŁAWIONA
PANIENKA

2

Wielebny Holmes był drobnym, chudym, raczej niepozornym człowiekiem, o dziwnie dziecięcych rysach, zbiegających w świetle wpadającym przez piękny witraż za jego plecami; za to jego jasne oczy, schowane za powiększającymi szklami drucianych okularów, były inteligentne i skrzyły się humorem. Miał gęste, bardzo ciemne brwi, nadające mu poważny, cokolwiek zamyślony wygląd, w tej chwili ściągnięte w wyrazie zdumienia. Jego głos był głosem człowieka dużo starszego bądź tak zaprzątniętego swoimi codziennymi, błahymi sprawami, że nie interesuje go, co dzieje się w wielkim świecie; mówił powoli, z dużym wahaniem, kulturalnym, łagodnym, lekko płacziwym tonem wiejskiego pastora.

- Hmm... cóż - powiedział, kręcąc głową. - Właściwie nie mogę powiedzieć nic ponadto, co już... rozumie pani. Ot, wygłup, tyle że złośliwy, studentom zawsze coś strzeli do głowy. Choć jakoś nie widzę nic śmiesznego w, hm, rozkopywaniu grobów i dewastowaniu kościoła. Wolałbym, żeby to był tylko głupi żart.

- Ale co się stało? - naciskała Alice, usiłując pohamować zniecierpliwienie.

- A kto to wie? - powiedział wielebny. - Incydent, jakich

wiele... choć dość nieprzyjemny, a nawet jak dla mnie lekko szokujący.

Zniżył głos i odwrócił się do niej, jakby chciał jej coś zdradzić w zaufaniu.

- Myśle, że to... hmm... wymierzone było we mnie obojczyce, rozumie pani - powiedziała.

Alice przybrała należycie zainteresowaną minę, choć wgłębi ducha zaczynała myśleć, że postąpiła jak idiotka, w ogóle zwracając się do tego człowieka. To, co jej się wydawało, że pamięta, nigdy się nie wydarzyło. Zdarzenie opisane w gazecie należy uznać za zwykły zbieg okoliczności, nic więcej.

Martin Holmes skinął na nią, żeby podeszła bliżej.

- Jeden ze zbeczeszczonych grobów należy do kogoś, kogo znałem. Mojego wuja. - Na chwilę zawiesił głos. - Jesteśmy starą rodziną, pani...?

- Alice Farrell.

- Ach... tak. Jak mówiłem, moja rodzina mieszka w Cambridgeshire od pokoleń, choć ja sam jestem tu od niedawna. Być może, hm, są jakieś animozje, zadawnione urazy, wie pani, jak to bywa.

Alice zerknęła na zegarek. Wielebny Holmes nie zauważył tego, tylko łagodnie, zacinając się kontynuował swoją opowieść, z miną kogoś, kto wreszcie znalazł publiczność, która chcąc nie chcąc musi go wysłuchać.

- Ja... hmm... nie mogę powiedzieć, że mój wybór na wikarego tej parafii spotkał się z powszechną aprobatą. Były pewne, nazwijmy to, hmm, frakcje, które uważały, że się nie nadaję. Widzi pani, dawno temu mieliśmy skandal w rodzinie, hmm, choroba psychiczna, rozumie pani, o co chodzi. I chyba do dziś się tu o tym pamięta. Miejscowi mają dobrą pamięć. Może banda wyrostków uznała, że zabawnie byłoby rozkopać grób mojego nieszczęsnego wuja Dana, żeby zrobić mi na złość.

Alice przybrała współczującą minę.

- Zupełnie znikował, biedaczysko - westchnął Martin Holmes i pokręcił głową. - Umarł w jakimś zakładzie... powiesił się, z tego, co słyszałem. Nie żebym go znał... hmm... nawet nie za dobrze go pamiętam. Wuj Dan stronił od ludzi. Przypominam sobie, że raz widziałem go w dzieciństwie, z moim ojcem... chciał dać mi szylinga, ale tata mu nie pozwolił. Potem opowiadał, że wuj przez cały czas plótł jakieś niewydarzone bzdury o diabłach... i potworach. Potworach! - powtórzył ze śmiechem.

Alice spojrzała na zegarek.

- Cóż... - powiedziała. - Jeśli to wszystko...

- Wszystko? - zdziwił się wielebny. - Właściwie tak... aha, jeszcze jedno: oczywiście dali się nabrać. Biedny wuj Dan.

- Nabrać?

- Tam go nie ma, oczywiście - oświadczył wielebny Holmes prosto z mostu. - Ktokolwiek rozkopał grób, nic nie znalazł. W trumnie jest tylko skrzynka i kilka drobiazgów.

Na widok zdumionej miny Alice (już nie paliła się do wyjścia) uśmiechnął się przepraszająco.

- Mówiłem, że zupełnie znikował - wyjaśnił.

- Gdzie jest w takim razie?

Wielebny znów się zaśmiał, bardzo cicho.

- Tutaj - powiedział - w kościele. Poddali go... hmm... kremacji, wic pani, i prochy zamurowali we wschodniej ścianie, za tablicą pamiątkową. Zażyczył sobie tego w testamencie, rozumie pani, i mój ojciec, hmm, czuł się w obowiązku spełnić jego ostatnią wolę, czy wujek był dziwakiem, czy nie. - Znów urwał. - Zabawne - powiedział w zamyśleniu - wychodzi na to, że miał rację, chcąc, by go ukryć.

- Dlaczego? - To nie do wiary, co ja tu słyszę, myślała Alice z rozpaczą, to nie do wiary, że stoję tu i tego słucham...

- Bo tego właśnie zawsze się bał - cierpliwie wyjaśnił pa-

stor. - Ze go odkopią. - Wzruszył ramionami. - Na okrągło plótł... hmm... bzdury... że go wykopią, rozumie pani i... hmm... wykorzystają w jakimś, hmm... Choć nie mam pojęcia, czemu zdarzyło się to właśnie teraz, po tylu latach. Biedaczysko. - Odwrócił się do Alice. - Proszę tu spojrzeć.

Alice nic nie zobaczyła.

- Tu - powtórzył wielebny z naciskiem. - Gdzie pokazuję palcem. Widzi pani małą mosiężną tabliczkę?

Alice zrobiła krok naprzód, zmrużyła oczy, przysunęła się jeszcze bliżej. Tak, widziała ją, osadzoną w ścianie kilkanaście centymetrów nad ziemią. Tabliczka była bardzo mała, jakieś dwadzieścia centymetrów na piętnaście, bura od rdzy. Alice wyteżyła wzrok, by odczytać inskrypcję, i z narastającym niepokojem przesunęła palcem po prostych literach, głęboko wyciętych w grubym metalu, składających się na napis:

STRZEŻ MNIE

I to wszystko. Bez nazwiska, bez daty, bez niczego innego. Przeszło jej przez myśl, że może pastor zmyślił całą historię, żeby mieć pretekst do przedłużenia rozmowy. „Strzeż mnie”? Co to za inskrypcja? Alice nawet nie wiedziała, że zgodnie z prawem można zamurować szczątki w ścianie kościoła. Jeszcze raz obejrzała tabliczkę i potarła ją koniuszkiem palca; ku jej niezadowoleniu, została na nim warstwa brudu.

- Tu właśnie jest - zaszczębiotał wielebny Holmes. - To znaczy, jego prochy i, hmm, papiery. Był pisarzem, wie pani, w... hmm... dawnych czasach. I to całkiem dobrze znanym, na swój sposób. Kazał, by razem z nim pochować jego rękopis. Zawsze byłem ciekaw, co w nim jest.

Alice go nie słuchała. Za tabliczką i kilkucentymetrowej grubości ścianą spoczywała tajemnica. Historia tak istotna i tak przejmująca jak ta, która kryła się za małymi metalowymi drzwiczkami z wygrawerowanym napisem:

Coś we mnie pamięta i nie zapomni.

Odskoczyła od tabliczki jak użądłona. Wielebny Holmes stał nad nią, z wyrazem lekkiego niepokoju na swojej dobroduszej twarzy.

- Dobrze się pani czuje?

Alice skinęła głową. Co się z nią dzieje? Przez chwilą była gdzie indziej, niemal widziała, niemal wiedziała coś ogromnie ważnego, tak ważnego, że aż przyprawiło ją to o zawrót głowy... Nie pierwszy raz w ciągu ostatnich paru dni zaczęła się zastanawiać, czy aby nie odchodzi od zmysłów. Była pewna, że widziała mężczyznę... że poczuła zapach cyrku... że światło się zmieniło. I, co więcej, że coś kazało jej odsunąć tablicę, obluzować kamienie... znaleźć, zobaczyć...

- Tak, wszystko w porządku - zapewniła. - Bardzo to ciekawe. Nie znałam tej historii. - Te zdania nic nie znaczyły, ale pozwoliły jej nabrać dość odwagi, by zadać pytanie, które chodziło jej po głowie. - Proszę powiedzieć... - zaczęła czy wielebny zna dziewczynę nazwiskiem Virginia Ashley? Rude włosy... szczupła, bardzo ładna? Ma znajomego, bruneta z włosami związanymi w kucyk... w czarnym płaszczu. Może widział ich wielebny gdzieś w okolicy?

Wielebny Holmes myślał o tym przez chwilę.

- Nie wydaje mi się - powiedział wreszcie. - Choć to o niczym nie świadczy, wie pani... nie mam tak dobrej pamięci, jak by wypadało... zwłaszcza... hm... do twarzy... ale mogę... Ruda, powiada pani? Nic. Ale jeśli to pani znajoma, będę się za nią rozglądał. Jak się nazywa, proszę przypomnieć?

- Nie, nieważne - odparła Alice. - To nic pilnego. Po prostu myślałam, że wielebny może ją znać. Naprawdę muszę już lecieć. Bardzo wielebnemu dziękuję. Dziękuję.

To rzekłszy, odwróciła się i wyszła z kościoła, po czym prawie że przebiegła przez cmentarz, choć szkody były już w większości usunięte; został tylko jeden przewrócony na-

grobek i jakieś nic nieznaczące gryzmoły, wymazane czerwonym sprayem. Droga tonęła w słońcu i spacer przez pola do Cambridge tak bardzo różnił się od tego z jej snu, że Alice poczuła się trochę lepiej. Nie, tamto nie mogło się wydarzyć. Nawet ślady na polu pszenicy (trzy wydeptane ścieżki obok siebie i czwarta, wijąca się ostrożnymi zakolami przez miejsca ukryte w cieniu) mógł zostawić ktoś inny.

I w czasie gdy Alice wracała przez Backs do miasta, jakaś postać wśliznęła się do kościoła przez drzwi zakrystii i zawałała się u wejścia do nawy; światło wpadające przez witraż rzucało kolorowe odbłaski na jej jaskrawe włosy. Przez chwilę obserwowała pastora stojącego w milczeniu przed ołtarzem, po czym pobiegła ku niemu, niemal bezszelestnie, kocim krokiem, w skórzanych baletkach sunących po kamiennej podłodze z ledwo słyszalnym szmerem. Kiedy przemknęła obok prezbiterium, zgasło w nim światło, ale pastor tego nie zauważył.

1

Znałem Roberta od zawsze; był moim najlepszym, jedynym prawdziwym przyjacielem. Był dwa lata starszy ode mnie; to znaczyło, że miał lat dwadzieścia siedem, ale mnie wydawał się dużo bardziej dojrzały i świadomy, jakby poruszał się po zupełnie innej orbicie. Walczył na wojnie (mnie samego uznano za niezdolnego do służby wojskowej z powodu słabego wzroku) i został odesłany do kraju z Alamein, kiedy salwa szrapneli raniła go w nogę; od tej pory utykał, co w moich oczach tylko dodawało mu klasy. Oddałbym wszystko, by być kimś takim jak on, człowiekiem przystojnym i lubianym, by pójść za nim na wojnę i zostać bohaterem. Podziwiałem w nim wszystko, był dla mnie wzorem. Wyższy ode mnie, gibki, czuł się naturalnie i swobodnie w odrobinę za dużych garniturach i płaszczach, które miał w zwyczaju nosić; jego brązowe włosy opadały w beładzie na jasne, wesołe oczy. Studiował literaturę angielską - z chwilą wybuchu wojny musiał przerwać studia - i już zdążył zarazić mnie uwielbieniem dla Keatsa, Rossettiego i Swinburne'a. Kopał cuchnące papierosy, przesiadywał godzinami w zatłoczonych kawiarniach, pił filiżankę za filiżanką czarnej kawy i bez ustanku rozprawał o literaturze. Czytałem niektóre jego prace; były pełne młodzieńczego wigoru, wnikliwe, niekiedy doprawione

szczyptą autoironii. Nigdy nie miałem cienia wątpliwości, że pewnego dnia zostaną opublikowane; obserwowałem jego postępy z dumą i podziwem, ale bez zazdrości. Ta zrodziła się później, wraz z pojawieniem się Rosemary.

Za nic w świecie nie zataiłbym przed Robertem najnowszych wydarzeń; prędzej zapomniałbym oddychać. Oczywiście, że mu powiedziałem. W tamtych czasach mówiłem mu wszystko, a on przyjmował ten dowód mojego podziwu dla niego jak coś, co mu się należało, z na poły pogardliwą pobłażliwością, jaką okazuje się młodszemu bratu. Nigdy nie miałem mu tego za złe, czułem się bowiem zaszczycony tym, że przedkładał moje towarzystwo nad towarzystwo tylu innych osób, i dzieliłem się z nim swoimi pasjami, namiętnościami, a nawet snami, które przez wiele dni wypełniała Rosemary.

Znalazłem go tam, gdzie zwykle przesiadywał. Pił kawę i czytał książkę. Musiałem wyglądać fatalnie; tej nocy w ogóle nie spałem, miałem wymięty garnitur, zażławione oczy i nieuczesane włosy. No i czułem początki silnego kataru, którego nabawiłem się po nieoczekiwanej kąpieli w rzece; bolało mnie gardło i stawy. Jak już wspominałem, nie byłem człowiekiem czynu. Kiedy wszedłem, Robert posłał mi swobodny uśmiech i zgasił papierosa w leżącej przed nim marmurowej popielniczce. Odłożył książkę, którą czytał („Wieści znikąd” Morrisa), i dał znak kelnerce, by przyniosła jeszcze jeden dzbanek kawy i filiżankę.

- Czytałeś to? - rzucił, wskazując na książkę. - Znakomite. Wiedziałeś, że... - Dopiero teraz zauważył, jak marnie wyglądam, i lekko zmarszczył brwi. - Co ci się stało? - spytał z niejakim rozbawieniem. - Wyglądasz jak szalony wynalazca. Co, znowu zabalowałeś czy to tylko taki bajroniczny nieład?

Przełknąłem ślinę, usiłując ujarzmić włosy, które opadały mi na oczy.

- Zdaje się, że masz dziś rano zajęcia - ciągnął Robert.
- Nie spóźnisz się? - Spojrzał na zegarek. - Już po dziewiątej.

Potrząsnąłem głową i rzuciłem kapelusz na stolik.

- Odwołałem.

- Jakiś ty dzielny - powiedział. - No dobra, nie trzymaj mnie w niepewności. Domyślam się, że musiało się stać coś nadzwyczajnego, skoro postanowiłeś zrobić sobie węgry. Zawsze jesteś tak sumienny, że aż ci zazdroszczę. - I westchnął.

To było autoironiczne, dramatyczne westchnienie w stylu Keatsa czy Beardsleya. Znów się ze mnie podśmiewał, subtelnie drwił, ale czułem, że w głębi ducha jest autentycznie zdumiony, może nawet zaniepokojony. Choć sprawiał wrażenie wyrafinowanego, były to pozory; cechy, które inni często mylnie brali za pretensjonalność, można by nazwać ubarwieniem ochronnym. Z perspektywy czasu wydaje mi się, że brakowało mu pewności siebie. Wyrwany z hermetycznej atmosfery szkoły prywatnej i Cambridge, i rzucony na pole walki, gdzie spędził traumatyczny, ale szczęśliwie krótki okres, wrócił do Cambridge, by na wszelkie możliwe sposoby uciekać od brzydoty; schronił się w zwartym kręgu intelektualistów, chodził na wykłady, przesiadywał do późna w zadymionych kawiarniach i toczył dysputy o sztuce i poezji. Robi! to wszystko, by oderwać się od rzeczywistości, i dopóty, dopóki kochający ojciec skłonny był go wspierać i łożyć na jego studia, Robert nie miał nic przeciwko temu, żeby pozostawać wiecznym studentem, szukającym coraz to nowych wyzwań intelektualnych, chronionym przed bólem i niepożądaną złożonością związków między dorosłymi ludźmi. A że wtedy byłem tak młody, widziałem tylko to, co z wierzchu, tę uroczą maskę bez troski; później, za sprawą Rosemary, zobaczyłem jego prawdziwe oblicze, ale na początku był mi opoką, kimś,

kto własną pierśią osłaniał mnie przed okrutnym światem. Wspierał mnie w mojej pracy, rozmawiał ze mną, tolerował mnie; byłem mu tak wdzięczny, że w owym czasie bez wahania oddałbym za niego życie.

Moja opowieść musiała wydać mu się strasznie chaotyczna; pamiętam jego uśmiech, kojący dotyk jego dłoni na moim ramieniu.

- Spokojnie, stary - powiedział. - Nie wiem, jak ty, ale ja z samego rana nigdy nie jestem w najlepszej formie.

Spytał, czy chcę kawy, powiedziałem, że tak, i starałem się opanować drżenie rąk, którymi trzymałem filiżankę. Zacząłem od nowa. Tym razem chyba mówiłem już bardziej składnie; słuchał z ledwo widoczną zmarszczką między brwiami, w jednej dłoni trzymając filiżankę, w drugiej papierosa, z którego dym bez przeszkód płynął pod sufit. Zadał jedno, może dwa pytania, kiwał głową; ja zacinając się, brnąłem przez swoją historię, na próżno usiłując oddać to, co czułem, słowa bowiem zamierały mi na języku. Kiedy skończyłem, wzięłem potężny łyk z filiżanki, wydmuchałem nos i czekałem, patrząc na Roberta znad okularów, z twarzą wykrzywioną obawą, że będzie się ze mnie śmiał, bo swoimi drwinami czasem sprawiał mi ból, choć nigdy nie miał takiego zamiaru. Może wyczytał strach z moich oczu, bo długo milczał, jakby ważył w myśli, czy potraktować moją opowieść poważnie, czy obrócić ją w żart. Zaciągnął się papierosem, wydmuchnął dym kącikiem ust i zmarszczył czoło.

- Dziwna sprawa - mruknął, nalewając sobie kolejną filiżankę kawy. - Nie wiem, czy nie pakujesz się w jakieś kłopoty.

Gwałtownie potrząsnąłem głową.

- Och, nie! Gdybyś tylko ją zobaczył, Robercie, wiedziałbyś, że to nieprawda. Wiem, jak dziwnie to brzmi, ale... och,

diabła tam! Nie wyrażę tego słowami. Rob, ona jest cudem, spełnionym marzeniem. Jest jak z innej epoki.

Robert spojrział na mnie z rozbawieniem.

- Z tego, co widzę, ciebie cofnęła do epoki rycerstwa - zażartował.

- Proszę cię, bądź poważny! - obruszyłem się. - Gdybyś tylko ją zobaczył...

- Nie sędzę, żeby to cokolwiek zmieniło - przerwał leniwie. - Chyba jestem odporny na kobiety. W zasadzie potrafią rozmawiać tylko o sobie, swoich fatałaszkach i innych kobietach. Wiem, że nie masz wielkiego doświadczenia w tych sprawach, ale wierz mi, jak poznasz kilka...

Oczy mu rozbłyły i wiedziałem, że stroi sobie ze mnie żarty; ten ospały ton nie miał nic wspólnego z prawdziwym Robertem. Inna sprawa, że prawdziwy Robert skrywał się za tyłoma maskami, że rzadko udawało mi się go zobaczyć.

- Przyznam jednak, że jestem zaintrygowany - dodał. - Nie spotkałem jeszcze kobiety idealnej, więc chętnie obejrzę tę twoją.

Westchnąłem z ulgą, klepnałem Roberta w plecy i z entuzjazmu aż rozlałem kawę. Czułem się jak uczeń pochwalony przez swojego bohatera z najstarszej klasy.

- Słusznie! - krzyknąłem. - Zaraz się z nią zobaczymy, zgoda? Nie będziesz zawiedziony, Rob. Spodoba ci się, naprawdę. Nie będziesz zawiedziony.

Jak się okazało, miałem rację; spodobała mu się i nie był zawiedziony. Słaba to dla mnie pociecha, choć trudno było ode mnie wymagać, żebym wszystko przewidział - skąd mogłem wiedzieć? Jestem bez winy, tyle wiem, ale nie uspokaja to mojego sumienia, nie zaciera wspomnienia młodzieńczej radości, którą czułem tamtego dnia, gdy z lekkim sercem prowadziłem swojego przyjaciela za rzekę. Gdy wiodłem go na zgubę.

2

Cóż, pomyślała Alice, trop zawiódł w ślepy zaułek. I bądź tu, człowieku, mądry. Wielebny Holmes z całą pewnością nigdy nie widział Ginny ani jej znajomych, a nic z tego, co powiedział Alice, nie potwierdzało prawdziwości jej snu. Wciąż skłaniała się ku teorii, że Ginny wyszła ze znajomymi kupić albo sprzedać narkotyki, a ona sama po prostu na jakiś czas straciła pamięć, może z wyczerpania, a może dlatego, że złapała jakiegoś wirusa. Niech będzie. To wydawało się przekonujące. Ale pozostawała jeszcze nierozwiązana zagadka Ginny; no i postanowienie, by się z nią zaprzyjaźnić i pomóc jej na tyle, na ile się da - a żeby tego dokonać, Alice musiała dowiedzieć się o niej czegoś więcej. Od Joego? Przypomniała sobie, jak chłodno odpowiadał na jej pytania przez telefon, i uznała, że na niego raczej nie ma co liczyć. Do kogo więc się zwrócić?

Chwilę myślała nad tym ze zmarszczonym czołem i nagle się rozchmurzyła. Sięgnęła po książkę telefoniczną i wertowała spis placówek medycznych, aż jej palce spoczęły na literze F.

- Halo? Nazywam się Alice Farrell. Jeśli można, chciałabym uzyskać kilka informacji o waszej byłej pacjentce.

- Proszę zaczekać. - Głos recepcjonistki był chłodny i rzeczowy. - Łączę z lekarzem dyżurnym.

Przez kilka następnych minut szpitalny system oczekiwania na połączenie sączył Alice do ucha muzykę, która chyba miała działać relaksująco. Wreszcie sygnał się zmienił i po chwili odezwał się męski głos, oschły i lekko rozdrażniony.

- Tak? Tu Menezies.

Alice powtórzyła to, co powiedziała recepcjonistce.

- Skąd to zainteresowanie? - spytał lekarz. - Z powodów zawodowych?

- Właściwie nie.

- Cóż, w takim razie mam dużo pracy.

- Proszę, chodzi tylko o kilka szczegółów. Ta dziewczyna ma spędzić u mnie kilka dni i trochę się obawiam o jej stan psychiczny.

- To proszę ją umówić na wizytę. Wszystkie przypadki traktowane są jako poufne. Nie rozmawiam o swoich pacjentach.

- Nie interesują mnie żadne tajemnice - zaczęła Alice - chcę tylko wiedzieć, czy dziewczyna nazwiskiem Virginia Ashley była waszą pacjentką i czy będzie wymagać specjalnej opieki...

- Proszę pani - warknął lekarz - w naszym szpitalu pracują dziesiątki lekarzy. Tego przypadku nie znam. Najwyraźniej leczył ją ktoś inny. Proszę chwilę zaczekać, to powiem pani, który z moich kolegów się nią zajmował, i to do niego niech się pani zgłosi.

I znów zawiesił połączenie.

Alice czekała, tym razem o wiele dłużej. Wreszcie usłyszała odgłos podnoszonej słuchawki i ten sam męski głos, tym razem bardziej odległy, jakby jakoś połączenia nagle się pogorszyła.

- Pani Farrell?

-Tak?

- Panna Ashley została przyjęta do Fulbourn w ostatnie święta Bożego Narodzenia na krótkotrwały pobyt. To wszystko, co jestem w stanie powiedzieć.

- Czy mogłabym porozmawiać z lekarzem, który się nią opiekował? - spytała Alice.

- Przykro mi; to niemożliwe.

- Mógłby mi pan choć podać jego nazwisko?

- Proszę pani, obawiam się, że z doktorem Pryce'em już pani nie rozmawia - powiedział doktor Menezies. - Zmarł w zeszłym tygodniu. Wczoraj był pogrzeb.

1

Nie było jej, kiedy weszliśmy do domu, i w nagłym porywie straszliwej paniki nabrałem pewności, że nigdy tak naprawdę nie istniała, że była tylko wytworem mojej wyobraźni i niczym śnieżynka za muśnięciem promieni słońca rozpuściła się w wodę i powietrze. Pani Brown gdzieś wyszła i pamiętam, jak wołałem Rosemary po całym domu, a w każdym pokoju odpowiadał mi tylko dźwięk jej nieobecności, każdy oddech pogłębiał wrażenie pustki. Musiałem być bardziej chory, niż przypuszczałem, bo z gorączki wrzało mi w głowie, ale w ogóle tego nie zauważałem. Myślałem tylko o tym, że ona odeszła. Odeszła, a jedyna osoba, której mogłem powierzyć swoją tajemnicę, mój jedyny przyjaciel, jedyny człowiek, który mógł zrozumieć, patrzył na mnie ze złośliwą miną, jakby mi nie dowierzał.

- Zobacz, to jej łóżko - krzyknąłem ze zmiętą narzutą w dłoniach. - Poduszka, na której leżała. Na pewno zostały na niej włosy. Niech no zobaczę. Patrz! To filizanka, z której piła, to jej kwiaty!

- Spokojnie, stary - powiedział Robert łagodnym tonem. - Nie denerwuj się. Pewnie poszła na spacer czy coś. - Poklepał mnie po ramieniu, a ja się uchyliłem.

- Była tu jeszcze minutę temu, słowo daję...

- Napij się, no już, grzeczny chłopiec. Usiądź.

Pchnął mnie delikatnie na jeden z miękkich skórzanych foteli pani Brown i wcisnął mi w dłoń kieliszek sherry. Moja ręka drgnęła gwałtownie; trochę sherry się wylało. Cierpliwie zabrał mi kieliszek i napełnił go ponownie. Wziąłem łyk, zadrzałem, wypilem do dna i zamknąłem oczy. Nie umiem wytłumaczyć tej władzy, jaką Rosemary zdołała nade mną zdobyć, ani rozpacz, która grała mi w duszy jak monotonny terkot zabawkowego pociągu w dziecięcym bąku. Odeszła, odeszła, odeszła... Przez głowę, jak odłamki szkła, przelatywały mi fragmenty wierszy, obrazy niczym kawałki podartego płótna, kuszące... łuk obojczyka, światło padające na jej włosy, wykrój jej ust... próbowałem wstać z fotela i się pośliznąłem. Świat przechylił się na bok.

- Daniel! - Głos Roberta był ostry. - Nic ci nie jest? Hej, Danny! Danny!

Upadłem i ziemia zadrzała.

Spowiała mnie roziskrzona ciemność.

Głos, lekki jak liść osiki, krystalizujący się w eterze:

- Czy coś się stało?

Mignięcie sylwetki w drzwiach, o głowie i ramionach wytrawionych w miedzi.

- Gdzie Daniel? Kim pan jest? - Głos, przenikliwy od powściąganej hysterii.

Głos Roberta:

- A więc to pani jest Rosemary.

A potem, w ciemności, obraz kół. Obracających się kół.

2

Zespół Joego był na scenie i przygotowywał się do koncertu. Kiedy Alice weszła, Joe pomachał jej z szerokim uśmiechem, po czym z zadziwiającą fachowością wrócił do pracy. Widać było, że jest w swoim żywiole; rozstawiał głośniki i wzmacniacze, rozwijał kable, a wszystko to szybko, bez zbędnych ruchów. Ginny jeszcze się nie zjawiła.

Alice przecisnęła się do baru i zamówiła drinka. Usiadła przy stoliku z boku sceny, gdzie mogła wszystko widzieć i słyszeć. Salę powoli wypełnił barwny tłumek miłośników nocnego życia Cambridge, ocierających się o siebie w świetle neonów i w ciemności. Alice wstała i rozejrzała się; nadal ani śladu Ginny.

Zagrał pierwszy zespół i ludzie się uciszyli, by słuchać, niektórzy rozmawiali zniżonymi głosami przy barze, inni kołysali się w rytm muzyki. Ktoś z tyłu zapalił parę jointów i zapach rozniósł się po całej sali. Kiedy grupa zesza ze sceny i jej miejsce zajęła kapela Joego, Alice zamówiła następnego drinka; zrobiła nawet rundkę po sali, by poszukać Ginny, ale bez skutku. Właśnie wróciła na swoje miejsce przy scenie, kiedy zjawiła się Ginny, drobna, niepewna postać w jasnej sukience. Alice przywołała ją gestem. Dziewczyna odpowiedziała skinieniem głowy, ale nie podeszła.

Światła przygasły i zespół zagrał pierwsze nuty wolnej, tradycyjnej piosenki, którą Alice dobrze знаła; to była szczególnie lubiana przez Joego „The Dalesman's Litany”. Joe wyszedł na przód sceny, by śpiewać, z gitarą basową zawieszoną na szyi i twarzą oświetloną pojedynczym reflektorem. Jego głos był mocniejszy, niż Alice go zapamiętała; wciąż pobrzmiwał w nim wyczuwalny północny akcent, już jednak jakby łagodniejszy. Uznała, że to zmiana na lepsze.

*Źle, gdy dla człowieka pracy brak
Gdzie ma swój dom, gdzie ma rodzinę...*

Poszła na tył sali, gdzie stało kilku spóźnialskich, każdy z puszką w ręku. Wypatrywała Ginny w ciemności. Reflektor punktowy zgasł, stonowaną muzykę podkreślały łagodnie zielone i niebieskie filtry, w których świetle widzowie wyglądali jak zatopieni w morskiej głębinie.

*Za młodu zawsze-m myślał, że
Wśród pól i lasów mój żywot upłynie...*

Ginny czekała po drugiej stronie tłumy; Alice widziała jej twarz, twarz topielicy, bladą suknię, włosy szerniałe w blasku świateł scenicznych, nienaturalnie wielkie oczy.

*Ale w mieście zmuszony-m pracować
I litanię tę oto. Tobie, Panie, ślę...*

Ginny przez chwilę na nią patrzyła; i może to wina oświetlenia, ale Alice miała wrażenie, że smutne usta dziewczyny wykrzywiły się w grymasie tak nieopisanie złowrogim, że odmienił ją całkowicie, podświetlił od wewnątrz widmowym blaskiem, jakby promieniowania.

*Od Hull, Halifax i piekła
Dobry Boże, zbaw mnie...*

Wtedy ta mina zniknęła i Alice widziała już tylko Ginny, uroczą, zagubioną, niemal prostoduszną Ginny, wpatrzoną w scenę. Jednak to, co zobaczyła wcześniej - czy co jej się wydawało, że zobaczyła - kazało jej trzymać się z dala od tej

dziewczyny; została na skraju tłumu, wciąż z drinkiem w dłoni, i czy to znowu wyobraźnia płatała jej figle, czy atmosfera nagle się zmieniła? Czy ta grupka pod drzwiami była tam od początku? Czy wcześniej też dawało się wyczuć to subtelnie narastające napięcie na obrzeżach sali?

Zespół zagrał utwór instrumentalny, skrzypce to jęczały, to piszczały, wyciągały dźwięki to w górnym, to w dolnym rejestrze. Alice nie wytrzymała. Było jej duszno, czuła się, jakby dwa różne nurty -jeden płynący ze sceny, drugi od tłumu - ciągnęły ją w różne strony. Instynktownie ruszyła do drzwi, gdzie było trochę więcej miejsca, akurat tyle, żeby odetchnąć i odsunąć się od publiczności. Widać nie ona jedna wpadła na ten pomysł, bo przy wyjściu stała grupka ludzi wpatrzonych w scenę: dziewczyna z włosami niemal do kolan, odcinająca się na tle neonu z napisem WYJŚCIE, chłopak z ufarbowaną na rudo czupryną i tatuażem ptaka na twarzy, blondynka z głową ufnie złożoną na ramieniu rudego chłopaka, mężczyzna w ciemnym szynelu, z twarzą w cieniu.

Alice poczuła, że włoski jeżą się na jej odkrytych rękach. Ta arogancka, odprężona poza wyglądała znajomo... podobnie jak odbicie świateł w metalowym czubie buta do jazdy motocyklem.

I co z tego?, pomyślała lekko rozzłoszczona i zrobiła jeszcze jeden krok w stronę drzwi. Mężczyzn, którzy tak wyglądają, jest na kopy. Nie miała powodu, by być aż tak pewna, że to znajomy Ginny z ostatniej nocy. Nie miała powodu, by przypomnieć sobie swój sen, by nagle poczuć pieczenie potu pod pachami, by coś ścisnęło ją za gardło. Następny krok... i ich spojrzenia spoczęły na niej, a blondynka podniosła głowę z ramienia swojego rudowłosego towarzysza. Tyle że to nie była dziewczyna, tylko młody chłopak, widmo, niepokojąco piękny. Rudzielec uśmiechnął się szeroko

do Alice, obnażając złoty ząb, skinął na nią... i Alice w tej chwili wiedziała już na pewno, że za ich urodą kryje się coś plugawego. Odsunęła się, weszła w tłum i próbowała skupić się na muzyce. Ale czar przysł. Zostali tylko obserwatorzy za jej plecami, ich spojrzenia przyprawiające ją o mrowienie karku. Widzowie wokół niej też wydawali się niespokojni, jak stado, które zwietrzyło drapieżnika.

Zerknęła w lewo i zobaczyła Ginny, która była już bliżej, prawie pod drzwiami, zobaczyła, jak grupka troskliwie otaczają ciasnym kręgiem. Ginny zapaliła papierosa; na drugi koniec sali, do Alice, doleciał słodki zapach marihuany, przebijający przez duszny odór potu i piwa.

Gniewnie podniesiony głos gdzieś z tyłu. Publiczność zafalowała, jakby wszyscy niecierpliwie na coś wyczekiwali. Alice odwróciła się i zobaczyła, jak do grupki pod drzwiami podchodzi starszy mężczyzna. Nie słyszała, co mówił, ale mignęła jej jego twarz, napuchnięta ze złości. Nic wyglądał na człowieka silnego, nie miał urody tych dziwnych dzikusów; był łysiejący i żeby to ukryć, nosił skórzaną czapkę, spod której na kark wypływały długie, rozwichrzone włosy. Alice wydawał się dziwnie bezbronny, gdy tak stał, tonący w blasku świateł i owładnięty desperacką wściekłością. Nie słyszała słów, ale zobaczyła, że dryblas w szynelu uśmiechnął się i coś powiedział. Ginny tylko patrzyła pustym wzrokiem. Starszy mężczyzna zaczął gwałtownie gestykulować, wreszcie odwrócił się i wchłonał go tłum. Alice nie zauważyła, kiedy wywiązała się bójka, ale widziała jej skutki. Najpierw zagłębienie pośród falującego tłumu; dołek, który utworzyły pochylone głowy, szybko rozszerzający się na wszystkie strony jak lej po wybuchu. Ktoś upadł. Muzyka przez chwilę się rwała, ale nie ucichła; gdzieś krzyknęła kobieta, dźwięk jakby stada ptaków w locie. Głos ze sceny, słowa ginące w wyciu sprzężenia w głośnikach. Alice spojrzała w stronę

drzwi; wciąż tam stali, nietykalni, obojętni, ale czuła bijącą od nich moc, ich urok i rozbawienie. Bezwolnie ruszyła ku nim, popychana przez napierający od tyłu tłum. Zobaczyła upadającego mężczyznę, niepokojąco blisko, zobaczyła, jak inny praktycznie na oślep uderzył kobietę, która zatoczyła się na ścianę. Muzyka ucichła. Z głośników dobyło się wysokie, nieznośne rżenie jakiegoś sprzęgającego instrumentu.

Jak na sygnał, podniosła się wrzawa, zawroscenie tłumowi tworzyło własną, atonalną muzykę. Kiedy Alice doszła do drzwi, ktoś wrzasnął. Ktoś inny rzucił na scenę pełną szklanek. Szkło rozbryznięto się w blasku reflektorów, niczym fajerwerk. Alice, mocno pchnięta w krzyż, poleciała bezwładnie w stronę mężczyzny pod drzwiami. Poczwała obejmujące ją ramiona, przytrzymujące ją pośród przewalającego się tłumy. Nieznajomy szepnął jej coś na ucho, coś cichego, intymnego. Pachniał słodko, prawie za słodko, jak wata cukrowa. Miał zimne dłonie, na twarzy czuła jego chłodny oddech. Przez niekończącą się sekundę była przekonana - choć to absurd - że ją pocałuje, a ona wtedy umrze, ale to przeświadczenie było czymś abstrakcyjnym, obcym głosem dochodzącym z głębin. Wiedziała, że zaraz zemdleje i próbowała coś powiedzieć, ale nie mogła wydobyć z siebie nawet jednego słowa. Opadła bezradnie w zalewającą ją ciszę.

Dopiero minutę później, kiedy była już bezpieczna na zewnątrz, i leżała wyciągnięta na wilgotnej trawie, wpatrzona w pochyloną nad nią zatroskaną twarz sanitariusza, przypomniała sobie, co tamten mężczyzna szepnął jej na ucho.

To było słowo „wybrana”.

1

Długo leżałem w malignii; dość długo, by Rosemary zrobiła swoje, a nawet więcej. Przez niemal dwa tygodnie nękała mnie gorączka i sny o takiej mocy, że z każdego budziłem się spragniony haustu rzeczywistości, i w czasie gdy majaczyłem i wypacałem gorączkę, zdradziłem swojego przyjaciela Roberta po raz pierwszy - zostawiając go samego z Rosemary. Kiedy wróciłem do zdrowia, było już za późno.

Zacząłem coś podejrzewać, kiedy pani Brown przyniosła mi bulion. Pamiętałem, że robiła to od czasu do czasu w trakcie mojej choroby, ale w majakach myliłem ją z wieloma innymi ludźmi i nie byłem w stanie z nią trzeźwo rozmawiać. Tego dnia jednak, choć osłabiony, zachowałem przytomność i pomyślałem od razu o Rosemary.

- Gdzie ona jest? - spytałem panią Brown między dwiema łyżkami bulionu. - Nic jej się nie stało? Nie jest chora?

- Spokojnie, spokojnie - zganiła mnie pani Brown. - Potem będzie na to czas, chłopcze.

- Proszę! - błagałem. - Nadal tu jest? Nie odprawiła jej pani?

- Pan Robert znalazł jej mieszkanie, o nic się nie martw - odparła pani Brown.

W tym właśnie momencie zaczęło mi świtać, co działo się przez te dwa tygodnie. Moja gospodyni jednak nie chciała

nic powiedzieć; liczyło się dla niej tylko to, żebym wydobrzał, a wszystko inne mogło poczekać, aż będę na to lepiej przygotowany.

Robert mnie nie odwiedził; uznałem, że pani Brown powiedziała mi, że nie wolno mi przeszkadzać, więc się tym nie martwiłem, ale straszliwie brakowało mi Rosemary i bałem się, że Robert może jej czynić wyrzuty za to, iż mimowolnie przyczyniła się do mojej choroby. Żyłem więc w niepokoju aż do dnia, kiedy lekarz pozwolił mi wstać z łóżka, a wtedy się ubrałem, nie zważając na protesty pani Brown, że pada, że jeszcze nie jestem do końca zaleczony, i w sfatygowanym kapeluszu na głowie i zmiętym wełnianym krawacie związanym na bójącym gardle poszedłem szukać swojego przyjaciela. Nie było go w żadnym z lokali, w których zwykle przesiadywał; jego mieszkanie było zamknięte na klucz. Zajrzałem do wszystkich kawiarni, wszystkich barów; od jego opiekunów naukowych dowiedziałem się, że nie widzieli go od prawie dwóch tygodni, i w końcu zacząłem podejrzewać, że coś jest nie tak. Nie żeby moje podejrzenia były choć w najmniejszym stopniu zbliżone do prawdy, ale kiedy zmęczony i pełen niepokoju wlokłem się poprzez mżawkę i szarość niezmiennających się ulic Cambridge, opadły mnie złe przeczucia.

Stale towarzyszył mi miraż Rosemary; to ją widziałem, kiedy dziewczyna w żółtym szaliku przecisnęła się obok mnie w bramie, to ją zobaczyłem schowaną pod mostem, to jej twarz wyglądała przez spływające deszczem okno. Aż w końcu ujrzałem ją naprawdę. Szła z Robertem King's Parade. Robert trzymał rękę na jej ramieniu i osłaniał ją parasolem; patrzył na nią z góry tak, że widziałem jego profil, uśmiech na jego orlej twarzy. Ona miała na sobie o kilka rozmiarów za duży płaszcz przeciwdeszczowy, z szerokimi mankietami wyłożonymi na jej małe dłonie. Włosy wsunęła

pod bok kołnierza, odsłaniając biały kark. Zawołałem ich, ale moje słowa porwał deszcz. Pobiegłem do nich niezgrabnie, rozchlapując kałuże, i nagle znieruchomiałem. Rosemary odwróciła się do Roberta, z dłońmi na klapach jego płaszcza, a on ją pocałował, lekko, z intymnością zrodzoną z długiej znajomości. Zamarłem, a on wziął ją w ramiona i pocałował znowu, wypuszczając parasol z ręki.

I w tej samej chwili mój świat zatrzęsł się w posadach.

Byłem dość blisko, by widzieć krople spadające na płaszczy Rosemary. Stałem oniemiały. Och, Rosemary.

A ona wtedy odwróciła się i spojrzała prosto na mnie. Jestem tego pewien; spojrzała na mnie i jej oczy koloru deszczu przez chwilę wpijały się w moje własne... i wyczytałem z nich wesołość, zimną pogardę i coś jakby poczucie triumfu. Och, wiedziała, doskonale wiedziała; wiedziała, że patrzę, znała wszystkie moje myśli, moją zazdrość, całe moje życie; zobaczyła to wszystko bez litości i tym wzgardziła. Miała Roberta, miała mnie, i wiedząc to, odeszła z nim w deszcz Cambridge, zabierając ze sobą moją niewinność.

2

Kiedy Alice poszła do domu, była wykończona i czuła się fatalnie. Po rozróżbie w „Corn Exchange” zastała Joego przy kłótni z policjantem, który chciał zabrać go na komisariat i przesłuchać. Oddzielona od niego małą grupką maruderów i stróżów prawa, widziała w blasku świateł, jak pokręcił głową i zrobił w tył zwrot. Policjant próbował złapać go za ramię; Joe gwałtownym ruchem odtrącił jego rękę. Drugi policjant, wietrząc kłopoty, ruszył partnerowi na odsiecz, w wirujących światłach odjeżdżającej karetki przypominający jarmarczną figurkę.

Cholera.

Znała dawne przejścia Joego z policją; na demonstracjach zawsze szukał zaczepki i kilka razy wylądował w areszcie, choć Alice wiedziała, że nigdy tak naprawdę nic chciał zrobić nic złego. Stwierdziła, że będzie musiała interweniować, zanim Joe kogoś uderzy albo sam dostanie, wybiegła więc z „Corn Exchange” w stronę gromadki ludzi, która zebrała się wokół samochodów. Było ich tam kilkunastu, ale znajomi Ginny zniknęli bez śladu.

Joe odwrócił się na dźwięk jej głosu.

- Dzięki Bogu. Jest z tobą Ginny?

Alice potrząsnęła głową.

- Cholera! Dokąd poszła, do licha? Gdzie stała?
- Spokojnie, Joe. Była ze znajomymi na samym końcu sali. Musiała wyjść z nimi, kiedy się zaczęło. Nic martw się.
- Jak to? - Jego złość skrupiła się na Alice. - Jakimi znajomymi? Ona nie ma żadnych znajomych.
- Dziś miała - powiedziała Alice, zerkając na policjanta.
- Słuchaj... pewnie wróciła do domu i czeka na mnie pod drzwiami. Naprawdę nie ma co się o nią martwić. Jestem pewna, że da sobie radę.
- Joe był wyraźnie nieprzekonany. Jego usta zacięły się w wyrazie uporu.
- Odwiozę cię do domu - powiedział, po czym odwrócił się do policjanta. - Sam pan widzi, że nie mogę wam pomóc. Tak czy owak, niczego nie zauważyłem. Byłem na scenie. Dopiero kiedy poleciały pierwsze butelki, zorientowałem się, że coś się dzieje. Przykro mi. W porządku?
- Muszę poprosić, by zechciał pan ze mną pojechać - odparł policjant. Całkiem uprzejmie, choć wyraźnie zaczynał tracić cierpliwość. - Nie potrwa to długo, ale...
- Nie no, co jest z tobą, człowieku? Przecież mówię... - Joe odetchnął głęboko i z wysiłkiem zapanował nad sobą.
- Zadzwoń do ciebie, żeby sprawdzić, czy Ginny dotarła
- zwrócił się do Alice.
- Posłała mu przelotny uśmiech.
- Jasne. I nie trać nerwów, dobra?
- Wszystko pod kontrolą.
- Miała taką nadzieję.

Po powrocie do domu najpierw zaparzyła herbatę. Koty kategorycznie żądały jedzenia, więc otworzyła im konserwę i zmieszała rybę z chlebem. W kredensie były herbatniki; wzięła paczkę i przegryzała je bez ochoty ani smaku, między łykami herbaty, aż poczuła, że następstwa wydarzeń tego

wieczoru zaczynają ustępować. Ginny nie czekała na nią pod drzwiami, ale Alice tak naprawdę wcale się tego nie spodziewała. Najprawdopodobniej poszła gdzieś ze swoimi znajomymi, tymi, o których Joe nic nie wiedział. Alice stwierdziła, że nic jej to nie obchodzi. Prawdę mówiąc, myślała, sącząc herbatę z kubka, im mniej wie o Ginny, tym lepiej. To nie jej sprawa i tyle.

Odstawiła pusty kubek, sięgnęła w bok, by włączyć piecyk gazowy... usiadła prosto. Przez chwilę miała wrażenie, że na zewnątrz coś się poruszyło -jakby postać, która skryła się w ciemności. Wstała. Nic. To pewnie jej własne odbicie w szybie. Wyciągnęła rękę, by spuścić roletę... i zawahała się. Znow to samo, ten ruch, po części ukradkowy, po części drwiący. Zachęcający, by wyszła sprawdzić, kto to.

Ostrożnie wyrzała na zewnątrz i zobaczyła dwie sylwetki pod latarnią. Natychmiast dała nura z powrotem do kuchni i zgasiła światło. Strach zapieczętował jej usta.

To był mężczyzna z „Corn Exchange”. Wciąż w tym samym szynelu, z postawionym kołnierzem zasłaniającym część twarzy. Alice widziała długie włosy, związane luźno z tyłu i spływające po kołnierzu pod bładą, kościstą twarzą o oczach i policzkach ginących w głębokim cieniu. Zdawał się patrzeć prosto na nią, ale teraz wiedziała już, że to tylko złudzenie optyczne wywołane grą cieni. Towarzyszył mu blondwłosy chłopak, którego twarz widziała wyraźnie. Był chudy i kościsty, o tej uroczo kanciastej sylwetce, charakterystycznej dla nastolatków. Alice uznała, że nie może mieć więcej niż szesnaście lat, jego twarz, zwieńczona szopą tlenionych blond włosów, była niepokojąco kobieca. Pod jego czarną skórzaną kurtką mignął biały T-shirt z nadrukiem ŚMIERĆ LUB CHWAŁA i Alice od razu przypomniała się Ginny. Chłopak odwrócił się do wyższego mężczyzny i coś powiedział. Tamten wzruszył ramionami, nie odrywając oczu od okna. Chłopak

zadrzał, spojrzął w niebo, ciasniej owinał się kurtką. Może im zimno, pomyślała Alice.

Za tą myślą poszła następna, intrygująca i przerażająca jednocześnie: Czemu by ich nie zaprosić do środka? W ten sposób mogłaby dowiedzieć się, kim są i co właściwie łączy ich z Ginny. A przy okazji, kto wie, może poznać jej sekret. Po chwili wahania włączyła światło i otworzyła drzwi. Światło wylało się za próg i obie sylwetki zniknęły pośród cieni.

- Przepraszam - zawołała w mrok - czy panowie czekają na Ginny? Jestem pewna, że niedługo wróci; myślałam, że jest z wami. Możecie wejść i poczekać na nią w środku, jeśli chcecie.

Przez chwilę panowała cisza i Alice miała dziwne wrażenie, że woła w głąb tunelu, w którym odpowiedzieć jej może tylko echo. Wreszcie z ciemności wyłoniły się dwie twarze.

- Jesteśmy przyjaciółmi Virginii. - To był ten wysoki mężczyzna; miał cichy, kulturalny głos, zaskakujący u kogoś Otak niedbałym wyglądem. Kiedy podszedł bliżej, Alice zauważyła, że jest starszy, niż jej się z początku wydawało; jego twarz o delikatnych rysach była zryta zmarszczkami, a długie włosy oprószyła siwizna.

- Proszę, wejdźcie - nalegała Alice. - Zaczekajcie na nią w ciepłe. Zrobię wam kawę, jeśli chcecie.

Drzwi były szeroko otwarte, ale nieznamy nie ruszył w ich stronę. Chłopak przeszedł przez furtkę i stanął tuż poza zasięgiem światła. Zapadła cisza, która przedłużała się niezręcznie, i Alice poczuła się odrobinę skrupowana. I wystraszona. Otrząsnęła się. Cóż złego mogło spotkać ją tutaj, w świetle? W jej własnym domu? Kotka wystawiła łebek zza drzwi, by zobaczyć, co się dzieje, syknęła gniewnie i uciekła z powrotem do środka.

Alice uśmiechnęła się niepewnie.

Blondwłosy chłopak wyszczerzył się radośnie, obnażając nieco krzywe zęby.

- Wejdźcie, proszę - powtórzyła Alice. - Robi się naprawdę zimno.

Natychmiast, jakby tylko czekali na trzecie zaproszenie, dwaj znajomi Ginny weszli do salonu, wpuszczając ze sobą przeciąg.

- Miło mi was poznać. Jestem Alice - zagaiła. - Dawno znacie Ginny?

- Na imię mi Java - powiedział wysoki mężczyzna z uśmiechem. - Mój młody towarzysz to Rafe. Tak, jesteśmy starymi przyjaciółmi. - Uśmiechnął się do blondwłosego chłopca. - Bardzo starymi.

- Jesteś malarką - powiedział. Spojrzał na nią. Wskazał ruchem głowy na obraz przypięty pinezkami do tablicy z korka. - Wygląda jak Virginia.

Alice była lekko spłoszona.

- Może to te włosy - powiedziała.

Uśmiechnął się.

- Może - odparł.

Kiedy wyszli, Alice odetchnęła z ulgą, zamknęła drzwi i zaciągnęła zasłony. Już wtedy wiedziała, że będzie ich śledzić, czuła bowiem, że coś przyciąga ją do nich, tak jak przedtem. Zaczekała, aż odejdą, zanim wymknęła się tylnymi drzwiami. Schowana w mroku, starała się trzymać co najmniej sto metrów za dwiema postaciami, zalanymi jaskrawym blaskiem neonów, gdy szybkim krokiem przemykały wąskimi uliczkami, wlokąc za sobą długie, wygięte w łuk cienie. Alice słyszała, jak jej buty szurają po chodniku, a ubranie ociera się o mury i bramy, za to Rafe i Java poruszali się bezszelestnie, nic zamieniali ani słowa, ani na moment nie zwalniali tempa swojego dziwnego nocnego spaceru. Zdyszana, skradała się za nimi.

W centrum było pusto; okna i drzwi przypominały ciemne, ślepe oczodoły. Paru kłozardów czekających na ławkach z boku rynku pociągało jabłecznika z brązowych papierowych toreb i obserwowało noc bez zainteresowania. To był ich czas, czas ludzi nocy, pora, gdy zamykano puby i bramy college'ów, a ochroniarze patrolowali pasaż handlowy, by wyprosić niepożądanych gości. Wtedy to z ukrycia wychodzili ci starcy, milczący, przygarbieni w swoich obszarpanych płaszczach i rękawiczkach bez palców.

Alice ledwo ich zauważyła, ale oni nie spuszczała z niej oczu. Zatrzymała się na chwilę, żeby nabrać tchu, i już miała ruszyć dalej, kiedy wyczuła, że ktoś jest u jej boku. Odwróciła się i zobaczyła, że nieśmiało przysuwa się do niej stary kłozard z kłaczastą brodą, opatulony brudnym różowym szalikiem, w wełnianej czapce na szarawosiwych włosach. W dłoniach ścisnął nieodłączną brązową papierową torbę i wpatrywał się w Alice przenikliwym wzrokiem.

- Przepraszam? - powiedział.

- Przykro mi - odparła Alice - nie mam pieniędzy.

Przez chwilę myślała, że kłozard chce powiedzieć coś jeszcze. Poruszył ustami, a jego zaropiałe oczy wpiły się w jej własne z szaloną nadzieją.

W końcu jednak się odwrócił, a Alice wznowiła pościg za dwoma mężczyznami, kierującymi się ku drodze do Granthester.

Nie była pewna, czego się właściwie spodziewała: może następnej wizyty w kościele, ale Java i Rafe niedługo trzymali się drogi. Jakieś półtora kilometra przed wsią zbczyli w stronę rzeki, na ciemną ulicę, wzdłuż której ciągnęły się zrujnowane szeregowce. Nie było tu latarni i Alice szybko straciła ich z oczu, zmuszona iść po omacku w ciemności obok pustych domów. Od czasu do czasu dostrzegała jasne włosy Rafe'a albo błysk jednego z podkutych stała butów Javy,

ale prócz tego nie widziała nic. Spocone kosmyki lepiły się do jej twarzy i coś ścisnęło ją za gardło. W głowie ni z tego, ni z owego, zaczął jej grać urywek muzyki:

Dziwna dziewczynko, dokąd idziesz?

Dziwna dziewczynko, dokąd idziesz?

Nagle usłyszała dźwięk, zatrważająco blisko, i zamarła. W ciemnościach zbliżyła się do nich dużo bardziej, niż zamierzała, jeszcze trochę, a by na nich wpadła. Otworzyły się drzwi, metal wykrzesał iskry o metal i w mroku rozbłysł jasny płomyk zapalniczki. Alice odsunęła się instynktownie; Rafe stał w otwartych drzwiach, z nogą na stopniu, a Java, z papierosem w zębach, trzymał zapalniczkę i osłaniał płomyk dłońmi. Jego głowę okalał nimb światła. Podniósł oczy, kiedy Alice cofnęła się pod ścianę, i choć ciemności wydawały się nieprzeniknione, uśmiechnął się do niej.

- Alice - powiedział - może wejdziesz?

Przez chwilę miała w głowie zupełną pustkę. Chciała uciekać; w popłochu cofnęła się o krok i omal się nie przewróciła. Powstrzymał ją cichy głos Javy. Wyobrażała sobie jego nieludzkie spojrzenie, przyciągające ją jak rybę na haczyku.

- Przeszłaś taki kawał - powiedział. - Może napijesz się czegoś, zanim wrócisz do domu? Zresztą, jest tu Virginia.

Na wspomnienie o Ginny Alice odwróciła się i nagle zrobiło jej się głupio. Co złego mogło ją spotkać kilometr od miasta? Poza tym, skoro była tu Ginny... Przeniosła wzrok na drzwi, w których wciąż stał Rafe, z lekkim uśmiechem igrającym na ustach. Jeśli teraz się wycofa, pomyślała, równie dobrze może zrezygnować z prób dowiedzenia się czegoś więcej o Ginny i o tym, co stało się w Grantchester. Odważyła się dotrzeć aż tutaj - mogła chwilę zostać.

- Wejdz, proszę - powiedział Java. W Alice po raz drugi rozbudził się niezaprzeczalny pociąg do tego człowieka, nieznośna wręcz świadomość jego urody, perfekcji jego kościstych rysów, i podziw dla jego gracji, tej poezji ruchu wskazującej, że był istotą w pełni opanowaną, dobrze czującą się we własnej skórze i niepodatną na lęki i kompleksy zwykłych ludzi. Emanował czarem, któremu nic sposób było się oprzeć. Mimo woli uśmiechnęła się w odpowiedzi i ani się obejrzała, a już weszła w drzwi i znalazła się wewnątrz domu.

W pełgającym płomyku zapalniczki zobaczyła, że jest w holu. Na poplamionych i pożółkłych wizytówkach wciąż widniały nazwiska dawnych lokatorów, w głębi były wąskie schody prowadzące na piętro. Rafe szedł przodem i oświetlał drogę, Java podążał za nim w milczeniu. Minęli kilkoro drzwi, zanim dotarli do tych właściwych; Rafe otworzył je i wszedł. Alice się rozejrzała. Pokój oświetlała lampa spirytusowa, rzucająca na ściany monstrualne cienie. Samo pomieszczenie było brudne, drewniane skrzynki przykryte kocami służyły za siedzenia, po podłodze wały się resztki kilku posiłków. Na środku stał stół przykryty gazetami, a na nim kilkanaście pustych butelek skrzących się na zielono i biało w świetle lampy. W powietrzu wisiał odór pleśni i kurzu, z ledwo wyczuwalną nutą czegoś słodkiego, jakby kadzidła. Ginny siedziała na starej sofie w kącie, ze skrzyżowanymi nogami i twarzą uniesioną ku Alice z osobliwą bezczelnością.

- A więc to ty - powiedziała bez zainteresowania. - Jest z tobą Joe?

Alice potrząsnęła głową.

- Nie mógł cię znaleźć. Niepokoił się.

Ginny wzruszyła ramionami.

- Poszłaś więc mnie poszukać. Jak miło. To czego właściwie chcesz?

- Poznać prawdę, oczywiście. Dowiedzieć się, co tu robimy. - Java zaśmiał się z lekka i lodowatymi palcami dotknął karku Alice. Przeszedł ją dreszcz. Rafe zrobił krok ku niej, jego kolczyk w kształcie krzyża kołysał się hipnotyzująco... poczucie nierzeczywistości było tak przytłaczające, że Alice zapomniała się bać.

- Ja... - Zdała sobie sprawę, że nic ma pojęcia, co powiedzieć; dziwnie zamroczona, parsknęła cichym śmiechem. Dłoń uniosła się powoli jak we śnie, by otrzeć jej wilgotne czoło; łuk, który zakreślała w ruchu, przez chwilę zdawał się wypełniać cały świat. Ramię Javy objęło ją w talii zimnym, intymnym uściskiem i Alice znów owionęło tchnienie jego słodkiego zapachu, zapachu cyrku. Przemknęło jej przez myśl, że musi być bardzo zmęczona, była pewna, że oczy same jej się zamknęły. Głowa opadła jej do tyłu jak śpiącemu dziecku, powieki znów zaczynały ciężać...

Głos gwałtownie przywrócił ją do rzeczywistości.

- Nie tutaj! - powiedziała Ginny ostrym tonem. - Czyście zgłupieli?

Alice drgnęła, dopiero teraz uprzytamniając sobie, że zasypia w ramionach Javy, że jej twarz prawie dotyka jego twarzy.

- Miękka - szepnęła w jej włosy, nie zwalniając uścisku.

Ginny zerwała się z półleżącej pozycji, w jakiej spoczywała na kanapie.

- Powiedziałam: nie tutaj.

Alice poczuła, że Java zeszytniał, ale jego głos wciąż był kuszący, uwodzicielski.

- Zaczekaj na mnie. - Puścił Alice; wciąż dezorientowana, dała się popchnąć w stronę małych drzwi za swoimi plecami. Ani się obejrzała, a już wpadła do środka i drzwi zatrzasnęły się za nią. Przez drewno doleciały ją głosy.

Kiedy tylko została sama, prysł czar, który opętał ją w tym pokoju. Jej barki przygniół lęk, nie tylko przed ciem-

nością. Spróbowała otworzyć drzwi; zamknięte na zamek. Zastanowiła się, czy nie krzyknąć do tamtych, ale na samą myśl przeszedł ją dreszcz. Popadając w klaustrofobie, zaczęła młócić rękami napierającą zewsząd ciemność; wreszcie zmusiła się do tego, by zachować zimną krew, i obmacała ściany, by oszacować wielkość i kształt pomieszczenia.

Było niewiele większe od szafy; może dwa metry na trzy, to wszystko, i sądząc po kafelkach na jednej ze ścian, kiedyś służyło za łazienkę. Z armatury jednak nie zostało nic, a jedynym meblem był stołek pod drzwiami. Przez pół minuty, które Alice spędziła w środku, jej oczy oswoiły się z ciemnością na tyle, że dostrzegła cienki srebrzysty obrys światła wokół framugi, kreślącego wąską, jasną linię na kafelkach. A obok widziała coś jakby plamę cienia, ciemniejszą niż wszystko wokół... dziura w ścianie?

W mgnieniu oka padła na kolana i wymacała otwór po wannie, wyrwanej ze ściany z płyty gipsowej. Gdyby tylko dała radę przecisnąć przez niego głowę i ramiona... to mogło się udać. Trzeba by jedynie trochę poszerzyć otwór... Pod wpływem impulsu złapała stołek i dźgnęła nim przegniły gips. Coś ustąpiło z chrzęstem i w powietrze wzbil się kłęb kurzu. Dźgnęła raz jeszcze. Zza drzwi dobiegł głos.

-Alice?

Inny głos, niezrozumiały, ale stanowczy. Tego tylko Alice było trzeba. Dała nura w głąb otworu i, z łzawiącymi oczami i twarzą oblepioną kurzem, przecisnęła się przez wilgotną płytę gipsową. Złapała kawałek obłuzowanego drewna i rozgarnawszy nim gruz blokujący wyjście, wychynęła w mrok. Zrobiła dwa nieostrożne kroki iomal nie zleciała ze schodów; przytrzymała się poręczy i utykając, w boleśnie wolnym tempie zeszła na dół. Usłyszała za sobą głosy, dość blisko, a wtedy w popłochu rzuciła się do ucieczki i prawie się przewróciła, w końcu jednak jakoś dotarła na parter,

mimo ogarniającego ją panicznego strachu, i niecałą minutę później już biegła drogą do Grantchester, ze spierzchniętymi ustami i sercem walącym jak bęben, ścigana przez własny cień, jakby deptającego jej po piętach demona. Nie zwalniała kroku i ledwie muskając nogami chodnik, uciekała do swojego bezpiecznego, ciepłego domu. Dopiero kiedy zatrzasnęła za sobą drzwi, pozwoliła sobie na luksus, jakim było wyczerpanie; a później, gdy siedziała przed kominem i próbowała przeanalizować to, co się stało, poczuła, jak znów powoli ogarnia ją to nieokreślone przerażenie, nie prymitywny lęk, który owładnął nią pośród ciemności w zrujnowanym domu, ani zabobonny strach przed pięknymi nieznanymi, którzy byli przyjaciółmi Ginny, lecz coś dużo starszego i dużo bardziej przytłaczającego. Policzki piekły ją, jakby dotyk Javy pozostawił na nich piętno, i kiedy przejrzała się w lustrze w łazience, zauważyła, że jest rozpalona jak w gorączce, a jej oczy nabrały dziwnego spojrzenia. Ochłapała zimną wodą piekące policzki, rozebrała się i wzięła szybki prysznic, szorując ciało z dziką furją, która na jakiś czas stłumiła strach. Nawet jednak wtedy, gdy się szorowała i chłapała, wciąż była świadoma tego uporczywego uczucia, dziwnego, nieukierunkowanego pragnienia... ale pragnienia czego? Nie wiedziała.

1

Znowu sny; więcej snów. Ona paraduje przez nie jak generał przechadzający się po polu wydanej przez siebie bitwy, krzyki umierających są hymnem ku czci jej dumy i chwaty. Czasem próbuję pisać, czasem tylko piję dżin i siedzę w świetle. Moje książki wiele mi mówią, ale nie to, jak z nią walczyć, jak zniszczyć ją i jej satelitów. Jestem sam, jak zawsze. Wzdłuż moich ścian ciągną się książki i obrazy; jej twarz wyziera z każdego z nich, jej imiona wypisane są wszędzie. Teraz ją znam; wiem, czym jest naprawdę.

Jej twarz wygląda z baśni braci Grimm, z Dantego, Szekspira i apokryfów, ze wszystkich krajów i epok, w których stapała po ziemi i pożywiała się, budziła lęk i uwielbienie. Modłę się o wybawienie, ale słyszę tylko skowyt otchłani pode mną, słowa obracają się w martwą łacinę w moich spierzchniętych ustach, krucyfiks zmienia się w krew na moich wargach. Boga nic ma dziś w domu. Jest u boku Rosemary.

Po tym, jak spotkałem ich tamtego dnia w deszczu, długo jej nie widziałem. Robert mnie unikał-jak i ja jego-może zawstydzony swoją zdradą, czy też, co bardziej prawdopodobne, zbyt omotany przez Rosemary, by pamiętać o starych znajomych. Z zapałem wziąłem się do „Błogosławionej Pa-

nienki", praktycznie nie zdając sobie sprawy, na ile prawdziwe było to, co pisałem, a czas płynął. Lato przeleciało w mgnieniu oka, deszczowe i ponure, a ja, skulony w swoim pokoju, w rękawiczkach bez palców na odrętwiałych dłoniach, szukałem zapomnienia w pracy. Odwiedzałem galerie, biblioteki, byłem w Ashmolean Museum w Oksfordzie, gdzie wystawionych jest tak wiele pięknych szkiców ołówkiem Rossettiego, w Fitzwilliam Museum w Cambridge, gdzie jego „Dziewczyna w oknie” i „Maria Magdalena”, a także „Druhna” Millaisa leżą schowane w podziemnych archiwach. Twarz Rosemary zatarła się w mojej pamięci, pozostawiając po sobie tylko smutek i żal, i zlała się w jedno z twarzami tych innych piękności; choć jej nie zapomniałem (któż mógłby?), chwilami zastanawiałem się, czy aby nie była tylko snem, i odbijałem sobie swoją tęsknotę godzinami nieprzerwanej pracy.

Napisałem setki stron o technice, dowiedziałem się, jak prerafaelici uzyskiwali efekt świetlistości, malując tylko czystymi kolorami na mokrym białym tle, i że Rossetti oddawał odcienie skóry czerwonym i zielonym grafitem, świadom, że używa nietrwałych barw, które z czasem wyblakną i zanikną, ale zupełnie tym nieprzejęty, jakby interesował go tylko sam akt tworzenia piękna. Może on też bał się nieśmiertelności. Czytałem o ich modelkach - tych dziwnych, tragicznych czarodziejkach: Lizzie Siddall, Jane Morris i Marii Zambaco - aż poznałem każdy detal ich twarzy i ich historii. One też były artystkami, przynajmniej większość z nich, fascynującymi i nietykalnymi, łagodnymi, a przy tym niepokojącymi. Zaludniały moje fantazje, przechadzały się w moich snach u boku Rosemary. Badałem twórczość artystów, którzy wywarli na nie wpływ, poetów, których uwielbiały, Malory'ego, Tennysona i Keatsa. Ponownie sięgnąłem po baśnie braci Grimm, mitologie grecką i rzymską, poznałem ciemną stronę

świata fantazji, z którego pochodziły, odkryłem pisma Junga i wszystko, co wyczytałem, dopasowywałem do moich nowo powstających teorii. Straciłem kontakt z większością znajomych, odwoływałem wiele zajęć, żyłem w swojej izbie jak mnich, i wreszcie w środku zimy ukończyłem pierwszą wersję „Błogosławionej Paniarki”... a potem pracowałem dalej. Żeby sobie dorobić, pisałem artykuły do uniwersyteckich publikacji poświęconych sztuce, zawierające więcej fikcji niż faktów; groteskowe, egzaltowane prace, które koncentrowały się już nie na technice, tylko na gotyckim głodzie doznań niedostępnych dla ascetycznie żyjącego uczonego. Opisy i eseje przeplatałem baśniami, z roku na rok coraz mroczniejszymi i dziwniejszymi, i ciągle pisałem, także w miesiącach poprzedzających jej śmierć w sierpniu, i śmierć Roberta zimą 1948 roku. Do wiosny żyłem w stanie zawieszenia i choć właściwie przestałem śledzić upływ czasu, to musiało być rok po tym, jak wyciągnąłem Rosemary z rzeki, kiedy znów znalazłem się w tym samym miejscu, wczesnym rankiem, w drodze do mojej ulubionej galerii, ciasno opatulony płaszczem, z nosem czerwonym i zakatarzonym jak praktycznie przez całą zimę, i zażawionymi oczami schowanymi za szkłami okularów, które z biegiem czasu stawały się coraz grubsze i cięższe. Z mojej pamięci wyłoniła się oderwana myśl, mglista jak para wypływająca z moich nozdrzy; dziewczyna w bieli, blada twarz, ciemne oczy, ciemne, otwarte usta... i przez chwilę miałem wręcz wrażenie, że ją widzę, kawałek dalej w dół rzeki, że widzę łuk nagiego ramienia, kępa zielska zmieniła się w moich oczach w jej splątane włosy... Zamrugałem i nieporadnie wytarłem okulary jedną ręką.

Tam rzeczywiście coś było, uwięzione w śmieciach u wejścia do jazu; może szmaty, a może kłoda... Podobieństwo do tamtego kwietniowego dnia nadało halucynacji ostrą, surrealistyczną perspektywę i naprawdę zobaczyłem bez-

władne ciało, zbyt wyraźnie, bym widział to własnymi oczami, zobaczyłem rękę unoszącą się na wodzie, linię szyi opadającej łagodnie do ciemnej wody...

Tego już było za wiele; musiałem to obejrzeć z bliska.

Zeskoczyłem na brzeg rzeki (były tam zacumowane łodzie, ale od lipca nikt ich nie używał), ostrożnie opuściłem się na błotnistą ścieżkę flisacką i pokuśtykałem nad wodę. Jaz napuchł do przeogromnych rozmiarów i czułem bijący od niego smród; to był odór szlamu i błota, soli i zgnilizny, i wszystkich śmieci porwanych latem przez nurt na zgubę pośród mułu i ciemności. I kiedy spojrzałem zmrużonymi oczami na błądy tłumok, który uwiązł w wartko płynącej zielonkawej wodzie, zobaczyłem ją; nie sposób było nie rozpoznać kształtu jej ręki, tych falujących włosów, tych ubrań...

- Rosemary? - wyszeptałem.

Ale to nie była Rosemary. Kobieta, którą znalazłem przy moście Magdalene, była stara; miała siwiejące, przerzedzone włosy, ręka, która zwróciła moją uwagę swoją bladością, była krótka i silna nawet po śmierci, tułów sztywny i dwa razy grubszy od wiotkiej sylwetki Rosemary. Że nie żyła, co do tego nie mogło być wątpliwości; odsłonięta skóra była zielonobiała jak limeta, bez kropli krwi, spod poszarpanych ubrań wyłaniała się jedna noga i brudna bielizna. Widok tej nieszczęsnej kobiety, bezlitośnie wystawionej przez śmierć na ostre światło kwietniowego poranka, przejął mnie żalem; tak, żalem, nie przerażeniem. W pewnym sensie byłem zadowolony, że ją znalazłem; to ukłucie żalu, które poczułem, było jedynym przejawem ludzkiego ciepła, jaki towarzyszył okrutnej, dziwnej śmierci tej kobiety. Później, z przyjazdem policji, nadeszło przerażenie i odraza, ale wtedy prawie mogłem ją sobie wyobrazić jako Ofelię, uwięzioną w zielsku, ubłoconą, ale jakże pełną godności,

z nieruchomą, bladą twarzą zwróconą w dół, by poznać tajemnice głębin Cam. Mogłem, ale szybko przestałem. Nagłe, złośliwe poruszenie wody poluzowało bowiem bąbyle, w których uwięzia, i ciało obróciło się ciężko jak stara, zmęczona dziwka. Zobaczyłem ją.

Tylko przez chwilę; zaraz potem już kłęczałem w wysokiej, mokrej trawie, krztusiłem się i wstrząsały mną torsje, śluz wyciekał mi z ust, okulary zsuwały się po twarzy, która nagłe, mimo chłodu, stała się śliska od potu. Jak wspominałem, nie byłem bohaterem; wymiotowałem dotąd, aż gardło mi się ścisnęło, i przez cały ten czas moja skóra była rozpalona, a ręce drżały z przerażenia... nie myślą, że wstanie i mnie dotknie, nieszczęsna kobieta (choć później przyszedł czas, że i w takie rzeczy gotów byłem uwierzyć), ale że może to zrobić istota, która się nią pożywiła.

Nie zobaczyłem jej twarzy.

Przynajmniej to nigdy nie nawiedzi mnie w koszmarach; za to jestem wdzięczny. Ale jeśli chodzi o resztę jej nieszczęsnego zmasakrowanego ciała... sama myśl o tym, mimo upływu czasu, błyskawicznie zaciera wszelkie przerażające wspomnienia wojny. Nie było krwi. Tylko sznury jelit, kości i straszna, czarna dziura w miejscu jamy klatki piersiowej, prawic zupełnie pusta. O tak, coś się najadło do syta.

Ostrożnie wytarłem usta garścią kłującej, zapiaszczonej trawy z brzegu rzeki, i wstałem. Nogi uginały się pode mną, kręciło mi się w głowie. Krzyknąłem: „Na pomoc! Policja!” i potykając się i ślizgając, ruszyłem błotnistym brzegiem z powrotem w stronę mostu. Na moście stał mężczyzna, patrzący w moją stronę; wysoki, lekko zgarbiony, z postawionym od wilgoci kołnierzem. Nie odszedł, lecz zdawał się na mnie czekać i samą swoją obecnością dodał mi otuchy, złagodził szok i przerażenie. Łzy wdzięczności nabiegły mi do oczu; wyciągnąłem do niego rękę.

- Dzięki Bogu! - krzyknąłem z przejęciem. - Tam, przy jazie, jest ciało. - Zatoczyłem się ku niemu i upadłem kolanem w błoto, z oczami zasnutymi mgłą łez. Widziany przez nią mężczyzna wydał mi się jakby znajomy. Przez chwilę czułem, że patrzy mi w oczy, choć nadal nie mogłem dostrzec jego miny. Z jego ust wyrwał się cichy dźwięk, blada dłoń drgnęła i schowała się w kieszeni płaszcza... po czym odwrócił się jednym ruchem i długimi, niezgrabnymi susami uciekł z mostu i ode mnie, by zniknąć w jednej z bram.

Musiałem coś krzyknąć, bo właśnie wtedy zza rogu wyłoniła się grupa roześmianych studentów i natychmiast otoczyły mnie przyjazne, współczujące twarze, dłonie dotykające moje własne, obejmujące mnie ramiona.

Zewsząd dobiegły okrzyki: „Zróbcie mu miejsce!” i „Dajcie mu odetchnąć!”.

Próbowałem się uśmiechać i normalnie oddychać, opowiedzieć moją historię, powstrzymać straszliwe drżenie rąk i nóg. Świat powoli wrócił do równowagi. Jeden z chłopaków pobiegł na komisariat i ściągnął dwóch konstabli i karetkę. Nie zgodziłem się wsiąść do karetki, ale przyjąłem podsuniętą mi brandy. Poczujęm się lepiej. Trzy razy opowiedziałem, co się stało, najpierw studentom, potem policjantom i wreszcie młodemu inspektorowi o surowej twarzy i zaskakująco łagodnym głosie, który przesłuchiwał mnie na komisariacie i poczęstował herbatą. Nie miałem nic przeciwko temu, by o tym mówić; przy każdym kolejnym powtórzeniu cała historia zdawała się mieć coraz mniej wspólnego z rzeczywistością. Przy filiżance herbaty, wpatrzony w szare oczy inspektora Turnera i podniesiony na duchu współczuciem w jego głosie, czułem się prawie jak bohater. Byłem na wojnie, owszem, ale już się skończyła.

- Skąd właściwie przyszło panu do głowy, że tam mogą być zwłoki, panie Holmes? - spytał Turner ci-

cho. - Dwaj ludzie, których tam wysłałem, twierdzą, że z mostu nic nie widać, a pan... pan sam przyznaje, że ma słaby wzrok.

- Wiem - odparłem. - Nie potrafię tego wyjaśnić. - Opowiedziałem mu w skrócie o wydarzeniach zeszłej wiosny, o Rosemary i o tym, jak wyciągnąłem ją z rzeki, a on skinął głową, jakby zrozumiał.

- Oczywiście - powiedział. - Czy rozpoznał pan denatkę? - Zadygotałem, ale tym razem panowałem nad sobą na tyle, że nie rozlałem herbaty.

- Nie widziałem jej twarzy - odparłem zniżonym głosem. - Kiedy... się odwróciła... zrobiło mi się niedobrze.

Turner uśmiechnął się zaciśniętymi ustami.

- To nie powód do wstydu, panie Holmes - powiedział z ożywieniem. - Widziałem więcej trupów niż pan, a na widok tego tutaj każdy by pożałował, że zjadł śniadanie. - Zawiesił głos i zamknął notes.

- Na razie to wszystko, może pan odetchnąć - powiadomił mnie. - Da pan radę wrócić do domu, panie Holmes?

- Tak sądzę, dziękuję, panie inspektorze. - Uśmiechnąłem się niepewnie, chwilę szarpałem się z guzikami swojego płaszcza, i w końcu zadałem pytanie, na które czekał od początku. - Czy traktujecie tę sprawę jako... to znaczy... czy uważa pan, że to zabójstwo?

Inspektor westchnął, jakby zamyślony nad moim pytaniem.

- Nie wiem - odparł. - A pan? - I przez chwilę miałem wrażenie, że pyta mnie serio, jak równego sobie, jakby sądził, że naprawdę potrafię coś mu powiedzieć.

- Cóż... może jakieś zabłąkane zwierzę... - zasugerowałem i poczułem się jak idiota.

Inspektor uniósł brew.

- Może - powiedział łagodnym tonem.

- Co za człowiek zrobiłby komuś coś takiego? - spytałem bezradnie.

Turner potrząsnął głową i rzucił ostatnie pytanie.

- Na pewno powiedział mi pan wszystko, co pan widział?

- Choć się uśmiechał, jego szare oczy były zimne.

- Oczywiście... przynajmniej... tak mi się zdaje - wyjąkałem. - Czemu pan pyta? Chyba nie jestem podejrzany?

- Nie. - Zaprzeczenie inspektora było szorstkie, prawie obojętne. - Nie może być podejrzanych, dopóki nie ma morderstwa, a czy mamy tu morderstwo, to rozstrzygnie lekarz sądowy.

- Aha. - Zabrzmiało to nieprzekonująco i natychmiast zacząłem się czuć podejrzany, do mojej duszy wsączyło się nieproszone poczucie winy. - Rozumiem.

Spojrzałem na uśmiech Turnera i zimny dreszcz powędrował z moich stóp w górę, jeżąc kłujące włoski na moich udach. Nie jestem dobrym kłamcą i myślę, że inspektor wiedział, że nie powiedziałem wszystkiego, ale ten jeden szczegół był zbyt bolesny, skrywał w sobie zbyt wielką tajemnicę, by ujawnić go już teraz. Poza tym, sam nie do końca mogłem w to uwierzyć i musiałem poznać prawdę, zanim zaczęną działać, zanim zdecyduję, co robić.

Bo ten mężczyzna, którego zobaczyłem na moście, ten, którego zawołałem, a który uciekł nerwowymi, niezgrabnymi ruchami dowodzącymi najwyższego przerażenia, mężczyzna, którego oczy na chwilę spotkały się z moimi i z których wyczytałem trwogę i zrozumienie... ja go poznałem.

To był Robert.

Wspomnienie tamtego spotkania z moim przyjacielem Robertem dręczyło mnie czas jakiś, nim w końcu zebrałem dość odwagi, by zrobić to, co zrobiłem. Pamiętałem jego poszarzałą twarz, to, jak na mnie spojrzał, zanim uciekł -

to nie był wzrok człowieka zdrowego na umyśle - i bałem się. Kiedy w końcu zacząłem go szukać, uczyniłem to w równym stopniu dla spokoju własnej duszy, co z troski o Roberta, otarłem się bowiem o straszliwą śmierć i byłem pewien, że mój przyjaciel z jakiejś przyczyny ma klucz do tej tajemnicy, czymkolwiek była.

„Cambridge News” opublikował artykuł o sprawie, jak ją nazywali, „Ciała w jazie”, opisujący, jak znalazłem kobietę „dotąd niezidentyfikowaną”, ale prawdopodobnie „figurującą w rejestrach osób zaginionych”. Okazało się, że lekarz sądowy nie potrafił jednoznacznie ustalić przyczyny zgonu, ale stwierdził, że rany, które widziałem, eufemistycznie określone przez gazety „rozległymi obrażeniami wewnętrznymi”, zadane zostały po śmierci. W chwili oddania artykułu do druku nikt nie wiedział, czy doszło do zabójstwa, czy nie. Może oprócz Roberta.

Zajął mi trochę czasu, żeby go odnaleźć, bo odkąd straciłem z nim kontakt, wyniósł się ze swojej kwatery i nie zostawił nowego adresu. Odwiedziłem jego college, ale jego opiekunowie naukowcy byli tak zdumieni, jak ja; nie widzieli go ani nie rozmawiali z nim regularnie od wielu tygodni. Wreszcie, po następnych trzech dniach bezowocnych poszukiwań, skierowano mnie do obskurnego baru w piwnicy na końcu Mili Road, gdzie, jak powiedział mi mój informator, można się tanio napić, „jeśli nie jesteś wybredny, gdy chodzi o towarzysztwo”; i tam znalazłem Roberta, siedzącego samotnie przy stoliku z butelką wina. Przemiana, jaka w nim zaszła nawet w ciągu tych kilku dni, była przerażająca. Miał rozczochrane, za długie włosy. Był nieogolony, bez krawata, w garniturze tak wymiętym, jakby w nim spał, może nawet nieraz. Miał podkrążone oczy pijaka i ściągniętą twarz, ze sterczącymi kośćmi policzkowymi. Zerknął na mnie obojętnie i nalał sobie następną lampkę wina, oparty łokciami na brudnym stoliku jak starzec.

Usiadłem obok niego bez słowa, choć w głowie kotłowały mi się dziesiątki pytań. Znów się napił; zapach taniego czerwonego wina, mimo że wręcz duszący w tym małym, ciasnym lokalu, nie w pełni maskował odór potu i piwnicznego brudu.

Po chwili Robert przemówił.

- Czego chcesz? - Jego głos, choć lekko tylko bełkotliwy od alkoholu, był zupełnie pozbawiony wyrazu.

- Och, Robert... - Zdaje się, że mój głos drżał; chciało mi się płakać, kiedy widziałem przyjaciela w takim stanie, w takim miejscu. - Co ty ze sobą robisz? Czemu nie przyszedłeś do mnie, skoro miałeś kłopoty? Po co ukrywać się w tej spelunie jak jakiś... - Głos mi się załamał i położyłem dłoń na ramieniu Roberta, bardziej po to, by się uspokoić, niż żeby dodać mu otuchy. Zawsze służył mi oparciem w trudnych chwilach, zawsze był zrównoważony, beztroski, szczęśliwy. Co mogło go aż tak zmienić?

Odpowiedź nasunęła się sama, nieproszona... zresztą, moje myśli cały czas krążyły wokół niej.

- Rosemary... - wyszeptalem. - Czy to ma coś wspólnego z Rosemary?

Reakcja była natychmiastowa.

- Nie! - warknął. - Nic. Nic! Nie mieszaj jej do tego. To moja sprawa, tylko i wyłącznie. Zostaw mnie w spokoju.

- Zabrzmiało to jak gorzka, płacziwa skarga. Żartobliwy, zmanierowany Robert, którego znałem, zmienił się w prostaka o zdartych nerwach, trawionego od wewnątrz straszliwą słabością, poczuciem bezradności, jakie czasem widzi się u narkomanów albo chorych psychicznie. Sprawiał wrażenie człowieka, który wisi nad przepaścią. Przez chwilę byłem zdezorientowany, wszystko, co wydawało się solidne i trwałe w moim świecie, rozpadało się wokół mnie.

- Przecież jestem twoim przyjacielem... - zaprotesto-

wałem. - Jeśli jesteś chory, potrzebujesz pomocy, zawsze mogę...

- Nie potrzebuję pomocy! - odparował tak głośno, że ordynarna barmanka zerknęła w jego stronę, może w obawie, że będą z nim kłopoty. Widząc jej reakcję, zniżył głos, ale jego oczy wciąż błyszczały za mocno i patrzyły wrogo, a ton, jakim mówił, był pełen jadu.

- Nie potrzebuję pomocy - powtórzył. - Jestem z Rosemary bardzo szczęśliwy. Mało tego, poprosiłem ją o rękę. - Zawiesił głos. - Powiedziała „tak” - dodał, jakby po to, by rozwiać moje ewentualne wątpliwości co do tego, czy mówi prawdę.

- Och - powiedziałem cicho. - Wychodzi za ciebie? Moje gratulacje... serio. Kiedy? - Jego oświadczenie tak mi podcięło skrzydła, że ledwo mogłem sklecić dwa słowa bez jąkania się.

Robert zauważył moje zmieszanie i postarał się przybrać normalny ton.

- Rosemary chce... w sierpniu. To da nam dość czasu. - Próbował się uśmiechnąć; wypadłoby to całkiem niezłe, gdyby jego oczy nie były tak puste. - Nie wiem, stary, co za bzdura masz na moim punkcie, ale jak sam widzisz, nic złego się nie dzieje. Zadzwońlibym oczywiście, ale ostatnio jestem strasznie zajęty, rozumiesz, mam na głowie Rosemary, przygotowania do ślubu i tak... trzeba powiadomić rodzinę... a czasu mało...

- Wyglądasz, jakbyś był chory - bąknąłem.

- Tak to jest, jak się siedzi do późna. Łagodny atak *Welt-schmerz*. Trafiłeś na mnie w zły dzień, co innego mogę ci powiedzieć? Rosemary była dziś zajęta, więc poszedłem się powłóczyć i wylądowałem na brzegu Lete. - Mówił z udawaną nonszalancją; fakt, że tak usilnie starał się mnie oszukać, przeraził mnie jeszcze bardziej niż jego wcześniejszy agresywny

ton. Patrzyłem na przyjaciela i widziałem zupełnie obcego człowieka, o roziskrzonych oczach psychopaty wyglądających spod karnawałowej maski. Z nagłym bólem serca uzmysłowiłem sobie, że tak naprawdę nigdy go nie znałem.

- Robercie, widziałem cię na moście. Uciekłeś, ale cię poznałem.

- Na jakim moście?

Opowiedziałem całą historię, poczynając od tego, jak znalazłem ciało, a kończąc na tym, jak go zobaczyłem i wezwałem na pomoc. Wysłuchał mnie ze szczerym niedowierzaniem, doprawionym, jak za dawnych czasów, szczyptą na poły dobroduszej pogardy.

- Dan, to nie byłem ja - powiedział. - Jesteś na złym tropie.

- Niemożliwe! Byłeś w tym samym płaszczu... patrzyłeś na mnie, na litość boską!

Po raz pierwszy tego wieczoru mój przyjaciel spojrzał mi prosto w oczy i położył dłoń na moim ramieniu.

- Słuchaj, stary - odezwał się całkiem rzeczowym tonem - gdybym to był ja i gdybyś wezwał mnie na pomoc, naprawdę myślisz, że bym uciekł? - Bezradnie potrząsałem głową. - Co więcej - ciągnął - jak sam mówisz, byłeś w szoku. A ja wiem, jak kiepski masz wzrok. Byłeś roztrzęsiony, zobaczyłeś faceta w takim płaszczu jak mój, krzyknąłeś do niego... a resztę załatwiła twoja wyobraźnia. Nic dziwnego, że uciekł, biedaczysko. - Znów spróbował się uśmiechnąć; tym razem prawie się dałem przekonać.

- A co do tego, kto z nas jest chory - dodał - sam nie wyglądasz rewelacyjnie. Za dużo zmartwień, stary. No już, zabieraj się do domu i przestań się przejmować. Wpadnę któregoś dnia i wyskoczmy na drinka. Jak za dawnych czasów. Dobrze?

Skinałem głową.

- Jak za dawnych czasów. Na razie, Dan. No, już cię *tu nie* ma, grzeczny chłopiec. Przyjdź, kiedy będę bardziej towarzyski. -I to powiedziawszy, odwrócił się, by nalać sobie następną Jampkę wina, a ja poczułem się osamotniony i odtrącony.

Bezradnie wszedłem schodami na górę, na świeże powietrze, rozmyślając gorączkowo. Coś było nie tak, ja to wiedziałem i żaden z jego argumentów nie mógł tego zmienić, ale dlaczego właściwie uważałem, że mnie okłamał? Po co miałby w ogóle *czuć potrzebę*, by *mnie* okłamać?

Rosemary. Wszystkie nici zdawały się skupiać w jej rękach. To od niej wszystko się zaczęło; to ona odmieniła Roberta i odebrała go *mnie*. Może od niej dostanę odpowiedź; może ona będzie w *stanie to* wszystko wyjaśnić. Zatrzymałem się u wylotu Mill Road i w głowie zakiełkował mi pewien pomysł.

A potem wróciłem do piwnicy.

Kilka słów z barmanką *wystarczyło*, by *uzyskać potrzebne* informacje; pamiętała Rosemary, choć oczywiście nie z imienia. Często widywała ją z Robertem, *owszem*, i wiedziała, gdzie mieszka; pod miastem, w obskurnym szeregowcu z widokiem na rzekę. Spojrzałem na zegarek; dopiero minęła *dziesiąta*. Przy odrobinie szczęścia może jeszcze nie będzie spała.

Przyspieszyłem kroku i usiłowałem sobie *wnówić*, że *serce* bije mi mocniej tylko z wysiłku, do jakiego nie *nawykłem*. Na miejsce dotarłem już dwadzieścia po dziesiątej; przede mną ciągnął się długi rząd szeregowców, dawniej zajmowanych przez studentów jednego z *college'ów*, obecnie będących prywatną własnością. Prawie cały *tonął* w ciemnościach, ale tu i ówdzie paliły się pojedyncze światła, zabarwione od *zastłon* na czerwono, niebiesko lub fioletowo, a przed każdą klatką schodową był oświetlony ganek ze skrzynkami na listy, opatrzonymi nazwiskami lokatorów.

Sprawdziłem sześć klatek schodowych, zanim znalazłem tabliczkę z napisem ASHLEY 2; wszedłem po schodach do mieszkania numer 2. Zapukałem, ale nikt nie otworzył. Zapukałem jeszcze raz i wyętyżyłem słuch, ale nikt nic podszedł do drzwi, a w szczelinie u dołu nie widać było światła. Rosemary gdzieś wyszła. Spojrzałem na zegarek i zmarszczyłem brwi; była już za dwadzieścia pięć jedenasta, jak dla młodej kobiety trochę późno na samotny spacer. Chwilę nad rym myślałem. Czy znów zatrudniła się gdzieś jako kelnerka albo barmanka?

A może znalazła sobie innego mężczyznę?

Może właśnie o to chodziło. Jeśli Rosemary rzeczywiście pokochała innego, to wyjaśniałoby ponury, prawie agresywny nastrój Roberta. I tłumaczyłoby, dlaczego nie ucieszył się na mój widok; może myślał, że nadal żywię do niego urazę o to, że mi ją odbił. Zdarzenie na moście puściłem w niepamięć; tu już wszystko było jasne. Ruszyłem schodami z powrotem na dół, wciąż zaintrygowany, ale i z pewną satysfakcją, że rozwiązałem zagadkę. Biedny Robert. Nic dziwnego, że skoczył mi do gardła, kiedy spytałem go o Rosemary. Pierwszy raz na poważnie zainteresował się kobietą, posunął się nawet do tego, by poprosić ją o rękę. Nie żebym wcześniej nie podejrzewał, że tak to się może skończyć, zważywszy na to, jak niełojalnie obeszła się ze mną. Zamyślony, bezwiednie przystanąłem u okna na podeście i moją uwagę zwrócił jakiś ruch na zewnątrz. Nie miałem powodu sądzić, że to Rosemary; a mimo to, nie wiedzieć czemu, byłem tego pewien. Może przez to, jak się poruszała, jak trzymała głowę, choć skąd wzięła się ta pewność i jak mogłem wciąż, po tak długim czasie, odczuwać drżenie serca na widok każdego jej gestu, nawet ledwie zauważonego przez okno na piętrze, tego wyjaśnić nie potrafię. Może wszystko sprowadzało się do tego, że kto zobaczył Rosemary raz, choćby przez chwilę, ten nieprędko ją zapominał.

Nie traciłem czasu na to, by próbować rozróżnić jej rysy przez zabrudzoną szybę; zamiast tego pędem zbiegłem na dół, odbijając się rękami od ściany na półpiętrze, a potem na ganku. Wyskoczyłem na zewnątrz, w noc, z jej imieniem na ustach, czerwony na twarzy, i zimne powietrze poniosło mój krzyk w pustkę. Zniknęła.

Rzuciłem się biegiem za nią, przeszukałem wszystkie boczne uliczki, wszystkie ganki, wszystkie bramy. Wróciłem po swoich śladach i zajrzałem na tyły budynku, na zaułek, gdzie w równych rzędach stały pojemniki na śmieci; nic. Rosemary przepadała jak kamień w wodę.

Klnąc, poszedłem nawet z powrotem do obskurnej piwnicy, w której spotkałem Roberta, ale właśnie zamykali i już go nie zastałem.

Wtedy wróciłem do mieszkania Rosemary i tam na nią czekałem; czekałem długo, ale nie przysła.

Od tej nocy, którą spędziłem, czekając na Rosemary pod jej drzwiami, czułem się odcięty od własnego życia i od życia zwyczajnych ludzi. To wtedy znów zacząłem snić; nawiedzały mnie sny o Rosemary, przytłaczające swoją wyrazistością, i im więcej ich było, tym bardziej rzeczywiste się stawały, a prawdziwe życie oddalało się coraz bardziej, uciekało jak woda wciągana do otworu odpływowego. Śniłem o niej co noc, z tęsknotą i paraliżującym strachem... była czarownicą z moich najskrytszych pragnień, moją Błogosławioną Panienką, jej włosy okrywały krwistoczerwoną zasłoną moje sny. Byłem chory z na nowo rozbudzonego pożądania, chory z poczucia winy i niepokoju o swojego przyjaciela Roberta. Zapomniałem o jedzeniu, o pracy, *trawiłem caie* dnie na jałowej, ponurej kontemplacji swojego zauroczenia. Przesiadywałem w kawiarniach w nadziei, że zobaczę ją *choć* przez chwilę, jakby to miało być odpowiedzią na wszystko, podczas gdy wokół mnie rozkwitło lato, a z *tego nadejściem*

w Cambridge zrobiło się duszno i niespokojnie. Już wtedy coś musiało wisieć w powietrzu, bo gazety peine byty doniesień o przestępstwach, kradzieżach i napadach, i o przebiegu policyjnego dochodzenia w sprawie „Ciała w jazie” (teraz już traktowanej jako zabójstwo, co skłoniło policję do wydania ostrzeżenia, by ludzie po zmroku trzymali się z dala od rzeki i wszelkich ustronnych miejsc), ale ja praktycznie ich nie zauważałem, bo ślizgałem się tylko po powierzchni życia.

Zobaczyłem ja dwa razy, raz z daleka, samą, i raz z Robertem. Zatrzymali się, kiedy ich pozdrowiłem; Rosemary, blada, wręcz biała w jaskrawym blasku słońca, wyglądała na chorą, ale i tak była piękna, jej jasne lawendowe oczy, osadzone w kościstej twarzy, wydawały się bezdennie głębokie, płomienne włosy, ciasno związane z tyłu, ginęły pod ciemnozielonym szalem. Robert, ku mojemu zdumieniu, był wyraźnie wypoczęty i tryskał zdrowiem; gdzieś zniknęła udręczona, zaszczuta mina, jaką widziałem u niego ostatnio, i na moje ostrożne pytania odpowiadał z humorem i serdecznością, która przypominała mi naszą dawną przyjaźń i stare czasy, sprzed pojawienia się Rosemary. Za to ona prawie się nie odzywała; ostatnio trochę chorowała i musiała leżeć w łóżku, ot, lekka grypa, zapewnił mnie Robert, ale jeszcze nie w pełni wróciła do zdrowia, była krucha, za chuda, i musiała odpocząć.

Robert był wobec mnie niemal zaborczy; usta praktycznie mu się nie zamykały, podczas gdy Rosemary nie mówiła praktycznie nic, a ja prawiłem jakieś banały. Nigdy jeszcze nie wydawał mi się tak obcy, jak wtedy; był pionkiem na szachownicy mojej egzystencji, wypranym z indywidualności. Odkryłem, że wymowność, którą kiedyś tak u niego podziwiałem, to nic innego, jak tylko lekkie, pretensjonalne żarciki dyletanta; że pod jego urokiem nie kryje się rzeczywista inteligencja. Wstyd mi się zrobiło, że dawniej niemal wyno-

siłem tego człowieka pod niebiosa, że darzyłem go ślepym uwielbieniem naiwnego uczniaka. To, co czułem w tamtym momencie, było początkiem dominacji Rosemary nade mną; po raz pierwszy zacząłem zazdrościć przyjacielowi.

Z mieszanymi uczuciami patrzyłem, jak odchodzą; jednak myślą, która przyćmiła wszystkie inne, była ta, że w sierpniu biorą ślub i że jeśli mam coś z tym zrobić, to muszę działać szybko. Już wystarczająco długo brałem się za bary z własnym sumieniem; byłem zadurzony i możliwe, że łudziłem się, iż Rosemary nie jest z Robertem tak szczęśliwa, jak mogłaby być. Niczym tonący, który chwyta się brzytwy, wyobrażałem sobie, że bierze pod przymusem ślub z mężczyzną, który, jak sam widziałem, jest niezrównoważony i nieobliczalny; że jeśli jest chora, to tylko ze zgryzoty, a może dlatego - kto to wie - że usycha z tęsknoty za mężczyzną, który wyciągnął ją z rzeki, a który teraz wydawał się zbyt zajęty, by zwracać na nią uwagę. Krótko mówiąc, zachowywałem się jak młody, obłąkany dureń. Prawda była zbyt prosta, żebym ją dostrzegł, a sprowadzała się do tego, że chciałem znów wcielić się w tę nową dla mnie rolę, rolę bohatera.

I dlatego pewnej nocy, może dwa tygodnie później - to musiało być pod koniec maja - wróciłem tam, do jej mieszkania, i od tego czasu żyję w piekle, rzeczywistość przelewa się obok mnie jasnym, odległym strumieniem, a ja sam jestem cieniem pośród cieni. Wszędzie widzę potwory i wiem, że istnieją naprawdę, bo zrobiła potwora także ze mnie przez to, że dała mi poznać to, co powinno pozostać nieznanne, i szydzi ze mnie, czemu trudno się dziwić, skoro wie, że przy całej mojej wiedzy jestem bezradny. Nikt mi nie uwierzy, nie zbliży się do mnie. Ona pozostaje nietykalna.

Wybrałem się do niej z własnej inicjatywy, ciemną nocą, wypiwszy dla kurażu trochę więcej, niż miałem w zwyczaju, może w nadziei, że zastanę ją samą. Tak ją idealizowałem

w wyobraźni, że wierzyłem, iż na jedno moje słowo rzuci Roberta i bez wahania pójdzie za mną. Wierzyłem w to tak głęboko, że kiedy stanąłem pod jej drzwiami, z twarzą mokrą od potu, w okularach zsuwających się z nosa, z sercem trzepoczącym jak serce ptaka nie tylko od wspinaczki po schodach, jej nieobecność była dla mnie ciosem. Drzwi były zamknięte, światła pogaszone. Dobijałem się, ale nikt nie otwierał.

Rozczarowanie odebrało mi siły; osunąłem się na ciemny podest obok jej drzwi. Nie mogłem się ruszyć, nawet gdybym chciał, i wiedziałem, że jeśli pójdę, nigdy nie zdobędę się na odwagę, by tu wrócić. W głębi ducha musiałem zdawać sobie sprawę, że to czyste szaleństwo, że zdradziłem przyjaciela i wyszedłem na idiotę, ale nie chciałem tego przed sobą przyznać i czekałem skulony przy drzwiach, z zamkniętymi oczami. I, mimo tak niewygodnej pozycji, chyba w końcu zasnąłem.

Jak mówiłem, było ciemno i długo czekałem, zawieszony między snem a jawą. Raz dotarło do mnie przez zasłonę nieświadomości, że ktoś przekrada się obok; raz usłyszałem wyraźne głosy z innego świata dochodzące z klatki schodowej. Nie wiem, jak długo czekałem. Ciemność mnie osaczała, czułem zapachy kurzu, pasty do podłóg i terpentyny, i być może coś mi się śniło. Mam nadzieję, że to był sen.

W tym śnie obudziłem się i zobaczyłem mrok; zgasła nawet lampa na dole klatki schodowej i noc była zimna. Poruszyłem się na drewnianej podłodze, owinałem się ciasniej płaszczem i próbowałem zebrać myśli. Może już żałowałem, że przyszedłem szukać Rosemary; może bałem się tego, co ściągnęło mnie pod jej drzwi; tak czy inaczej, mój rozżarzony do białości zapał wystygł i wreszcie naszła mnie myśl, że może wypadałoby wrócić do domu.

Rozruszałem zeszywniałe, podkurczone członki i wstałem. Czułem się głupio. Nawaliłem pod każdym względem: jako

przyjaciel, jako uczony i jako kochanek. Od czasu, kiedy wyciągnąłem Rosemary z rzeki, wszystko, na czym mi zależało, legło w gruzach; a co zrobiłem ja? Rozkleiłem się, powoli, jak stary, rozlatujący się strach na wróble, i przyczoigałem się tutaj, by umrzeć pod jej drzwiami, wystawić się na jej drwiny. Co, u licha, chciałem osiągnąć? Ogarnął mnie spleen. Nagle mój gniew znalazł sobie inny obiekt: Rosemary z takiej piękną twarzą i dziwnymi zwyczajami, Rosemary, która przepadła na całą noc, Rosemary, która miała wyjść za innego, Rosemary, która w jakiś sposób ściągnęła mnie tutaj, i, trawiony irracjonalną furia, odwróciłem się w stronę drzwi i wpadłem na nie całym impetem. Cóż, nie byłem siłaczem, tylko zasanowanym krótkowidzem, więc mogę się tylko domyślać, że drzwi ustąpiły, bo ktoś je odemknął, kiedy spałem. Tak czy owak, rozwarły się na oścież, a ja wleciałem do środka jak wystrzelony z katapulty i zatrzymałem się dopiero na fotelu na drugim końcu pokoju. Po drodze spadły mi okulary i zajęło mi jakieś pół minuty, żeby je znaleźć w nieznanym otoczeniu, dlatego minęło trochę czasu, zanim mogłem się rozejrzeć.

Mały pokój był słabo oświetlony lampą nakrytą zielonym jedwabnym szalem, którą otaczały starannie ustawione meble: dwa krzesła z haftowanymi poduszkami, toaletka, na której spoczywały butelki, pudełka i przybory toaletowe, łóżko. Na ścianach wisiały obrazy, podłogę przykrywał futrzany dywanik. W powietrzu wisiał dziwny, mdlący zapach, jakby kadzidła, od którego zakręciło mi się w głowie. Teraz przypominam sobie te wszystkie szczegóły, ale wtedy w mojej pamięci zapisało się niewiele ponad to, że pod drzwiami siedzieli dwaj mężczyźni, jeden na krześle, drugi skulony na podłodze, i obaj wpijali się we mnie rozbawionym, a przy tym dzikim wzrokiem.

Moją pierwszą reakcją było przerażenie; trafiłem nie do tego pokoju, co trzeba. Cofnąłem się z rozpaczliwym wstydem.

- Przepraszam, pomyliłem pokoje, przepraszam... - Ale zanim doszedłem do drzwi, które wciąż stały otworem za moimi plecami, uderzyła mnie inna myśl, myśl tak porażająca, że zatrzymałem się znowu i obejrzałem dziwny obrazek, który tu zastałem.

Po pierwsze, chłopak na podłodze był chory, i to straszliwie. Jego twarz była trupio blada nawet w tym zielonkawym świetle, oczy i usta przypominały ziejące jamy. Co więcej, wyglądało na to, że jest ranny; z kącika jego ust wysnuwała się cienka strużka ciemnej krwi, która ściekała po gardle i znikwała pod kołnierzem koszuli. Patrząc na niego, uświadomiłem sobie, że to jeszcze dziecko, nastolatek o potarganych lnianych włosach; leżał ledwo żywy na podłodze, jakby miał zaraz zemdleć. Jego starszy towarzysz wyglądał na jakieś czterdzieści kilka lat; miał długie czarne włosy, ciemny, gruby płaszcz, ostre, a przy tym niepokojąco kobiece rysy. On też był blady, niemal chorobliwie, jak suchotnik wyniszczony przez rozpustę; i choć oceniłem, że jest dużo starszy ode mnie, emanował młodością, jakiej ja nigdy nie zaznałem, jakimś wewnętrznym, pierwotnym blaskiem, który go odmieniał. Na moich oczach troskliwie osłonił chłopca ramieniem i patrzył na mnie bez słowa.

Może widząc ten gest, nabrałem przekonania, że przed moim wejściem uderzył chłopaka; może uznałem to za odruch obronny - przypominam, że wciąż byłem, może nie pijany, ale tak podpity, jak nigdy przedtem, a w tamtych czasach miałem dużo słabszą głowę niż dziś - a mimo to zrobiłem krok naprzód.

- Co tu się dzieje? - spytałem. - Kim jesteście?
- Przyjaciółmi - powiedział brunet cicho.
- Czyimi? - spytałem trochę zbyt piskliwym głosem.
- Rosemary, oczywiście - odparł. Chwilę milczał. - A ty to, oczywiście, Daniel Holmes.

Zamurowało mnie.

- Skąd mnie znasz?

- Znamy wszystkich przyjaciół Rosemary - powiedział brunet i na jego usta powoli wypłynął uśmiech. - Prawda, Rafe? - Uśmiechnął się do lnianowłosego chłopca i musnął jego twarz długim, bladym palcem. Chłopiec nie odpowiedział, tylko odwrócił się lekko w moją stronę i przez chwilę widziałem jego długie rzęsy, ocieniające wydatną kość policzkową; on też był dziwnie androginicznej urody i w tej pozycji nagle zaczął mi strasznie przypominać Rosemary. Przeszło mi przez myśl, że mógłby być jej bratem. Zrobiłem jeszcze jeden krok w ich stronę.

- Co tu robicie? - spytałem. - I gdzie Rosemary?

- Rosemary? Niedługo będzie. Przyszliśmy do niej. - Parsknął śmiechem, jakby rozbawiony tym, co powiedział.

Tobie, który czytasz te słowa w innych czasach i wyznajesz inne zasady moralne, może być trudno zrozumieć oburzenie, jakie wzbudził we mnie jego niedbały ton. Czasem i mnie samemu ciężko sobie przypomnieć, jak to było być młodym i pryncypialnym.

- Rosemary w sierpniu wychodzi za mąż - oświadczyłem zimno.

- Nie wydaje mi się stosowne, by o tej porze przyjmowała u siebie „przyjaciół”. Wie, że tu jesteście? - Brunet obojętnie wzruszył ramionami. Znowu zerknąłem na postać leżącą na podłodze.

- Chłopak jest chory? Coś mu się stało?

- Nie.

Jego bezczelny ton działał mi na nerwy.

- Złe wygląda - zauważyłem - i krwawi. Jeśli natychmiast nie powiesz, co tu się dzieje, wezwę policję. Chłopak powinien być w domu, w łóżku. A ty nie powinienesz siedzieć w pokoju Rosemary bez jej wiedzy!

Odpowiedział beznamiętnym, niemal znudzonym tonem.

- Rafe'owi nic nie jest. Trochę wypił, a jeszcze nie ma w tym doświadczenia. - Długim, bladym palcem wskazującym leniwie otarł strużkę krwi z policzka Rafe'a, po czym, nie odrywając swoich zielonych oczu od moich własnych, zlizał sobie krew z dłoni. Ten gest z jakiegoś powodu wydał mi się bardziej wyuzdany od najgorszej pornografii i poczułem, że się rumienię ze złości.

- Chłopak w tym wieku w ogóle nie powinien pić! - krzyknąłem, w części po to, żeby ukryć swoje zmieszanie, i podszedłem do chłopca, którego nazywał imieniem Rafe. - Hej. Obudź się. Gdzie mieszkasz? Jak chcesz, mogę cię zabrać do domu. Dobrze się czujesz? - Spiorunowałem bruneta wzrokiem, ale on tylko znów się uśmiechnął.

Rafe nic odpowiedział, tylko jęknął słabo i odwrócił głowę jak chore, grymaśne dziecko.

- Gdzie mieszkasz? - Złapałem go za ramię i przez jego cienką koszulę poczułem, że jest bardzo zimne. Tknęła mnie inna myśl.

- Co brałeś? - wypytywałem gorączkowo. - Co to było? Co piłeś?

Miałem wrażenie, że oddech chłopaka jest płytki; że jego twarz jest zbyt blada, a skóra zbyt zimna.

- Na litość boską, co to było? - niemal krzyknąłem. - Nie widzisz, że on umiera?

Zanim jednak nieznajomy mógł odpowiedzieć bądź wyprowadzić mnie z błędu, półotwarte drzwi rozwarły się na oścież i weszła ona, Błogosławiona Panienska, z tymi cudownymi włosami opadającymi luźno na ramiona, smukła jak witka, w długiej sukni z czarnego muślinu, która spowijała jej kostki jak kłęb dymu. Zignorowała mnie zupełnie i odwróciła się do bruneta.

- Java, kto go wpuścił? Mówiłam, nie wpuszczać nikogo, zwłaszcza Daniela. Dlaczego daliście mu wejść?

Mężczyzna powiedział coś niezrozumiałego. Rosemary niecierpliwie potrząsnęła wilgotnymi lokami.

- Nic lepszego nie wymyślisz?

I znów odwróciła się do mnie.

- Biedny Daniel - powiedziała i uwierz mi, jej uśmiech był spełnieniem wszystkich moich marzeń; czuły, pełen miłości, słodki, wyglądał jak uśmiech anioła. - Biedny, głupi Daniel.

I zanim zdołałem się odezwać, otworzyła drzwi łazienki za moimi plecami i wepchnęła mnie do środka. Straciłem równowagę, zsunęły mi się okulary; wyciągnąłem rękę, żeby się czegoś przytrzymać, nadaremnie krzyknąłem, widząc, że Rosemary zamyka mi drzwi przed nosem, szarpnąłem za klamkę - drzwi okazały się zablokowane z zewnątrz - znów się pośliznąłem, okulary spadły mi na podłogę (usłyszałem, jak stuknęły o płytki), szukałem po omacku włącznika światła, i przez to, że z każdą chwilą byłem coraz bardziej spanikowany i zagubiony, minęły całe dwie minuty, zanim go znalazłem i zorientowałem się, co jest ze mną w środku.

Leżało w wannie. Było nagie, przynajmniej to, co z niego zostało, biała emalia wysmarowana była schnącą krwią, odciskami palców i dłoni, i podłużnymi, bezkształtnymi plamami, które powstały, gdy ciało przeciągano w tę i we w tę, jakby chciwymi rękami dzieci. Zostało całkowicie rozczłonkowane; kończyny oddzielono od tułowia jak zad zarzniętej świni. Wyglądało odrażająco, białe, okrwawione, bezgłowe... tak, trup nie miał głowy, z przeciętej szyi wyzierała czerń i biel krwi i kości. A dzban obok zlewu wypełniała po brzegi ciemna, lepka ciecz... i wtedy dotarło do mnie, skąd wzięła się krew okalająca usta chłopaka imieniem Rafe, zrozumiałem, jakie ohydne wino pił. Wezbrał we mnie okropny, paniczny strach. Próbowałem krzyknąć, próbowałem pomyśleć, upadłem, zawirowało mi w głowie i odwróciłem się od światła, ku nicości.

CZEŚĆ TRZECIA

ŚMIERĆ I DZIEWCZYNA

1

Może to wszystko mi się przyśniło; w te mroczne dni, podczas których nie odróżniam już ludzi od zwierząt, zastanawiam się czasem, czy to był sen. Szukam odpowiedzi na dnie kieliszka, ale zbyt często, zamiast pocieszenia, znajduję tam bestię szczerzącą się do mnie ze śmiercią w oczach. Nie mogę się zbyt uskarżać; tu przynajmniej są dla mnie dobrzy, tak dobrzy, jak mogę tego oczekiwać od tych ludzi, którzy nie widzą demona wśród nich.

Życzliwe pielęgniarki w czystych białych uniformach przychodzą i odchodzą; niektóre znajdują chwilę dla nieśczęsnego starego pijaka z dziewiątki i w zeszły wtorek jedna z nich - nieledwie dziecko, bez wątpienia w drodze na spotkanie ze swoją sympatią - przyniosła mi gardenię, którą wyjęła z własnych włosów, i wstawiła ją do szklanki obok mojego łóżka. Nie wyobrażasz sobie, jak cenny był dla mnie ten kwiat, jak miękki, świeży i wonny, niczym orzeźwiający tchnienie w ciemnym kręgu mojego świata. Przez cały wieczór przepełniała mnie nowa nadzieja, pewność, że nie jestem sam, że jeśli zdołam doczekać świtu, z nastaniem nowego dnia może wreszcie choć przez chwilę ujrzę Boga. Gdy jednak nadeszła noc i cienie wypełzły z kątów pokoju, by obsiąć moje łóżko jak wygłodniałe demony, złamałem

się i znów sięgnąłem po butelkę, by przyniosła mi gorzkie ukojenie, a z nim sen. A kiedy zasnąłem, powróciły sny.

Obudziłem się z narkotycznego, zwierzęcego snu z fetorem cyrku w nozdrzach. Czułem się jak żywcem pogrzebany.

Z początku niczego nie pamiętałem, po czym, kiedy wróciło wspomnienie tego, co widziałem, krzyknąłem i w ciemności poderwałem się na kolana. Byłem ślepy; czułem kamienie i ziemię pod dłońmi, krople cmentarnego potu na twarzy, zapach brudu, krwi i taniej whisky. Nie miałem pojęcia, gdzie jestem.

Zaczekałem chwilę, aż świat wróci do równowagi, i zacząłem się czołgać. Nie byłem na jakiejś bocznej uliczce, to wiedziałem na pewno; szybko wracał mi wzrok i mogłem już rozróżnić niewyraźne plamy światła i cienia na nierównej ziemi, a gdzieś po prawej stronie ciemność przecinała szczelina, przez którą wsączało się światło czegoś, co uznałem za latarnię uliczną. Wyglądało na to, że byłem w jakimś budynku. Chałupa, myślałem czołgając się, albo opuszczony wiejski dom; może obora. Pewnie przywlokłem się tu zamroczony alkoholem, żeby schronić się od zimna, i straciłem przytomność z dala od wszystkich. Musiałem być pijany w sztok; tylko to mogło wyjaśnić te straszliwie wyraziste koszmary, potworności, które zrodziły się w głębi mojej podświadomości, by prześladować rozum. Dotknąłem ściany na lewo ode mnie, w nadziei, że jakoś podciągnę się na nogi, ale kamień był zwilgotniały i nieprzyjemny w dotyku, i cofnąłem rękę jak od ścierwa. Światło było już bliżej i w jego blasku widziałem obrys drzwi, obok nich stos kamieni albo gruzu, śliską, mokną ścianę u wejścia. Za drzwiami wypatrzyłem coś jakby furtkę... metalowe, zwieńczone kolcami ogrodzenie ozdobione żeliwnym wzorem... i nagle wypita whisky zmieszana z żółcią podeszła mi do gardła, bo zrozumiałem, co to za miejsce, odkryłem, jak mi się wtedy wydawało, źródło swoich koszmarów.

Byłem w krypcie.

Kiedy tylko to do mnie dotarło, dostrzegłem kilkanaście dotąd niezauważonych szczegółów: światło z okna kościoła na zewnątrz, rzędy tabliczek w wilgotnej ścianie, w którą trumny zostały wsunięte jak szuflady, resztki wieńca zawieszzonego na ogrodzeniu niczym trofeum. Może cicho jęknąłem. Przeraził mnie nie tyle fakt, że się tu znalazłem, co straszne podejrzenie, że zwariowałem. Po co tutaj przyszedłem? Czemu moja podświadomość wytworzyła takie fantazje o Rosemary i jej przyjaciółkach? Czy wciąż byłem tak zszokowany odnalezieniem ciała w rzece, że koniecznie musiałem znowu wystawić się na podobne katusze? Zataczając się, ruszyłem w stronę wejścia do krypty, już zupełnie trzeźwy, choć przewracało mi się w żołądku, potknąłem się o kamień, upadłem na kolano, wyciągnąłem ręce do przodu, żeby się podeprzeć, pośliznąłem się...

Moje dłonie natrafiły na coś miękkiego i mokrego, zimnego jak błoto, ale kiedy spojrzałem w dół, zobaczyłem, że to nie błoto. Żadne błoto nie mogło mieć tego tęczowego połysku, tej strasznej, ciastowatej miękkości... I kiedy tak patrzyłem w dół, niezdolny krzyknąć, odwrócić wzrok czy choćby się ruszyć, uwięziony na zawsze w tym potwornym, wieczność trwającym momencie, zrozumiałem, że jeśli to dzieje się naprawdę, to wcześniej też nie śniłem, nie miałem pijackich zwidów, nie byłem zdany na łaskę własnej podświadomości, tylko czegoś dużo groźniejszego. Może już wiedziałem; może uciekłem przed prawdą.

Teraz jednak, kiedy miałem prawdę pół metra przed sobą, nie mogłem jej zaprzeczyć. Było to bowiem to samo ciało, które widziałem w łazience Rosemary, poćwiartowane, zakrwawione, bezgłowe, a ja klęczałem nad nim, ściskając je w obu dłoniach, z rękami zagrzebanymi po łokcie w mięsie wewnątrz pogruchothanej klatki piersiowej, niczym praczka nad balia.

2

Powodowana ciekawością - i czymś więcej - postanowiła ponownie zajrzeć do pokoju Ginny. Była prawie trzecia nad ranem; dziewczyna jeszcze nie wróciła i Alice, choć potwornie zmęczona, nie mogła nawet znieść myśli o śnie. Co mnie opętało?, myślała. Pchnęła drzwi sypialni, włączyła światło, zajrzała do środka. Łóżko wciąż było nie-
tknięte, w pokoju panował idealny, bezduszny porządek, jakby nikt tu nigdy nie mieszkał. Skierowała się prosto do szafy, otworzyła ją i niemal z furią rzuciła ubrania Ginny na łóżko. Niech cię diabli, myślała gorączkowo. Kryła się tu jakaś tajemnica, wiedziała to, i wiedziała też, że musi ją odkryć, bo inaczej zadławi się podszytą przerażeniem, tłumioną wściekłością. Rozrzuciła ubrania na wszystkie strony i szukała; na chwilę zainteresowało ją parę strzykawek i jakieś ampułki, ale w końcu cisnęła je na bok. Nic. Z frustracji chciało jej się płakać. Była pewna, że coś tu znajdzie, irracjonalnie, obsesyjnie pewna, jak we śnie. Kiedy zaczęła odkładać ubrania na miejsce, jej spojrzenie padło na kwadratowy zarys walizki Ginny, wsuniętej do połowy pod łóżko. Rzuciła się na nią, wy-
ciągnęła ją i otworzyła z okrzykiem triumfu. W środku, niedbale zawinięta w stare gazety, leżała skrzynka.

Mniej więcej wielkości kościelnej Biblii, była z twardego drewna, z metalowymi okuciami. Miała uchwyt, za który można ją było nosić, i choć przy wyciąganiu jej z kryjówki drewno się zarysowało, wciąż dawało się odczytać napis na wieku:

STRZEŻ MNIE

Minęła dłuższa chwila, zanim Alice przypomniała sobie, gdzie widziała tę inskrypcję, a wtedy przerażenie powróciło ze zdwojoną siłą. Pułapka się zatrzasnęła.

Zamek był solidny; to drewno w końcu ustąpiło i przy podważaniu wieka metal odłaził od skrzynki jak tektura. Alice zawahała się na chwilę.

Czym jest skrzynka, jeśli nic przejściem w nieznanne, drzwiami do świata tajemnic? Alice była prawie pewna, że na jakiś czas ma dosyć tajemnic, dosyć drzwi. Tak naprawdę chciała tylko zapomnieć o wydarzeniach ostatnich kilku dni, położyć się w wygodnym łóżku i zasnąć, a tajemnice niech wracają, gdzie ich miejsce.

Ale było na to za późno; już zabrała skrzynkę do pracowni, gdzie nikt jej nie mógł przeszkodzić. No i przecież wyłamała zamek; nawet jeśli teraz nie zajrzałyby do środka. Ginny domyśli się, że Alice ją szpieguje. To było wypowiedzenie wojny; wiedziała o tym. Nie miała odwrotu.

Odrzuciła wieko, po raz pierwszy zajrzała do skrzynki i wpadła głową naprzód do Krainy Po Drugiej Stronic Lustra.

Jej pierwszą reakcją było zdumienie, pierwszą niezborną myślą: „Mój Boże! To Rossetti!”. Dygocząc, sięgnęła do skrzynki, wyciągnęła rękopis - i obrazy. W zachwycie rozłożyła je na podłodze pracowni, skacząc oczami od jednego do drugiego, jakby nic wiedziała, który obejrzeć najpierw.

Były piękne, ale nie wyszły spod ręki Rossettiego.

Były ich ze dwadzieścia, akwarele, rysunki piórkiem, szkice kredą, o rozmiarach nie większych niż trzydzieści cen-

tymetrów na dwadzieścia, z postrzępionymi krawędziami, jakby od nierównych cięć nożem do papieru, na grubym, kremowym papierze, pożółkłym ze starości. Były stare, stare i przepiękne, same studia kobiet, niejednej kobiety. Portrety-popiersia, portrety stojące, w różnych pozach, akty, postać elegancko wyciągnięta na kanapie, pośród ciepłego niebieskiego aksamitu, delikatnie naszkicowana ołówkiem, oparta o ścianę z instrumentem muzycznym w ręku, studia oczu, warg, włosów... opuszczone powieki, ręka bawiąca się kosmykiem włosów, głowa odrzucona do tyłu, głowa pochylona do przodu... Minęło trochę czasu, zanim Alice w ogóle mogła je dobrze obejrzeć, i jeszcze więcej, zanim jej umysł znów zaczął normalnie pracować. Jej następną racjonalną myślą była: „Stary chytrus. Nie miał prawa ich zamurować w kaplicy w Grantchester. Muszą być warte majątek”. Wzięła do ręki obraz wybrany na chybił trafił; subtelny pastel w odcieniach brązu i czerwieni. Jej pierwsza reakcja nie była znowu tak głupia; rzeczywiście był w stylu Rossettiego, choć przy bliższym przyjrzeniu dostrzegła brak przesadnie uwydatnionych ust, charakteryzujących postaci portretowane przez Rossettiego. Przedstawiał kobietę, widoczną do ramion, z głową przechyloną pod dziwnym, trochę wyzywającym kątem, jakby mierzyła się z kimś spojrzeniem. Włosy miała bujne, o fakturze oddanej pieczołowicie naniesionymi odcieniami czerwieni, i odgarnięte na bok, by odsłonić zaokrąglone, idealne, nagie ramię. Portret opatrzony był datą - 1869 - i podpisany precyzyjnie wykreślonymi, splatającymi się literami: W. H. C.

Monogram nic Alice nie mówił, za to styl i data owszem; obróciła pastel, ale na odwrocie oprócz szkicu roboczego nie znalazła żadnej nowej wskazówki. Sięgnęła po następny portret, wykonany ołówkiem, z muśnięciami czarnego tuszu wokół oczu i warg. Znowu ten sam monogram. Znowu data, tym razem 1868. Te obrazy były dla Alice zagadką. Po pierwsze, wyglądały

autentycznie: nie ulegało wątpliwości, że to ukończone prace najwyższej klasy, w stylu prerafaelskim, choć niepodpisane przez żadnego ze znanych jej wiktoriańskich malarzy. Miały w sobie coś z Rossettigo, Burne-Jonesa, Waterhouse'a, a przy tym widać było, że ich autorem nie był żaden z nich; kontury tych kompozycji nakreśliła pewna ręka, a z rysów sportretowanej postaci biła moc, w porównaniu z którą blade, przywidłe damy Rossettiego i anielskie, ale mało wyraziste bohaterki legend z obrazów Burne-Jonesa wydawały się cokolwiek śmieszne. Te obrazy były po prostu inne. Z arkusza za arkuszem grubego kremowego papieru jej oczy patrzyły na Alice, drwiące, wyniosłe, kuszące i jakby znajome, tak, jak znajome wydawać się mogą wszystkie prawdziwie klasyczne dzieła sztuki...

Znajome.

Alice wyrwała z zadumy myśl tyleż absurdalna, co przerażająca: oczywiście, że ta twarz wyglądała znajomo! Przecież ona też ją narysowała, tę samą twarz, te szeroko otwarte oczy, te usta, wykrzywione jakby w parodii zmysłowości... Sięgnęła po teczkę ze swoimi pracami, nerwowo złapała za przewiązującą ją sznurek... pociągnęła. Wysypały się arkusze papieru, twarze, wszystkie takie same, łudząco podobne, wizerunki nakładające się na siebie jak odbicia w gabinecie luster, luster, w których odbija się nie tylko obraz, ale i czas. Długo wpatrywała się w obrazy, przesuując wzrokiem z własnych portretów na te podpisane W. H. C. i z powrotem, i na próżno usiłowała znaleźć logiczne wytłumaczenie, i choć takowe nie istniało, Alice miała fakty przed sobą, na kartach, które nieżyjący już człowiek uznał za dość ważne, by schować je na zawsze w murze kościoła, i jej rosnąca pewność była po trosze jak histeria, a po trosze jak szaleństwo.

Bowiem portrety Ginny i te przedstawiające nieznaną modelkę z epoki wiktoriańskiej, bez wątpienia od dawna spoczywającą w ziemi, wyglądały identycznie.

1

Jak długo klęczałem na ziemi, obejmując trupa w uścisku tak intymnym i wyklętym, jak tylko uścisk potwora z ofiarą być może, nie potrafię powiedzieć. Resztki whisky wyparowały jak mgiełka w zimne powietrze przed świtem, pozostawiając we mnie pustkę, w której przez zda się całą wieczność tlił się płomyk rozsądku, napastowany przez monstualne cienie. Może płakałem. Nic mogłem się ruszyć; byłem u kresu wszelkiego ruchu, wszelkiej nadziei. Zobaczyłem coś, czego nie powinien zobaczyć nikt, a oni, w szyderym, pogardliwym geście, zachowali mnie przy życiu, pewni, że nie stanowią dla nich zagrożenia; wiedząc, że zrobili ze mnie potwora i zbiega, pozwolili mi żyć. Może sprawiło im to przyjemność. Jakże łatwo byłoby mi w tym momencie wczołgać się z powrotem do krypty, niczym ślimak do skorupy, i ukryć się w kojącej ciemności; ogarniająca mnie rozpacz była ponad moje siły, a mrok przyzywał, niczym matczyne łono, obiecując zapomnienie. Tak bliski byłem tego, by przyjąć, co oferował... Wstałem, z rękami okrytymi krwią prawie po barki, potknąłem się, już zacząłem się odwracać plecami do światła...

I wtedy przypomniałem sobie o Robercie.

Ta myśl była jak zimny prysznic. Wydałem stłumiony okrzyk i zakryłem sobie usta dłońmi, rozmazując po wargach

zimną krew. Tak byłem przerażony, tak zajęty uzalaniem się nad sobą, że zapomniałem o Robercie, moim przyjacielu. Robercie, który miał poślubić Rosemary.

Rosemary. Samo to imię przyprawiło mnie o zimne poty. Wszystko skupiało się wokół Rosemary, mojej Błogosławionej Panienki. Nawet wtedy jeszcze nie zaświtało mi, czym była naprawdę; w moim świecie nie było na to słów ani myśli. Wybudzając się z katatonii, już zaczynałem szukać racjonalnych wytłumaczeń, myśleć o tym, co się stało, w kategoriach przestępstwa, sprawy dla policji (pospiesznie odpędziłem wspomnienie cienkiej strużki krwi w kąciku ust jasnowłosego chłopca), bo uważałem się za człowieka rozsądnego; w morderstwo mogłem uwierzyć. Resztę postanowiłem zignorować. Dlatego znów zamknąłem oczy na prawdę i zacząłem przesiewać dowody w poszukiwaniu tego, co mogłem zaakceptować. Rosemary była morderczynią. Prawdopodobnie faktycznymi sprawcami byli jej przyjaciele, ale ciało znajdowało się w jej mieszkaniu, co czyniło ją winną w równym stopniu jak oni. Może wszyscy troje byli szaleni... tylko szaleni nie zdobyłby się na to, by pić krew... o ile ten chłopak rzeczywiście ją pił. Wmówiłem sobie, że to był wytwór mojej rozgorączkowanej wyobraźni. Wpadli w panikę, kiedy ich nakryłem; bali się mnie zabić i zamiast tego porzucili na przykościelnym cmentarzu, wraz z ciałem, być może w nadziei, że rano ktoś znajdzie mnie nieprzytomnego i cuchnącego alkoholem, i że zostaną uznani za winnego tej zbrodni. To miało sens.

Do tego czasu strach we mnie wystygł; mój umysł znów zaczął funkcjonować i oceniłem swoją sytuację na chłodno. Nie mogłem dać się złapać. Na mój widok każdy niezawodnie uznałby, że jestem mordercą; byłem po pachy we krwi, krew miałem też na twarzy i na kolanach - to od klęczenia na okrwawionej ziemi - moje ubrania były brudne i porwane.

i podejrzewałem, że mam w oczach dziki blask, zrodzony z tego, że widziałem zbyt wiele.

Przestąpiłem przez ciało i podszedłem do wrót krypty; straciłem już za dużo cennego czasu i na horyzoncie widziałem bladoszary brzask jutrzejki. Pozostała część nieba była ciemna; oszacowałem, że jest około czwartej nad ranem, ale to i tak było za późno, bym mógł niezauważony przemknąć ulicami Cambridge. Wystarczyłoby, żeby zobaczyła mnie jedna osoba... na przykład mleczarz w drodze do pracy. Przeczesałem włosy palcami, podsunąłem okulary na grzbiet nosa, spróbowałem wyczyścić umazane szkła dłonią, którą wytarłem w nogawkę spodni, i ostrożnie, chyłkiem - nawet nie wiedziałem, że tak potrafię - opuściłem cmentarz i ruszyłem w stronę drogi na Grantchester. Szedłem polami wzdłuż szosy, pochylony, chowając się za drzewami, co pewien czas czołgając się na brzuchu przez skąpą roślinność, by pozostać niezauważonym. Tylko raz kogoś zobaczyłem, a i to ze zbyt daleka, by poznać, czy byli to mężczyźni, czy kobiety, ot, grupka trzech-czterech osób idących drogą, ale choć wiedziałem, że mnie nie dostrzegli, strach przygwoździł mnie do ziemi, język przyrósł mi do podniebienia i kuliłem się w rowie przez całe dziesięć minut, zanim nabrałem dość odwagi, by ruszyć dalej.

Zajęło mi prawie godzinę, żeby dotrzeć do domu, i przez ten czas po niebie rozlała się czerwona łuna świtu, wschodzące słońce barwiło wielodzielne okna na kolor krwi. NieSIONY panicznym strachem, rzuciłem się biegiem do drzwi, wyszarpnąłem klucze z kieszeni, nerwowo wcisnąłem klucz do zamka. Przeżyłem jedną, niekończącą się chwilę grozy, kiedy zamek się zaciał, ale drzwi w końcu się otworzyły, a ja wgramoliłem się do środka jak niedoszły topielec do łodzi ratunkowej. Dwa, cztery, sześć, osiem schodków i byłem w swoim pokoju, łapiąc powietrze, które w moich płucach

stawało się gęste jak krew, podczas gdy bezrozumny lęk wciąż ścisnął mnie za gardło.

Przypadkiem spojrzałem w lustro i omal nie krzyknąłem. Przez jedną, koszmarną chwilę patrzyłem w swoje odbicie i dopiero kiedy podszedłem bliżej, za krwawą maską poznałem samego siebie; włosy stały mi dęba, szkła okularów były umazane krwią, na czole miałem długie zadrapanie, na szyi bezkształtne sińce. Tylko moje oczy patrzyły przytomnie i błyszczały za grubymi szklami. Kiedy w nie spozierałem w ciemnym, grafitem poznaczonym lustrze, wiedziałem, że nie jestem potworem.

Metodycznie się rozebrałem i wrzuciłem ubrania do kominka. Rozpaliłem ogień przy użyciu papieru i drewna, a gdy wszystkie dowody mojego pobytu w krypcie spłonęły, niezwykle starannie umyłem się w przedpotopowej wannie pani Brown, polewając się zimną wodą z dzbana, po czym opłukałem też okulary, by nie został nawet najmniejszy ślad krwi. Następnie wyszorowałem wannę i dzban, rozrzuciłem pogrzebaczem popiół w kominku, włożyłem czyste ubranie i wilgotną szmatką skrupulatnie wytarłem gałkę w drzwiach, poręczę schodów, klamkę w drzwiach wejściowych i klucze. Dopiero wtedy uznałem, że zrobiłem wszystko, co było można, i że nie zostało nic, co mogłoby powiązać mnie z makabrycznym czynem Rosemary.

Rzut oka na zegar w korytarzu powiedział mi, że jest za piętnaście szósta rano; słyszałem odgłosy krzątania w kuchni, gdzie pani Brown robiła sobie śniadanie (zawsze wstawała wcześniej, choć ja raczej nie zwlekałem się z łóżka przed dziewiątą), więc zakradłem się z powrotem na górę, zanim mogła wyjść i ze mną porozmawiać. Po wszystkim, co przeszedłem, byłem wykończony, i chciałem tylko położyć się, zasnąć i spróbować zapomnieć. Zamknąłem drzwi na zamek, rozebrałem się, szczelnie zasunąłem zasłony, żeby

światło nie przeszkadzało mi we śnie, po czym z przeciągłym, znużonym westchnieniem wśliznąłem się w chłodną, pachnącą lawendą pościel, by pogrążyć się w nicości.

Obudziło mnie pukanie do drzwi i usiadłem na łóżku, z zaskorupiałymi, piekącymi oczami i bolącą głową. Pukanie nie ustawało.

- Wszystko w porządku? - To była pani Brown. - Nie chce pan śniadania?

- Która godzina? - spytałem, trzymając się obiema rękami za głowę, jakby to mogło uśmierzyć ból. Wydawało mi się, że mam piasek w oczach.

- Już prawie dziesiąta. Może napije się pan herbaty?

Potrząsnąłem głową.

- Nie, ja... nie czuję się najlepiej. Muszę się przespać. Proszę dać mi pospać, pani Brown. Proszę mnie nie budzić.

Odpowiedziało pełne dezaprobaty cmokanie.

- Hm, późno się wróciło do domu? Gdyby potem chciał pan coś przekąsić, proszę mnie zawołać, dobrze?

- Dziękuję.

Usłyszałem jej oddalające się kroki i zagrzebałem się z powrotem pod kołdrą, wdzięczny za ciemność. Pościel nie była już chłodna i świeża, tylko oblepiała słonym uściskiem moje spocone ciało. Przewróciłem się na drugi bok, szukając chłodnego miejsca, instynktownie osłaniając twarz od blasku bijącego z okna. Żałowałem, że nie mam ciemniejszych zasłon; te, szkarłatne, przepuszczały dość słońca, by wokół okna utworzył się nimb światła, które raziło moje zmęczone, wrażliwe oczy. Bolało mnie gardło, miałem opuchniętą twarz. Naciągnąłem kołdrę na twarz najdalej jak się dało i w tej grobowej, niepokojącej ciemności wreszcie udało mi się zasnąć. I tym razem nawiedziły mnie sny.

Znów byłem w krypcie; otaczała mnie wilgotna, lepka ciemność, w nozdrzach miałem zapach ziemi z mogił,

na koniuszkach palców czułem grobowy pot i byłem głodny. Głód skręcał mi kiszki, rozchodził się przyprowadzającym o zawrót głowy echem po komnatach mojego umysłu, był gorszy od strachu, bardziej natarczywy od popędu seksualnego, bardziej bolesny od głodu narkotycznego. Huczało mi od niego w uszach, zaschło w ustach; czułem się słaby. Odwróciłem się w stronę światła na końcu komory i zmrużyłem oczy, choć do środka wsączały się tylko cienkie smużki światła dziennego. Głód pchał mnie naprzód. Wyszedłem z chłodnej, przytulnej ciemności, położyłem rękę na furtce, znieruchomiałem. Przy jednym z grobów klęczała postać, młoda dziewczyna, odwrócona do mnie plecami, z szalem zarzuconym na wątle ramiona. Kosmyki jasnych włosów wysmyknęły jej się spod chusty i tańczyły wokół jej twarzy.

Głód uderzył mnie jak obuchem; zachwiałem się. Miałem spierzchnięte wargi i oblizałem je bezwiednie. Wytarłem zwilgotniałe dłonie w spodnie i podszedłem bliżej. Dziewczyna modliła się; nie obejrzała się, kiedy stanąłem za nią, nie ruszyła się, kiedy wyciągnąłem rękę, prawie dotykając jej twarzy. Czułem bijące od niej ciepło, cienki paseczek odsłoniętego karku między szalem i chustą na głowie był blady, niemal przezroczysty. Widziałem pod jej skórą delikatną siateczkę żył, żywe delty w obcym pejzażu. Chwyciłem ją, odwróciłem do siebie, wyobrażając sobie, że będzie miała głowę odrzuconą do tyłu, szeroko otwarte oczy, krzyk na ustach... i zobaczyłem zupełnie co innego.

Uśmiechała się, wyciągała ku mnie ręce, z jej bladej, delikatnej twarzy wyglądały wielkie, lawendowe oczy. piękne oczy, z których wyczytałem głód podobny do mojego. To była Rosemary.

Zawahałem się; we śnie nie znałem strachu, tylko głód. Złapałem ją za nadgarstek; moje spojrzenie zsunęło się po jej nagiej ręce, w dół zmysłowej rzeki jej żył.

- Daniel. - Jej gtos był chropawy, erotyczny. Mój własny uwiązł mi w gardle, kiedy na nią spojrzałem. Nigdy, przynigdy nie widziałem piękniejszej istoty. Uśmiechnęła się znowu, podniosła małą dłoń i położyła na moim policzku.

- Co się ze mną dzieje? - powiedziałem na poły do siebie, ale z oczami zatopionymi głęboko w jej oczach.

- Kochaj mnie - wyszeptwała. Na ustach czułem ciepły dotyk jej dłoni. Nagle wychwyciłem ożywczy zapach bijący z jej skóry: lawenda, słodycz i ciepła, wartko płynąca krew.

- Mój Boże! - krzyknąłem bełkotliwie, z jej nadgarstkiem przyciśniętym do moich ust. Trzymałem ją w objęciach, jej włosy pieściły moją twarz, jej cienkie kości wydawały się tak kruche w moim uścisku, jej krew tętniła na moich wargach...

- *Kochaj mnie.* - Nagłym szarpnięciem wykręciłem jej dłoń i przycisnąłem do swoich ust. Wgryzłem się głęboko w jej gładką, słoną skórę; była miękka jak skórka owocu i już po chwili trysnęła spod niej czysta, słona krew. Piłem tak zachłannie, że aż się zachłystywałem, raz po raz wczepiałem się *ustami* w ranę, lizałem ją rozpaczliwie. Krew ściekała mi z kącika ust, przywołując wspomnienie... choć czego, nie pamiętałem. Krawędzie rozcięcia miały lekko metaliczny smak, były trochę nierówne, i wcisnąłem między nie język, by poczuć puls płynącej krwi. mój oddech był ciężki, urywany z nadmiaru rozkoszy i chciwości. Pamiętam jej smak. Wzór, jaki tworzyły wszystkie linie i żyły na tym nadgarstku. Czy mógł to być sen? Czy oszalałem? Krew była mocą, była życiem... chłęptałem ją nieprzytomnie, ze strachem, świadom, że ona w każdej chwili może mnie odtrącić i pozostawić na pastwę głodu i beznadziei.

I kiedy się pożywiałem, spojrzałem w górę, w jej czyste, bezdennie głębokie oczy.

A gwiazd w jej włosach było siedem.

Przez wiele godzin śniłem niespokojnie i jęczałem w przepoconej, gorącej pościeli, a Rosemary kroczyła przez moje sny w chwale. Teraz, kiedy wśród takich snów żyję, nie mogę uwierzyć, że wizyta w krypcie mojej podświadomości była wtedy dla mnie czymś tak nowym i tak przerażającym. Trawiły mnie żądza i trwoga; moje ręce i nogi były jak z wody, głowa pękała od migreny. Nie przypominam sobie, by pani Brown jeszcze pukała do moich drzwi, choć przypuszczam, że musiała słyszeć, jak krzyczę przez sen, i dwa razy w ostatniej chwili dowlokłem się do umywalki, by wymiotować na porcelanę ciemnym śluzem... wówczas myślałem, że to żółć. Zadrapania na twarzy bolały jak diabli; dotykając ich odrętwiałymi czubkami palców, poczułem, że zmieniły się w wielkie, obrzmiałe pręgi, biegnące od czoła przez policzek po szyję, choć tę przynajmniej trochę osłoniła moja koszula. Po wewnętrznej stronie nadgarstków miałem ślady jak od zastrzyków, co częściowo tłumaczyło moją dezorientację i koszmary. Musieli mnie odurzyć narkotykami. Moje gardło było opuchnięte i pomyślałem, że może jeden z pomagierów Rosemary próbował mnie udusić, ale byłem zbyt słaby i zbyt rozpalony, by przyjrzeć się obrażeniom dokładniej.

Kiedy rozbudziłem się na dobre, zapadał zmrok; spojrzałem na zegarek i ze zdumieniem zobaczyłem, że jest już wpół do ósmej. Nigdy w życiu, nawet po całonocnych zabawach, nie przespałem całego dnia. Odrzuciłem pościel, wstałem i choć czułem się bardziej odświeżony, to wciąż miałem mdłości i kręciło mi się w głowie. Włożyłem szlafrok i poszedłem do łazienki, gdzie włączyłem światło, umyłem twarz, wziąłem dwie aspiryny i przejrzałem się w lustrze.

Nie mógłbym powiedzieć, że wyglądam dobrze; byłem błydy, oczy miałem przekrwione, błyszczące od gorączki. Niektórym mężczyznom z zarostem jest do twarzy, ale

nie mnie; nieogolony wyglądałem po prostu jak brudas, a dodatkowo szpeciło mnie zadrapanie, które przeobraziło się w ropiejącą pręgę. Teraz widać było, że ślady na mojej szyi to odciski palców: cztery okrągłe plamki, każda z rysą w kształcie półksiężyca w miejscu, gdzie paznokieć wbił się w skórę, i większy, mniej wyraźny siniec po drugiej stronie gardła, pod żyłą szyjną - ślad kciuka. Tuż nad nim widniało rozcięcie, którego przedtem nie zauważyłem, łukowata rana długości jakichś ośmiu centymetrów, lekko wypukła. Spojrzałem w lustro ze zmarszczonym czołem. To nie był ślad paznokci ani przypadkowe skaleczenie. Ktoś zrobił mi to rozmyślnie. Ale po co? I jak? Sądząc z wielkości i kształtu rany, jej lekko nieregularnych krawędzi, *mogły* ją zostawić... z irytacją potrząsnąłem bolącą głową. Przyśniło mi się zbyt wiele koszmarów. Z jakiego niby powodu ktoś miałby zrobić coś takiego? Ale to rzeczywiście wyglądało jak ślad zębów. Zły na siebie i swoje rojenia, odwróciłem się powoli. Te zadrapania trzeba będzie odkazić, w przeciwnym razie będę miał większe zmartwienia od złych *snów*. Znalazłem jodynę i stojąc przed lustrem posmarowałem nią rany na twarzy i szyi. Już lepiej. Teraz przydałoby się coś zjeść, bo wciąż byłem osłabiony i kręciło mi się w *głowie*, i uświadomiłem sobie, że nic nie jadłem od poprzedniego poranka. Poszedłem się przebrać do swojego pokoju, i zatrzymałem się na widok zwitka papieru przypiętego pinezką do moich drzwi. Wcześniej w pośpiechu go nie zauważyłem: uznałem (jak się okazało, słusznie), że to liścik od pani Brown.

Drogi panie Danielu,

Musiałam na trochę wyskoczyć do siostry, będę wieczorem. Przykro mi, że z Panem tak dziś kiepsko. Gdyby chciał Pan coś przekazać, zostawiłam na blasze dzbanek z herbatą

i, w piekarniku, kawałek pysznego dorsza na kolację. I może się Pan częstować wszystkim, co jest w spiżarni.

Miłego wieczoru,

V. Brown

Uśmiechnąłem się. To znaczyło, że tego wieczoru mam cały dom dla siebie, i bardzo dobrze; nie będę musiał odpowiadać na kłopotliwe pytania, bo pani Brown, choć złotego serca, bywała nadopiekuńcza i jej troskliwość czasem mnie męczyła. Jako że byłem sam w domu, nie zwracałem sobie głowy ubieraniem się, tylko od razu zszedłem do kuchni. Zgodnie z obietnicą, w piekarniku czekała na mnie ryba, a na kuchence herbata, usiadłem więc przy stole kuchennym i wziąłem się do jedzenia. Ledwie jednak przełknąłem jeden kęs, a znów zrobiło mi się niedobrze; dostałem zawrotów głowy, żołądek podjechał mi do gardła i odsunąłem talerz z niedojedzoną kolacją. Wypiłem duszkiem dwie szklanki wody, żeby zwalczyć mdłości, i przez kilka minut stałem przy ogniu, dygocząc w gorączce. Wydarzenia poprzedniej nocy kosztowały mnie dużo więcej sił, niż przypuszczałem. Wyciągnąłem ręce do ognia i po raz pierwszy od początku tego koszmaru spróbowałem przeanalizować sytuację na chłodno. Zawsze szczyliłem się tym, że jestem człowiekiem myślącym logicznie, uczonym, i teraz, wykapany i wyspany, z wolna odzyskiwałem swój naturalny pragmatyzm. Muszę to podkreślić: nie byłem neurotykiem i nie jestem nim dziś; wszelkie wnioski, które wyciągnąłem od tamtego czasu, oparte są na moich własnych doświadczeniach i badaniach. Nawet wtedy, gdy wygrzebywałem się z wiru koszmarów, rozpatrywałem sytuację obiektywnie.

Moją pierwszą myślą była ta, że to wielkie szczęście, że w ogóle żyję. Najwyraźniej widziałem coś, co mogłoby ostatecznie pogrzyźć Rosemary i jej bandę morderców; pró-

bowali się mnie pozbyć i z jakiegoś powodu sfuszerowali. Może zamierzali obciążyć mnie winą za swoją zbrodnię; może usiłowali mnie udusić i uśpić, a potem porzucili. Zdecydowanie była to sprawa, którą powinna zająć się policja, tak dla mojego dobra, jak i dla dobra Roberta (nie chciałem wierzyć, by maczał w tym palce), i łamałem sobie głowę nad tym, jak najlepiej to rozegrać.

Mordercy na pewno zdążyli już pozbyć się dowodów; ciało, jak wiedziałem, było ukryte na cmentarzu i prędzej czy później ktoś je odnajdzie. Rosemary w swoim mieszkaniu będzie nietykalna. Rafe i Java... jeśli ich nie znajdę, nikt mi nie uwierzy, a nie miałem pojęcia, kim są i gdzie ich szukać. Ja sam - cóż, nie ulegało wątpliwości, że nawet jeśli pójde na policję, i tak mogą mnie podejrzewać; raz już tak się strategicznie ulokowałem, że wypatrzyłem trupa, a okoliczności, w jakich znalazłem się tym razem, też jasne nie były. Wolałem uniknąć sytuacji, w której wszystko zależałoby od tego, czy ludzie uwierzą Rosemary, czy mnie... kiedy to się skończy?

Znów rozboleła mnie głowa, tym razem od wzmożonego wysiłku umysłowego. Wiedziałem, że to z całą pewnością nie było jedyne brutalne zabójstwo w Cambridge w ostatnich kilku miesiącach. Czy Rosemary miała coś wspólnego ze śmiercią kobiety z jazu? Czy też moje dowody były tylko poszlakami, a ona była niewinna?

Chciałem w to wierzyć. Pragnąłem tego, kiedy przypominałem sobie jej twarz, tak słodką, i niewinność bijącą z jej oczu, pragnąłem tego całym sercem, bo ją kochałem, być może nigdy nie przestałem jej kochać. W mojej głowic zaczęły powstawać szalone i kuszące hipotezy. Rosemary była niewinna; była pionkiem Javy i Rafe'a, którzy jakimś sposobem mieli ją w swojej mocy. Zahipnotyzowali ją. Naszpikowali narkotykami, jak mnie. Szantażowali ją. Te wszystkie rojenia sprawiły, że moją wcześniejszą podejrzliwość wobec

niej i strach przed nią zastąpiło przekonanie, że to ona jest ofiarą, że potrzebuje mojej pomocy, że dręczące mnie koszmary to tylko skutek zazdrości i szoku wywołanego tym, co widziałem ostatniej nocy. Jak wspominałem, Rosemary przemieniła nas wszystkich w dzieci.

Powiadomić policję? Nie śmiałem, w obawie, że pogrążę nie tylko Rosemary, ale i siebie; czy mogłem się łądzić, że nie będą jej podejrzewać? Prasa ujawniła już, że zwrócono się do Scotland Yardu o pomoc przy sprawie „Ciała w jazie”; spodziewałem się, że w każdej chwili mogą wezwać mnie na następne przesłuchanie. Za nic w świecie nie chciałem ściągnąć uwagi śledczych na siebie ani na Rosemary. Zdałem sobie sprawę, że będę musiał działać na własną rękę, i że nie ma chwili do stracenia. Poszedłem do swojego pokoju, ubrałem się w prosty, ciemny garnitur, lekki płaszcz i kapelusz, wróciłem do kuchni i stanąłem w zamyśleniu nad szufladą z nożami. Ostatecznie wybrałem nożyk do krojenia mięsa, ostry, ale dość mały, by można go było schować w rękawie, i wyruszyłem w drogę. Czułem się trochę głupio, ale jednocześnie byłem podekscytowany. Domyślałem się, że dla człowieka czynu wyjść w noc z zamiarem popełnienia morderstwa i ocalenia niewiasty to nic wielkiego; ale ja nie byłem człowiekiem czynu.

Rzut oka na zegarek powiedział mi, że zbliża się ósma; upalny dzień przechodził w duszny, pochmurny wieczór. Ja jednak wciąż dygotałem i byłem zadowolony, że wzięłem płaszcz, choć większość napotykanych ludzi ubrana była lżej ode mnie. Szedłem zdecydowanym krokiem, z lewą ręką zeszywniała od ucisku noża; wiedziałem, dokąd idę. Dokąd? Do jej mieszkania, oczywiście, ale tym razem ukradkiem, nauczony przykrym doświadczeniem. Mniej więcej w połowie drogi do centrum miasta chwyciły mnie pierwsze skurcze; z początku były znośne, niby atak kolki, ale już po chwili stałem zgięty wpół na poboczu, niemal na kolanach, z twarzą zlaną zimnym potem i zębami

zaciśniętymi z przeraźliwego bólu. Nie była to ruchliwa ulica; nikt nie przyszedł mi z pomocą. Padłem na kolana, nie mogłem złapać tchu. myślałem, że nie wytrzymam. Oddech, przeciągający się w nieskończoność, kwas w moim żołądku, w płucach... następny oddech. Ból powoli łagodniał, aż wreszcie minął. Ostrożnie wstałem; w obawie przed kolejnym atakiem wolałem nie wykonywać nagłych ruchów. Wyprostowałem się, wziąłem kilka głębokich oddechów.

Pewien, że skurcze, cokolwiek je spowodowało, rzeczywiście ustały, ruszyłem opustoszałą drogą, już ostrożniej. Nie uszedłem jednak stu metrów, a dostałem następnego ataku; tym razem z miejsca zwaliłem się na ziemię, sparaliżowany. Świat wirował wokół mnie jak karuzela, wstrząsały mną męczące torsje i plułem czymś czarnym na drogę. Może krzyknąłem; może tylko mi się zdawało. Okulary zsunęły się z mojego nosa w trawę i zacząłem ich szukać po omacku, ale pod rękami czułem tylko żdźbła; próbowałem wstać, pośliznąłem się, upadłem na bok. Chyba myślałem, że dostałem ataku serca, i trzymając się obiema dłońmi za serce wyczołgałem się na drogę, w elipsę niepewnego, rwanego światła latarni. A potem zemdlałem.

Kiedy odzyskałem przytomność (jak sądzę, nie więcej niż kilka minut później), ból minął, a na ulicy wciąż było pusto. Ostrożnie wstałem i, ponieważ nic nie zapowiadało, bym miał dostać następnego ataku, wyprostowałem się. Otrzeptałem ubranie i teraz, kiedy niemoc mnie odstaąpiła, poczułem się dość głupio. Byłem skłonny machnąć ręką na to, co się stało, i złożyć to na karb niedożywienia, a może skutków trucizny, którą mi wstrzyknęli, bo miałem się już zupełnie dobrze i nawet obudził się we mnie zdrowy apetyt. Odszukałem okulary, wytarłem je, założyłem na nos, i od razu poczułem się lepiej. Otrzeptałem kapelusz, wsadziłem z powrotem na głowę i ruszyłem w dalszą drogę. Głód coraz bardziej dawał mi się we znaki

i zacząłem się zastanawiać, czy przed wizytą u Rosemary nie wpaść gdzieś, gdzie mógłbym coś przekąsić. Nie byłoby dobrze, gdybym u niej zasnął. Kiedy wszedłem na główną drogę do Cambridge, minęła mnie grupa nieznanymi mi studentów; doleciał mnie ich śmiech i wesoły okrzyk: „Dobry wieczór!”.

Może to przez zaskoczenie; w każdym razie na dźwięk głosu drgnąłem i nogi znów ugięły się pode mną. Naraz poczułem ostre, przejmujące zimno, i chwyciły mnie mdłości. Zakręciło mi się w głowie, uniosłem dłoń, by uchylić kapelusza na powitanie, ale zatrzymałem ją w połowie drogi i uśmiech zamarł mi na ustach. Głód nagle stał się nie do zniesienia. Przeszli obok mnie, trąkając nieprzerwanie; tylko jeden chłopak spojrzał na mnie z ukosa, może po to, by sprawdzić, czy jestem pijany. Był najbliżej mnie z całej grupy; gdy wyłonił się z mroku, jego szeroka, ogorzała twarz zaśniła w świetle latarni. Przez chwilę widziałem wszystko w zniekształconej perspektywie; jego młoda twarz zdawała się groteskowo wyciągać ku mojej, jakby oglądana w kulistym akwarium, i cofnąłem się; jego puste niebieskie oczy, szerokie, roześmiane usta, krople potu w rozszerzonych porach ogolonych policzków, wszystko to w oczach mojej wyobraźni urosło do monstrualnych rozmiarów. Nagle owionął mnie bijący od niego potężny żar; czułem jego zapach, aromat zapakowanego mięsa pośród nocy, woń jego brylantyny, służącą tylko za akompaniament do pierwotnego tętnienia jego młodej krwi. Bezwiednie wyciągnąłem do niego rękę... ale grupka już odeszła ze śmiechem w noc, a ja zostałem sam pod latarnią, rozdygotany i zniesmaczony swoimi myślami. Chyba nie zamierzałem...? Zakląłem pod nosem i ruszyłem w drogę. Przez to wszystko, czego doświadczyłem w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin, zaczynałem mieć urojenia. Szedłem, a głód, zaostrzony, podążał moim śladem, gdy wznowiłem łowy.

2

Alice malowała szybko, precyzyjnie, rozmyślając o faktach, o których przeczytała w dzienniku Daniela Holmesa.

Fakty. Kołowały nad nią jak ptaki zwiastujące apokalipsę, wylatujące z mroków przeszłości, by uprzedzić o nadciągającej katastrofie. Aż kusiło, by wyjść poza fakty i snuć najprzeróżniejsze niepokojące fantazje, Alice jednak tylko patrzyła ze zmarszczonym czołem na swoje płótno, jej zręczne palce operowały pędzlem, aerografem, gumą maskującą i rozcieńczalnikiem, a przez głowę raz po raz, w swoim pierwotnym, fascynującym rytmie, przewijały się myśli o tym, co wyczytała.

Malowała automatycznie, nieświadomie, jej dłonie poruszały się wprawnie i szybko, ale duchem była zupełnie gdzie indziej. Przypuszczała, że zaplanowała, co chce zrobić; że sporządziła wstępne szkice, zmieszała farby i powycierała pędzle, ale wiele godzin później, kiedy spojrzała na płótno, zobaczyła je jakby cudzymi oczami. Nie to, że nie widziała go wcześniej, ale przy pracy zauważała tylko detale: tu dłoń, tam kępa roślin, kwadrat nieba; dostrzegała wyłącznie efekty, jakie dawał barwnik i forma. Teraz miała przed sobą ukończone dzieło sztuki, zupełnie niepowtarzalne, zmuszające, by na nie patrzeć. Cofnęła się o krok, długo, spokojnie

oglądała płótno i wsłuchiwała się w zwodnicze bicie swojego serca, podczas gdy wszystko nabierało kształtów, powoli i tak nieuchronnie, jak nieuchronnie rozkołysane wahadło powraca do punktu wyjścia.

Znów brzeg rzeki, może nawet to samo miejsce: rozpoznała to łagodne zakole, zwieszające się rośliny, blade odbicia drzew w ciemnej wodzie. Także i tym razem wszystkie elementy oddane były z najdrobniejszymi szczegółami i jakoś bardziej wyraziste niż w rzeczywistości, o staranniej zarysowanych kształtach, każdy emanujący własną światłością. Na pierwszym planie były dwie postacie, jedna na drugim brzegu rzeki, z twarzą zwróconą ku Alice, ale lekko pochyloną nad wodą, druga widziana z profilu, stojąca po kolana w wodzie, z podwiniętymi nogawkami spodni odsłaniającymi chude, blade nogi, komicznie zniekształcone w świetle załamującym się w powierzchni rzeki.

Byli to młodzi mężczyźni, ubrani dość oficjalnie, w garnitury z szerokimi kłapami; ten w okularach, zwrócony twarzą do Alice, miał na głowie kapelusz. Alice nie bardzo mogła dostrzec, co wyrażają ich miny, ale w pozach, w jakich stali, wyczuwało się jakieś napięcie, jakby byli zaintrygowani, ale jednocześnie woleli trzymać się z dala od obiektu, który płynął rzeką między nimi. Zmrużyła oczy, by zobaczyć, co to, i kiedy uprzytomniła sobie, co namalowała, skrzywiła się mimo woli. Boże! Co ją, u licha, opętało?

Na tak małym płótnie postać powinna być - dla dobra obserwatora - niewyraźna, ale nie była. Wręcz przeciwnie, widziana z bliska nabierała ostrości, więc Alice zobaczyła dużo więcej szczegółów, niż tego sobie życzyła. Ciało było częściowo zatopione; błydy kształt tuż pod powierzchnią unosił się bezwładnie na zielonkawej wodzie, i Alice mogła sobie wyobrazić leniwy ruch rozchodzących się wokół niego zmarszczek. Wyraźnie widziała zwróconą ku sobie twarz

i poznała ją mimo odbarwienia i opuchlizny, poznała rozlewające się wokół niej bujne rude włosy; i kiedy przyjrzała się uważniej, miała wrażenie (nie, wiedziała), że widzi minę, jaką przybrało to zniszczone oblicze. Świńskie, napuchnięte oczy, otwarte usta, odsłaniające czarną jamę okoloną żółtymi kłami drapieży... ta mina wyrażała triumf, makabryczny, zupełnie niepasujący do twarzy trupa, nie, nawet nie triumf; to był zachwył.

Alice była jak zahipnotyzowana; im bliżej obrazu się przysuwała, tym więcej dostrzegała szczegółów, wyobrażała sobie, że każda gałązka, każde źdźbło trawy zawiera w sobie nieskończoną różnorodność, choć czy wrażenie to tworzył obraz, czy jej własna podświadomość, tego nie wiedziała. Może namalowała to, by oswoić się z myślami, których jej rozum z początku nie chciał przyjąć do wiadomości; podczas gdy jej świadomość usiłowała pojąć to, co wyczytała w papierach Daniela, podświadomość filtrowała informacje i wyciągała z tego obrazowe (dosłownie, jak się okazuje) wnioski.

W głębi ducha chyba wierzyła w to od samego początku.

Poczuła pewną ulgę, kiedy się z tym pogodziła; uwierz w to, co irracjonalne, pomyślała ni stąd, ni zowąd, a wszystko staje się możliwe: nawet po drugiej stronie lustra obowiązują zasady, trzeba tylko wiedzieć, gdzie ich szukać. Przyjrzała się obrazowi jeszcze dokładniej, zwracając szczególną uwagę na dwie postacie stojące nad wodą; wydawało jej się, że przynajmniej jedną z nich, tę w kapeluszu, powinna poznać. Może to przez pozę, w jakiej stał, z lekko zgarbionymi ramionami i światłem odbijającym się w szklach okularów...

Joe,

Joe i Daniel?

Daniel i Joe.

I kiedy ostatni ważny element układanki spoczął na swoim miejscu z hukiem zamykających się drzwi świata rozumu, Alice

jeszcze raz, już ostatni, sięgnęła po pędzel i u dołu płótna dopisała tytuł obrazu, bez namysłu, świadoma, że akt ten był tak nieunikniony jak wszystkie pozostałe, które do niego doprowadziły.

Biedny Daniel, pomyślała i napisała starannie, równymi, wielkimi literami:

ODWET: WYBRAŃCYOFELII

1

Szedłem tą drogą jak w koszmarze, a głód nie odstępował mnie na krok. Rozsądek, którym tak niezasłużenie się szczyliłem, opuścił mnie i, jak rzadko, miałem zupełny mętlik w głowie; moje nozdrza wypełniał zapach krwi i choć walczyłem, by nie dopuścić do siebie prawdy, wobec tego głodu słabłem, słabłem jak osłabłby każdy normalny człowiek.

Zawsze uważałem się za chrześcijanina; nie kłamałem, nie kradłem, a jeśli miałem zdrożne myśli, to dobrze je kryłem; moje grzechy były drobnymi grzeszkami nas wszystkich, myśli nigdy nie sięgały dna rozpaczy ani szczytów wzniosłości. I nagle, w ciągu jednej nocy i jednego dnia, wszystko się zmieniło. Już nigdy nie miałem być taki jak inni i świadomość tego faktu była jak noszone w sercu potępienie. Jakimi słowami oddać bezmiar mojego przerażenia, kiedy pierwszy raz popatrzyłem na siebie i zobaczyłem bestię w mojej skórze? Później, gdy naoglądałem się takich rzeczy do przesytu i przestałem się nimi dręczyć, byłem w stanie spojrzeć na to, co się stało, bezstronnie, wręcz naukowo, ale najpierw musiałem rozbić wiele luster i ikon, przewrócić wiele zakazanych stron. Dlatego szedłem wygłodniały i trzymałem twarz w cieniu, by przechodnie nie dostrzegli żądz mordy w moich oczach.

Mord.

To słowo nic dla mnie nie znaczyło, kiedy szedłem ulicami na oślep, z rękami w kieszeniach, by nikt nie widział, jak drżą. Przede mną rozwierała się otchłań, o ścianach opadających po spirali we wszechnicość, przeogromna jak przeznaczenie. A na niej, nałożone jak negatyw fotografii, to jedno słowo, słowo większe od Boga. Wierz mi, walczyłem tak długo, jak tylko mogłem, ale było podstępne, nieuchwytnie, wywoływało halucynacje, rzucało obrazy jak z kalejdoskopu na boleśnie przeciążone obwody mojego rozumu. Chwilami byłem oderwany od rzeczywistości, wirowałem w pustce, głód szalał w moim mózgu jak dziecko na zjeżdżalni w lunaparku; kilka razy dawałem nura w zaułki i ocienione bramy, żeby wymiotować, i ostre palce bólu wbijały się pod moje żebra. I wszystko, co zniosłem, ostatecznie nie zdało się na nic. Dziwne, ale wciąż dumny jestem z tego, że nie od razu się poddałem. Choć tyle zostało we mnie z człowieka, by próbować z tym walczyć.

Nie dotarłem do mieszkania Rosemary - nawet na to nie liczyłem - ale dowlokłem się aż do rzeki. Ulice nie były tak zatłoczone, jak się obawiałem, i choć przed pubami zbierały się grupy studentów, nie musiałem ich dotykać ani za bardzo się do nich zbliżać. I dobrze; sam ich zapach przyprawiał mnie o zawrót głowy. Minęło mnie dwóch policjantów; wychyliłem nieufny rzut oka w moją stronę. Spanikowany, przyspieszyłem kroku, wyobrażając sobie, że zobaczyli jakąś oznakę zachodzącej we mnie przemiany. Ręce mi się trzęsły. Kiedy doszedłem do mostu Magdalene (nie umknęła mi ironia tej sytuacji), targnął mną szczególnie gwałtowny skurcz, który pozbawił mnie tchu. Rozdygotany, jakoś zdołałem zejść na brzeg rzeki, a stamtąd pod most, gdzie było cicho i chłodno, i gdzie, pomyślałem, będę mógł się schować i odpocząć bez obaw, że ktoś zacznie zadawać pytania.

Usiadłem na wąskim występie w cieniu mostu. Powietrze było zimne i lepkie, spód mostu pozieleniał od pleśni, ale przynajmniej tu było bezpieczniej. Ktoś przeszedł mi nad głową; na dźwięk jego kroków owionął mnie żar, żar, który nie tylko czułem, ale wręcz widziałem, jak światło latarki osłoniętej grubym materiałem, słaby, migotliwy poblask na powierzchni wody, i zamknąłem oczy. Tylko parę chwil, oszukiwałem sam siebie, kilka minut odpoczynku i dojdę do siebie. Potrzebowałem tylko chłodu wody, wilgotnej ciszy kamieni, by uspokoić to, co we mnie szalało. Czekałem.

- Daniel.

Podarwałem powieki i odruchowo podniosłem ręce, by przytrzymać okulary. Przez chwilę miałem wrażenie, że głos dobiegł z wody, i przejął mnie zabobonny lęk; to była ona, martwa kobieta, z klątką piersiową rozerwaną jak wór brudnej bielizny i oczami patrzącymi na mnie z wyrzutem. A może coś jeszcze gorszego; może na jej zmasakrowanej twarzy widniał szeroki, rozpaczliwy uśmiech, a ramiona wyciągały się do mnie...

- Danny...

Odwrociłem się tak gwałtownie, że omal nie spadłem z występu.

- Tak się cieszę, że cię znalazłem, Danny.

To był Rafe.

Przez chwilę nie mogłem pojąć, co wynika z jego obecności w tym miejscu, i tylko wpatrywałem się w niego. Przykucnął na występie, pół metra, może metr ode mnie, i na jego twarz padał promyk światła, odbity pod dziwnym kątem od powierzchni wody. Już wcześniej, kiedy widziałem go w mieszkaniu Rosemary, wydał mi się niepokojąco piękny; teraz jego uroda stała się widmowa, eteryczna, jego jasne oczy jednocześnie niewinne i występne. Nie miałem już siły

się bać; przerażenie wywołane tym, co zaczynałem w sobie odkrywać, wystarczyło, by przyćmić strach, jaki ogarnąłby normalnego człowieka, który znalazłby się sam na sam z brutalnym mordercą.

- Mój Boże - wyszeptałem - coście ze mną zrobili? Co mi podaliście?

Uśmiechnąłem się.

- Nie martw się, Danny. Zawsze tak jest na początku. Szybko ci przejdzie.

- Co mi przejdzie? - Zacząłem podnosić głos. - Co się ze mną stało? - Wyciągnąłem rękę i złapałem go za kłapy płaszcza; potrząsnąłem nim. Rafe tylko się uśmiechnął.

- Wkrótce będziesz jednym z nas - powiedział. - Tego chciałeś, prawda? Być taki jak my?

Zaprzeciłem ruchem głowy.

- Pewnie, że chciałeś - szydził Rafe. - Czy nie tego chcą wszyscy? Należać do kogoś? Teraz należysz do nas; na razie ci się to nie podoba, bo jeszcze nie oswoiłeś się z tą myślą, ale to kwestia czasu. Danny, będziesz żył wiecznie. Będziesz więcej niż tylko człowiekiem; i, Danny, jakich rzeczy się dowiesz! Tego chcą wszyscy, wierz mi.

- Coście ze mną zrobili?

- Przecież wiesz.

Fakt, że rzeczywiście wiedziałem, i to więcej niż tego sobie życzyłem, sprawił, że krew we mnie zawrzała. Przyciągnąłem chłopaka do siebie i wymierzyłem mu siarczysty policzek.

-Ty draniu! Nic a nic nie wiem! Wiem tylko, że jesteście mordercami, wy wszyscy... Boże dopomóż mi, trujecie mnie. Trujecie mnie, a ja czuję. Pragnę. - Mój głos był dużo wyższy niż normalnie, przechodził w histeryczny krzyk; słysząc to, zrozumiałem, że nie panuję nad sobą, co wprowadziło mnie w jeszcze większe przerażenie, i rozluźniwszy uścisk, odepchnąłem chłopaka. - Nic nie wiem.

Z lewego kącika ust Rafe'a ściekała cienka strużka krwi; wciąż uśmiechnięty, otarł ją kciukiem i bardzo delikatnie oblizał.

- Wiesz.

Osunałem się na boczną ścianę mostu. Jasne oczy Rafe'a przygwoździły mnie do kamienia, nie mogłem znieść widoku jego uśmiechu. Schowałem twarz w dłoniach i zatkałem cicho, łzy przeciekały mi przez palce jak ginące światy. Chciałem umrzeć.

Rafe długo mi się przyglądał, aż wreszcie wstał. Jego głowę okalało światło odbite od wody; wyglądał jak anioł. Na myśl, że zaraz odejdzie, ogarnął mnie paniczny strach, i drgnąwszy jak w konwulsji, złapałem go za poję płaszcz.

- Nie zostawiaj mnie.

- To chodź ze mną. Jeśli starczy ci odwagi.

- Zostań ze mną. Pomóż mi.

Rafe skinął głową.

- Po to tu jestem. Dlatego mnie wysłali.

- Kto?

- Pozostali. Rosemary. Danny, teraz należysz do nas wszystkich. Nie masz się już czego bać, przysięgam. Teraz to przed tobą będą drzeć, jak drżą przed nami. Jesteś jedynym z nas.

- Ale kim jesteście? - spytałem, wciąż kurczowo uczepony jego płaszcz jak zabłąkane dziecko.

Rafe odrzucił głowę do tyłu i wybuchnął śmiechem - i moje serce nagle wezbrało podziwem i miłością do niego i do dzikiej wolności, jaką wyrażał ten gest. Przez chwilę nie marzyłem o niczym innym, jak tylko o tym, by być taki jak on, wolny, piękny, okrutny i młody - oswobodzony z okowów podłego świata. Chciałem robić, co mi się podoba; tak, chciałem na zawsze należeć do niego i takich jak on, polować z nimi, pożywiać się z nimi, być błogosławionym na wieki.

Boże wybacz mi, chciałem tego.

Uśmiechnął się do mnie i pławiłem się w blasku jego chwały.

- Jesteśmy panami, Danny - powiedział cicho. - Wybranymi. Panami wszelkiego stworzenia. Drapieżcami.

Zadygotałem z zimnej radości. Znowu byłem dzieckiem, niecierpliwie czekającym na najdłuższą i najbardziej emocjonującą przejażdżkę karuzelą w moim życiu; czułem zapach prażonej kukurydzy, waty cukrowej i, w tle, mdły, intensywny odór menażerii.

- O tak - mruknąłem, mglście tylko świadom, że cokolwiek powiedziałem.

- O tak.

1

Zapadła ciemna noc, moja nieodłączna towarzyszka. Przemykaliśmy w mroku przez miasto, Rafe i ja, sekretnymi, wskazywanymi przez niego przejściami, i niepostrzeżenie dołączyli do nas pozostali, Java i Rosemary, i inni, których imiona znałem bez pytania: Elaine z długimi włosami pozlepianymi w strąki i wielkimi oczami; siedmioletni Anton, ufnie uczepiony jej ręki w parodii prawdziwego dziecięcego zachowania; Zach, rudy jak Rosemary, z tatuażem ptaka na twarzy. Moja paczka, myślałem z wirującą w głowic dumą, moja paczka i, Boże zmiłuj się nade mną, kochałem ich tamtej nocy, kochałem ich dotyk, ich zapach i pulsujący głód, który był naszym przyjacielem i jedynym sprzymierzeńcem. Najbardziej kochałem Rosemary, to, jak włosy falami opadały jej na ramiona, jak trzymała głowę, biel jej nagich nóg, widocznych pod czarnym płaszczem przeciwdeszczowym. To było jak sen i, wybacz, ogarniała mnie ekstaza, radość, coś, czego najbardziej mi brak teraz, gdy jej nic ma, a radość spoczywa pochowana w ziemi cmentarza w Grantchester i nigdy na nowo nie zakwitnie.

Spróbuj zrozumieć: przyszedłem na świat jako jedynak w otoczeniu dorosłych, którzy mieli na głowie własne problemy; wyrosłem na samotnika. Rzuciłem się w wir nauki

w nadziei, że to wniesie ład w moje życie. Otoczyłem się sztuką, by zaspokoić swoją potrzebę zmysłowych doznań.

Które dziecko nigdy nie pragnęło towarzystwa rówieśników, szalonych emocji, jakie przeżyć można tylko w grupie, tego uczucia, że biegniesz, biegniesz i mógłbyś tak biec bez końca? Gdy mknęliśmy przez noc, widziałem samego siebie: samotnego, zawsze odtrącanego, zawsze wyśmiewanego, bystrego chłopca szukającego w książkach przyjaźni, których nie zdołał znaleźć gdzie indziej. Przykro mi, ale uwierz, mimo wszystko przepełniała mnie wtedy radość. Myślę, że czułbym to samo nawet bez tego środka, który Rafe wstrzyknął mi w ramię, zanim wyruszyliśmy; żadne narkotyki nie mogły w pełni tłumaczyć tej euforii, tego poczucia spełnienia. Pociąg z mojego wirującego bąka w końcu wyrwał się na wolność, a ja jechałem nim jednej cudownej nocy, z okrzykami triumfu zmierzając ku swojemu przeznaczeniu.

Niczego już nie kwestionowałem; wystarczała mi magia nocy i podążałem za resztą paczki w głąb zaułków, pod ciemnymi łukami, przez mosty, z jednego brzegu rzeki na drugi i z powrotem, aż w końcu trafiliśmy do uboższej części miasta. Zwróciliśmy uwagę jednego, może dwóch przechodniów; na ich spojrzenia odpowiedziliśmy gwizdem i pogardliwymi okrzykami. Java miał nóż. Światło latarni ściekało po jego ostrzu niczym rtęć, ale nie bałem się; głód był najsilniej działającym narkotykiem w moim organizmie, głośną, zniewalającą muzyką huczącą w mojej głowie. Prymitywne, plemienne rytmy niosły mnie naprzód. Ile czasu trwała nasza wędrówka, nie wiem; przypuszczam, że niezbyt długo, ale równie dobrze mogła upłynąć cała wieczność. Niczym Piotruś Pan, czułem się, jakbym stapał po magicznym pyle, bez żadnego wysiłku; i wiem, że to samo wrażenie mieli inni. Elaine śpiewała cicho, jej głos brzmiał jak słaby, zagubiony świergot pośród ciemności. Tylko Rosemary była nieporuszona; z kamiennym

spokojem prowadziła nas w wybrane przez siebie miejsce, głód popychał nas jak silny wiatr w plecy.

Wiedziałem mniej więcej, co to za obskurny pub znany z taniego wina i z tego, że pozostawał otwarty dłużej, niż pozwalały przepisy. Mimo to w pierwszej chwili pomyślałem, że już zamykają, bo wydawał się opustoszały, a światło w oknach było żółte i ponure. Pozostali jednak sprawiali wrażenie na tyle pewnych siebie, że poszedłem za nimi, bojąc się okazać niezdecydowanie, i zacząłem szukać po kieszeniach pieniędzy. Bo widzisz, nawet wtedy jeszcze nie do końca rozumiałem. Może w głębi ducha wciąż myślałem, że to sen; tak czy owak, przetrząsałem kieszenie, jakbym nie planował niczego poważniejszego od wieczornej popijawy ze znajomymi. Można by to uznać za śmieszne, gdyby nie było tak straszne.

Rosemary weszła pierwsza; drzwi były otwarte i znalazłem się w brudnym barze. Mężczyzna i kobieta sprząтали z kontuaru szklanki i butelki. Podłogę wysypano trocinami, w powietrzu wisiała gęsta chmura dymu; wewnątrz przesiąknięta mieszaniną zapachów pleśni, wina i wymiocin.

Mężczyzna wycierał kontuar wilgotną szmatą; nawet nie podniósł głowy, kiedy weszliśmy.

- Zamknijcie - powiedział szorstko. - Eve! Zamknij te drzwi, zanim znowu ktoś wlezie. - Kobieta, którą nazwał Eve, przerwała mycie podłogi i wyprostowała się, z papierosem zwisającym z ust. Zdażyłem zauważyć, że jest młoda i w innych okolicznościach mogłaby nawet być ładna; a tak, wyglądała niechlujnie i ponuro, włosy w tanim, metalicznym odcieniu blond miała związane z tyłu brudnym gałgankiem.

- Słyszeliście - powiedziała, nie wyjmując papierosa z ust. - Zamknijcie. Przykro nam.

Na chwilę zapadła cisza; zobaczyłem, że Java zerknął na Rafe'a, a Anton oderwał się od Elaine i zrobił krok do przodu.

Młoda kobieta spojrzała na niego.

- A ten mały powinien już być w łóżku - powiedziała. - Nie wiecie, która godzina?

Poruszyłem się niespokojnie, może na wspomnienie własnych słów, jakże niepokojąco podobnych, wypowiedzianych do Rafe'a i Javy niecałe dwadzieścia cztery godziny wcześniej.

Przez dłuższą chwilę nikt nawet nie drgnął, aż w końcu Rosemary wystąpiła naprzód.

- To nie potrwa długo - powiedziała.

Eve ją zignorowała.

- Zamykam. - Ruszyła do drzwi.

Java przesunął się w bok i stanął jej na drodze.

- Co robisz? - powiedziała i jej bezbarwny głos ożywiła nuta lęku.

Java udał, że nie słyszy.

- Tony! - Tym razem już nie mogło być wątpliwości, że jest przerażona, i mężczyzna, który wycierał bar, po raz pierwszy podniósł głowę. Jego oczy napotkały spojrzenie Javy.

Tego, co stało się potem, nigdy nie mogłem sobie do końca przypomnieć; poczucie nierzeczywistości tego wszystkiego zważyło się na mnie potężną falą, która zachwiała światem w posadach, a kiedy po chwili wrócił do równowagi, było już po wszystkim. Myślę, że to wtedy Java wyciągnął nóż; nie, nóż wyskoczył z jego dłoni jak zwierzę i jednym płynnym ruchem musnął gardło kobiety. Dotknięcie wystarczyło; krzyknęła z zaskoczenia i na jej bluzce wykwitła plama krwi. Z okrągłymi oczami, chwyciła się za ranę, z której tryskała krew. Java ani na moment nie przestał patrzeć w oczy mężczyzny za barem. Kto rzucił się na niego pierwszy - nie pamiętam. Chyba Zach i Elaine. Anton chciwie wyciągał ręce do ciała kobiety; w jego twarzy, zbryzganej krwią, widziałem głód, jego oczy, zbyt stare i pełne zepsucia, by były oczami

dziecka, błyszcząły pożądliwie; ale wtedy chwycił mnie głód, przerażający i niepohamowany, i zanim się zorientowałem, co robię, odepchnąłem malca i zacząłem się pożywiać. Krew upstrzyła gwiazdkami szkła moich okularów; świat tonął w odcieniach czerwieni. Piłem niechlujnie, myśląc tylko o tym, by zaspokoić boga krwi we mnie, kąsałem gardło kobiety, czułem, jak dygotała pode mną. Anton skamlał jak szczenię, usiłował wepchnąć się przede mnie, wczepiał się w ciało swoimi małymi dłońmi; jakoś pożywiliśmy się obaj. Kiedy przewróciłem się na plecy, odurzony i syty, zobaczyłem mężczyznę za barem - a przynajmniej to, co z niego zostawili. Rozpruli go od brzucha po gardło. Elaine znalazła kasę i upychała po kieszeniach monety i banknoty. Java wyszperał gdzieś butelki nafty do piecyka i chlapał nią na podłogę i meble. Rosemary zlizywała krew z twarzy Rafe'a, mgiełka drobnych kropelek wymalowała jej na oczach pasek, który wyglądał jak maska. Podniosła głowę i spojrzała na mnie.

- Jesteśmy wybrani - powiedziała. - Oto, czym jesteśmy. A ja wybrałam ciebie. Pamiętaj o tym i bądź wobec mnie lojalny. Bądź mój, Danielu.

2

Alice w końcu udało się zasnąć koto szóstej rano. Ginny zapukała do drzwi pół godziny wcześniej i bez słowa poszła do swojego pokoju. Alice dała jej odejść, na myśl o kradzieży skrzynki nękana wyrzutami sumienia, które przyprawiały o szybsze bicie serca. Od zbyt długich prób rozczytania drobnego, niewyraźnego, neurotycznego pisma Daniela Holmesa mąciło jej się w oczach i miała potwornie ciężką głowę. Może po paru godzinach snu będzie w stanie spojrzeć na to wszystko z większym dystansem. Może kiedy się obudzi, stwierdzi, że wydarzenia tej nocy to był tylko sen.

Wstała o ósmej, włożyła szlafrok i zeszła na paluszkach do pracowni. Dtugo patrzyła ze spokojem na skrzynkę i swoje najnowsze dzieło. Wiedziała, że to fałszywy spokój, ale mimo to był mile widziany, odmienił obraz sytuacji w jej oczach niczym wiatr rzeźbiący wydmy.

Stwierdziła, że będzie musiała rozmówić się z Ginny; może jak jej powie, co już wie, dziewczyna przyzna się do wszystkiego. Może potrzeba jej było pomocy.

Spojrzała na zegarek: dwadzieścia po ósmej. Pewnie zaraz zjawi się Joe. Będzie musiała porozmawiać z Ginny przed jego przyjściem.

- Herbaty, Ginny? - Już lepiej. Jej głos był spokojny, uśmiech pewny.

Ginny siedziała przy kominku, wciąż bosy, ale ubrana w dzinsy i ciemny sweter, który podkreślał jej jasne włosy. Pokręciła głową.

- *Źle* wyglądasz.

- Mało spałam. Nie mogłam przestać myśleć o ostatniej nocy.

Ginny spojrzała na nią bez wyrazu.

- Możesz mi zaufać - ciągnęła Alice. - Wiem więcej, niż ci się wydaje. Wiem, że masz kłopoty i nie bardzo sobie z nimi radzisz.

Ginny tylko patrzyła na nią w milczeniu, nie dając po sobie poznać, czy w ogóle cokolwiek do niej dotarło.

- Rafe i Java - powiedziała Alice i podeszła bliżej. - Mieszkają w tym starym domu?

Ginny wzruszyła ramionami.

- Nie wiesz?

Potrząsnęła głową.

- Przecież są twoimi przyjaciółmi.

- Czasami. - Ginny zaczęła się lekko kołysać na krześle, z nieobecny wyrazem oczu, jak u dziecka. Alice wzięła ją za rękę.

- Ginny. Spójrz na mnie. - Lawendowoszarze oczy powędrowały ku jej własnym, słodkie i puste, jakby skrywająca się w ich głębi dusza była pozbawiona treści, miała nie więcej życia niż lustro.

- Znalazłam w twojej szafie strzykawkę. Widziałam, jak poszłaś gdzieś z Java. Czy on handluje narkotykami? I co jeszcze robi? W kościele... czego tam szukał?

Ginny tylko na nią patrzyła.

- Ginny. Musisz to komuś powiedzieć. Ktoś musi ci pomóc, zanim za bardzo się w to wciągniesz. Gdyby chodziło

tylko o narkotyki, może rzeczywiście lepiej byłoby milczeć, ale ja tamtej nocy byłam w Grantchester. Widziałam, jak kopaliście na cmentarzu. I co z tą skrzynką, którą miałaś w walizce? Wiem, skąd pochodzi. Była w ścianie kościoła, za mosiężną tablicą. Dlaczego ją zabrali, Ginny? Po co robią to wszystko?

Ale Ginny znów zamknęła się w sobie. I pół godziny później, kiedy zapukał Joe, wciąż siedziała wpatrzona w płomienie i kołysała się łagodnie, niczym zaklęta królewna z baśni.

1

Zapewne myślą, że tu jestem bezpieczny; bezpieczny od siebie i swoich urojeń. Kiedy kładę się spać, pielęgniarka przynosi mi herbatę rumiankową na uspokojenie; zdecydowanie wolę whisky, ale mówią, że za bardzo mnie pobudza. W słoneczne dni puszczają mnie na spacer, ale ja wolę siedzieć w bibliotece. Mój lekarz czasem przychodzi dotrzymać mi towarzystwa; ogrywam go w szachy. Lubię go o tyle, o ile mogę tu kogokolwiek polubić, i z nim rozmawiam, choć jestem pewien, że mi nie wierzy. Moje dowody, książki i obrazy, nic dla niego nie znaczą. Interesuje go tylko mój stan umysłu, choć tłumaczę mu, że teraz już warto tylko ocalić moją duszę. To młody człowiek, doktor Pryce, młody, silny, zawsze roześmiany, jak Robert, zanim poznał Rosemary.

Próbuje pomóc. Przynosi mi nawet książki, wszystkie, o które proszę; kręci głową, uśmiecha się szeroko i mówi: „Dostałbym za swoje, gdyby się dowiedzieli, że to pochwalam”. Ale je przynosi: Frazera, Crowleya i historię Ahikara z apokryfów, a nawet pisarzy, Lovecrafta, Poego i współczesnych, których nazwiska wyleciały mi z głowy, książki z błyszczącymi czerwonymi tytułami na tanich, czarnych, miękkich okładkach. Dzieła wszystkich tych, którzy, jak mi się zdaje, poznali Rosemary w jednym z jej wcieleń, opowieści bratnich

dusz, które mogą zawierać jakąś wskazówkę co do tego, jak przed nią uciec, choć dotąd żadnej nie znalazłem. Ja szukam, a on siedzi przy mnie w milczeniu; czasem czytam mu fragmenty łacińskich, francuskich i niemieckich pism. Nie znam rumuńskiego, a szkoda, bo tłumaczenia wielu niezbędnych mi tekstów nie są publicznie dostępne. Wysyłam pieniądze lokalnej uczelni, żeby ubodzy, niezadający zbędnych pytań studenci mogli zrobić część pracy za mnie, ale to wszystko za długo trwa, wymaga zbyt wiele cierpliwości. Młody człowiek kiwa głową i zdaje się słuchać; czasem łapię się na tym, że chcę go ostrzec. Cała twoja wiedza, chcę powiedzieć, jest niczym wobec jej wiedzy, jej głodu. Gdyby na ciebie spojrzała, stałbyś się tym, czym ja, pomimo całego twojego intelektu i tego wszystkiego, co przyjmujesz za pewnik. Bo Rosemary pamięta. Pamięta i czeka.

Moje poszukiwania są bezowocne, wiem; jej nie da się powstrzymać. Raz spróbowałem - może wtedy była nieostrożna. Potrzebowała trzydziestu lat, by powrócić, teraz pewnie narodziła się już na nowo. Może zanim przeczytasz te słowa, zdaży dorosnąć. Wiem jedno: mnie już wtedy nie będzie na tym świecie; może zginę z własnej, może z jej ręki. Nigdy nie dopuści, bym znów jej przeszkodził.

Młody lekarz myśli logicznie; próbuje wykorzystać zebrane przeze mnie materiały, by wykazać, że jestem w błędzie. Jak ona może być wampirem, powiada, skoro średniowieczne relacje na temat zjawiska wampiryzmu w Rumunii w najmniejszym stopniu nie pokrywają się z tym, co, jak twierdzisz, o niej wiesz?

W żadnych źródłach, czy to dotyczących faktów, czy folkloru, nie ma opisu stworzenia, o jakim mi opowiadałeś.

Nie ma określenia, które by do niej pasowało, wyjaśniam mu; a jednocześnie pasują wszystkie. Wiem tylko, że jest stara, tak stara jak zepsucie, z którego powstała, a zarazem

potwornie młoda. Jest czymś więcej niż legendą, tak jak Bóg jest czymś więcej niż cudotwórcą pomnażającym chleb i ryby. Jung zapewne nazwałby ją złą animą; widzisz, znam także i twój język, potrafię posługiwać się twoimi argumentami lepiej niż ty sam, ale to nie wypędzi ze mnie kobiety-demonia, która zawładnęła moimi snami. Obraz krwi przyćmiewający wszystkie wizje, w których ukazuje mi się ona, budzi moją odrazę, a zarazem mnie podnieca; ty zapewne nazwałbyś to lękiem przed własną seksualnością.

Jestem człowiekiem, który szczeni się swoim intelektem i umiejętnością racjonalnego myślenia, nic mogę więc przyjąć do wiadomości, że gdzieś poza obrębem mojej świadomości kołaczą się takie myśli, te jednak tłumione tylko coraz bardziej się rozrastają, niczym pleśń w krypcie. Ta część mojego ja, której nie potrafię zaakceptować, przybiera inną tożsamość. Nazywam ją Rosemary. Wyobrażam sobie, że to ona odpowiada za wypełniający mnie mrok. Z tego wysnuwam fantazje o wilkołakach, o zabijaniu i nocnych wyprawach na żer, o krwi, mistycznej rzece podświadomości; o morderczyni-wampirzycy imieniem Rosemary, której nie sposób się oprzeć... jej pocałunek zastępuję aktem agresji, ukąszeniem (a czyż każdy akt seksualny nie jest aktem agresji?, czy nie żywię wrodzonego lęku przed kobietami?), które upodabnia mnie do niej. Po części tego chcę - chcę, by ktoś mnie pragnał, kochał, napastował - a po części się tego boję i ten strach przekształca moje naturalne pożądanie odczuwane wobec pięknej kobiety w coś perwersyjnego, potwornego, do tego stopnia, że wmawiam sobie, iż winien jestem najbardziej bestialskich zbrodni.

Widzisz, mówię mu, znam twój język. Kompleks winy wynikający z mojego lęku przed kobietami, może utajone skłonności homoseksualne ujawniające się w następstwie tragicznej śmierci najlepszego przyjaciela... i oto mamy wszystkie klasyczne elementy nerwicy.

Uśmiecha się z powątpiewaniem; nieraz już słyszał podobne słowa z moich ust. Za pierwszym razem nie posiadał się z radości; byłaby to pierwsza oznaka mojego powrotu do zdrowia? Wysłuchał mnie i teraz; jak zawsze, zdumiewa go moja spójna argumentacja, moje trzeźwe spojrzenie na wszystkie sprawy z wyjątkiem jednej.

Ona nie jest nerwicą.

Nie jest wampirem ani wilkołakiem, tylko prawdziwą istotą. Książki ukazują różne jej oblicza, ale w rzeczywistości jest czymś jeszcze prawdziwszym; infekcją duszy, nie człowiekiem, lecz czymś starszym i bardziej archetypowym od najbardziej znanych symboli Junga. Ja nazywam ją Błogosławioną Panienką.

* * *

Zabrali mnie do domu, wiesz, po tamtej nocy w barze; za nic w świecie nie mogli zostawić mnie samego. Policja znalazłaby mnie pół godziny później, wciąż krzyczącego przed płonącym pubem; a tak, nie znaleźli nikogo, a pozostali zaciągnęli mnie, niemal sparaliżowanego z szoku po tym, co zrobiliśmy, do kryjówki Rosemary. Był to nieużywany magazyn, na wpół spalony w pożarze kilka lat wcześniej, zawilgocony, ale idealnie nadający się na bezpieczne schronienie. Ona się mną zajęła; pamiętam jej ręce obejmujące moją szyję, jej oddech muskający mój policzek, gdy przystawiała mi do ust kubek gorącej whisky; krztusiłem się, piłem, prychałem, ale w końcu przełknąłem.

- Nie bój się - powiedziała, a jej włosy zwieszały się nade mną, prawie dotykały mojej twarzy. - Najgorsze już prawie za tobą. Przez jakiś czas będziesz się źle czuł, będziesz miał gorączkę, jasne światło będzie cię razić, ale tydzień-dwa i to minie. Napij się jeszcze.

Przełknąłem. Z wysiłkiem dźwignąłem się na łokciach i rozejrzałem wokół. Rafe i Java siedzieli w kącie, odwróteni

plecami do mnie. Słyszałem ich syczące głosy, snujące się w nieruchomym powietrzu jak nitki babiego lata. Zach już spał, skulony pod stertą worków i koców, z twarzą wtuloną w skrzyżowane ramiona pod dziwnym kątem, w pozycji, która nadawała mu rozczulająco młodzieńczy wygląd.

Elaine kołysała Antona i cicho śpiewała jakąś piosenkę o nic nieznaczących słowach.

- Leż spokojnie - upomniała mnie Rosemary. - Wszystko będzie dobrze.

Ale ja nie mogłem leżeć spokojnie.

- Co się stało? Czy ja? Czy my... co się stało?

- Jesteśmy wybrani - powiedziała. - Robimy, co konieczne. Bez obaw, przyzwyczaisz się jak wszyscy.

Zerwałem się jak oparzony. Chciało mi się śmiać, a jednocześnie narastała we mnie histeria.

- Jak to? Mam rozumieć, że jestem wampirem? Jak Drákula? - Wytrąciłem jej z ręki kubek z whisky. Rzuciłem się ku niej, chciałem ją schwycić, potrząsnąć nią. Zauważyłem, że Java poruszył się w kącie i łypnął na mnie swoimi zimnymi oczami, i wiedziałem, że interweniuje, gdy tylko spróbuję użyć przemocy. Znów wezbrał we mnie śmiech.

- Wampiry! - ryknąłem.

Rosemary spojrzała na mnie z zimnym, smutnym spokojem.

- Nikt oprócz ciebie nie użył tego określenia - powiedziała.

- Wampiry nie istnieją. Ale jesteśmy inni, ty teraz też. Mamy pewne przywileje. I musimy się żywić. Wiesz o tym.

Potrząsnąłem głową.

- Nie! To znaczy, nie chcę tego. Nie chcę być wybrany.

- Możesz też nie chciał - powiedziała Rosemary. - Mówiłam, przyzwyczaisz się. Reszta ludzi to dla nas bydło. Pytasz bydło, czy chce być jedzone? Biblia mówi, że Bóg dał nam panowanie nad wszelkim stworzeniem. Kiedy oswoisz się

z tą myślą, zrozumiesz, jak wielką dostałeś szansę, nie, nie na to, by żyć wiecznie, tylko na to, żeby żyć pełniej, żeby więcej doświadczyć, osiąść wiedzę, jakiej nie ma żaden inny człowiek. Dałam ci życie.

- Zrobiłaś ze mnie potwora - powiedziałem.

Rosemary wyraźnie się rozżłościła.

- Potwory nie istnieją. Dałam ci moc, a moc rozbudza nowy apetyt. Nie zmieniałam cię w wampira; twoje żądze rodzą się w tobie, nie we mnie. Twoja podświadomość dużo lepiej od ciebie wie, czego ci potrzeba. I kompensuje to, pozwalając ci przenieść swoje poczucie winy na mnie.

Uśmiechnęła się.

- Szybko się przyzwyczaisz. Wkrótce nie będziesz mógł zrozumieć, o co robiłeś tyle szumu. Ale to naturalne. Później zacznę cię uczyć.

Pewnie widziałeś jej portrety. Wiesz, jak bardzo była piękna i może dzięki temu zrozumiesz, czemu tak łatwo jej się podporządkowałem. Dla mnie, okrwawionego, mocno podpitego, skrepowanego nakazami religii i moralności, wyglądała jak bohaterka legendy, i kielichem, który mi podawała, była wolność, ni mniej, ni więcej, wolność od wszystkiego, od mojego samotnego życia, od prawa, od mojego Boga, mojego sumienia i konsekwencji moich czynów. Od tej pory będę mógł używać życia do woli i nikt mnie nie powstrzyma. Nagle zapragnąłem tej wolności tak mocno, że ogarnął mnie paniczny strach, że Rosemary wycofa swoją propozycję, i wyciągnąłem do niej rękę jak żebrak.

- Naucz mnie teraz - powiedziałem.

Wszystko, czego Rosemary nauczyła mnie owego dnia, na stercie starych worków i koców w zakurzonej, nieużywanym magazynie, pod przedzą słońca rozciągniętą na połamanych krokwiach, staram się wyrzucić z pamięci. Dość

powiedzieć, że była słodka i miękka, jej włosy pachniały lawendą, i kochałem ją w dzikim zapamiętaniu, do jakiego sam sobie wydawałem się niezdolny. A zatem prawdą było, że przemiana, jakiej uległem, rozbudziła nowe apetyty, i w pełni je zaspokoilem, bez reszty zatraciłem się w Rosemary. Instynktownie wiedziałem, że kochali ją wszyscy: Zach, Rafe, Java, Elaine i Anton (siedmiolatek zbliżający się do pięćdziesiątki), a to uczyniło całe przeżycie jeszcze bardziej wyzwalamym i cudownym. Rosemary była fiołką życia wiecznego: wszyscy pociągnęliśmy z niej duży łyk, a ona obdarzyła nas łaską.

Może wydaje ci się, że piszę bzdury, może nawet że bluźnię. Spróbuj zrozumieć. Nie piszę tego dla własnej chwały ani nawet spokoju sumienia, ale po to, by cię przestrzec. Niczego nie wymyślam; piszę, co czułem. Oto, czym jest Rosemary; i czym może stać się znowu.

Dowodem tego, jak silny rzuciła na mnie urok, jest to, że dopiero kiedy zbierałem się do wyjścia, przypomniałem sobie o Robercie. Zamarłem i szok wyrwał mnie ze stanu religijnego wręcz uniesienia.

- Mój Boże!

Rosemary odwróciła się i spojrzała na mnie; siedziała na stercie śmieci w drzwiach, w słońcu wyglądająca jak figura z ognia i kości słoniowej.

- Co Robert ma z tym wszystkim wspólnego? - Robiło mi się coraz zimniej; poznałem, że to poczucie winy. - Czy wie? Czy jest...?

Rosemary wygięła plecy w łuk i się przeciągnęła.

- Nie, nie jest wybrany. - W jej głosie pobrzmiwała lekka pogarda.

- To znaczy, że nie wie? - spytałem. - Przecież ma się z tobą ożenić.

Zaśmiała się.

- Wiem, że nie jest ci łatwo, bo jeszcze nie wyrosłeś z tej twojej osobliwie pojmowanej lojalności, ale w końcu będziesz musiał. Wybranego nic nie może łączyć z bydłem; takie więzi byłyby niestosowne, niegodne ciebie. Robert mi się przydaje, ale nie gra żadnej roli w naszych planach.

- Ale... - powiedziałem.

- Kiedy naprawdę zostaniesz jednym z nas, powiem ci, do czego Robert jest mi potrzebny - ucięła Rosemary ze swoim błogim uśmiechem. - Do tego czasu, Danny, pamiętaj, po czyjej stronie jesteś, i niech ci to wystarczy. - Chciałem powiedzieć coś jeszcze, ale się nie odważyłem. Rozgniewałem ją, wspominając o swoim przyjacielu, wiedziałem to i nie chciałem ryzykować, że zrobię to znowu, tak wielką już wtedy miała nade mną władzę. Pożegnałem się z nią, nie umawiając się na następne spotkanie. („Będiesz wiedział, kiedy cię będę potrzebowała” - powiedziała i to mi musiało wystarczyć.) I, w kapeluszu mocno nasuniętym na oczy i płaszczu zapiętym pod szyję, ruszyłem przez pola w długą drogę do domu.

2

Toe był w tym samym ubraniu, co na koncercie poprzedniego wieczoru, teraz już wymiętym, i wyglądał na zmęczonego. Usta miał ściągnięte ku dołowi, oczy napuchnięte. Kiedy Alice otworzyła drzwi, właśnie zapalał papierosa, osłaniając dłońmi płomyk zapalniczki.

- Jak tam Ginny? - spytał.

- W porządku - powiedziała, dotknięta tak otwarcie okazywaną jej obojętnością.

- Gdzie jest?

- W salonie. Słuchaj, Joe. - Już otwierał drzwi salonu, kiedy złapała go za rękę. - Moment. Musimy pogadać.

- To nie może poczekać? - burknął. - W ogóle nie spałem i nie bardzo chce mi się rozmawiać. Wiesz, jaki jestem z rana.

- Martwię się o Ginny.

- Czemu? Mówiłaś, że z nią wszystko w porządku.

- Zależy, jak na to spojrzeć - zauważyła Alice. - Wiesz, że ona ćpa? Znalazłam w jej szafie strzykawkę.

Joe lekko zeszywniał, po czym wrzucił ramionami.

- Miała trudny okres, było, minęło - powiedział. - I co z tego?

- Nie wiem, czy minęło - odparła Alice. - Wróciła do domu o piątej nad ranem. A poprzedniej nocy...

- Do rzeczy, nie trzymaj mnie w napięciu. - Zaciągnął się papierosem. Zmusiła się, by zachować spokój.

- Chyba wpadła w złe towarzystwo. Wczoraj przyszli dwaj jej znajomi, pytali o nią i byli... - Zawiesiła głos. - Wystraszyli mnie. Śledziłam ich, poszli do starego domu pod Grantchester, takiego jakby squatu. Na koncercie też byli, Ginny nie odstępowała ich na krok.

Joe zmarszczył brwi.

- No, no, ależ się o nią troszczysz. Lepiej z nią porozmawiam, co? - Przcisnął się obok Alice do salonu. Poszła za nim.

Ginny stała przy oknie i wyglądała na ulicę, ale kiedy usłyszała, że wszedł Joe, odwróciła się i, rozpromieniona jak dziecko, podbiegła do niego i zarzuciła mu ręce na szyję.

- Hej. Gin. Bardzo jesteś zmęczona? - Alice zauważyła, że zwracając się do Ginny przybrał łagodniejszy ton, ale między oczami wciąż miał głęboką bruzdę, jakby raziło go słońce.

Ginny pokręciła głową.

- Długo cię trzymali?

Joe wzruszył ramionami.

- Za długo. Problem polega na tym, że gość, którego zabrała karetka, w drodze do szpitala odwalił kity. Na razie nie wiedzą, kto to, i nikt nie widział, co mu się stało. Było za duże zamieszanie, jedni bili się i pchali do drzwi, inni myśleli, że to pożar, i panikowali. Kiedy przyjechała policja, większość tych, którzy mogli coś widzieć, już się ulotniła, a gość się wykrwawił, zanim ktokolwiek się w tym wszystkim połapał. Dlatego zgarnęli pierwszego basistę, jaki się nawinał, i stwierdzili: „Hej, stary, byłeś tam, coś musiałeś zauważyć”. Chyba nie stałaś dość blisko, by zobaczyć, co się stało?

Ginny znów pokręciła głową.

Alice przypomniała sobie grupę znajomych Ginny stojących pod drzwiami, zmarszczyła czoło i wbrew sobie włączyła się do rozmowy.

- Może twoi znajomi coś widzieli - powiedziała.

GINNY spojrzała na nią bez wyrazu.

- Jacy znajomi?

- Rafe i Java, i inni, którzy tam byli. Stałaś z nimi z tyłu sali.

GINNY potrząsnęła głową ze zdumioną miną.

- Byliście tylko ty i Joe - oświadczyła. - Nie mam innych znajomych.

- Przecież spędziłaś z nimi noc - upierała się Alice. - Daj spokój, Ginny, nie wygłupiaj się. W końcu kiedyś musisz nam o tym powiedzieć. Poszliście do domu nad rzeką. Na pewno nie wróciłaś przed piątą, bo...

- Nigdzie wieczorem nic wychodziłam - zapewniła Ginny Joego. - Poszłam spać.

- Nie wróciłaś z koncertu! Czekałam, ale nie przyszłaś. Potem zjawili się twoi znajomi i pytali o ciebie; ci sami, z którymi widziałam cię na koncercie. Przedstawili się jako Rafe i Java. Nie okłamuj nas, to nie ma sensu. Chcemy tylko wiedzieć...

Ale Joe już zrobił krok ku niej i cała łagodność zniknęła z jego twarzy.

- Słuchaj - powiedział. - Opuść sobie, co? Nie mam na to czasu. Czy to ważne, z kim była?

Alice usiłowała zachować spokój. Ostatnie, czego chciała, to kłótnia z Joem.

- Ważne jest to, że Ginny z jakiegoś powodu nie chce nam powiedzieć, dokąd wychodzi nocą.

- Nie zaczynaj. Później pogadamy. - Joe przybrał upartą minę. Minę, którą Alice znała ze starych czasów. Przez chwilę bardzo przypominał Ginny.

- Później? - spytała.

- Daruj sobie, Alice!

Kiedy podniósł głos, jego północny akcent stał się wyraźniejszy.

Alice zorientowała się, że cała drży.

- Nie widzisz, że robi cię w balona? - powiedziała. - Nie pozwól, żeby cię okłamywała! Mówię ci, mogę to udowodnić. Chcesz, to zaprowadzę cię do tego domu. - Odwróciła się do Ginny. - Powiedz mu prawdę!

Oczy Ginny wezbrały łzami i odwróciła się, chowając twarz w dłoniach. Alice złapała ją za ramię.

- Przestań! - Interwencja Joego była tak błyskawiczna jak jej własna. - Zostaw ją w spokoju! Zabieraj te łapy, mówię! - Zamierzył się na nią, rozpierany wzburzeniem tak silnym, że wręcz czuć je było w powietrzu. Dygotał z półprzymkniętymi oczami, aż nagle krzyknął i z całej siły uderzył w ścianę, odłupując płat tynku wielkości podkładki pod piwo.

Alice słabo się zrobiło, kiedy uprzytomniła sobie, że tylko najwyższym wysiłkiem woli powstrzymał się, by jej nie uderzyć. Na tę myśl, jakże ohydną, jakże nietypową, cofnęła się od Ginny ze łzami w oczach.

- Pogratulować dojrzałości - powiedziała. - Mam nadzieję, że ci ulżyło.

Joe trzymał się za bolącą rękę.

- Chyba rozwaliłem sobie kłyckie.

-I dobrze.

Jego głos znów był cichy, a na oczy z powrotem opadła zasłona.

- Myślałem, że może się zmieniłaś-warknął. -Ale wciąż jesteś tą samą wredną suką. Nic tylko byś gadała, wszystkiego musisz się czepiać. A już miałem cię z głowy. - Po czym wziął Ginny za rękę i odwrócił się do drzwi.

-Joe... - Alice chciała położyć mu dłoń na ramieniu, żeby go uspokoić; strząsnął ją gwałtownym gestem.

-Odpierdol się!

Wtedy wtrąciła się Ginny.

- Proszę - powiedziała i pociągnęła go za rękaw, żeby

odwrócił się twarzą do niej. - Proszę, nie rób awantury - ciągnęła. - Jestem pewna, że to nieporozumienie. Może rzeczywiście ktoś tu zajrzał, ktoś z przeszłości, którą staram się zapomnieć. Może to jego Alice widziała. Proszę, nie kłóćcie się z mojego powodu.

Teraz Joe miał skruszoną minę, trawiący go gniew znów usunął się w cień.

- Słuchaj, Alice... - Próbował się uśmiechnąć. - Chyba wszyscy jesteśmy dziś trochę nie w sosie. Ja mam za sobą nieprzespaną noc, wszyscy sporo przeszliśmy, no i oboje nas poniosło, mam rację? Może rzeczywiście wczoraj wieczorem kogoś widziałas. Może nawet znajomego Ginny. Dawniej zadawała się z różnymi dziwnymi typami.

- Nie bój się tego powiedzieć. - Ginny spojrzała Joemu w oczy. - Chcę, żeby Alice wiedziała wszystko. Musi mnie dobrze poznać, jeśli ma mi zaufać i się ze mną zaprzyjaźnić.

Jej oczy na chwilę pobiegły ku twarzy Alice; Alice dostrzegła błysk światła wirującego diabelskiego młyna.

- Kiedyś znałam ludzi różnego pokroju - wyjaśniła Ginny. - Alfonsów, narkomanów, prostytutki, większość z nich to byli wariaci. - Uśmiechnęła się. - Dzięki Joemu wszystko się zmieniło. Był moim rycerzem na białym koniu - zażartowała.

Chciał coś powiedzieć, ale uciszyła go gestem, co Alice nie udało się ani razu przez wszystkie lata ich znajomości.

- Naprawdę usiłuję zapomnieć tamte czasy - zapewniła Ginny, wpatrzona w nią. - Ale czasem wciąż pamiętam...

I spojrzała Alice prosto w oczy, a słowo „pamiętam” rozbrzmiewało echem w powietrzu między nimi. Alice ogarnęło dziwne wrażenie, że właśnie dostała wiadomość, bardzo ważną wiadomość, której nie mogła zrozumieć, a której zrozumienie mogło zmienić świat.

Kiedy Ginny i Joe wyszli, Alice długo czekała, zanim poszła do pracowni, gdzie zostawiła rękopis Daniela Holmesa. Ostrożnie włożyła papiery z powrotem do skrzynki, skrzynkę schowała do szafy w pracowni, i wróciła do salonu, żeby pomyśleć.

Daniel Holmes był oczywiście szalony.

A mimo to w głębi ducha chciała uwierzyć w jego opowieść. Może przekonała ją awantura z Joem; a może uczucia, które nękały ją od tego pierwszego wieczoru spędzonego z Ginny, owe zawroty głowy, dziwne zapachy, które kojarzyły jej się z tą dziewczyną: cukru, orzeszków ziemnych, waty cukrowej, stłumiony, duszny odór menażerii... o nich Daniel też wspominał. Może sprawiła to ta nieufność, niechęć do Ginny, może ten nieznaną dotąd strach. Może te jakże wierne opisy Rafe'a i Javy. Może widok twarzy Ginny na portretach sprzed przeszło stu lat. Twarzy Ginny w sali „Corn Exchange”. Może rozmowa z wielbnym Holmesem, bratankiem Daniela. Może informacja o śmierci doktora Pryce'a, lekarza Daniela i Ginny. Lub zaprzeczenia Ginny w obecności Joego. Tak czy owak, nawet jeśli Daniel był szalony, prawie zaczynała mu wierzyć.

* * *

- Halo? Szpital Fulbourn. W czym mogę pomóc?
- Z doktorem Meneziesem poproszę.
- Chwileczkę, zobaczę, czy jest.

I znów ta relaksująca muzyczka towarzysząca oczekiwaniu na połączenie. Alice czekała, nerwowo bębniąc palcami w bok słuchawki, i ani na chwilę nie odrywała oczu od skrzynki, do której włożyła wszystkie pisma Daniela Holmesa.

- Halo. Tu Menezies.
- Dzień dobry, mówi Alice Farrell. Nic wiem, czy pan pamięta, ale rozmawialiśmy parę dni temu.

- Tak, pamiętam.

Zawahała się.

- Chciałabym się z panem spotkać. Mam problem, o którym chciałabym porozmawiać.

- *Rozumiem*. Może najpierw da mi pani choć ogólne pojęcie o tym, jakiego rodzaju jest to problem?

- Wolałabym od razu się umówić.

- O wpół do pierwszej mam przerwę.

- Zgoda. - Alice odetchnęła z ulgą. - Może być.

- Dobrze więc. Jeśli to wszystko...

- Moment. - Alice wzięła głęboki wdech i zebrała siły.

Może mi pan przypomnieć, jak się nazywał ten niedawno zmarły lekarz? Doktor Pryce, tak? - Na drugim końcu zapadła cisza. - Halo?

Głos Meneziesa, ostry, być może nieufny.

- Jeśli pani jest z prasy, traci pani czas. Nie udzielam wywiadów.

- Nie jestem z prasy. Potrzebuję pomocy, to wszystko - powiedziała Alice stanowczym tonem. - A co, coś się stało? Czy ma to jakiś związek z doktorem Pryce'em?

Następna długa pauza. Wreszcie jego głos, chłodny i wyniosły.

- Do zobaczenia o wpół do pierwszej - powiedział.

1

Nie mogłem zostać w swojej kwaterze ani chwili dłużej, bo bałem się, że pani Brown, która znała mnie aż za dobrze, zacznie komentować moje zmienione zachowanie, dlatego też ledwie wróciłem do domu, a już zamknąłem się w swoim pokoju i zacząłem przygotowania do ucieczki. Najpierw starannie się wykapałem i spaliłem zakrwawioną koszulę; kosztowny to nawyk, bez wątpienia, ale instynkt samozachowawczy wziął górę i na chłodno zaplanował moje nowe życie, z precyzją godną człowieka, który wstąpił w ślady Kaina.

Znów zaczynało mi się kręcić w głowie; przypominam, że prawie nie spałem i w ciągu dwudziestu czterech godzin widziałem rzeczy przerastające moje wyobrażenia o niebie i piekle; wiedza, którą w owym czasie zdobyłem, była wypisana na mojej twarzy. Przeglądając się w starym zwierciadle, widziałem na poły obcego człowieka, nieogolonego, o zapadniętych policzkach i oczach, w których błyszczała moc, przerażających i... tak, dziwnie pięknych. Uśmiechnąłem się do siebie i zauważyłem, że moje usta mają w sobie nieujawniającą się dotąd zmysłowość, okrutną nonszalancję, której nie dostrzegłem nigdy przedtem. Przypomniał mi się Rafe i to, jak pod mostem w moich oczach upodobił się do anioła. Czy teraz wyglądam jak on?, myślałem. Teraz, kiedy zostałem

wybrany? Odwróciłem się od lustra, podszedłem do szafy, odszukałem butelkę whisky i kubek. Nalałem sobie czystej whisky na dobrych kilka centymetrów, wypłem jednym haustem jak lekarstwo i zająłem się pakowaniem.

Niewiele tego było; kufer z ubraniami i książkami, nic ponadto. Tak naprawdę moim największym zmartwieniem było to, by wychodząc, nie nadziać się na panią Brown. Bałem się, że gdyby gospodyni wytknęła mi moje dziwaczne zachowanie, mógłbym zmięknąć; szczęśliwie dla mnie, nie było jej, a ja pod jej nieobecność bez *trudu* zorganizowałem sobie taksówkę, która przewiozła mój dobytek do innej części miasta. Zostawiłem pani Brown lisi i dwa banknoty pięciofuntowe w podziękowaniu za wszystko, co dla mnie zrobiła; i późnym popołudniem ulokowałem się już w nowym, trzypokojowym mieszkaniu na ostatnim piętrze trzypiętrowego domu nad rzeką Cam. Oprócz mnie było jeszcze trzech lokatorów, tak przynajmniej zaręczył gburowaty gospodarz. Kiedy tylko *go* zobaczyłem, domyśliłem się - trafnie - że dopóty, dopóki moje komorne będzie wpływać w terminie, a ja nie będę zakłócał spokoju, wszelkie moje dziwactwa pozostaną niezauważone. Położyłem się *na* łóżku i zasnąłem.

Marny to był odpoczynek; nękały mnie sny i wspomnienia gorsze od snów, i choć powieki miałem ciężkie z niewyspania, zamykanie oczu sprawiało mi ból, jakby uwiecznione w ich głębi obrazy obróciły się w uwięzione pod skórą okruchy szkła. Ilekroć przytomniałem, miałem piekące, zaskorupiałe oczy, a kiedy wczesnym wieczorem wstałem i zapaliłem światło, jego blask był dla mnie nie do zniesienia i musiałem przesiadzieć prawie pół godziny w niemal całkowitej ciemności, zanim poczułem się lepiej.

Do tego czasu zdążyłem zgłodnieć i świadom, że o tej porze na miejscu nie dostanę nic do jedzenia, przygotowałem się do wyjścia.

Starannie ubrany i ogolony, udałem się do znanej mi knajpki na King's Parade. Wybrałem ją przede wszystkim dlatego, że rzadko bywali w niej moi znajomi. Zamówiłem drinki i krwisty befsztyk, rozsiadłem się wygodnie na krześle i popatrzyłem wokół. Choć był to nijaki, najzupełniej normalny lokal, ogarnęło mnie dziwne poczucie nierzeczywistości, wrażenie, że restauracja to tylko dekoracja sceniczna, za którą uwijają się złowrodzy mechanicy; wyobrażałem sobie tryby obracające się za zamkniętymi drzwiami, znajome dźwięki, zapachy i widoki wieczoru w Cambridge wydawały się tylko obudową maszynerii innego, mroczniejszego świata. Cicho ssałem drinka, czekając, aż świat znów nabierze ostrości, ale to uczucie się wzmacniało... uczucie nie tak znowu nieprzyjemne, a mimo to niepokojące. Za oknem przeszła para - młody mężczyzna z dziewczyną, o twarzach białych w zielonkawym świetle latarni. Widziałem ich tylko przez chwilę, ale ich obraz pozostawał w mojej pamięci jeszcze długo po tym, jak zniknęli; młody mężczyzna zwrócony w stronę dziewczyny, ona ze spuszczoneymi skromnie oczami. Przez moment zdawało mi się, że widzę, moim nowo wyostrzonym wzrokiem, kości i mięśnie pod ich skórą, ruch maszynerii ich ciał, tajemnych, milczących kapsuł ze ścięgien i krwi.

Ta wizja przeszła mi chłodem i nagle przestraszyłem się samego siebie. Wydawało mi się, że nie moje to myśli - wspomniałem już, że nic mam bujnej wyobraźni - lecz kogoś innego, jakiegoś inkuba z poczuciem humoru. Skupiłem się na przyniesionym właśnie steku, czerwonym i parującym w kałuży tłustego sosu; kelner postawił talerz przede mną, uśmiechnął się bez wyrazu, jak to kelner, i zostawił mnie samego z moim posiłkiem. Wziąłem się do jedzenia z wilczym apetytem, wdychając subtelne nuty aromatu mięsa, które kroilem i przełykałem, nawet nie żując. Czułem, że do mojego osłabionego ciała i znękanego ducha powraca

moc. Tego było mi trzeba, myślałem sobie z zadowoleniem, porządnego posiłku, który postawiłby mnie na nogi. Rosemary i jej banda teraz wydawali się bardzo odlegli, nierzeczywiści. To nie do pomyślenia, że tyle widziałem, że wycierpiałem i przeżyłem więcej niż większość normalnych ludzi przez całe życie. Aż zacząłem powątpiewać, czy tamta noc wydarzyła się naprawdę; podejrzewałem, że za te krwawe, radosne wizje odpowiadać mógł mocny środek halucynogenny, który podał mi Rafe.

Świat znów zatrzęsł mi się przed oczami. Spojrzałem w dół, na talerz, na mięso, krew i nagle widok tej krwi przyprawił mnie o mdłości. Przypomniałem sobie inną krew, tak wonną i obfitą, jej pulsowanie, to, jak hojnie, lubieżnie tryskała, kwaśny, metaliczny smak otwartej rany. Ludzkie mięso jest bielsze od wołowiny, pomyślałem ni z tego, ni z owego, ale wszelkie było łączą ze sobą więzy krwi.

Aż dziw, że to nie zbrodnie, które popełniłem, budziły moje przerażenie; może przerastały zdolność pojmowania mojego skołatanego umysłu. Fakt, że żerowałem na trupie kobiety, nim zdążyła wystygnać, wydawał się mglistym, niewyraźnym złudzeniem; miałem tylko niejasne, nieukierunkowane poczucie winy, jak na wspomnienie wyjątkowo perwersyjnego snu erotycznego. Nie, tym, co przerażało mnie tak, że nie potrafię tego oddać słowami, co przeraża mnie nadal, była świadomość, iż takie rzeczy istnieją naprawdę, za spokojną fasadą codzienności. Za kurtyną trwała nieustająca krzątanina, skrywał się tam cały świat, który raz ujrzany na zawsze pozostawał w pamięci; a ja teraz byłem jego częścią, uwięziony w jego nieprzerwanie obracających się trybach. Czułem się tak, jakbym w trakcie przejażdżki na diabelskim młynie przypadkiem spojrzeł w dół i zobaczył odsłonięte trzewia niosącego mnie mechanizmu, albo jakby niewidzialna dłoń uchyliła rąbek namalowanego nieba, uka-

zując mi Boga, niby ogromnego lalkarza otoczonego przez koła i bloki, na których zamocowane są gwiazdy, patrzącego z szerokim uśmiechem w dół, na ziemię, i trzymającego słońce nieruchomo niczym uśpione jojo.

Odsunąłem talerz, nie mogłem już jeść. Moja wzmożona świadomość drażniła mnie coraz to nowymi, przerażającymi doznaniem; czułem, jak ciepło mięsa na talerzu wywołuje odzew ciepła w moim brzuchu, gdzie nawet teraz niewidoczna maszyna przerabiała to, co zjadłem, na kał. Czułem, przez jedną wstrętą chwilę, bakterie kipiące w moich jelitach, czułem, jak podczas gdy myślę, miliony komórek obumierają w moim mózgu, i zobaczyłem samego siebie, jakby pod groteskowo powiększającą lupą: najpierw nieskończenie ogromnego, rozbitego na atomy pędzące z prędkością światła do potężnych ciemnych pieców u kresu entropii, potem nieskończenie małego, bezustannie konającego, drobinę na drobince pośród mroku, bezradną i zagubioną, nieskończenie odległą od Boga.

Zachwiałem się, zdezorientowany, i wtedy powróciła normalność: restauracja, przyćmione światło świecy przede mną, aromat mięsa, czerwone wino w kieliszku. Jeszcze tylko moment zawieszenia w próżni i już prawie nie pamiętałem niedawnego zaniepokojenia; ukroiłem sobie kawałek steku i jadłem z prymitywną rozkoszą. Byłem wybrany.

Zamówiłem owoce, ciasto i jeszcze wina, a na koniec kawę i brandy. Poprosiłem kelnera o gazetę i przez jakiś kwadrans czytałem „Evening Post”. Zauważyłem z pewną dozą satysfakcji, że jeszcze nie znaleźli zwłok w krypcie; nawet sprawa „Ciała w jazie” trafiła dopiero na trzecią stronę, jako że nie było żadnych nowych wiadomości prócz tej, że Scotland Yard wciąż nie ustalił przyczyny zgonu. Przejrzałem resztę gazety w poszukiwaniu informacji o nocnym zejściu w szynku i w końcu znalazłem notkę, kilka linijek na czwartej stronie,

z nagłówkiem DWIE OFIARY POŻARU. Najwyraźniej ogień podłożony przez pozostałych, żeby zatrzeć ślady, zmylił policję, przynajmniej na jakiś czas. Już dużo bardziej opanowany, uregulowałem rachunek, wziąłem kapelusz i płaszcz, i ścieżką wzdłuż rzeki ruszyłem do mojego nowego mieszkania, rozkoszując się chwilą beztroski, szumem Cam i ciemnością. Nie byłem ani trochę zmęczony, choć zrobiło się późno, a nie zwykłem włączyć się po nocach, i możliwe, że kiedy otwierałem drzwi swojego pokoju, zamierzałem przed snem trochę popracować, ale ledwie przestąpiłem próg, wszelkie myśli o lekturze pierzchły. Już wyciągałem rękę do włącznika światła, kiedy powstrzymał mnie głos, szokująco słaby i ochrypły, a mimo to zadziwiająco znajomy.

- Danny, Nie zapalaj światła... to ja.

Zmrużyłem oczy w ciemności, zdjąłem okulary, by wyraźniej widzieć, i po lewej stronie wypatrzyłem bladą, niewyraźną sylwetkę.

- Robert?

Odpowiedziało mi chrapliwe, zduszone westchnienie.

- Robert, nic ci nie jest?

I znów ten okropny dźwięk, tym razem połączony z ni to skrobaniem, ni to szuraniem od strony łóżka. Nie oswoiłem się jeszcze z nowym pokojem, a w dodatku wypiłem dużo więcej niż zazwyczaj; próbując podejść do przyjaciela, wpadłem w mroku na stół, straciłem równowagę i omal nie przewróciłem się o fałdę dywanu.

- Jak mnie znalazłeś? Masz jakieś kłopoty?

Coś jakby szloch w ciemności.

Wreszcie do niego doszedłem; z tego, co wyczułem dotykem, na wpół leżał, na wpół siedział na łóżku, całkowicie ubrany. Wziął mnie za rękę. Był bardzo zimny. Jego ubrania przeszły słabym zapachem jakichś medykamentów zmieszonym z dużo mocniejszym odorem whisky. Objąłem go

i przytuliłem jak dziecko, przez cały czas zastanawiając się gorączkowo, co też powiedziała mu Rosemary. Że to była jej sprawka, co do tego nie miałem wątpliwości; tylko ona mogła doprowadzić go do takiego stanu. Robert był pogodnym, praktycznym człowiekiem, trzeźwo postrzegającym świat i samego siebie; ale już dawno się zorientowałem, że nie był człowiekiem silnym. Jeden rzut oka na to, co oglądałem przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny, wystarczyłyby, żeby go zdruzgotać do szczętu; ja zaś się jakoś przystosowałem i po raz pierwszy, odkąd się znaliśmy, nasze role się odwróciły. Uczepił się mnie, jego oddech rwał się niepokojąco, a ja kołysałem go jak dziecko, szukając jakiegoś sposobu, by go uspokoić i dodać mu otuchy. Cokolwiek się stanie, powiedziałem sobie, nie może domyślić się prawdy; nie może dowiedzieć się o Rosemary, choć czy chciałem chronić jego czy ją, tego jeszcze nie wiedziałem.

Kołysałem go, aż zeszywnienie jego ciała ustąpiło, szepotałem niedorzeczności, a jednocześnie snułem plany, kalkulowałem, jak to rozegrać.

- Trochę się wypiło, co? No, już lepiej. Czekaj, zaparzę kawy. - Wstałem bez trudu (moje oczy przez ten czas oswoiły się z mrokiem), podszedłem do zlewu, zapaliłem lampkę. Nalałem wody do czajnika i ponownie otworzyłem drzwi, by wyjść do małej kuchenki.

- Nie idź! - Głos Roberta drżał.

- Wszystko gra, stary. Zaraz wrócę - powiedziałem. - Przyniosę kawy, zobaczysz, dobrze ci zrobi.

Kiedy wróciłem, był już jakby spokojniejszy. Siedział w jednym z moich foteli, plecami do światła. Kapeluszczyk położył obok siebie na podłodze. Wyglądał, jakby płakał; nawet w tym przyćmionym świetle widać było, że na policzkach ma plamy, a dłonie, splecione na kolanach, latały mu niespokojnie.

- Dzięki, stary - odezwał się z wysiłkiem. - To miło z twojej

strony, ze ocaliłeś ten wrak. Już mi lepiej. - Odwróciłem się, by rozpaść w kominku, który wygasł pod moją nieobecność. W czasie gdy ja układałem w palenisku węgiel i papiery, zapalałem zapałki, podsycam miechem płomień, i wykonywałem wprawne ruchy pogrzbaczem, które sprawiły, że ogień trzaskał wesoło, Robert zdążył jeszcze bardziej się pozbierać i kiedy znów odwróciłem się do niego, siedział wyprostowany, a jego twarz, choć ściągnięta i dość blada, wyglądała już prawie normalnie. Nalałem kawy nam obu, świadom, że ta sekwencja normalnych, codziennych gestów - rozpalanie ognia, nabieranie cukru na łyżeczkę i podawanie mleka - podnosi mojego przyjaciela na duchu, lepiej, niżby dokonały tego słowa.

- No dobrze - powiedziałem, kiedy uznałem, że kawa i ciepło ognia zaczęły działać - może powiesz mi, co się stało? - Uśmiechnąłem się i podałem mu metalowe pudełko z herbatnikami. - Częstuj się.

Robert pokręcił głową.

- Dzięki. - Wziął jeszcze jeden łyk mocnej kawy (pił czarną, z dużą ilością cukru), odstawił filiżankę. - Wybacz, Dan - rzeki już bardziej normalnym tonem. - Byłem głupcem. Źle postąpiłem wobec ciebie w związku z tym wszystkim i mam nadzieję, że przyjmiesz moje przeprosiny.

- Nonsens - uciałem. - Nie ma za co przepraszać. A teraz może powiesz mi, co się stało?

Skinął głową i już zaczynał mówić, ale się zawahał.

- Nie wiem, od czego zacząć - przerwał - ani czy uwierzysz w to, co powiem. To wszystko wydaje się zupełnie zwariowane.

- Zdziwiłbyś się, w co jestem w stanie uwierzyć - odparłem.

- No dobrze - ciągnął Robert i podczas gdy ogień przygasał, on snuł swoją opowieść, rwaną i niespójną, a mimo to jakże znajomą. Nie odzywałem się, od czasu do czasu

tylko zachęcałem go, by mówił dalej, i to właśnie wtedy, gdy słuchałem tej tragicznej historii, podjąłem decyzję, która miała zaważyć na wszystkich moich późniejszych działaniach i którą jeszcze mogę przypłacić życiem. Wybrany czy nie, byłem i pozostanę wierny swojemu przyjacielowi. Będę go chronił, nawet przed nią. Przed Rosemary. Tyle że w tamtej chwili wciąż nie miałem pojęcia, dokąd ta decyzja mnie zaprowadzi i jakie mroczne zaułki będę musiał przemierzyć, zanim odzyskam własną duszę.

Rosemary zauroczyła go od samego początku, opowiadał Robert. Zazwyczaj obracał się w męskim towarzystwie; w prywatnej szkole, w wojsku i na uczelni spotykał niewiele kobiet, i jak się okazało, był zaskakująco niewinny, co czyniło go idealnym kandydatem do tego, by ulec szczególnemu czarowi Rosemary. Nigdy dotąd się nie zakochał i myślał, że komuś takiemu jak on to nie grozi, ale z miejsca zrozumiał, że oto ma przed sobą kobietę, którą kochał będzie zawsze, i choć serce mu się krajało na myśl, że mi ją odbija (bo wiedział, jak mocno zawróciła mi w głowie), miał nadzieję, że nie będę żywił do niego urazy. Ona, z właściwą sobie przewrotnością, dała mu do zrozumienia, że może go pokochać, i na kilka tygodni zapanowała idylla. Robert zapomniał o wszystkim oprócz Rosemary, pracował na uczelni z coraz mniejszym zapałem, przestał pisać, odsunął się od przyjaciół. Mogłem się domyślać, jak sprytnie zdołała go odizolować od świata i całkowicie uzależnić od siebie; w typowy dla niej sposób wyeliminowała wszystko, co mogłoby przeszkodzić w dominacji nad jego życiem, zrobiła z siebie jego czarownicę i boginię. Intrygowała go swoją tajemniczością; czasami nie przychodziła na umówione spotkania, a kiedy żądał wyjaśnień, po prostu spoglądała na niego swoimi oczami w kolorze sińców i mówiła: „Są w moim życiu rzeczy, których nigdy sobie nie wyobrazisz ani nie poznasz”.

W miarę pogłębiania się ich zażyłości miał okazję poznać ją z innej strony. Bywały dni, kiedy nie wychodziła z mieszkania i nie chciała widzieć się nawet z nim, a gdy przychodził mimo to i zostawał dopóty, dopóki zgodziła się go przyjąć, miała zdumiewająco bladą i ściągniętą twarz, jak po nieprzespanej nocy, a jej ruchy były ociężałe, prawie jak u pijanego. Nigdy nie wyjaśniała swojego dziwnego zachowania i tajemniczych chorób, tylko patrzyła na niego tymi smutnymi, nieruchomymi oczami, i mówiła, że i tak nie zrozumie.

Zrobił się zazdrosny - a potem wpadł w złość. Składała obietnice i od razu je łamała, nękała go zazdrość i strach przed utratą Rosemary. Kiedy pewnego wieczoru zobaczył ją w towarzystwie dwóch mężczyzn, nie wytrzymał; zażądał, by zaprzeczyła, że ma kochankę. Wyrzuciła go z domu. Przez cały tydzień trawiło go poczucie winy i wstyd z powodu tego, co jej powiedział; próbował ją odnaleźć, ale od jej gospodyni dowiedział się, że Rosemary się wyprowadziła.

Robert zaczął się bać; nabrał przekonania, że po tym, jak ją odtrącił, z rozpaczy popełniła samobójstwo. Snuł się nad rzeką, pił dużo więcej niż powinien, tak w pubach, jak i w domu, zamieszczał w prasie ogłoszenia z prośbą o informacje na jej temat - wszystko to na nic. Minęło już sześć tygodni i był na skraju załamania nerwowego. Bał się przyjść do mnie, bo myślał, że będę miał mu za złe to, jak potraktował Rosemary; dręczyły go tak silne wyrzuty sumienia, że kiedy zobaczył mnie na moście i później, w szynku, gdzie go znalazłem, nic był w stanie mi powiedzieć. Mało spał, jadł jeszcze mniej, i gotów był zrobić wszystko, byle do niego wróciła.

A ona to oczywiście wiedziała.

Któregoś dnia znalazł ją późnym wieczorem w podłej spelunie. Wyglądała na chorą, otepiałą. Jej cudowne włosy były rozpuszczone i splątane, twarz blada i wychudła jak ni-

gdy. Miała na sobie szarą suknię, która podkreślała jej wątłą sylwetkę, a ją samą upodabniała do widma; głowę odchyliła do tyłu i oparła o brudną ścianę, oczy trzymała zamknięte. Robert poczuł, że topnieje w nim serce i przez chwilę był sparaliżowany, nie mógł uwierzyć, że w końcu ją znalazł. Jego następną reakcją był paniczny strach; wyglądała tak źle, tak żałośnie. Zaprowadził ją do siebie; nic do niej nie docierało, jakby doznała szoku albo przedawkowała jakiś środek halucynogeny. Ledwo powłóczyła nogami, więc na poły wprowadził, na poły wniósł ją po schodach, położył na łóżku i lał gorącą kawę w jej zbiele usta, aż trochę jej się polepszyło.

Zawsze wiedziałem, że Rosemary jest znakomitą aktorką; opowiedziana przez nią historia była doskonała i Robert, jak zawsze łatwowierny, uwierzył w każde słowo. Powiedziała mu, że jest narkomanką, i to od kilku lat, dokładnie od czasu, kiedy w wieku szesnastu lat opuściła dom. Właśnie to, nie romans z żonatym mężczyzną, pchnęło ją do próby samobójczej, i choć wiele razy próbowała wyzwolić się ze szponów nałogu, nigdy jej się nie udało, albo z braku silnej woli, albo, co bardziej prawdopodobne, dlatego, że nikt nie podał jej pomocnej dłoni. Jej nieliczni przyjaciele mieli ten sam problem; w przeszłości mogli przynajmniej liczyć na siebie nawzajem, ale to było zgubne wsparcie, które jeszcze bardziej osłabiało ich siłę woli i uczyniło z nich wszystkich wyrzutków.

Zaczęła brać za zachętą swojej pierwszej gospodyni i jej męża, od których dostawała pigułki na sen, ilekroć nie mogła zasnąć. Stopniowo przechodziła na coraz mocniejsze dawki i w końcu odkryła, że nie może się już bez nich obejść. Jej gospodarze, którzy z początku udostępniali jej proszki za darmo, domagali się coraz wyższych sum za swoje usługi, aż w końcu Rosemary musiała oddawać im wszystko, co zarabiała. Zaczęła przyjmować dodatkowe zlecenia, żeby zdobyć więcej

pieniędzy. Z początku poprzestawała na szyciu, robieniu na drutach i pomaganiu w pubach; wkrótce przestała wybrzydzać i najmowała się do sprzątanania w szemranych barach. Ludzie oczywiście zwracali na nią uwagę; było niemożliwością, by kobieta o urodzie Rosemary pozostała niezauważona, i kilku mężczyzn złożyło jej nieprzystojne propozycje. Odrzuciła je ze stosownym wstrętem, ale wówczas ci sami państwo, których do niedawna uważała za swoich opiekunów, zaczęli naciskać, by była „miła” dla ich stałych gości, głównie prostaków, którzy pili na umór i po nocach grali w karty na pieniądze. Rosemary dowiedziała się, że jej gospodarze prowadzą w swoim pensjonacie nielegalną szulernię, a ona sama służy im jako atrakcja i przynęta dla klientów. Od tego był już tylko jeden przerażająco mały krok do oferowania jej wdzięków za pieniądze, krok, który słusznie się wzbraniała poczynić. Biedna dziecina żyła niemal w ciągłej niedoli, w stanie skrajnego wyczerpania nerwowego, napastowana ze wszystkich stron, nie mogąc związać końca z końcem. Wtedy to na scenę wkroczył żonaty mężczyzna, o którym opowiadała wcześniej, i pierwszy raz w życiu zrodziła się w niej nadzieja, że może zdoła raz na zawsze ująć losowi, który zdawał się jej grozić; a kiedy i z tego nic nie wyszło, uznała, że tylko rzeka na dobre wybawi ją od wszelkich cierpień. Wtedy jednak zjawił się bóg z maszyny, czytaj ją, który w ostatniej chwili ocalił jej życie i dał nadzieję na lepszy świat, a potem, w osobie Roberta, niespodziewane marzenie o prawdziwej miłości, którego uchwyciła się kurczowo jak tonące dziecko.

Jednak lęk ostudził idyllę, nim ta na dobre się zaczęła; Rosemary gnębił strach, że jeśli Robert pozna jej przeszłość, opuści ją jak tamten mężczyzna. Próbowwała walczyć z nałogiem w samotności, bojąc się poprosić Roberta o wsparcie, i, co było do przewidzenia, walkę tę przegrała. Potajemnie

odszukała swoich starych znajomych i zapłaciła im za to, by ją zaopatrywali, a przyłapaną przez Roberta w ich towarzystwie nie wiedziała, co powiedzieć, by przekonać go o swojej niewinności. Prerażona, że jeśli wyzna prawdę, jego miłość może przerodzić się we wstręt, zebrała całą swoją dumę i wyprosiła go z domu w nadziei, że on wróci i obieca, iż od tej pory będzie jej ufał; Robert jednak odszedł, wściekły i zazdrosny, a Rosemary, przekonana, że utraciła go na zawsze, popadła w rozpacz i znów sięgnęła po jedyne źródło pociechy, jakie знаła. Sprzedała biżuterię, którą podarował jej Robert, i choć rozstanie z każdą błyskotką było dla niej bolesne, nic nie mogła na to poradzić, każdy mijający dzień był kolejnym ogniwem w łańcuchu ciągnącym ją w przepaść. Osamotniona, tym bardziej potrzebowała towarzystwa znajomych, wśród których byli sami osobnicy podejrzanej konduity, alfonsi, prostytutki, narkomani i temu podobne indywidua. Wmieszała się w jakieś szemrane interesy, sugerowała nawet, że ludzie z jej otoczenia mogli posunąć się do przestępstw, by zdobyć pieniądze i chronić siebie nawzajem, i, choć sama w tym bezpośrednio nie uczestniczyła, bała się policji; bała się, że oskarżą ją o współudział.

To wtedy spotkałem ich ponownie; Rosemary wyglądała na chorą i wycieńczoną, Robert za to miał się świetnie i wydawało się, że ich role się odwróciły. Jednak ten stan rzeczy nie trwał długo. Rosemary pozwalała sobie przy Robertcie na coraz więcej; świadoma, że cokolwiek zrobi, on nie będzie w stanie jej się przeciwstawić, coraz śmielej okazywała drzemiącą w niej bezwzględność. Poznała go z Rafe'em, Java i Zachem i stwierdziła, że jako jej przyjaciele powinni być mile widzianymi gośćmi w jego domu. Czasem bez skrępowania nocowali w jej pokoju. Jak sądzę, Rosemary wówczas nie mogła jeszcze wiedzieć, czy Robert zadurzył się w niej na tyle, by to tolerować, ale zdaje się, że nie miało to dla niej

znaczenia. Może samo okrucieństwo takiego postępowania wystarczało, by zapewnić jej upragnioną rozrywkę.

Robert nie radził sobie z tą sytuacją. Kilka razy próbował odejść, ale nie zdołał; osobowość Rosemary zmieniała się z godziny na godzinę, to była dziecinna, to znowu przewrotna. Winił za to narkotyki. Kiedy jednak zobaczył, ile wydawała pieniędzy, nawet on nie mógł nie nabrać podejrzeń; sam wypłacał jej tylko drobne sumy z własnych, niezbyt okazałych oszczędności i skromnego stypendium, było więc oczywiste, że musiała znaleźć sobie dodatkowe źródło dochodów. Już raz dała mu do zrozumienia, że jej przyjaciele maczali palce w jakichś przestępstwach, i Robert nabrawł przekonania, że wiedziała więcej, niż mówiła. A dziś wieczorem, kiedy wreszcie, pijany i przerażony, poszedł mnie szukać, coś zobaczył. W tym momencie jego opowieść stała się tak nieskładna, że mogłem się tylko domyślić, co właściwie widział, ale wspomniiał o krwi na ubraniu Rosemary; dużo krwi, powtarzał raz po raz. A mimo to wciąż nie chciał przyznać, że Rosemary może być w coś zamieszana; jest niewinna, utrzymywał, jest ofiarą okoliczności. Wiedział to.

O tak, zgrabną mu opowiedziała historyjkę. Znałem jej dawne opowieści, raz już dałem się im zwieść, i wiedziałem, jak dobrą jest aktorką. Widzisz, ja ją znałem; nie tak, jak mój przyjaciel uważał, że ją zna, nie wierzyłem, jak Robert, w jej bajki o prześladowanej niewinności, o nieszczęsnej dziewczynie spragnionej miłości. I kochałem ją, kochałem mrok i zagrożenie, które ze sobą niosła, kochałem jej nienawiść, jej niszczycielską siłę i jej obietnice śmierci. Szalałem z miłości do niej; ale to wtedy, pomimo tego wszystkiego, zrozumiałem, że ją zabiję.

Biedny Robert; tak bardzo kochać, a mimo to nigdy nie zobaczyć jej twarzy. Widział tylko gwiazdy w jej włosach; nigdy nie poczuł jej żaru, smaku krwi na jej wargach, nie

poznał jej, strachu, jaki budziła, nie wziął owocu z jej dłoni. Nigdy nie kochał jej wystarczająco mocno, by zdać sobie sprawę, że jedyne wyjście to zabić ją, zagrzebać głęboko pod kamieniami, gdzie pozostanie uwięziona na zawsze, z dala od ludzkich oczu i myśli.

Słuchając go, bolałem nad jego głupotą, ale jednocześnie w głębi ducha śmiałem się, gardziłem jego dziecinnymi uczuciami. W końcu ja należałem do wybranych, a on był tylko jedną sztuką bydła. Żałowałem go, ale bez czułości. Rosemary wysączyła ją ze mnie do ostatniej kropli. Chciałbym wierzyć, że powodowała mną miłość czy choćby lojalność. Myślę, że nie było to ani jedno, ani drugie. Gdyby to Robert był w owym barze, w którym pożywiłem się niespełna dwadzieścia cztery godziny wcześniej, gdyby to jego krew trysnęła, nie sądzę, bym pił ją mniej łapczywie; wybrani nie ulegają sentymentom. Czułem w sobie zimno. Nie bałem się. Wiedziałem, że nie będę kimś takim jak Robert, zaślepionym głupcem jedzącym jej z ręki. Ona otworzyła otchłanie wokół mnie, olśniła swoim czarem, ale nawet taki skończony dureń jak ja potrafi pokazać inne oblicze. Nic mnie złudzeń, nigdy nie kierowały mną wyrzuty sumienia czy lojalność. Przyjąłem od niej dar, jakim były moje nowe apetyty. Do dziś nie jestem pewien, czemu postanowiłem działać; może tak to już jest, że każdy zabija to, co kocha. Prawda jest taka, że pragnąłem mocy. Po to, żeby uwolnić się od Rosemary i napić się z kielicha, który mi podała.

Żeby być tym, czym była ona.

1

Kiedy wychodziłem, spał; skulony pośrodku mojej zmiętej kołdry, z twarzą na złożonych dłoniach, wyglądał jak dziecko. Mój nieszczęsny przyjaciel. Przez pewien czas patrzyłem, jak śpi, nie bez życzliwości, ale i z nowo zrodzoną we mnie pogardą, i około wpół do czwartej, pośród przemijającej nocy, wyszedłem i zamknąłem za sobą drzwi. Miasto było pogrążone w ciszy zaludnionej przez halucynacje. Oddech wypływał z moich ust jak dżinn z butelki i zawisał nad głową niczym aureola. Szedłem pustymi ulicami jak ich niepodzielny władca, delektując się zimnem i ciemnością. Za miastem machinalnie skręciłem na Grantchester; tu już nie było latarni, dzięki czemu dostrzegłem brzask, którego do tej pory mogłem się tylko domyślać, smużkę bladej poświaty na krawędzi horyzontu.

Drogę przebiegł mi czarny kot. Zatrzymał się na chwilę z uniesioną łapą, po czym otworzył pyszczek w bezdźwięcznym syku i czmychnął w krzaki. Mój żołądek wyszczerzył kły w uśmiechu i uświadomiłem sobie, że znów zgłodniałem. Och, nie był to już rozpaczliwy, bolesny skurcz, jak za pierwszym razem, lecz niecierpliwy ucisk, który zaczął się w pachwinie i natychmiastową eksplozją ciepła rozszedł do brzucha. Apetyty, tak nazwała to Rosemary.

Skłamałem się za to, że zwlekałem tak długo. Powinienem być wyjść o północy, w porze zamykania barów; może wtedy znalazłbym samotnego pijaka na ławce czy kelnerkę wracającą do domu. Wzdrygnąłem się na tę myśl, ale kiedy przyspieszyłem kroku, mój żołądek wciąż szczerzył się radośnie. Nagle poczułem, że potrzebuję Rosemary, potrzebuję dotyku jej chłodnych ust, jej beznamiętności, czystości. Dziwiłem się, że jeszcze niecałe pół godziny wcześniej serio myślałem o tym, by ją zabić... i w imię czego? Takie uczucia jak lojalność i zazdrość powinny być mi obce; w duchu drwiłem z siebie i moich burżuazyjnych wartości - Rosemary należała do nas wszystkich, a my należeliśmy do siebie nawzajem. Z wyżyn euforii runąłem na dno przygnębienia. Głód nie był już przyjemny; mój wyszczerzony żołądek skręcał się i kurczył. Moja erekcja wydawała się sękata, zrakowaciała. Oczy zaszyły mi łzami skruchy; zdradziłem Rosemary myślą, a ona odwróciła się ode mnie. Czułem się jak Judasz.

Później zacząłem rozpoznawać ten stan ducha i podejmowałem kroki, by mu zapobiec, ale w owym czasie tak naprawdę bardzo niewiele wiedziałem o tym, co mnie spotkało, i wpadłem w panikę. Przypuszczam, że takie huśtawki nastrojów są dobrze znane tym, którzy biorą pewne narkotyki, ale ja, dopóki nie spotkałem Rosemary, żyłem pod kloszem i pod żadnym względem nie byłem przygotowany na huragan sprzecznych emocji, w który mnie wciągnęła.

Wtedy coś trąciło mnie w łokieć i moje nozdrza złowiły dość przyjemny zapach zielska i wilgoci. Ktoś wyszeptał moje imię i odwróciłem się, z radością i strachem. To była Elaine z paczki, z którą spędziłem poprzednią noc, blada, wychudzona dziewczyna z dzieckiem.

- Nie bój się - powiedziała cicho. - Szukałam cię.
- Po co?
- Wiedziałam, że będziesz w takim stanie.

- W jakim?

- Nazywamy to „małą śmiercią” - wyjaśniła. Miała najłagodniejszy głos, jaki kiedykolwiek słyszałem. - W końcu się przyzwyczaisz.

- Nie rozumiem - powiedziałem.

- Nie dziwię się - odparła Elaine - ale zrozumiesz. Wiesz, musisz jeść. - Słowo „jeść” wymówiła z dziwną intonacją, która przyprawiła mnie o dreszcz; zabrzmiało to tak, jakby powiedziała: „musisz umrzeć”.

Podniosłem głowę i tak naprawdę wtedy zauważyłem ją po raz pierwszy. Nie była specjalnie piękna i w obecności Rosemary nawet na nią nic spojrzałem. Z naszego pierwszego spotkania zapamiętałem tylko długie, splątane włosy jak u czarownicy z baśni, i wielkie, ciemne oczy w umorusanej twarzy. Kiedy patrzyłem na nią teraz, zauważyłem, że jednak coś w sobie ma, swoistą, utajoną urodę, nie piękno Rosemary, lecz coś ukrytego głęboko w kościach jej twarzy. Wygłodzona, pomyślałem; wygląda na wygłodzoną.

- Ile masz lat? - spytałem.

Zaśmiała się cicho, bez wesołości. Jej twarz w ciemności była biała jak papier i zdawała się unosić, oderwana od ciała, ponad kołnierzem jej czarnego płaszcza. Wyglądała strasznie młodo.

- Siedemnaście? Dwadzieścia?

Elaine odwróciła się z cichym jękiem i zrozumiałem, że płacze.

- Ile ty masz lat? - krzyknąłem, uprztamniając sobie, że tym razem moje pytanie nabrało zupełnie innej wymowy.

- Nie wiem.

- Kim jesteś? - Nagle poczułem, że muszę poznać prawdę, już, teraz. - Skąd pochodzisz?

Patrzyła na mnie, jakby nie rozumiała mojego pytania albo uważała je za niedorzeczne. Nikim. Znikąd.

- Musisz jeść - powtórzyła, jakby to było dla niej najważniejsze. Z kieszeni płaszczu, w którym tonęła, wyciągnęła paczkę zawiniętą w celofan. Była ciepła i nieprzyjemna w dotyku. Wsunąłem ją do kieszeni.

- Dzięki.

Elaine spojrzała na mnie i uśmiechnęła się jak spłoszone dziecko.

- Ty nie rozumiesz, prawda? - spytała. - Kochasz ją. Wszyscy ją kochamy. - Zrobiła smutną minę, jakby recytowała dogmat, w który dawno przestała wierzyć.

- Kocham ją. -I to była prawda. Prawie.

- Byłam modelką. Ludzie mnie malowali. Z początku pracowałam w sklepie z kapeluszami, wiesz, obsługiwałam klientów... pomagałam też robić kapelusze; byłam w tym dobra... aż któregoś dnia przyszli pewni ludzie i wpadłam im w oko. Nazwali mnie pięknoscią. Dobrze mi płacili za to tylko, że siedziałam z książką czy z harfą, a oni mnie malowali. Miałam szesnaście lat. Potem poznałam Rosemary. Wtedy nie miała na imię Rosemary, tylko Maria. Ale to też nie było jej prawdziwe imię.

- Kiedy to było?

Puściła moje pytanie mimo uszu.

- Ona też była modelką - ciągnęła. - Nigdy nie widziałam piękniejszej istoty. Była zaręczona z młodym malarzem, Williamem. Lubiłam go. Jednocześnie spotykała się z znanym mężczyzną. Mówiła na niego Ned. On też za nią szalał, ale nie chciał zostawić żony. Rosemary tak naprawdę nie zależało na żadnym z nich; robiła sceny, że sobie nie wyobrażasz, groziła samobójstwem, ale to były tylko takie jej gierki. Sama mi to powiedziała. Zaprzyjaźniła się ze mną, uczyła mnie.

- Wybrała cię. - Zaczynałem rozumieć.

- Ten młody malarz, William... - Elaine błagalnie spoj-

rzała na mnie. - Oszalał. Spalił wszystkie swoje obrazy. Rzucił się na nią z nożem.

- I ?

- Potem się zabił. - Jej oczy patrzyły ponuro. - Myślał, że się od niej uwolnił - powiedziała - ale ona wróciła. Zawsze wraca. - Elaine odwróciła się i wiedziałem, że znów płacze.

- Elaine - wybąkałem.

Nie spojrzała na mnie; jej twarz ginęła za postrzępioną zasłoną włosów. Byłem bezradny wobec rozpacz, która emanowała z niej jak ciemność; Elaine była niczym potępiona dusza, a żałosne dźwięki dobywające się z jej ust brzmiały pośpiesznie jak skowyt zimowego wiatru.

- Elaine. - Siłą odwróciłem ją do siebie; odgarnąłem jej włosy. Widok jej umorusanej łzami twarzy był bezsprzecznie podniecający; zacząłem dostrzegać urodę, która sprawiła, że mężczyźni nazywali ją „pięknością”. Rozłożyłem ręce i przytuliłem ją; zakutana w ten męski płaszcz, była lekka i chuda jak dziecko, i nowe żądze, które rozbudziła we mnie Rosemary, zaczęły chciwie domagać się zaspokojenia. Byłem prawie pewien, że odsunie się ode mnie; kiedy jednak rozpiąłem jej płaszcz - otulając ją moim, żeby nie zmarzła - a potem sukienkę, tak, że została w samej podartej, brudnej halce, zaszlochała i z westchnieniem przylgnęła do mnie. Jej biała skóra była gładka jak kość słoniowa, ręce i nogi miała jak z lodu, ale biło też z niej ciepło, ciepło, którym syciłem się tam, na drodze, nie bacząc na to, czy ktoś nas zauważy. Przez cały czas, kiedy się kochaliśmy, ona była bierna, niewinna jak dziecko, wyzuta z namiętności, ale czułem, że gnębiąca ją rozpacz ustępuje i kiedy skończyłem, czerwony na twarzy, wychyliła się ku mnie i pocałowała, bardzo delikatnie, w policzek.

- Kiedyś byłem piękna - powiedziała.

- Nadal jesteś - odparłem, bo to chciała usłyszeć, ale mnie zignorowała.

- Proszę - szepnęła. - Pomóż mi.

- Jak?

Spojrzała na mnie.

- Zabij ją.

Zrobiłem wielkie oczy.

- Zabij ją. Proszę. Nie mogę tego znieść, co noc to samo. Zrób to, póki możesz. Boże! Tyle czasu minęło. Cieszyłam się, że ją zabił. Myślałam, że będę wolna. Ale ona wróciła. Znalazła mnie. Od tej pory... - Głos jej się załamał i poczułem, że znów bije od niej rozpacz. - Tyle czasu, a ona nie pozwoli mi umrzeć... tyle czasu i dzień w dzień nic, tylko ciemność i krew. Ona nie dopuści, żeby to się skończyło. Och, zabij ją, proszę...

Wzruszyłem ramionami, już opanowany. Spotkanie z Elaine i ciężar paczki z żywnością w mojej kieszeni przywróciły mi poczucie mocy i ambicję. Mogę zabić Rosemary, pomyślałem. Ale nie dla Elaine. Po wszystkim należeć będzie do mnie, jak teraz należy do Rosemary; ona, a z nią inni.

Spojrzałem na nią z góry, ale znów płakała, z twarzą ukrytą we włosach. Odwróciłem się i nie oglądając za siebie, ruszyłem drogą do Cambridge. Przedemną płożył się mój cień, słaby w zielonkawym brzasku. Wsunąłem dłoń do kieszeni, by sprawdzić, czy jest tam paczka; była, i mimo owijającego ją celofanu, miałem wrażenie, że czuję zapach mięsa, mocny, upajający. Instynktownie przyspieszyłem kroku. Nie chciałem być na drodze po wschodzie słońca.

1

Kiedy wróciłem, Robert jeszcze spał, bezbronny, rozwalony w poprzek łóżka. Oczy, schowane pod powiekami, latały mu niespokojnie z boku na bok. Zamknąłem drzwi na zatrask i poczułem, że kręci mi się w głowic z głodu i braku snu. Rozsiadłem się wygodnie w fotelu, nie odrywając oczu od Roberta.

Wyjąłem z kieszeni wciąż ciepłą paczkę od Elaine. Mdlilo mnie z głodu. Za drugim razem poszło łatwiej; mięso było pożywne i smakowite, jego tekstura jednocześnie nęcąca i obrzydliwa. Jadłem szybko, wpatrzony w Roberta. Kilka razy drgnął jak kot i jego oczy poruszyły się, ale pozostały zamknięte, a ja skończyłem mięso i wytarłem celofan palcami, które obliżałem jak łakome dziecko. Odświeżony i pokrzepiony posiłkiem, znów zdeterminowany, by spełnić swój zamiar, czekałem, aż Robert się przebudzi, i kiedy tak patrzyłem i czekałem, moje myśli nieuchronnie pobiegły ku Rosemary.

Co Robert widział zeszłego wieczoru, co wstrząsnęło nim aż tak, że z miejsca poleciał do mnie w poszukiwaniu pociechy - o tym był w stanie mówić tylko oderwanymi, wyrzucanymi jednym tchem frazami. Był przekonany, że widział, jak Rosemary dostała jakiegoś ataku, powiedział, miał wrażenie,

że się w jakiś sposób zmieniła, że dostrzegł - przynajmniej tak mu się zdawało - krew. To, co usłyszałem, wystarczyło, by się domyślić, że cokolwiek się stało, nic miał na to żadnych dowodów, nie zdobył wiedzy, która mogłaby zagrozić Rosemary i nam wszystkim. Nie mogłem jednak dać mu odejść, dopóki się co do tego nie upewnię. Aż dziw, z jaką łatwością wcieliłem się w swoją nową rolę, jak niewiele potrzeba, żeby zmienić „nas” w „nich”. Kiedy go obserwowałem, nie czułem łączących nas więzów przyjaźni. Patrzyłem w twarz obcego, który kiedyś był moim najlepszym przyjacielem, a widziałem tylko Rosemary.

Co on zobaczył?

- Dan...? - Usłyszałem jego drżący głos i moje oczy wychwyciły w ciemności błysk jego oczu.

- Dan - powtórzył.

- Jestem tu.

- Przepraszam za tę noc - powiedział. - Pewnie uznałeś mnie za skończonego durnia. - Uśmiechnął się błagalnie.

- Nie pamiętam prawie nic z tego, co mówiłem - ciągnął.

- Pewnie się domyśliłeś, że trzeźwy to ja nie byłem. Wiesz, to przez całe to zamieszanie z Rosemary. Nie byłem sobą, rozumiesz.

I Robert raz jeszcze opowiedział całą historię, tym razem, w świetle dnia, już bardziej racjonalnie.

Kiwałem głową, kiedy to wydawało się stosowne, z trudem skrywając pogardę. Oczywiście, ulżyło mi, że niczego nie podejrzewał, ale jednocześnie zawiodłem się na nim. Pomyśleć, że Robert, którego zawsze uważałem za tak bystrego obserwatora, mógł stanąć twarzą w twarz z tym strasznym czarem i go nie zobaczyć; że trzymał go w ramionach i nie poznał, czym jest...

Udało mu się nawet przekonać samego siebie, że poprzedniego wieczoru był pijany; lepiej wierzyć w to, niż stawić czoło

niechcianej wiedzy, że maszynieria świata jest dużo bardziej złożona, niż się wydaje, i że ukochana rudowłosa dziewczyna może przechadzać się nocą w towarzystwie potworów. Po kawie zdołałem go namówić, żeby poszedł. Byłem już strasznie zmęczony; w oczach tańczyły mi jasne plamki, a poza tym ja także musiałem się zmierzyć z pewnymi prawdami, samotnie, w zaciszu mojego pokoju. Służyłem mu wsparciem, pociechą i zrozumieniem, i wśród słów wsparcia, pociechy i zrozumienia w końcu udało mi się go skierować do drzwi. Zamknąłem je z westchnieniem ulgi, podszedłem do fotela, usiadłem. Włożyłem ręce do kieszeni i poczułem pod palcami zmięty kawałek celofanu, w który Elaine zapakowała swój prezent. Na chwilę przypomniało mi to szkolne lata, starannie zawinięte drugie śniadanie, które mama co dzień upychała mi po kieszeniach, kanapki z szynką, serem, ogórkiem kiszonym i cebulą, do tego czasem spory kawałek ciasta ze śliwkami, z namaszczeniem rozpakowywane i jedzone pod blatem szkolnej ławki, w wypełniającym klasę bladeżółtym świetle zimowego dnia - wspomnienie tak nieoczekiwane i tak nie na miejscu, że z zaskoczenia aż parsknąłem śmiechem.

Nagle ktoś zapukał do drzwi.

Umilkłem i wesołość natychmiast prysła. Cisza. Nie dośłyszałem żadnego dźwięku.

- Kto tam? - Żadnej odpowiedzi. Tylko ta niesamowita cisza.

Otworzyłem drzwi, szykując się na widok najgorszych okropności. Przez ułamek sekundy naprawdę je widziałem: powłóczące nogami, freudowskie bestie z moich wyobrażeń, potwory, jakie przeraziłyby nawet potwora. A potem wszystkie te kształty zlały się w jeden: ani niski, ani wysoki, schludny, zwieńczony filcowym kapeluszem, o ostrych, surowych rysach twarzy i cynicznych, niebieskoszarych oczach jak połuczone szkło.

To był inspektor Turner.

2

Doktor Menezies był starszy, niż Alice przypuszczała, okazał się zwalistym, grubym mężczyzną koło pięćdziesiątki, o gęstych czarnych włosach i bujnej brodzie, w granatowym prążkowanym garniturze, w którym wyraźnie czuł się skrępowany; widać było, że chętnie zamieniłby go na kraciatą koszulę i dżinsy. Już nie mówił tak ostrym tonem, jak przez telefon, i Alice zauważyła, że porusza nogami z trudem, jakby bolały go stawy. Zerknęła na niego dyskretnie, wchodząc przed nim do gabinetu, i napotkała spojrzenie jego bystrych, bezbarwnych oczu. Uśmiechnął się.

- Polio - wyjaśnił krótko i usadowił się w fotelu przy oknie. - Proszę, niech pani usiądzie.

Wskazał gestem dwa krzesła obok biurka i Alice usiadła. Rozejrzała się po gabinecie; spodobał jej się. Zielone rośliny przed szerokim, nasłonecznionym oknem, tajska rzeźba na stojaku, kilka abstrakcyjnych rycin indyjskich.

- Ładnie tu - powiedziała i na chwilę zamilkła, by zebrać myśli, nerwowo bawiąc się rączką torebki z rafii.

- Proszę się nie spieszyć. - Menezies obracał przycisk do papieru w swojej wielkiej dłoni, spalonej słońcem.

Jego bezbarwne oczy nie zdradzały niczego, mowa ciała obliczona była na to, by stwarzać wrażenie dyskretnego za-

interesowania. O nic nie pytał, tylko pozwalał Alice mówić, a kiedy wreszcie skończyła, długo milczał, zanim się odezwał. Zaczął od pytania.

- Była pani na policji?

Alice potrząsnęła głową.

- Stwierdziłam, że mi nie uwierzą - powiedziała. - Poza tym nie mam żadnych dowodów. To wszystko brzmi nie-dorzecznie. - Wzruszyła ramionami. - Ale jednocześnie jest w pewien sposób logiczne. Dlatego właśnie pytałam o Ginny... musiałam to wyjaśnić.

Menezies patrzył na nią przez chwilę, po czym jego oczy nabrały twardego spojrzenia i uciekły w bok.

- Przykro mi, pani Farrell - rzekł. - Nie mogę zająć się pani problemem. Chętnie za to polecę jednego z kolegów po fachu, którzy...

- Dlaczego? - Alice była kompletnie zbita z tropu. - Chcę... chcę, żeby to pan mi pomógł. Dlaczego pan nie może?

Potrząsnął głową.

- Nic czuję się dość kompetentny - oświadczył. - Za bardzo już się w to zaangażowałem. Przykro mi, ale nie chcę mieć z tym więcej nic wspólnego.

- Jak to? - obruszyła się Alice. - Jak pan może tak mówić? Proszę przynajmniej dać mi szansę. Niech pan przeczyta rękopis. Rękopis Daniela. Mówię panu, to wszystko ma sens. Niech pan to przeczyta!

Menezies westchnął i przeczesał dłońmi swoją gęstą czuprynę.

- Pani Farrell - powiedział. - Nie muszę czytać jego rękopisu.

Alice otworzyła usta, żeby coś powiedzieć.

- Proszę mi nic przerywać - rzucił z irytacją. - Nie muszę go czytać, bo już wiem, co w nim jest.

Alice spojrzała na niego pytająco, ale on mówił dalej, odmienionym, zmęczonym głosem, jakby każde słowo było trochę za ciężkie, by mógł je wyartykułować.

- Mieszkaliśmy z Jeffem Pryce'em w jednym pokoju - zaczął. - Obaj byliśmy młodymi lekarzami, nie przelewało się nam. Odbywaliśmy praktykę; każdemu z nas przydzielono „nieuleczalnego” pacjenta, któremu mieliśmy poświęcić część rozprawy doktorskiej. Jeffowi dostał się Daniel Holmes.

Przełknął ślinę, niemal z bólem.

- Pracował z Holmesem bite trzy lata, dzień i noc. Co zaczęło się jako czysto zawodowe zainteresowanie, z czasem przerodziło się w prawdziwą przyjaźń. Jeff szukał po bibliotekach w całym kraju książek, o które prosił Holmes. Myślę, że w pewnym sensie pokochał tego staruszka. Ja też się z nim parę razy spotkałem, ale znałem go głównie z rozmów z Jeffem. Podręcznikowy przypadek schizofrenii, inteligentny, odcytany człowiek; według Jeffa, bez skłonności do agresji, mimo swojej fiksacji na punkcie przemocy. Był alkoholikiem, brał dużo silnych leków, ale nie bardzo pomagały. Dyskutował z Jeffem o psychologii i dawał mu do czytania kolejne rozdziały swojej książki. A Jeff pokazywał je mnie.

Zamilkł na chwilę, zatopiony we wspomnieniach.

- Ach, te nasze spory na temat Daniela Holmesa! Bez przerwy dogryzałem Jeffowi, że traci na niego tyle czasu. Ja napisałem całą rozprawę na podstawie kilku wstępnych rozmów z moim „nieuleczalnym”, a Jeff... nie mógł przestać. Pewnie te ich spotkania nie skończyłyby się nigdy, gdyby Daniel Holmes nie umarł. Co gorsza, nie wiem, czy Holmes w jakiś dziwny sposób nie przekonał Jeffa, że to, w co wierzył, było prawdą.

Menezies w roztargnieniu wodził palcem po liniach na spracowanej dłoni.

- Mówił o śmierci na długo przed tym, zanim popełnił

samobójstwo - ciągnął. - Wszystko miał przygotowane. Był przekonany, że ludzie, których się bał, są coraz bliżej, że nie dadzą mu długo pożyć. Uznałem to za typowe urojenia paranoidalne i gdyby Jeff miał trochę oleju w głowie, doszedłby do tego samego wniosku i zrobiłby coś, by ochronić Holmesa przed sobą samym. Tyle że z Jeffem było już wtedy niewiele lepiej niż z jego pacjentem. Uparł się, że nikomu nie odda tego przypadku, więc zanim ktokolwiek zauważył, że starszskowi się pogorszyło, było już za późno. W końcu któregoś dnia Holmes nie wytrzymał i się powiesił, i wszystko wyszło na jaw. Omal nie zakończyło to kariery Jeffa.

Po raz pierwszy, odkąd zaczął mówić, Menezies spojrzął na Alice i się uśmiechnął.

- Jeffa Pryce'a przez długie lata dręczyło sumienie - powiedział. - Winił się za samobójstwo Holmesa, powtarzał, że powinien był się nim lepiej opiekować. Myślę, że stał się tak dobrym lekarzem między innymi dlatego, że nigdy nie zapomniał o Danielu Holmesie i całe życie usiłował odkutować swój pierwszy błąd.

- Nie rozumiem - zdziwiła się Alice. - Skoro zna pan historię Daniela, czemu nie może mi pan pomóc? Jest pan zapewne jedyną osobą, która...

- Nie. - Menezies pokręcił głową. - Bo to jeszcze nie wszystko. - Poluźnił krawat i mówił dalej. - Bo kiedy parę dni temu pytała mnie pani o Virginie Ashley, a ja powiedziałem, że jej nie znam, skłamałem.

Alice wybałuszyła oczy.

- Była pacjentką Jeffa - podjął Menezies. - Akurat to jest prawdą. Została przyjęta tylko na kilka miesięcy. Brała narkotyki, głównie amfetaminę, ale też środki halucynogenne, takie jak belladonna czy muskaryna. Była wycieńczona, uzależniona od amfetaminy, pod wpływem toksyn halucynogennych miała wizje, których nie potrafiła

już odróżnić od rzeczywistości. Jeff i ja przyjaźniliśmy się od lat; zawsze opowiadał mi o swoich najciekawszych przypadkach. Wszystko w granicach etyki zawodowej, rozumie pani, ale to, co powiedział, wystarczyło, żebym się domyślił, że ta dziewczyna go intrygowała. Nigdy jej nie widziałem, ale myślę, że zrobiła na nim duże wrażenie. Aż tu pewnego dnia przyszedł do mnie. Wyglądał okropnie. Drżał. Myślałem, że dostanie apopleksji. Próbowałem go uspokoić, ale nie mogłem wyciągnąć z niego praktycznie nic z sensem; zrozumiałem tylko, że przestraszył się czegoś albo kogoś. Domyśliłem się, że miało to związek z Ginny albo jakimiś jej znajomymi. Jeff jednak oprócz tego wykrzykiwał coś o Danielu Holmesie i o czymś, co wyczytał w jego rękopisie. W dodatku był dość mocno podпиты, a to nie pomagało.

Zrobiłem jedyne, co mogłem zrobić. Dałem mu valium i położyłem spać. Kiedy próbowałem z nim rozmawiać następnego dnia, nie chciał nic powiedzieć, udawał, że nic nie pamięta. Tego samego wieczoru przedawkował leki.

Alice chwilę patrzyła na Meneziesa.

- Widział Rafe'a i Javę - powiedziała.

- Nie wiem, co widział - odparł Menezies. - Ale może teraz pani rozumie, dlaczego nie mogę jej pomóc.

Potrząsała głową.

- Przeklęty rękopis.

- Proszę posłuchać - zaczęła Alice rozpaczliwie. - Nie rozumie pan? Nikt inny nie może mi pomóc! Nikt oprócz pana mi nie uwierzy. Znał pan Daniela i doktora Pryce'a. Musi mi pan pomóc. Jeśli Daniel ma rację, Ginny i Rosemary to jedna i ta sama osoba.

- To mnie nie interesuje. - Jego głos był matowy. - Jestem lekarzem. Robię, co do mnie należy, i jestem w tym dobry, znam jednak granice swoich możliwości. Na tym mój udział

w tej sprawie się kończy. Nie chcę wiedzieć nic więcej, a nawet gdybym chciał, nie miałyby pani ze mnie pożytku.

- Przecież ona być może zabiła Daniela - zauważyła Alice.
- Jeffa Pryce'a pewnie też. Kto wie, na co jeszcze ją stać?

- Nie wiem! - Jego głos był napięty, prawie drżący. - Nie chcę wiedzieć!

- Skoro posunęła się do tego, by odszukać Jeffa Pryce'a - ciągnęła Alice - skąd pan wie, że nie będzie następny?

Menezies długo milczał.

- Niczego nie obiecuję - powiedział w końcu.

- Przemyśli to pan?

Wzruszył ramionami.

- Proszę zostawić mi ten rękopis. Chciałbym przeczytać go w całości. Niech pani jednak nie liczy na nic więcej; jeśli pani pomożę, zrobię to tylko dla własnej satysfakcji, nie w ramach mojej praktyki. Rozumiemy się?

Alice skinęła głową.

- No dobrze. - Wyciągnęła z torebki skrzynkę, a z niej rękopis. - Zadzwoń jutro. Może być?

Skinął głową.

- Proszę nie liczyć na zbyt wiele - przestrzegł. - Pewnie okaże się, że nie mogę nic zrobić. -I w tym momencie jakby podjął decyzję. Sięgnął na regał nad biurkiem, na którym leżała sterta starych książek. - Równie dobrze może to pani wziąć - oświadczyła. - Na pewno to panią zainteresuje. - Alice spojrzała na grzbiet książki i się uśmiechnęła. To była książka Daniela, „Błogosławiona Panienka. Studium prerafaelickich archetypów”. Przejrzawszy ją pobieżnie, zobaczyła, że nie ma w niej ilustracji, nie licząc czarno-białej reprodukcji na okładce (niedbały szkic Burne-Jonesa, przedstawiający jego własną Błogosławioną Panienkę, Marię Zambaco), ale mimo to przycisnęła ją do piersi z błyszczącymi oczami, powodowana poczuciem, że dostała coś, co jej się słusznie należało.

- Dziękuję - powiedziała. - Bardzo dziękuję.

Menezies uśmiechnął się krzywo.

- Wezmę rękopis. To wszystko. Niczego nie obiecuję - powtórzył, po czym wstał i ostrożnie wsunął rękopis do dużej koperty. I choć Alice uśmiechnęła się i skinęła głową na znak zgody, a potem, podając mu rękę, starała się zachować obojętny wyraz twarzy, to kiedy wychodziła z gabinetu, czuła mimo wszystko, że napięcie w jej piersi lekko zelżało, jakby uwięziona pod żebrami ptaszyna właśnie zaczęła śpiewać.

1

Nie mogę uwierzyć, że nie zobaczył winy tak wyraźnie wypisanej na mojej twarzy; miałem wrażenie, że przez niekończącą się chwilę staliśmy bez słowa w tym małym kręgu wspólnej nam obu wiedzy. Kręciło mi się w głowie, gdy tak sował mnie swoimi zimnymi oczami. Potem zorientowałem się, że popadam w paranoję, i szybko przywdziałem maskę prostoduszności. Stało się. Dokonałem wyboru. Wypowiedziałem wojnę światłu.

- inspektor Turner! - powiedziałem. - Proszę wybaczyć, naprawdę się pana nie spodziewałem. Przez chwilę nie mogłem sobie nawet przypomnieć pańskiego nazwiska.

Inspektor uchylił kapelusza z nienaganną uprzejmością. Poznałem tę technikę; chciał, żebym za dużo mówił, a przy okazji się z czymś wygadał. Uśmiechnąłem się do niego.

- Proszę wejść. Właśnie zaparzyłem kawę; napije się pan?

- Nie odmówię - odparł Turner. Kiedy wpuściłem go do środka, zobaczyłem, jak rozgląda się po pokoju, zwracając uwagę na nieposłane łóżko, wygasłe palenisko, rzędy książek na regałach przy kominku.

- Proszę usiąść - zaproponowałem. - Szczerze mówiąc, dobrze się składa, że pan przyszedł.

Spojrzał na mnie z umiarkowanym zaciekawieniem.

- Chciałem podziękować za wsparcie, jakie okazał mi pan podczas naszego ostatniego spotkania - powiedziałem głosem, w którym otwartość mieszała się z lekkim zakłopotaniem.

Wie pan, nie byłem wtedy sobą - ciągnąłem. - Przeżyłem głęboki szok, w dodatku byłem świeżo po ciężkiej chorobie, a przy panu od razu poczułem się swobodnie. Zawsze będę za to wdzięczny. - Ciekaw byłem, czy aby nie za bardzo szarżuję; odwróciłem się, opłukałem filiżankę w zlewie i zacząłem majstrować przy dzbanku do kawy, czekając, aż Turner powie, po co przyszedł. On jednak milczał. Nalałem kawy, postawiłem filiżankę na spodku, podałem mu pudełko z herbatnikami, patrzyłem, jak bierze dwa lukrowane. Metodycznie umoczył je w kawie, wciąż poważny i czujny, i zacząłem się zastanawiać, czy mój wcześniejszy lęk przed nim nie był aby wytworem mojej wyobraźni. Potem zdałem sobie sprawę, że moczenie herbatników to tylko kamuflaż; obserwowałem mnie spod powiek, by zobaczyć, czy się złamię.

- Mogę w czymś pomóc? - spytałem. - Wiecie już coś o tej nieszczęsnej kobiecie?

- Nie - odparł.

- Znowu kogoś zabito? - spytałem. Nie było sensu udawać Greka.

Wzruszył ramionami.

- Za wcześniej o tym mówić - odparł. - Na razie nie ma powodu sądzić, że te sprawy w ogóle są ze sobą powiązane.

- Czyli było następne morderstwo?

Inspektor skinął głową.

- Dwa - powiedział. - Ofiary to kelnerka i barman pubu Swan. Zginęli przedwczoraj w nocy.

Zmarszczyłem brwi.

- Czy to nie ten lokal, który się spalił? Czytałem o tym w gazecie.

Turner skinął głową.

- Zgadza się. Ale z raportu lekarza sądowego wynika, że ofiary nie zginęły w pożarze, jak się nam z początku wydawało. Widzi pan, zwłoki nie były mocno zwęglone. Ogień musiałyby być naprawdę silny, żeby z ciał nic nie zostało.

- Czyli zabójca podłożył ogień, żeby zatrzeć za sobą ślady? - dążyłem, nalewając następną filiżankę kawy. - Nadzwyczajne, czego się można dowiedzieć dzięki osiągnięciom współczesnej nauki.

- To prawda.

- Myśli pan, że to ten sam sprawca? - Zachowywałem zaciekawiony ton, choć w duchu szalałem ze strachu. Boże mój, on wie! On wie.

- Nic nie myślę - powiedział tak, jakby chciał zakończyć ten temat. - Nie ja prowadzę dochodzenie; Scotland Yard jest do tego lepiej przygotowany. Po prostu, cóż, staram się śledzić tego rodzaju sprawy ze względów zawodowych.

- Aha. - Jego twarz była nieprzenikniona, ale wydawało mi się, że zaczynam rozumieć, o co chodzi. Turner od początku zrobił na mnie wrażenie człowieka czynu. Przesłuchał mnie osobiście, zamiast poprosić o to kogoś innego. Powściągliwie, kompetentnie robił, co do niego należało. A to była jego sprawa, ciało w jазie było „jego” ciałem; to naturalne, że poczuł się dotknięty tym, że śledztwo tak otwarcie przejął Yard.

Inspektor raptownie zmienił temat.

- Widzę, że się pan przeprowadził - powiedział. - Miał pan po temu jakiś powód? Pańska gospodyni twierdzi, że stało się to zupełnie niespodziewanie. Nawet pan się z nią nie pożegnał.

- Ach, tak. Rzeczywiście, powód był.

Turner czekał cierpliwie.

- Nawiazałem... bliską znajomość... z pewną młodą

dama - powiedziałem. Nie musiałem udawać zmieszania; rzeczywiście czułem się dość nieswojo. - Są powody, dla których ta młoda dama i ja...

- Oczywiście - powiedział inspektor. - Proszę nie myśleć, że jestem wścibski. Naturalnie, wszystko, co pan powie, zostanie między nami.

Skinałem głową.

- Dziękuję.

- Ciekaw jestem, panie Holmes - ciągnął - czy może przypomina pan sobie, czy dwie noce temu był w towarzystwie tej młodej damy?

Zauważył mój zmieniony wyraz twarzy.

- Zapewniam, że to rutynowe pytanie - dodał.

Zmarszczyłem brwi, jakbym wyęczał pamięć.

- Nie, tamtej nocy byłem sam i nie robiłem właściwie nic ciekawego - powiedziałem. - Poszedłem na spacer po mieście, jak zwykle w ładne wieczory, potem pracowałem nad moją rozprawą. - Zauważyłem, że zerknął na mnie. - Piszę książkę.

- Powieść?

- Och, nie. - Pokręciłem głową. - Niestety, tylko jeszcze jedno dęte tomiszcze naukowe. Studium prerafaelickich archetypów. To taki mój konik.

Turner skinął głową, jakby rozumiał.

- A bar Swan? Był pan tam kiedyś?

Potrząsnąłem głową.

- Rzadko wychodzę z domu - wyjaśniłem. - A jeśli już, to do restauracji albo teatru, nie do pubów. Mam za słabą głowę.

Zauważyłem, że zerknął na otwartą butelkę whisky na stoliku nocnym, i skłamałem w duchu za nadmierną gadatliwość.

- To dla przyjaciela - wyjaśniłem pospiesznie.

Inspektor został jeszcze kilka minut, które wydawały mi się wiecznością, i wreszcie wyszedł.

- Dziękuję, że poświęcił mi pan czas, panie Holmes - rzucił na pożegnanie, uchylając kapelusza.

Gdy tylko znalazł się bezpiecznie za drzwiami, pozwoliłem, by zeszło ze mnie napięcie. Byłem pewien, że on wie; skąd, nie miałem pojęcia, bo wiedziałem też, że nie ma żadnych dowodów.

Kiedy znów zacząłem racjonalnie myśleć, zastanowiłem się nad tym, jak duże może stanowić dla mnie zagrożenie. Był policjantem, nauczonym wyczuwać winę; ale ja sądziłem, że przewaga mimo wszystko jest po mojej stronie. Prawda była tak niewiarygodna, że życia by mu nie starczyło, by ją poznać; a teraz, kiedy podejrzewałem, że ma mnie na oku, mogłem się odpowiednio przygotować. Ale co, jeśli kazał mnie śledzić?, pomyślałem.

Odpowiedź mojego umysłu była natychmiastowa i porażająca; bez wahania podsunął mi nie myśl, lecz obraz tak brutalnie wyrazisty, że przez chwilę nie mogłem się pozbierać. Zobaczyłem siebie samego w tygrysim skoku, z nożem skierowanym połyskującym w ciemności ostrzem do góry. Wyobraziłem sobie, jak zadaje cios, jak na moją twarz tryska fontanna drogocennej, życiodajnej krwi; widziałem, jak ofiara upada i w niej tonie, z niedowierzaniem w oczach. Poczułem, jak przetrawiony posiłek ściska się we mnie jak pięść i dostałem ataku gwałtownych nudności, które przeszły w nawrót suchego kaszlu.

Jeszcze nie teraz, jęknąłem w duchu, skulony na łożku, mocno trzymając się za brzuch; ale tego, co wiedziałem, nie mogły mi odebrać ani wyrzuty sumienia, ani mdłości. Myśl stała się ciałem, stwierdziłem z histerycznym rechotem; i choć jakaś cząstka mojego ja wciąż pojękiwała i płakała, to ta myśl, ta pewność, że gdybym musiał, zabiłbym go, o tak, i pożywił się jego trupem, nieubłaganie podążyła za mną w nieświadomość snu i tajemnicze meandry labiryntu moich snów.

2

Alice nie mogłaby przejść obojętnie obok wesołego miasteczka, podobnie jak nie byłaby w stanie zignorować paczki herbatników w kredensie. Nie żeby szczególnie lubiła wesołe miasteczka; tym, co jej się podobało, była sama ich idea, przywoływane przez nie wspomnienia lat dzieciństwa, lepsze od rzeczywistości. Budki z prażoną kukurydzą, strzelnice, wata cukrowa - lepka, słodka, różowa, w sam raz na gniazdo dla os - wysocy mężczyźni o donośnych głosach i zimnych, nieustannie wędrujących oczach, karuzele, diabelskie młyny, hot dogi, śmieci i zapachy; wozy z połączanymi drzwiami, egzotyczne, tajemne znaki. Tłok, ścisk, dzieci przepychające się między sobą pośród tłumu... pączki, to, jak wydała całe kieszonkowe na strzelnicę po to tylko, by wygrać żółty balon, który pękł w drodze do domu, smród zwierząt w małych klatkach, wznoszenie się na diabelskim młynie, wieczorny spacer po wesołym miasteczku z Joem. Roześmiany Joe, wygrywający orzech kokosowy. Joe jedzący pizzę z zatłuszczonego papierowego talerza, to, jak obserwowali gwiazdy, te elektryczne i te prawdziwe. Sprzeczne wspomnienia sypały się na nią ze wszystkich stron niby wirujące konfetti. Przez chwilę patrzyła na sfatygowany, wyblakły, połączany czerwony napis: WESOŁE MIASTECZKO! NAJWIĘKSZE NA

POŁUDNIU! WIELKIE KARUZELE!! Wróciła pamięcią do przeszłości, sięgnęła po torebkę i weszła do środka.

Głosy, muzyka, głosy, hałasy: początek lata, Brytyjczycy się bawią. A w tle piękne iglice i wieżyczki college'ów, górujące nad tłumem, niepasujące do tego obrazu, istniejące jakby poza czasem. Alice uśmiechnęła się, wzięła torbę z zakupami pod pachę, ruszyła w stronę straganu z jabłkami w polewie, wybrała największe, z wyglądu najbardziej lepkie jabłko, jakie wypatrzyła, i odeszła, zabierając swój mały krąg spokoju ze sobą. Uszczęśliwiona, błąkała się bez celu po skwerze, od czasu do czasu przystając, by popatrzeć, a to na karuzelę z pędzącymi chudymi końmi o oszalałych oczach, a to na ludzi przy różnych stoiskach. (Ojciec trójki dzieci próbujący wygrać misia na strzelnicy: „Dalej, tato!"; chłopiec wpatrzony pożądliwie wybałuszonymi oczami w dwudziestofuntowe banknoty przyklepione taśmą do drewnianych klocków, na które trzeba zarzucić obręcz; wysoki, chudy szesnastolatek przy tarczy do gry w rzutki, wyszczerzony radośnie, wkładający wielkiego różowego królika w ręce roześmianej dziewczyny.)

Obok niej przecisnął się jakiś mężczyzna, z jedną ręką w kieszeni płaszcza i puszką piwa w drugiej. Był tak blisko, że kosmyki jego ufarbowanych na czarno włosów omal nie musnęły jej twarzy. Przez chwilę wydał jej się przelotnie znajomy i wyteżyła wzrok, by mu się przyjrzeć, ale zniknął w salonie gier, zanim mogła zdobyć pewność. Wzięła następny kęs jabłka; było smaczne, w środku kwaśne i różowe, z wierzchu polane ciemnoczerwonym, twardniejącym już toffi, wciąż ciepłym po wyjęciu z parującej kadzi cukru. Ciekawiło ją, czemu z jabłkami w polewie zawsze trzeba się tak natrudzić przy jedzeniu; były za szerokie, by się w nie wgrzyźć, zbyt kłcjące, żeby je pewnie uchwycić. Musiała brać małe, malusieńkie kęsy i delikatnie zlizywać polewę

czubkiem języka. Mężczyzna z tatuażami na twarzy sprzedawał bilety na karuzelę; Alice przez chwilę miała ochotę dać się skusić, ale zrezygnowała. Przejazdźki na karuzeli są fajne tylko kiedy jest się z kimś, pomyślała (wytrwale odpędzając wspomnienie o innej Alice, trzymającej za rękę innego Joego, jadącej z nim łeb w łeb w niekończącej się gonitwie na karuzeli, na dwóch jabłkowitoróżowych koniach o grzywach z wąsów kukurydzy, podczas gdy karuzela grała melodię „Camptown Races”, a świat wirował w zupełnie innym tempie) i ruszyła dalej.

Stał przy głównym wejściu. Tym razem nie mogła pomylić go z nikim innym; za dnia wyglądał dziwniej niż w nocy. Nawet grupki studentów zdawały się omijać go szerokim łukiem, jakby wytwarzał wokół siebie niewidzialną barierę. Choć było ciepło, miał na sobie długi, zapięty płaszcz z postawionym kołnierzem, pod którym Alice zauważyła połyskujące w słońcu łańcuchy na butach do jazdy motocyklem. Nie mogła stwierdzić, czy ją zobaczył; pośród ludzi nie miała powodu panikować, a mimo to panikowała.

Wyglądał, jakby na kogoś czekał.

Odwróciła się i znów wmieszała w tłum. Od tej chwili jej oczy były wszędzie, sprawdzały, mierzyły ludzi z nową wnikliwością. Skoro jest Java, to Rafe pewnie też, pomyślała; a za tą myślą poszła następna: A jeśli jest Rafe... to może też tamci... Elaine, Zach, Anton. Może inni, których jeszcze nie widziała. Może obserwowali ją w tłumie. Może na nią czekali.

Znów przyspieszyła kroku. Zapachy wesołego miasteczka stały się dużo silniejsze, odurzające; tłum rozstępował się przed nią i poczuła, że za bardzo się wyróżnia, jest zbyt widoczna. Potruchtała na drugi koniec skweru, gdzie były wozy i zwierzęta; tamtędy będzie się mogła niepostrzeżenie wymknąć, tam będzie bezpieczna. Z kłębowiska ludzi wyłoniła

się wpatrzona w nią twarz; mężczyzna o związanych z tyłu rudych włosach, z czarnymi krzyżami zwisającymi z uszu. Ich spojrzenia na chwilę się spotkały... Alice zobaczyła tatuaż ptaka na jego twarzy. Rudzielec błysnął bezczelnym, niepokojącym uśmiechem i rozpląnął się w tłumie. Obok niej przeszła jakaś kobieta, ocierając się o nią dotykiem lekkim jak śnieg; Alice drgnęła, rozejrzała się, ale nieznaną już nie było. Kątem oka dostrzegła obok budki z hot dogami chudą postać o lnianych włosach, rażących w jaskrawym słońcu... obróciła się na pięcie, przekonana, że tym razem wie na pewno... zobaczyła dziewczynę o oczach schowanych pod maską czarnego makijażu i nastroszonych tlenionych włosach. Pobiegła w zwolnionym tempie na skraj skweru, wśliznęła się między dwa wozy połączone linką, na której suszyło się pranie, poszukała wzrokiem drogi ucieczki. Przywiązana do ogrodzenia koza na chwilę przestała się paść i utkwiała w niej swoje szkliste ślepie. Alice ominęła psa śpiącego z pyskiem na łapach i weszła za wóz.

- Cześć, Alice. - To była dziewczyna spod budki z hot dogami; Alice z początku nie uległa panice. Zamarła dopiero, kiedy przyjrzała się tej twarzy, rysom wyzierającym spod makijażu, włosom niedbale spryskanym białą farbą, ze śladami rudości wciąż widocznymi u korzonków. Stała jak głupia, z szeroko otwartymi oczami; tylko jej bezsensownie dyndające ręce zakłócały ogólny bezruch.

Ginny zrobiła krok do przodu.

Alice dała nura między wozy, nie bacząc już na psa, który podniósł łeb i zaczął głośno, zajadle szczekać. Była daleko od tłumy gości wesołego miasteczka, odosobniona na skraju skweru. Jej nogi uderzały ciężko w spieczoną ziemię; biegła, a świat trząsał się i skakał jej przed oczami. Z naprzeciwnika nadchodził jakiś mężczyzna; rude włosy i kolczyki, ptak wytatuowany na policzku.

Uśmiechnąwszy i w słońcu błysnął złoty żąb. Wyjął coś z kieszeni, coś, co poraziło oczy Alice blaskiem wypolerowanej stali. Ze zduszonym okrzykiem, zmieniła kierunek i pomknęła przez skwer w stronę ludzi.

Za jej plecami, Ginny dała dyskretny znak Zachowi i Rafe'owi. Rozstąpili się i ruszyli zdecydowanym krokiem w kierunku drugiego końca skweru. Ginny uśmiechała się pod namalowaną sprayem maską, w ręku miała grubą kopertę.

2

Joe przyspieszył kroku, rzucając oczami to na lewo, to na prawo, w głąb mijanych zaułków. Na wpół szedł, na wpół biegł, jego ruchy były sprężyste, ręce miał wciśnięte do kieszeni, ramiona lekko przygarbione. Można by go wziąć za ekscentrycznego poetę w drodze na tajemniczą schadzkę lub oszalałego wynalazcę w okularach, śpieszącego dokonać nowego odkrycia.

Zatrzymał się w pół kroku, miał bowiem wrażenie, że ją zobaczył, i po chwili ruszył dalej. Potem widział ją jeszcze w kilkunastu miejscach... ale ilekroć się odwracał, okazywało się, że jej tam nie ma. Minęła druga, Ginny powinna być w domu. Niechby choć zostawiła jakąś wiadomość. Minimalnie zwolnił kroku, próbując przeanalizować powodujące nim poczucie, że musi działać już, teraz. Pamiętał, jak Alice mówiła mu, że Ginny tamtej nocy dokądś wyszła i że pytali o nią dwaj mężczyźni, podobno jej znajomi. Wizja Ginny siedzącej w jakimś pokoju studenckim, szalecie publicznym, może przystanku autobusowym czy amfiteatrze w parku... Ginny uśmiechniętej... kiwającej głową... wbijającej sobie w rękę długą igłę na oczach uśmiechniętych znajomych.

Zerwał się do biegu, zaglądał we wszystkie wąskie pasáže i sklepione przejścia, zerkał na wszystkie witryny, za wszyst-

kie ogrodzenia i bramy. Nie powinna była wychodzić, nic mu nie mówiąc, pomyślał. Świat był pełen pijawek, sępów czekających tylko, by wykorzystać kogoś tak niewinnego jak Ginny. Jak udało jej się przetrwać tak długo i nie upaść na dno, to przekraczało jego pojęcie, zwłaszcza po tym, co powiedziała mu tamtej nocy, dziwnie dziecinna, dziwnie obojętna, siedząca w jego fotelu, obejmująca swoje kolana. Wyznała mu wszystko. O narkotykach, o brudnych sprawach, o mężczyznach... ze słabym uśmiechem i smutkiem w oczach. Na dobrą sprawę sępy już dawno powinny ją były rozszarpać.

Dziwna dziewczynka... ale dość dzielna, by nie dać się tym draniom. Była już na krawędzi, ale samodzielnie się z niej cofnęła, a to uczyniło ją silniejszą od niego, silniejszą i bardziej odważną.

Z rosnącym niepokojem, Joe przeszukiwał ulice Cambridge. Wokół niego kłębiły się różne postacie. Prymitywny rytm tłumu potęgował dręczący go pulsujący ból głowy; w uszy wwiercała się odległa muzyka z wesołego miasteczka.

Joe nie przepadał za wesołymi miasteczkami. Było w nich coś złowieszczonego, takie miał wrażenie, w tych ludziach, którzy przemieszczali się z miejsca na miejsce, niosąc obietnicę powrotu dzieciństwa w tych wypłowiejących namiotach, w tej dobrze naoliwionej i ukrytej maszynierii. Raz, kiedy był dzieckiem, ojciec zabrał go do wesołego miasteczka; jak wszyscy mali chłopcy, był zachwycony, jadł watę cukrową i pieczone kartofle, jeździł na karuzeli, kupił balon od starej kobiety z chustą na głowie i najcieplejszymi, najbardziej roziskrzonymi oczami, jakie w życiu widział... i na sam koniec, kiedy ojciec zasugerował, że może czas już wracać do domu, mały Joe uparł się, by jeszcze raz przejechać się na karuzeli.

- Dobra, Joey. - Tata Joeya zawsze był najbardziej tolerancyjnym ojcem na świecie; sam miał w sobie wiele z dziecka

i tego dnia bawił się tak dobrze jak jego syn. Usadowił Joeya wygodnie na wysadzonym brylancikami siodle wielkiego konia i odwrócił się, by popatrzeć na salon gier.

- Hej-ho, Silver - szepnął Joey. - Jestem Samotnym Rangerem. - Fajnie to zabrzmiało, więc powtórzył jeszcze raz; - Jestem Samotnym Rangerem! - Jakby na znak zgody, karuzela ruszyła. Joey, jak to sześciolatek, przez chwilę czuł drżenie mięśni Silvera pod twardą, różową skórą; koń wierzgał, a Samotny Ranger trzymał się, ile sił, by nie spaść. - Hej-ho, Silver, jazda! - krzyknął, a karuzela przyspieszyła, konie wirowały i brykały, czarne konie, białe konie, egzotyczne czerwone, niebieskie i żółte konie, z rozwianymi grzywami i szaleństwem w szklanych oczach. Joey był w euforii. Czuł się, jakby wszystkie spojrzenia zwrócone były na niego, na tego dzielnego chłopca na narowistym rumaku. Ścisnął pobrzękujące lejce z dziką radością, pędził tak szybko, że otaczające twarze zlewały się ze sobą. Nagle jedna z nich wyłoniła się z półmroku; oświetlona neonem i prawie widmowa w zmienionym świetle, a przy tym znajoma; to była kobieta z balonami, jej kolczyki egzotycznie połyskiwały milionem załamujących się podmorskich kolorów.

- Heeej! - krzyknął Joey, rozpoznawszy znajomą twarz, ale karuzela popędziła dalej, wirując jak słońce. Zawołał ją, jak będę po drugiej stronie, obiecał sobie Joey i uśmiechnął się szeroko na tę myśl, wstrzymał oddech, by wrzasnąć najgłośniej jak się da, wypuścił lejce z lewej ręki, żeby pomachać... ale kiedy znalazł się po drugiej stronie, krzyk uwiązł mu w gardle, uśmiech zniknął z twarzy; widok kobiety z balonami pozostał mu w pamięci jeszcze długo po tym, jak pomknął dalej, długo po tym, jak karuzela znieruchomiała. Kobieta stała obok grupki osób, być może jakiejś rodziny, choć mogły to być dwie rodziny; pulchny, łysiejący, rumiany

mężczyzna, drugi, młodszy mężczyzna z brodą, dwie kobiety, jedna z małym dzieckiem, kilkoro dzieci.

Uwagę Joeya zwrócił mały chłopiec, może w jego wieku, może trochę starszy, grubasek w ogrodniczkach, z niebieskim balonem w jednej dłoni i zjedzoną do połowy wata cukrową w drugiej. Miał okrągłe, niezwykle poważne oczy. Joey wmawiał sobie, że chłopak przygląda się właśnie jemu, temu śmiałkowi na rumaku, i ilekroć go mijał, prężył się dumnie i przybierał zuchwałą pozę. Z tylnej kieszeni chłopca wystawała portmonetka, taka, jakiej nie sposób nie zauważyć, żółta, z kaczorem Donaldem... ale kiedy Joey przemknął obok niego tym razem, portmonetki już w kieszeni nie było. Wiedział, że jej tam nie ma, bo mignęła mu w rękę wesołej staruszki z balonami, która napotykając jego spojrzenie schowała ją do kieszeni. Dlatego właśnie Joey już do końca przejażdżki nie wydał ani jednego okrzyku, nie bujał się na koniu ani nie potrząsał jego grzywą, nie robił nic, tylko raz po raz przebiegał myślą to, czego był świadkiem.

W pewnym sensie wiedział, że w tej chwili skończył się pewien etap jego dzieciństwa. Zszedł z karuzeli sztywno wyprostowany, jak mały żołnierz, i nagle zapragnął sobie pójść... ale ona tam była i czekała, a Joey truchlał z przerażenia, że go dotknie, że rzuci na niego kłatwę, przemieni w łabędzia jak królewiczów z bajki, i pobiegł w stronę salonu gier, gdzie był tata... ale czarownica złapała go za ramię starą, zbrązowiałą, szponiastą dłonią. Spojrzał jej w oczy, a ona wyszeptwała, z całym swoim jadem i prastarą wściekłością: „Nic nie widziałeś, jasne, mały? Nic nie widziałeś!”

A Joey zbladł i pokiwał głową, cofając się jak osaczony kot, bo był pewien, że jeśli tego nie zrobi, wiedźma go zabije. I oto nagle z salonu gier wyłonił się tata i zawołał go swoim tubalnym, wesołym głosem, a Joey wyrwał się ze szponu

czarownicy i pobiegł w stronę światła. Później mu się śniła, ale nikomu tego nie zdradził.

I to na pory zatarte wspomnienie pociągnęło za sobą myśl - nie, nie myśl, pewność. Oczywiście! To tam powinien szukać Ginny. Jeśli miała kłopoty, ich źródłem musiało być wesołe miasteczko. Nie wiedział, dlaczego, ale nagle stało się to dla niego oczywiste.

Ona tam była.

Przyspieszył kroku.

2

Alice szybko się zorientowała, że nie ma dokąd uciec. Za nią byli Rafe, Zach i *Ginny*, a przy wyjściu czekał Java, spokojny, pewny siebie. Widok koperty w ręku *Ginny* sparaliżował jej szare komórki; w głowie miała tylko bezładne urywki myśli, ganiające się w kółko. Jak *Ginny* znalazła rękopis, który zostawiła Meneziesowi? Ta koperta wypełniała sobą cały jej świat, rosła w oczach jak nadciągająca ciężarówka. I nagle Alice zerwała się do biegu, boso, z butami w ręku.

Kiedy dotarła na środek wesołego miasteczka, rzuciła okiem przez ramię i napotyając pośród tłumu spojrzenie *Ginny*, uświadomiła sobie, że nie jest bezpieczna, że tłum ochroni ją nie lepiej niż stado bydła. Rzeczywistość była tylko tutaj, między zimnymi lawendowymi oczami nocnego wędrowca (o twarzy *odartej* z wszelkich pozorów człowieczeństwa, wyrażającej czystą nienawiść) a wiedzą w oczach *Alice*, wiedzą, która pozwoliła jej zobaczyć to, czego nie widział nikt inny, potwora skrywającego się za tą piękną twarzą.

Może to właśnie ją powstrzymało. To spojrzenie znad czarnej, naniesionej sprayem maski, ten zimny, triumfujący wzrok... połączona z *Ginny* mostem z lodu, wytrzymała jej spojrzenie i odwzajemniła je, z całą nienawiścią, jaką zdolna była okazać.

Poznała, że Ginny ją zroszciała. Alice uśmiechnęła się, obnażając zęby. Teraz, jakby gniew wyparł z niej cały strach, nagle poczuła się spokojna, opanowana. Kątem oka dostrzegła, że ktoś się do niej zbliża, i zamiast się cofnąć, wyszła mu naprzeciw, z drapieżnym uśmiechem na twarzy.

Poczuła raczej, niż zobaczyła, że postać się zatrzymuje. Ktoś musiał dojść do wniosku, że nie jest to dobre miejsce na próbę sił. Ktoś bał się ryzyka. Ona i Ginny stanęły do walki. Dość strachu, pomyślała. Za dobrze się rozumiały. Zaczęła się pierwsza runda.

Alice odwróciła się i ruszyła do wyjścia, pamiętając, by włożyć buty. Tamci trzymali się na obrzeżach jej pola widzenia, nie próbowali się zbliżyć.

Spojrzenie Ginny ścięło lodem jej kark i Alice nie zatrzymując się, zerknęła za siebie, niemal od niechcienia. Do wyjścia zostało dwadzieścia metrów.

Ale może po prostu zabiją Joego zamiast mnie.

Ta myśl uderzyła ją jak strumień zimnej wody pod ciśnieniem, tak silnie, że Alice zachwiała się i omal nie straciła całej pewności siebie. Zaraz potem była już za bramą, na bezpiecznej, otwartej ulicy. Gra - na czymkolwiek polegała - dobiegła końca. A Alice po chwili zaczęła drzeć.

2

Tym razem był pewien, że to ona. Joe wyciągnął szyję ponad tłum, nie bacząc na poirytowane spojrzenia.

- Ginny!

Postać odwróciła się, ale nie była to Ginny; rozczarowanie spłynęło na niego zimnym deszczem i przez chwilę zastanawiał się, jak u licha, mógł wziąć tę dziewczynę za Ginny. Ależ nie, to jednak była Ginny, tylko groteskowo wręcz odmieniona. Wołając ją po imieniu, rozpychając się łokciami, zaczął przebijać się przez kłębowisko ciał.

-Ginny! Czekaj!

Dziewczyna odwróciła się do niego. Stała sama z boku strzelnicy, miała bladą twarz, blade włosy, blade dłonie, w czarnym ubraniu wydawała się krucha i chuda, na tle jaskrawych świateł wyglądała jak zjawa. Kiedy wyciągnął do niej ręce, uchyliła się lekko i poczuł zapach acetonu z jej białej farby do włosów, przez który przebijał ostrzejszy śwad, jakby spalonego papieru.

- Przyszedłeś - powiedziała.

Przytulił ją mocno. Nie pora na pytania, pomyślał. Ona jest taka bezbronna.

- Co ty tu robisz? - zapytał ze słabym, wymuszonym śmiechem. - Napędziłaś mi niezłego stracha, znikając tak

bez słowa. Myślałem, że mnie zostawiłaś. - Uśmiechnął się, dyskretnie wypatrując śladów po zastrzykach.

Ginny spojrzała na niego pustym wzrokiem i Joe stwierdził, że musi ją zabrać do domu. Nie wyglądała jak ktoś, kto przedawkował, na rękach nie miała śladów od igły. Mimo to wyraźnie nie czuła się dobrze, a on miał dość doświadczenia, by wiedzieć, czym niektórzy dilerzy rozcieńczają swój towar; nie bez powodu mówiło się, że narkotyki to syf.

- Co wzięłaś? - szepnął i objął ją ramieniem.

Ginny spojrzała na niego z wahaniem.

- Zostało ci jeszcze? - spytał. Oczywiście, będzie się musiała tego pozbyć, pomyślał; jeszcze tylko tego brakowało, żeby znów się ściął z policją. Starał się mówić cicho, cierpliwie. - No jak, zostało czy nie?

Ginny potrząsnęła głową. Dobrze. To już coś. Teraz pozostawało tylko zabrać ją do domu i mieć nadzieję, że razem z herą nie wzięła strychniny, arszeniku, proszku do prania czy innego paskudztwa. Chryste, to ci dopiero pasztet. Skąd w ogóle wzięła na to pieniądze? Z tego, co wiedział, nie miała grosza przy duszy, ledwo łąpała się na najniższy zasiłek. Zaklął pod nosem, wziął Ginny za ramiona i wyprowadził ją, jak niewidome dziecko, przez bramę na ulicę.

Gdyby miał choć trochę oleju w głowie, pomyślał, rzuciłby ją zaraz po tym, jak się o wszystkim dowiedział. Nawet o siebie nie potrafił się zatroszczyć jak należy; trudno więc oczekiwać, żeby zajął się jakąś pokręconą ćpunką. Będąc w trasie, widział takich wystarczająco wiele, by wiedzieć, że nieudane odloty, głód narkotyczny i przedawkowania to jeszcze nie wszystkie atrakcje, 0 nie; czasem człowiek wygrywał los na loterii i dostawały mu się zapadnięte żyły, uszkodzenia mózgu czy paskudne choróbska przenoszone przez brudne igły. Dlatego właśnie sam nigdy nie sięgnął

po nic mocniejszego od trawki. Joe nie zadawał się z ćpunami; to była naczelna zasada szczęśliwego życia.

Ale tu chodziło o Ginny.

Dźwięki wesołego miasteczka ucichły w tyle i kroki ich obojga na bruku znów nabrały rzeczywistego wymiaru. Ona szła za nim, z jedną ręką ufnie wsuniętą w jego dłoń, drugą uczepona jego płaszcz. Jego serce na chwilę zgubiło rytm, kiedy spojrzał na nią, na jej skórę, dziwnie, rozczulająco obnażoną w kontraście z namalowaną maską, i w tym momencie wiedział, że zrobiłby dla niej wszystko, oddałby za nią życie, jak bohater folkowej piosenki, z jej imieniem na okrwawionych ustach. Gwałtowny przypływ pożądania uderzył go jak obuchem; zatopiony w myślach, milczał dotąd, aż przyszli do jego mieszkania. Weszli ukradkiem, pomni tego, że gospodyni Joego czuwa.

- Chyba niczego przede mną nie ukrywasz, co? - spytał, otwierając drzwi.

Niemal bezwiednie skupiła na nim swoje mroczne spojrzenie i pokręciła głową.

- Musisz mi zaufać - ciągnął Joe. - Kocham cię. Chcę ci pomóc. Za mądra jesteś, żeby pakować się w takie rzeczy. Wiesz o tym, prawda?

Ginny uśmiechnęła się, prawie niedostrzegalnie, i skinęła głową.

- No dobrze. Wejdz.

I znów to ledwo dostrzegalne skinienie głową.

- To czemu dałaś nogę? Do kogo uciekłaś?

Jej odpowiedź była niesłyszalna, ot, drżące tchnienie jak szelest falującego na wietrze kawałka papieru. Joe znowu wziął ją za ręce, uważając, by nie zmiażdżyć ich w swoim gorącym uścisku.

- Nie słyszę.

- Bałam się... - powtórzyła niemal szeptem. - Po tym, co powiedziała ci Alice... Że odejdziesz...

- Wykluczone. - Z najwyższym trudem opari się pragnieniu, by tu i teraz wziąć ją w ramiona, przygarnąć do siebie. Powstrzymał go strach. Była zbyt drobna, zbyt smukła. Był ciekaw, czy kiedykolwiek odważy się porwać ją w objęcia w miłosnym uniesieniu.

- To nie wchodzi w grę. Zostanę z tobą na dobre i na złe, Gin. Ty i ja przeciw całemu światu. Zapomnij o Alice. Nie potrzebujemy jej. - I wartkim strumieniem popłynęły słowa, których nigdy nie mógł znaleźć przy Alice, słowa, które snił, szeptał, wyobrażał sobie w środku nocy, słowa niewypowiedziane, ukryte. Joe nigdy jeszcze nie mówił takimi słowami; teraz jednak jakimś cudem je odszukał i zasłona uniosła się z oczu Ginny, rozpacz zmieniła się w coś bliskiego nadziei. Zadziwiony i uradowany tym przełomem, zdawał sobie sprawę, że w którymś momencie swojego żarliwego wyznania, którego szczegóły już zacierały mu się w pamięci, złożył obietnicę, nie do końca świadomie, obietnicę niemal zapomnianą. Niczego nie będzie żałował, tego był pewien. Cokolwiek jej zaofiarował, od tej chwili należało do niej. Wystarczyło spojrzeć Ginny w oczy, żeby to wiedzieć. Kiedy jednak wziął ją w objęcia i delikatnie wprowadził do środka, jeszcze był w stanie się zastanawiać, CO też właściwie obiecał.

2

Nie było czasu na euforię. Nie uciekła, wywalczyła sobie tylko coś w rodzaju odroczenia egzekucji. Za mało czasu, żeby się tym chlubić, pomyślała, za to dość dużo, by przygotować się do nieuchronnego ataku. Wyglądając przez okno na ulicę, podniosła słuchawkę, wybrała numer Fulbourn, usłyszała sygnał.

- Chciałabym rozmawiać z doktorem Meneziesem. W bardzo pilnej sprawie.

- Przykro mi, pana doktora nie ma. Kto mówi?

- Alice Farrell. Byłam u pana doktora dziś rano. Mogłaby mi pani powiedzieć, kiedy wróci?

- Przykro mi, ale jest chory. Doktor Lowrey tymczasowo przejął wszystkich jego pacjentów.

- Przecież kiedy widziałam go rano, nic mu nic było! - powiedziała Alice.

- Po lunchu zdarzył się wypadek.

- Jaki wypadek?

- Przykro mi, ale nie mogę...

- Jaki wypadek? - Alice usłyszała, że podniosła głos. -

Proszę!

Recepcjonistka się zawahała.

- Pan doktor wpadł pod samochód, pani Farrell. Sprawca uciekł. Wezwano policję. Badają sprawę.

Alice bez słowa odłożyła słuchawkę i, odrętwiała, z lekką odrazą stawiała czoło prawdzie, która podążała za nią krok w krok od jej pierwszego spotkania z Ginny.

Teraz już nie ma przed nimi ucieczki, pomyślała. Owa ponadczasowość, którą tak bardzo kochała, uczyniła Cambridge jej więzieniem, twierdzą nocnych wędrowców; miastem koczowniczym, w którym co trzy lata wymieniało się dwie trzecie populacji, miastem wynajętych pokojów i skradzionych czułości. A tamci przez dziesięciolecia chodzili tymi samymi brukowanymi ulicami, stali w tych samych sklepionych przejściach, słyszeli te same hymny śpiewane w kaplicach, ich twarze mieszały się w nurcie pamięci z twarzami ich ofiar.

Niezauważeni, stali z boku tej rzeki ludzi, starannie dobierając ofiary: tu bezdomny, odnaleziony w kałuży krwi i wina, tam samotny turysta, gdzie indziej student ze śladami zastrzyków na rękach, znany z zamiłowania do niebezpiecznych rozrywek. W Cambridge dochodzi do wielu samobójstw; statystycy tłumaczą to stresem albo narkotykami. Łatwo znaleźć wyjaśnienia; tak łatwo zignorować dowody.

Jakże musieli się śmiać, myślała, upajając się swoją młodością i mocą! Jakże podobni aniołom musieli się sobie wydawać! Ileż snów nawiedzili? Ilu wybranych mężczyzn pozostało z Rosemary w swoich sercach i wspomnieniach? O tak, musieli się śmiać, kiedy przemykali niewidziani przez tłum, dotykając ludzkiego ciała na milion sposobów, wietrząc przyprawiający o dreszcze zapach uwięzionej krwi.

Alice zadrżała i przez chwilę niemal widziała ten śmiercionośny czar. Potem zdecydowanym ruchem wstała. Dość, powiedziała sobie. Nie ma już więcej czasu.

Zbierało jej się na wymioty. Paniczny strach był niemal nie do zniesienia, niesiony własnym rozpędem, wirował w gło-

wie, sprawiał, że Alice czuła się jak na największej kolejce górskiej na świecie, z wyszczerzoną Śmiercią za sterami, pędzącej przez roziskrzoną, przerażającą czerń.

- Cholera - powiedziała i niechętnie, z paniką wciąż huczącą w uszach, zaczęła przygotowywać atak.

1

Rosemary miała rację; przez kilka następnych dni byłem chory i światło raziło mnie w oczy, ale nawet ten objaw w końcu ustąpił. Ukrywałem się w magazynie, nigdy sam; czasem zostawał ze mną Rafe, czasem Elaine, czasem Zach. Przez prawie dwa dni miałem podwyższoną temperaturę i mało jadłem, ale za to dużo piłem, wydawało mi się, że nigdy nie ugaszę pragnienia. Widywałem Rosemary tylko przelotnie, nigdy na osobności; wpadała na kilka minut, żeby sprawdzić, jak się czuję, albo przynieść mi gazety z informacjami o śledztwie Scotland Yardu. Wyglądało na to, że sprawa „Ciała w jazie” na jakiś czas zeszła na dalszy plan i jej miejsce zajęła „Zagadka pubu Swan”, niepowiązane zabójstwo z podpaleniem, uważane przez Yard za próbę zatuszowania włamania. Znalaziono dwa ciała, zbyt zwęglone, by je rozpoznać, ale na podstawie dokumentacji dentystrycznej udało się ustalić, że byli to barman i kelnerka. „Policja przesłuchuje niezidentyfikowanego mężczyznę”, obwieszczała gazeta tonem pełnym samozadowolenia, na co moi towarzysze reagowali chytrymi uśmieszkami.

Rosemary czytała mi te relacje na głos, po czym wychodziła z uśmiechem, a ja, pozostawiony sam sobie, mogłem tylko zgrzytać zębami z bezradnej miłości i nienawiści. W czasie tych

wizyt wyglądała olśniewająco; jej twarz promieniała, włosy układały się w kształt obłoków. Nosiła suknie z kwiecistej krepy, jedwabnego szyfonu i białego lnu z różaną lamówką; za każdym razem była w innej, co wydawało się egzotyczne, wręcz nieprzyzwoite w tych trudnych, powojennych latach; szła przez życie roztańczonym krokiem jak postać z gorączkowego snu. Emanowała mocą, mocą i czystością. Sam dotyk jej chłodnych palców na mojej szyi wystarczał, bym pocił się z pożądania; zważywszy na to, jak bardzo byłem nie zrównoważony, aż dziw bierze, że w gorączce nie wypałem niczego o swoim buncie. A może to zrobiłem, tylko moi stróże nie potraktowali tego poważnie. Myślę, że pod tym względem my wszyscy, którzy spędziliśmy tamte dni i czerwone noce w magazynie, byliśmy braćmi.

Podczas jednej ze swoich wizyt - byłem już prawie zdrowy - powiedziała mi, że wzięła ślub. Siedziałem przy oknie, wpatrzony w nagą ziemię na tyłach budynku. Akurat czytałem książkę, ale odłożyłem ją, kiedy weszła, i odchyliłem koc, by wstać i się przywitać. Java czekał przy drzwiach, oparty ramieniem o framugę. Wyglądała pięknie tego dnia, jej rozwiane wiatrem włosy opadały na burozieloną sukienkę, oczy skrzyły się młodością i życiem.

- Danny, złóż mi gratulacje! - Jej głos był zadyszany od wiatru, ręce impulsywnie wyciągnęła do mnie. - Wzięłam ślub!

Długo się wahałem, słysząc w nadnaturalnej ciszy puls tuż pod swoim lewym uchem, jakby tykanie zegara odmierzającego czas moją krwią.

- Z kim? - wyjąkałem.

Rosemary zmarszczyła brwi.

- No, z Robertem, oczywiście. Z kimże innym?

Z Robertem. Przez cały czas, kiedy tam byłem, prawie zupełnie o nim zapomniałem. Nie żeby ta wieść mnie zasko-

czyła; nie, w głębi ducha już spisałem go na straty, ale teraz, kiedy kłamka zapadła, poczucie winy (tak, zazdrość też) przygniotło moje barki tak wielkim ciężarem, że musiałem usiąść z powrotem na krześle, by nie paść na ziemię.

- No nie, Danny. - Przybrała nadąsany ton. - Coś mi się widzi, że się gniewasz.

Odzyskałem mowę, nie bez wysiłku.

- Nie, skąd. Bardzo się cieszę. Po prostu jeszcze nie całkiem doszedłem do siebie.

- Biedny Daniel. - Pochyliła się nade mną i ujęła moją twarz w dłonie. Doleciał mnie słaby zapach lawendy płynący z jej skóry, niby wspomnienie. - Lepiej?

Skinałem głową, bo bałem się, że głos odmówi mi posłuszeństwa.

- Robert... czy on... to znaczy... czy będzie...?

Zaśmiała się urzekająco.

- Och, Danny - powiedziała. - Jakiś ty słodki. To dlatego tak się naburmuszyłeś? Myślałeś, że będzie jednym z nas? O nie. Nie łączę interesów z przyjemnością. ~ Pocałowała mnie lekko w policzek. Dotyk jej ust był jak słabe ukąszenie.

- Jest niczym. Zabezpieczeniem.

- Nie rozumiem.

Westchnęła.

- Robert mnie kocha - oświadczyła. - Kocha tak bardzo, że miłość przyćmiła mu rozsądek. Jest mężczyzną; musi mieć coś, co mógłby chronić. To go uszczęśliwia, daje mu poczucie mocy. Nie każdemu dane jest umrzeć za coś, co kocha, w pewnym sensie dopisało mu więc szczęście. Twój Robert nigdy nie byłby dość silny, by stawić czoło rzeczywistości; ja dałam mu sen.

Musiała coś wyczytać z mojej twarzy, bo uśmiechnęła się i musnęła moją dłoń najulotniejszym, najbardziej niewinnym pocałunkiem.

- Nie martw się, Danny. Jest szczęśliwy.
- Dlaczego? - Mój głos przechodził w jęk.

Rosemary usiadła na poręczy krzesła i czubkami palców dotknęła mojej twarzy.

- Nikt nie mówił, że będzie lekko - powiedziała. - Niełatwo jest być wybranym. Wyróżniamy się z tłumu. Byłoby wyczuwa nas węchem, zazdrości nam, boi się nas. Wiedzą, że są naszymi naturalnymi ofiarami. Dlatego potrzebujemy obrońcy. Kogoś, kto kłamałby w naszym imieniu, krył nas i, w razie potrzeby, za nas umarł. Myślisz, że kiedykolwiek przestaną na nas polować? Policja to idioci, ale jeden z nich prędzej czy później zacznie nam deptać po piętach. Pracują wolno i wytrwale; w końcu zdarzy się coś nieprzewidzianego, co przypadkiem doprowadzi ich na nasz próg. Musimy się pożywiać; możemy się przemieszczać, ukrywać, ale pewnego dnia nas dopadną. A kiedy to się stanie, będziemy musieli rzucić im kogoś na pożarcie. Kogoś, kto zajmie nasze miejsce.

- Roberta.

- Jest idealnym kandydatem, Dan. Zapewnia doskonałą przykrywkę i mnie, i nam wszystkim, nawet tobie...

- Mnie?

- Oczywiście. Kiedy go złapią, będziesz mógł wyjść z ukrycia. Co lepiej wytłumaczy twoje zniknięcie niż to, że podejrzewałeś swojego przyjaciela o morderstwo? Nie chciałeś go zdradzić, więc uciekłeś. W najgorszym razie będą cię mogli oskarżyć o ukrywanie podejrzanego, a oboje wiemy, że nie wsadziliby cię za to do więzienia. A potem? Cóż, będziesz mógł znaleźć własną obrończynię, swoją Robertę, że tak powiem. Wystarczy, że zdasz się na swój instynkt zabójcy.

Myślałem o tym przez długą chwilę, choć, wstyd przyznać, nie z takim przerażeniem, jakie powinienem odczuwać. Miałem już za dużo na sumieniu, by zareagować jak normalny

człowiek, i zbyt wiele razy zdradziłem swojego przyjaciela, by brzydzić się myślą, że uczynię to znowu. Musisz się zadowolić moim zapewnieniem, że koniec końców dokonałem słusznego wyboru, choć z niesłusznych powodów. Na moim miejscu najprawdopodobniej postąpiłbyś tak samo. Wówczas jednak na poważnie rozważałem to, co mi proponowała: tę słodką truciznę. Chciałem ją wypić. Pragnąłem tego z całą mocą mojego instynktu zabójcy. Wyciągnąłem do niej rękę, wziąłem ją w ramiona, jakbym obejmował sen; poczułem szyfón i powietrze, złowiłem zapach lawendowych perfum, ale była jak zawsze nieuchwytna, wymknęła mi się tak delikatnie, że ledwo poczułem, jak się ode mnie odsuwa.

- Później - szepnęła. - Jak wyzdrowiejesz. Wtedy poproś.

- Jeden pocałunek - błagałem.

Rosemary się uśmiechnęła.

- Ciało - powiedziała. - Tyle jeszcze jest w tobie z człowieka, Danny. Później zrozumiesz, później, kiedy będziesz już z nami na zawsze... że krew to moc. Krew.

- Kocham cię - wyznałem (i prawie mówiłem prawdę).

- To mnie kochaj - odparła i wyciągnęła ku mnie nadgarstek z delfinami widocznymi pod skórą.

Zrobiłem, co powiedziała, i moc napłynęła mi do ust, ściekała po brodzie, zalewała żyły niesioną przez siebie tajemną muzyką. Jak w natchnieniu, opadły mnie genialne myśli, myśli, których później nie pamiętałem, ale które rozdziły się tam, w mroku, gdy ja żywiłem się nią, a ona mną, myśli o stworzeniu i nieskończoności, rozblaskujące pośród czerwonego mroku jak rozkwitające serca, pragnienia i ekstazy doznania, o jakich mi się nie śniło, rozkosze, jakie dawała krew, bardziej potworne i cudowne od jakichkolwiek rozkoszy cielesnych. Przez chwilę byłem nicością, kwilącym niemowlęciem na wieczność pozbawionym własnego ja, za-

raz potem stałem się stwórcą i oczami wyobraźni widziałem galaktyki, by na koniec zmienić się w niszczyciela, z krwią na czubkach palców, krwią w moim głosie, krwią wypełniająca ogromne ślady stóp, które idąc, zostawiałem za sobą. Nigdy więcej nie udało mi się odtworzyć tego ulotnego wrażenia mocy absolutnej, ale, niech Bóg mi wybaczy, tęsknić za nim miałem już zawsze, choć dziś jedynym z towarzyszących mu doznań, które pamiętam jako tako wyraziście, jest smak, tak bardzo przypominający smak łez.

1

Nastały upalne dni lata; do miasta w końcu zjechały tłumy, a my robiliśmy, co się tylko dało, żeby jakoś przetrzymać skwar.

Wychodziliśmy nocą, nie przez to, że światło dnia mogło nam zaszkodzić, lecz dlatego, że noc to był nasz czas. Magazyn był przestronny i suchy jak oddział szpitalny, i wygodnie nam się w nim mieszkało. Tak, „nam”. Zach, Elaine i mały chłopiec, Anton, towarzyszyli mi na wygnaniu - może po to, by mieć mnie na oku. Rosemary mieszkała z Robertem w domu nieopodal, w Grantchester. Gdzie zaszyli się Rafe i Java, tego nie wiedziałem. Przypuszczałem, że trzymali się blisko Rosemary, by jej strzec, ale pewności mieć nie mogłem. Dni upływały niespokojnie, ale w swoistej harmonii, jak długie letnie wakacje w latach mojego dzieciństwa, za to nocą wszystko nabierało wyostrzonych kształtów i porrywała nas magia polowania, potęgowana przez obecność policji w mieście, stała, ale na tyle dyskretną, na ile to było możliwe. My jednak zachowywaliśmy ostrożność, starannie wybieraliśmy ofiary spośród włóczęgów, czasem decydowaliśmy się na kłozarda, czasem na samotnego turystę, kogoś, czyje zniknięcie nieprędko miało zostać zauważone. Długo nie widziałem Turnera ani nie czytałem o nim w gazetach;

śledztwo Scotland Yardu prowadził niejaki nadkomisarz Lamb, który, z tego, czego mogliśmy się domyślać, zdawał się tracić czas i środki na szukanie w Cam następnym ciał. Trop, którym podążali śledczy, oddalał ich od nas.

Rosemary miała pieniądze, z których część ukradła wcześniej ofiarom, a część dostała od swojego poprzedniego dobroczyńcy, i co jakiś czas kupowaliśmy wino i papierosy w otwartym do późna monopolowym, a potem piliśmy i paliliśmy w naszym wypożyczonym lokum jak studenci-dyletanci rozprawiający o sztuce i poezji. Widywałem ją co noc; zjawiała się późno, po północy, i często zastanawiałem się skrycie, jak udaje jej się przychodzić tak regularnie i nie musieć tłumaczyć się z tego Robertowi. Może go usypiała, myślałem. Zresztą, pewnie nic musiała; był nią zauroczony na tyle, by pozwalać jej robić, co chciała.

Trzymałem się na marginesie wydarzeń; wierz lub nie, ale nikogo nie zabiłem, za to pożywiać się pożywiałem, i to łapczywie. Świat wirował jak na karuzeli w te noce, noce nie do wyśnienia, nie do opisania. Piliśmy whisky i wino zmieszane z krwią. Żywiliśmy się sobą nawzajem. Kochaliśmy się na sposoby wykraczające poza wymiar czysto fizyczny, choć moje apetyty domagały się i tego rodzaju miłości. A mimo to za zasłoną tego dawnego czaru skrywał się trawiący mnie rak nienawiści, ostatnie stadium mojej miłości i głodu. Chciałbym to wiernie opisać, lecz brak mi odpowiednich słów; właściwie nie potrafię nawet zwizualizować sobie tego wspaniałego okresu, jakby wspomnienie tego, co zdarzyło się potem, okryło go ciemnością. Pamiętam szczęście, ale nie wiem, jaką postać przybierało, pamiętam słowa, moc, radość, rozkosz, ale nie mogę przywołać jednego, najprostszego nawet obrazu.

W takich chwilach jak ta niemal potrafię przekonać sam siebie, że ona naprawdę umarła; ciężko wówczas zmusić się

do tego, by pisać dalej. Mój młody lekarz uważa, że samym pisaniem umacniam swoje urojenia; że jako nauczyciel akademicki za bardzo przywykłem do poznawania prawd z książek i że spisując swoje wymysły, usiłuję sprawić, żeby i one stały się prawdziwe. Inni są odmiennego zdania i traktują moją pracę jako podjętą przez podświadomość próbę wypędzenia demona choroby z mojej psychiki.

Mówię to mojemu młodemu przyjacielowi, żeby podnieść go na duchu; ostatnimi czasy wydaje się naprawdę głęboko przygnębiony moim przypadkiem, nawet kiedy daję mu wygrywać w szachy. Powtarzam mu, że nie jest wskazane, by przywiązywał się emocjonalnie do swoich pacjentów. Uśmiecha się ze smutkiem, świadom, że moja pozorna racjonalność nie jest oznaką jakiegokolwiek poprawy; czasem daję mu do zrozumienia, słowami innego, lepiej znanego Holmesa, że kiedy wyeliminuje się niemożliwe, wówczas to, co zostanie, bez względu na to, jak byłoby nieprawdopodobne, musi być prawdą - że to, czego się obawia, może istnieć rzeczywiście. Czasem, kiedy tak mówię, robi bardzo nieszczęśliwą minę - może uważa, że mnie zawiódł? - więc wygłaszam jakąś wymyśloną naprędce brednię godną szaleńca, po to tylko, żeby umocnić go w jego przekonaniach, a on wynagradza mnie uśmiechem i jedną lub dwiema partyjkami szachów. Żeby podsycać moje zainteresowanie psychologią, opowiada mi o innych swoich pacjentach, na przykład o dziewczynie z sąsiedniego pokoju, szesnastoletniej schizofreniczce borykającej się z zaburzeniami osobowości. Jest przekonany, że uda się ją wyleczyć, bo terapia daje dobre rezultaty. To nie terapia, tylko on tak na nią działa, myślę sobie. Mam ochotę mu powiedzieć, by uważał... Rosemary była taka sama, młoda i niewinna. Nagle ogarnia mnie niepokój na myśl o tej dziewczynie. Chcę mu powiedzieć, żeby trzymał się od niej z dala, ale

dość już dziś się z nim drażniłem. Przytakuje, żeby zrobić mi przyjemność, ale nie słucha.

Czas: muszę spróbować zapamiętać, jak niewiele go zostało; ale tabletki, które mi dają, spowalniają jego upływ, i jeden stracony dzień płynnie przechodzi w następny. O czym to ja opowiadałem? Ach, o ostatnim lecie przed tym, jak ją zabiłem. Przede wszystkim jednak muszę opowiedzieć o tym, w jaki sposób ją zabiłem, byś i ty, który czytasz te słowa, mógł to w odpowiednim czasie uczynić. I nie wolno ci być tak słabym, jak słaby byłem ja.

Musisz zabić to, co kochasz, zrobić to, co mnie nie do końca się udało.

Można ich zabić. Ja to wiem. Jest to tak proste i tak straszne, jak każde zabójstwo. Każda ręka może dokonać tego czynu, każdy umysł może sformułować taki zamiar. To jednak nie wystarczy. Ich dziwne życie może im zostać odebrane, ale nie na zawsze. Odradza się jak śmiertelnie groźny, przezroczysty morski stwór, przyzywany promieniami księżyca. Nie są nieśmiertelni, choć ich ród żyje praktycznie od zawsze.

Ich nasienie jest wszędzie, uśpione, ich korzenie, jak korzenie trującego drzewa w sercu sadu, ćwiartują ziemię i wwiercają się niczym larwy do ludzkich głów. Nasienie zła może przeleżeć setki lat, zanim się przebudzi, strząśnie z twarzy śnieg zimy i spojrzy w słońce. Pradawni kapłani wiedzieli, jak je wyplenić; palili je i grzebali w kamieniu i wapnie, ono jednak wciąż żyło, w pamięci, w legendach, w pieśniach. Każde dziecko, które pragnie być Kopciuszkim czy Chłopcem-Wilkiem, każdy młodzieniec, który marzy, by pocałunkiem ożywić martwą księżniczkę, zasiewa ziarno nocy, podziemne ziarno Prozerpiny, z którego wyrasta krwistoczerwony owoc.

Żądza.

Wymaga to określonego rodzaju żądz, ale wystarczy, że wezwie ją jedna osoba, jedna dusza, a wtedy ona powróci, czy chce tego, czy nie. Jedna dusza. To wszystko, czego potrzeba.

I, och... być Rosemary. Płonać tak jasnym blaskiem jak Rosemary... mieć taką moc tylko dla siebie. Co oddałbym za to? Co już oddałem?

„Sierpień... śmierć przyniesie. Pamięć przywróci wrzesień” -jak to było w piosence. Ach, jakże chciałbym pamiętać... cóż, kiedy nie mogę zebrać myśli. Tamtego lata byłem jej całkowicie podporządkowany, duchem i ciałem. Słodka to była niewola; Rosemary żywiła mnie i żywiła się mną. W ogóle nie myślałem o Robercie; ona była nasza, moja.

Jak długo to mogło trwać, tego nie wiem. W magazynie żyło mi się wygodnie; Elaine prała moje ubrania, przynosiła jedzenie. Zaspokajała nawet inne moje apetyty, kiedy nie było Rosemary. Miała jedno tylko pragnienie: by umrzeć, ja zaś w owym czasie wielu spraw nie rozumiałem, na przykład tego, jak Rosemary może utrzymywać Elaine przy życiu wbrew jej woli. Oswoiłem się z myślą, że wszyscy moi towarzysze, może z wyjątkiem Rafe'a, raz już umarli; Elaine nie żyła (tak jej się przynajmniej wydawało) od około pięćdziesięciu lat, Java jeszcze dłużej. Zach zginął we Francji podczas pierwszej wojny światowej, ale niewiele z tego pamiętał. A może nie chciał o tym mówić. Antona zabiła Elaine; z tego, co zrozumiałem, Rosemary trzymała go przy sobie, by mieć nad nią władzę. Może był bratem Elaine; nigdy nic zdołałem tego z niej wyciągnąć. Może - kto wie? -jej synem.

Elaine mogła powiedzieć mi tylko tyle, że Rosemary wezwała ich wszystkich zza grobu, choć nie miała pojęcia jak. Przypuszczałem (jak teraz wiem, mylnie), że posłużyła się rodzajem nekromancji; tkwiłem wtedy po uszy w podejrzanych magicznych praktykach i rytuałach, i wyobrażałem

sobie, że trochę się na tym znam, może nawet chodziło mi po głowie, by pewnego dnia samemu to wypróbować. Koniec końców nigdy nie miałem okazji tego zrobić, tak się jednak złożyło, że zobaczyłem na własne oczy, jak to się odbywa, zupełnie niespodziewanie, pod koniec sierpnia. W dniu, kiedy spełniło się największe marzenie Elaine.

1

Nie myśl, że inspektor Turner tak łatwo zrezygnował z poszukiwań mordercy z Cambridge. Co to, to nie. O nic mnie nie oskarżono, ale jedna z macek śledztwa znów zaczęła się wysuwać w moim kierunku; a przynajmniej tak powiedziała mi Rosemary.

Może podczas naszych łowów staliśmy się zbyt pewni siebie; może Turner nas obserwował, a myśmy tego nie zauważyli. Może kazał śledzić Roberta i Rosemary nieświadomie doprowadziła go do nas. Tak czy owak, pewnego wieczoru siedzieliśmy w magazynie przy winie i kartach, kiedy nagle poczułem niewytłumaczalny niepokój. Może łączyła mnie z Turnerem silniejsza więź psychiczna, niż mi się wówczas wydawało.

Była, zdaje się, druga w nocy; musieliśmy czekać na Rosemary dłużej niż zwykle, a wcześniej polowaliśmy wśród biedoty Cambridge, unikając otwartych do późna barów i pojedynczych zapalonych świateł w oknach college'ów. Wskutek ostrzeżeń policji przechodniów było niewiele; ludzie bali się wychodzić po nocy i na opustoszałych ulicach tym wyraźniej rzucaliśmy się w oczy, ale zawsze trafił się jakiś lump czy włóczęga błąkający się nad rzeką bądź śpiący pijackim snem przed drzwiami sklepu. Zasmakowaliśmy nawet w takich

ofiarach, bo krążący w żyłach alkohol nadawał krwi bardziej pikantny smak.

Najedzeni do przesyty i senni, piliśmy wino, które przynieśli Java i Zach, i paliliśmy, a pokój, w którym spałem, był już zawalony pustymi butelkami. W tamte noce często piłem; chyba pomagało mi to nabierać dystansu, bez wyrzutów sumienia kosztować emocji polowania. Światło było przyćmione, jako że padało tylko z dwóch świec wetkniętych w puste butelki po winie; okna zasłoniliśmy workami. Nikt nie mógł odnaleźć nas przypadkiem.

Z początku złożyłem wrażenie, że ktoś mnie obserwuje, na karb paranoi; wypłem następną lampkę wina, by uspokoić nerwy, ale to nie rozwiało moich obaw. Wręcz przeciwnie, wino jakby jeszcze bardziej wyczuliło moje zmysły.

Wreszcie nie wytrzymałem. Zwróciłem się do Rosemary.

- Jesteś pewna, że nikt nas nie śledził? - spytałem.

Spojrzała na mnie.

- Biedny Daniel - powiedziała. - Myślisz, że mnie to obchodzi? Nawet gdyby, jest nas dosyć, żeby sobie z tym kimś poradzić.

Pod pewnymi względami była bardzo naiwna.

- Wydaje mi się, że ktoś jest na zewnątrz - oświadczyłem.

- Obserwuje magazyn.

Zach był mnie machnięciem ręki; wychodził koło północy i nikogo nie widział.

Najwyraźniej nikt nie zamierzał poważnie potraktować moich podejrzeń, oprócz Elaine, która podniosła głowę. Z jej twarzy, schowanej w cieniu, wyzierały wielkie oczy.

- Myślę, że Daniel ma rację - powiedziała. - Ja też czuję się nieswojo. Chyba policja ma nas na oku. Słyszałam dziwne dźwięki. Widziałam ludzi na ulicy.

Zach wzruszył ramionami.

- Wyślij małego, niech sprawdzi. Nikt nie będzie podejrzewał dziecka.

Wszyscy przytaknęli, oprócz, o dziwo, Elaine.

- Pójdę z nim - rzuciła. - To nie fair, wysyłać go samego.

- Boisz się, że porwie go potwór? - zadrwił Zach. - Co on, boi się ciemności? - AJe Elaine, pod pewnymi względami, była tak nietykalna jak Rosemary. Materiał jej bezkształtnego płaszcza zafalował lekko, nogi zaszuraty o podłogę, i jej, i Antona już nie było. Ruszyłem za nimi, w pewnym oddaleniu, zataczając się pod wpływem wypitego wina. Słyszałem ich kroki na cementowej podłodze. Już zaczynałem nabierać przekonania, że dałem się ponieść wyobraźni, kiedy nagle dobiegł mnie krzyk.

To krzyknęła Elaine. Usłyszałem kroki jej i Antona, nagle dużo głośniejsze, biegnące przez budynek. Schowałem się instynktownie. Gdzieś w pobliżu błysnęło światło i obok mnie przemknęły trzy postacie. Usłyszałem krzyki:

- Stać! Policja! Stać!

To byli trzej mężczyźni, górujący nade mną, na tle białej ściany wręcz ogromni. Za moimi plecami, w pokoju, z którego dopiero co wyszedłem, rozległy się jakieś dźwięki; domyślałem się, że to pozostali szukają drogi ucieczki z budynku, że przepychają się jeden przez drugiego, byle oddalić się od światła. Wiedziałem, że Zach i Java trzymają tu spory arsenał broni (ukradzionej bądź zdobytej innymi sposobami). Coś mi mówiło, że policję może spotkać niemiła niespodzianka.

Na korytarzu było duże okno, luźno zabite deskami. W panice nie zastanawiałem się długo; wyrwałem deski i wyrzuciłem na zewnątrz. Nie było wysoko. Obliczyłem naprędce, ile metrów dzieli mnie od ziemi, po czym przecisnąłem się przez nierówną szparę, wypatrując policji. Nie zobaczyłem nikogo; światło księżyca było przysłonięte, mroczne. Pobiegłem przez podwórze i wpadłem w zarośla i wysoką

trawę na tyłach budynku. Położyłem się na brzuchu, moje nozdrza napełnił zapach rosnącej trawy i chłodnej ziemi. Z drugiego końca płaskiego terenu dobiegły podniesione głosy. Padły dwa strzały, jeden zaraz po drugim. Przywarłem twarzą do ziemi.

Kiedy po kilku sekundach podniosłem głowę, zobaczyłem trzy cienie; domyśliłem się, że to Rafe, Java i Rosemary. Przemknęli przez podwórze, wypadli przez bramę i uciekli drogą. Odważyłem się unieść nieco wyżej i wtedy właśnie zza narożnika budynku chyłkiem wybiegła Elaine, w sztywno łopoczącym za nią płaszczu. Jej oddech przecinał ciche, nocne powietrze. Płakała i raz po raz powtarzała coś pod nosem, nie dosłyszałem, co. Kiedy wpadła na ścieżkę wiodącą do bramy, zobaczyłem ją wyraźnie w słabym świetle księżyca i zorientowałem się, że nie jest z nią dobrze. Utykała i owijała się ciemnym płaszczem, jakby przed czymś się osłaniając. Zauważyłem, że w dłoni trzymała nóż, o długim prostym ostrzu, które jak lustro odbijało światło w moją stronę. Myślę, że widziała mnie, gdy kuciałem w ciemności, ale nawet nie zerknęła na moją kryjówkę, by mnie nie zdradzić. Zamiast tego, odwróciła się twarzą do goniących ją ludzi z okrzykiem, w którym brzmiało wyzwanie albo rozpacz.

- Hej! - zawołał jeden z policjantów. - Ty tam! Stój! Rzuć nóż!

Elaine cofnęła się trochę, trzymając broń przed sobą. Potrafiła jej użyć; robiła to już wystarczająco często. Policjant ruszył ku niej, dwaj pozostali rozstąpili się, by zająć ją z boków.

- To nie ma sensu - powiedział ten w środku. - Odłóż nóż.

Elaine zrobiła krok w tył, oddalając się ode mnie. Z jakiegoś powodu odniosłem wrażenie, że próbuje odciągnąć ode mnie policjantów, i wtopiłem się w mrok.

Policjant był już niecałe pięć metrów od niej; nie przestając mówić, przysuwał się coraz bliżej, z ręką w kieszeni. Nagle rzucił się na nią. Musnął dłonią jej płaszcz, ale Elaine była szybsza. Nóż zakreślił w powietrzu świetlisty łuk i mężczyzna padł na kolana. Jego twarz wyrażała tępe zdumienie, z brzucha wylewały się wnętrzności. Zaczął krzyczeć, a ja pogratulowałem Elaine w duchu, ale niemal w tej samej chwili drugi policjant strzelił do niej i upadła.

Teraz to ja wybałuszyłem oczy; czekałem, kiedy Elaine wstanie.

Dwaj pozostali policjanci podeszli bliżej - nie zdziwiłem się, kiedy w jednym z nich rozpoznałem Turnera. Ten drugi skierował się do swojego rannego towarzysza, który jeszcze żył i strasznie hałasował. Turner ruszył ku Elaine, trącił ją czubkiem buta, przykląkł i położył rękę na jej sercu. Przez chwilę widziałem jej twarz, nieruchomą, trupio bladą, z rozchylonymi wargami, spod których wyłaniały się obnażone zęby. Potem usłyszałem jego głos, cichy i lekko drżący, niepasujący do jego pozornego spokoju.

- To kobieta - powiedział. - Nie żyje. -I, z nieoczekiwaną zjadłością, zaklął: - Cholera!

Chwilę się wahał, po czym jakby częściowo odzyskał rezon. Zwrócił się do drugiego policjanta, który próbował zanieść rannego towarzysza do samochodu.

- Szkoda czasu - warknął. - Wezwij pogotowie. Szybko!

Był wyraźnie wstrząśnięty; choć w tamtych czasach przepisy dotyczące użycia broni nie były tak rygorystyczne jak dziś, niewykluczone, że pierwszy raz postrzelił kogoś na służbie, a męski płaszcz, który Elaine miała na sobie, zapewne sprawił, że policjanci wzięli ją za większą i groźniejszą niż była w rzeczywistości. Prawie mu współczułem, choć śmierć Elaine była dla mnie druzgocącym ciosem. Widzisz, ja naprawdę myślałem, że jesteśmy nieśmiertelni.

Przez może dziesięć minut, kiedy patrzyłem, jak przyjeżdża karetka, której dzwonek brzmiał zaskakująco ostro wśród nocnej ciszy, czekałem, żeby Elaine wróciła do życia. I byłem prawie pewien, że to nastąpi. Dopiero kiedy dźwignęli ją na nosze na plastikowej płachcie, zaczęło do mnie docierać, że zmartwychwstania nie będzie. Nawet gdy karetka ruszyła na pełnym gazie, brzęcząc dzwonkiem, poczułem przypływ absurdalnej nadziei: chyba nie brzęczeliby dzwonkiem, gdyby rzeczywiście nie żyła? Przeklinając własną głupotę, przypomniłem sobie, że zapomniałem o rannym policjancie.

- Naprawdę myślałem, że tym razem tu będzie - powiedział Turner, jak zawsze cichy i skupiony. - Ja to czułem, do licha. Trzeba było wziąć więcej ludzi. Niech diabli porwą Yard, ostrzegałem ich, że coś tu się dzieje. Po kiego ściągać trzystu ludzi do śledztwa, żeby tracili czas na grzebanie w rzecze? Nie znają tego miasta. - Na chwilę popadł w zadumę. - Co to w ogóle za jedna? - spytał. - Była z nim?

Drugi policjant wzruszył ramionami.

- Może jesteśmy na złym tropie - zauważył. - Może Holmes nie jest człowiekiem, którego szukamy.

Turner pokręcił głową.

- To on. I tu był. Ja to wiem.

Jego towarzysz był wyraźnie nieprzekonany.

- A co z resztą? - powiedział. - Widziałem jeszcze co najmniej dwóch, ale musieli uciec. Co oni mają z tym wszystkim wspólnego?

- Nie wiem. - Turner zamilkł. - Ale jeśli ustalimy, kim jest denatka, znajdziemy Holmesa. Jestem tego pewien.

Przy wtórze ich głosów niosących się w powietrzu, półprzemyślnie przemyślałem swoją sytuację, wciąż odurzony winem, krwią i szokiem. Przez chwilę byłem ciekaw, jak zareagowaliby, gdybym ni z tego, ni z owego wyszedł z ukrycia i powiedział im „cześć”. Nagle myśl ta przestała być

śmieszna, a stała się wprost przejmująca; zapragnąłem wyjść na światło jak dziecko, które postanawia zakończyć zabawę. Chciałem zobaczyć ich twarze, dotknąć ich, pobiec do nich, żeby mnie pocieszyli. To było coś więcej niż pragnienie, by wszystko wyznać. Wmawiam sobie, że to, co wtedy czułem, było buntem mojego fundamentalnego człowieczeństwa, które nigdy mnie na dobre nic opuściło, mimo wszystkiego, co przeszedłem. Wstałem.

- inspektorze. - Zrobił komiczną wręcz minę. Uśmiechnąłem się mimo woli, absurdalnie szerokim, chłopięcym uśmiechem. Turner wyjął pistolet i wymierzył go we mnie.

- Ręce do góry, Holmes - powiedział. - Ręce na głowę i odwróć się. Liczę do trzech. Raz. Dwa. Trzy.

Wzruszyłem ramionami i zrobiłem, co kazał.

- Zbytek ostrożności - zapewniłem. - Nie mam pistoletu.

Puścił to mimo uszu i wyczułem raczej, niż zobaczyłem, że z kieszeni na piersi wyjął swoją legitymację. Szybko, beznamytnie przeczytał mi moje prawa, jak chłopiec recytujący modlitwę przed kolacją urodzinową.

- Zdejmij płaszcz.

Zrobiłem to i patrzyłem, jak obmacywał kieszenie, nie opuszczając skierowanego we mnie pistoletu. Odrzucił mi płaszcz, trzymając się poza zasięgiem moich rąk.

- Włóż go.

- Niepotrzebnie się pan obawiał - powiedziałem. - Nie zamierzałem zrobić panu nic złego. -I właściwie było to prawdą; znów ogarnęło mnie to samo uczucie, co wcześniej, w ukryciu, ta swoista miłość. Chciałem go dotknąć, przekonać samego siebie, że on naprawdę istnieje, rozmawiać z nim, usłyszeć jego głos. Chciałem jego żony i dzieci, jego wspomnień, tajemnic, słabości. Chciałem palić jego papierosy, jeść to, co on, dzielić z nim sny.

- Możesz się odwrócić - oznajmił, kiedy jego towarzysz podszedł do mnie, żeby założyć mi kajdanki. Cała ta sytuacja wydawała mi się nierzeczywista, czułem się jak widz obserwujący ją z chłodnym zainteresowaniem, jak człowiek, który wie, że śni.

- Dziękuję. - Odwracając się, zobaczyłem jego twarz w najdrobniejszych szczegółach. Rozrzedzone światło szkicowało jej kontury cmentarną szarością i uwydatniało zarys pistoletu w jego dłoni. Nie znam się na pistoletach; nie wiem nawet, czy był naładowany.

- Zabił pan Elaine - powiedziałem mu, kiedy szliśmy w stronę policyjnego wolsleya. - Tak miała na imię. Elaine.

- Kim była, Holmes? Tą twoją przyjaciółką?

- Nie.

- To co miała z tym wszystkim wspólnego?

- Była ofiarą - odparłem. - Jak ja.

Nagle poczułem, jak bardzo jestem zmęczony. Niczym człowiek, który budzi się z koszmaru, byłem do cna wyczerpany. Może dlatego, że Rosemary znalazła się poza moim zasięgiem, kto wie, czy nie na zawsze, a może przez wspomnienie twarzy umierającej Elaine.

W tej chwili odrzuciłem to wszystko, ten czar, obietnicę wieczności, tę moc i piękno. To bolało, ale jednocześnie było wybawieniem.

- Powiem wam wszystko - oświadczyłem.

2

Zostawił Ginny śpiącą na sofie i już miał wyjść, ale kiedy po cichu otwierał drzwi, zerknął jeszcze za siebie i zobaczył ją, zwinęta w kłębek, z twarzą wtuloną w zgięcie łokcia. Poczł się niezwykle opiekuńczy. Joe, zwykle nerwowy i spięty jak nastolatek, żyjący w stanie ciągłej huśtawki nastrojów, doświadczył kilku zaledwie momentów prawdziwej stabilności. Gdyby go spytać, jakimi słowami określiłby swoje życie, „komfortowe” nie byłoby jednym z nich. A mimo to teraz miał wrażenie, że opuściły go wszystkie kompleksy, że nastąpiła w nim jakaś cudowna przemiana, dzięki której nagle poczuł, że w pełni panuje nad sobą, że napięcie ustąpiło. Zszedł na ulicę, czując się świetnie jak nigdy. Uśmiechał się.

Dwie dziewczyny w dżinsach i T-shirtach spojrzały na niego dziwnie, niemal się odsunęły, mimo wczesnej pory i jasno świecącego słońca... jedna z nich, gdy później próbowała wyjaśnić, dlaczego akurat ten mężczyzna zapadł jej w pamięć, choć w Cambridge tylu jest dziwaków, przypominała to sobie tylko mgliście.

- Źle mu z oczu patrzyło - tłumaczyła w Union Bar o dziesiątej tego wieczoru, głosem czarująco bełkotliwym po pięciu dżinach z tonikiem. Gdyby była postacią z powieści, może potrafiłaby powiedzieć: „Jego oczy były jak wrota do innego

świata". A tak po prostu się upiła, poszła do łóżka z chłopakiem z innego college'u, który nawet jej się nie podobał, i obudziła się następnego dnia przygnębiona i skacowana, z niejasnym poczuciem, że coś utraciła.

Joe nawet jej nie zauważył i szedł dalej, wirując na karuzeli swoich myśli. W roztargnieniu potarł kłykcie i spojrzawszy w dół, zobaczył, że na grzbiecie lewej dłoni ma ciemny siniec.

To przez Alice. Na próbę zacisnął pięść. Kurde, bolało. Ciekawe, czy coś sobie złamał. To była lewa dłoń, ta, której najbardziej potrzebował, kiedy grał. Jeśli przez Alice pogruchotał sobie lewą rękę... Jak o tym pomyśleć, nie zauważył, by okazała mu wiele współczucia. Właściwie to nie był pewien, czy aby się nie ucieszyła. Cóż, o to też ją spyta, kiedy się z nią zobaczy. Obiecał Ginny, że rozmówi się z Alice, i obietnicę spełni. Dość już szkód narobiła. W sumie równie dobrze mógł to załatwić już teraz. Wciąż uśmiechnięty, przyspieszył kroku.

* * *

Alice wzięła nóż i zważyła go w dłoni. To był długi nóż do mięsa z jej kuchni, z drewnianym trzonkiem, dźwięczący ostrością. Słabo jej się robiło na myśl, że miałyby go użyć przeciwko człowiekowi, jednak najgorsze mdłości i dreszcze już minęły i zastąpiło je poczucie nierzeczywistości, jakby czystą logikę wyparła dziwna, surrealistyczna logika snów. Idź, dokąd cię zaprowadzi, pomyślała Alice. Nóż dużo lepiej od niej wiedział, gdzie ma trafić. Jak igła kompasu, nieubłaganie wskazywał drogę do domu w Grantchester.

Z trudem przełknęła ślinę, ciekawa, czy zdobyłaby się na to, by cokolwiek zjeść, ale na samą myśl żołądek podjechał jej do gardła. Odwróciła się do drzwi. Nie mogła dłużej zwlekać, tyle wiedziała. Musiała znaleźć się w Grantchester przed zmrokiem, zanim zjawią się nocni wędrowcy.

Postąpiła dwa kroki w stronę drzwi i już robiła trzeci, kiedy ktoś zapukał.

Alice zamarła.

- Cholera jasna, polazła gdzieś. - Joe kopnął ze złością w drzwi, dwa razy, ale tylko noga go rozboleła. Spojrzał na zegarek; prawie szósta. Ginny czekała w domu, liczyła na niego; nie chciał, by z nastaniem zmroku była sama. Tak bardzo bała się ciemności.

Ale myśl, że miałby dać Alice wygrać i wrócić do Ginny, nie spełniwszy swojej obietnicy, była zbyt bolesna. Może gdyby... Rozejrzał się, nie zobaczył w pobliżu nikogo prócz starego człowieka z psem. Odwrócił się, przeszedł kilkadziesiąt metrów ulicą i skręcił na zaułek prowadzący na tyły domów. Nagle był pewien, że Alice jest w środku.

Jej ogródek był całkiem spory, podłużny, zarośnięty chwastami i niepielegnowanymi drzewami. Bez trudu dostał się tam przez ogródek sąsiada, z jeszcze większą łatwością przedarł się przez gąszcz zarośli i kwiatów na tylny ganek. Rzucił okiem przez ramię i niby od niechcienia spróbował otworzyć tylne drzwi. Były zamknięte na klucz, ale spodziewał się tego. Spojrzał na zamek; za mocny, by go wyłamać. Ale obok było okno. Zmuszając się do zachowania zimnej krwi, wziął kamień ze ścieżki. Podniósł go na wysokość ramienia i stuknął nim - raz wystarczyło - w róg szyby. Okno pękło. Delikatnie, tak, żeby się nie skaleczyć, napał na szybę i naciskał dotąd, aż obluzował się jej róg. Poruszał nim w przód i w tył, aż wyciągnął go z ramy. Położył kawałek szkła na ścieżce obok siebie i zajął się następnym fragmentem szyby. Tym razem poszło łatwiej i, krok po kroku, w końcu wyjął całą szybę. Teraz musiał tylko wsunąć rękę w otwór i odemknąć drzwi.

Zajrzał do środka.

- Alice? - zawołał cicho. - Alice?

1

W roku 1948 komisariat w Cambridge był dużo mniejszy niż dziś; tamtej nocy dyżur pełnił jeden policjant, który zamrugał tępo, kiedy weszliśmy z inspektorem. Zapewne słyszał o emocjonujących wydarzeniach, które poprzedziły nasze przybycie; prosektorium mieściło się w tym samym budynku, więc możliwe, że widział, jak przynieśli Elaine. Wyobraziłem ją sobie, leżącą za jednymi z tych drzwi, z włosami rozścielonymi na białej emalii jak włosy syreny. Przepętniony moją nową, wszechogarniającą sympatią do ludzi i ich świata, uśmiechnąłem się do oficera dyżurnego.

- Proszę się nie obawiać - powiedziałem. - Nie zrobię panu nic złego.

- Cicho - warknął Turner. Zwrócił się do policjanta. - Rozmawiałeś już z Yardem?

Skinął głową.

- Tak jest. Ktoś od nich ma tu być za godzinę.

- Dobrze - powiedział Turner. - Popilnuj interesu. Ja przesłucham podejrzanego.

Przez krótką chwilę leniwie zastanawiałem się, o czym on mówi, po czym dotarło do mnie, że tym podejrzanym jestem ja. Na tę myśl znów się roześmiałem. Miłe to było uczucie.

- Tędy proszę - polecił Turner i wskazał mi drugi koniec komisariatu. Jego uprzejmy ton sprawił mi absurdalną przyjemność; zresztą, w tym momencie wszystko, co robił, sprawiało mi przyjemność. Odwróciłem się z uśmiechem.

- To tu - rzucił. Był dość blisko, bym mógł zobaczyć jego oczy, zimne i szare jak gwoździe wbite w twarz.

Znalazłem się w małym kwadratowym pokoju wyłożonym białymi kafelkami, wyglądającym tak, jak wyobrażałem sobie kostnicę, ze stolikiem, dwoma krzesłami i wiadrzem do załatwiania się w kącie. W powietrzu wisiał silny zapach środka dezynfekującego, przywodzący mi na myśl, co zabawne, toaletę dla chłopców w moim gimnazjum.

- Proszę usiąść.

Wybrałem krzesło pod ścianą, zdjąłem płaszcz i usiadłem. Turner spoczął na stoliku i spojrział na mnie z góry. Jego oczy były nieprzeniknione. Dołączył do nas konstabl, ten sam, który był z nim wcześniej, i usiadł naprzeciwko, z długopisem zawieszonym nad małym notatnikiem, gotów zapisać wszystko, co powiem.

Długo czekaliśmy w milczeniu. Po kilku minutach poznałem w tym ową technikę Turnera, polegającą na skłonieniu przestępcy, by sam się obciążył, i wbrew sobie uśmiechnąłem się szeroko. Ja chciałem się obciążyć, chciałem powrócić do społeczeństwa, choćby na same jego dno; nie myślałem o ucieczce. Było mi wręcz lekko na sercu; nie pozostał mi już żaden wybór, żadna decyzja do podjęcia, nic a nic. Ktoś inny zrobił to wszystko, zdecydował za mnie.

- Cóż więc chcecie wiedzieć? - spytałem.

- Dlaczego to zrobiłeś - odparł Turner. - Ta bezdomna w jazie. Ci ludzie w pubie. A co z ciałem, które znaleźliśmy na cmentarzu w Grantchester, pokrojone na kawałki? To też twoja robota?

Potrząsałem głową.

- Nie, ale tam byłem. To zrobili tamci. Rosemary.

Turner skinął głową, choć po jego słowach i gestach nie mogłem poznać, czy mi wierzy, czy nie.

- Rosemary?

Powiedziałem mu.

Powiedziałem wszystko, co o niej wiedziałem i czego się domyśliłem, obnażyłem jej prawdziwe oblicze. Zdradziłem ich wszystkich. Uwolniłem się od nich. Inspektor Turner nie dawał po sobie nic poznać; słuchał tylko uprzejmie i od czasu do czasu kiwał głową, jakbym potwierdzał coś, co już wiedział. Kiedy skończyłem, wstał. Spojrzałem na niego wyczekująco.

- Aresztujecie ich? - spytałem.

- Idę po kawę - powiedział. - Przed nami długa noc. Może zanim wrócę, wymyślisz lepszą bajeczkę. Ja mogę poczekać. Lubię bajeczki.

I to rzekłszy, wyszedł ze swoim towarzyszem z pokoju, zamykając za sobą drzwi.

Czekałem, świadom, że wkrótce wróci. Po pewnym czasie, myśląc o kawie i korzystając z tego, że miałem odrobinę prywatności, poszedłem załatwić się do wiadra.

Chyba mi się przysnęło i mniej więcej po półgodzinie obudził mnie dźwięk kroków. Ktoś nadchodził korytarzem, ktoś, kto szybko i cicho drobił po posadzce. Pamiętam, że się zdziwiłem, że inspektor stąpa tak lekko. Kroki zatrzymały się za drzwiami celi; usłyszałem brzęk kluczy, zgrzyt odciąganej zasuw. Spojrzałem od niechcienia w stronę otwierających się drzwi i zamarłem.

Zobaczyłem Elaine.

Była boso, jej zsiniałe z zimna palce u nóg odcinały się na tle płytek, i miała na sobie coś jakby kitel ze sztywnego białego lnu, wiązany z boków białymi tasiemkami. Jej twarz

zdawała się jeszcze bledsza niż zwykle. W kąciku ust miała krew, jakby pożywiła się zbyt łąpczywie, krew ściekała też po wewnętrznej stronie jej nogi, pozostawiając szeroki, ciemnoczerwony ślad, wiodący od kostki w górę, pod fartuch. Jej włosy wyglądały jak wodorosty, oczy nabiegły łzami. Ku swojemu przerażeniu, uprzytomniłem sobie, że to, co miała na sobie, to wcale nie kitel.

Mój organizm musiał mnie uchronić od szoku; co innego wierzyć, teoretycznie, w życie wieczne, co innego zobaczyć na własne oczy wskrzeszoną kobietę. Wybałuszyłem oczy, kręciło mi się w głowie, myślałem: następna przejażdżka pociągami-widmo Rosemary.

Elaine wezwała mnie, bez słowa, i dopóki nie spotka cię to samo, nie pojmiesz siły oddziaływania tego gestu, jego mocy, wymuszającej posłuszeństwo. W podobny sposób posąg martwego Komandora przywołuje Don Juana na jego ostatni posiłek. Nic mogłem odmówić. Wstałem i zrobiło mi się słabo, choć do tego czasu zdążyłem już przywyknąć do wszelakich potworności, i bez słowa wyszedłem za nią na korytarz. Drzwi prosektorium były na wpół otwarte i przechodząc obok, zająrzałem do środka. Wyglądało tak, jak to sobie wyobrażałem: białe kafelki w surowym świetle elektrycznym, pół tuzina stołów sekcyjnych, cichy szmer bieżącej wody, odprowadzanej rowkami po bokach pomieszczenia. Przeszedłem za Elaine do frontowej części komisariatu, przecierając oczy. Ciemne kwiaty rozkwitały mi pod powiekami.

Komisariat zmienił się w rzeźnię. Dwaj policjanci leżeli twarzami do podłogi w kałużach lepkiej krwi; któryś z nich, walcząc o życie, wpadł na ścianę i zostawił na białej farbie odciski dłoni i ciała, jak makabryczne negatywy. Trzeci osunął się na biurko, z głową wykrzywioną pod nienaturalnym kątem; Anton siedział na blacie obok niego i skalpelem odkrawał kawałki skóry z jego twarzy, zaabsorbowany tym jak dzie-

cko układające puzzle. Choć byłem oszołomiony, zdołałem przyjrzeć się ciałom dość dobrze, by zorientować się, że nie ma wśród nich Turnera. Nie wiedzieć czemu, ta myśl sprawiła mi niejasną satysfakcję; ale nic nie powiedziałem.

Byli wszyscy, Rafe i Java stali po bokach Rosemary; zauważyłem, że Rafe ma krew na twarzy i we włosach, jakby zamooczył je, kiedy się pożywił. Zach pełnił straż przy drzwiach, Rosemary stała w oknie i wyglądała w noc; kiedy wszedłem, odwróciła się i po jej twarzy rozlał się wyraz triumfu.

- Nadal się boisz? - powiedziała. - Zobacz... - I szerokim gestem baletnicy ukazała otaczającą ją jatkę. Jej oczy były przejrzyste, bez śladu litości; takim wzrokiem Helena musiała patrzeć na ruiny Troi. - Czy jest coś, czego nie moglibyśmy dokonać?

- Wskrzesiłaś Elaine. - Tylko tyle mogłem z siebie wydobyć.

- Oczywiście - przyznała. - Dbam o swoich. - Elaine zasłochała za moimi plecami i oddech uwiązał jej w gardle.

- Tyle że Elaine jest romantyczką - ciągnęła Rosemary. - Wyobraża sobie spokojny sen pod ziemią. Pragnie nieskalanej czystości śmierci. Niewinności grobu. - Zaśmiała się. - Ty dokonujesz wyboru, ja też. A wybrani pozostają wybranymi. Na zawsze.

- Ale jak...? - spytałem głupio, jak dziecko próbujące zrozumieć cud.

Wzruszyła ramionami.

- To dziecinnie proste - odparła. - Zrobił to nawet Chrystus, kiedy powiedział do Łazarza: „Wydź”. Wystarczy, że przywołasz wybranych, a przyjdą. Pożądanie przyzywa, Danny, a my jesteśmy dziećmi pożądania.

Wówczas jej nie rozumiałem, bo rozpacz wprawiła mnie w stan odrętwienia. Po prostu przyjąłem to, co powiedziała, tak, jak przyjmowałem wszystko.

Teraz jednak, po latach przemyśleń, sądzę, że wiem, o co jej chodziło. Za późno, by sobie pomóc, ale, mam nadzieję, nie za późno dla ciebie, który to czytasz. Była dzieckiem mojego pożądania, panią moich snów, moją Błogosławioną Panienką. Myślałem, że po śmierci Roberta będę od niej bezpieczny; myślałem, że jestem dość silny, by oprzeć się jej wezwaniu, ale teraz, u kresu, wiem, że się myliłem. To ja chciałem, by wróciła. Myślę, że ją przywołałem, tak jak ona wskrzesiła Elaine. I wiedziała, że to zrobię. Wspominając ją, przywołałem ją do życia; bo czyż nie mówi się, że nie umarł ten, kto żyje w czyjejs pamięci?

2

- Cholera jasna, Joe, aleś mnie wystraszył. Co ci do łba strzeliło? - Alice zatrzymała się w połowie schodów i spojrzała na niego z niedowierzaniem. Czemu wszedł tylnymi drzwiami?, myślała. I czy aby nie były zamknięte na zamek?

Joe tylko patrzył na nią bez słowa i Alice z nagłym zaniepokojeniem przypomniała sobie jego minę, kiedy wcześniej tego dnia gruchnął pięścią w ścianę. A tylne drzwi były zamknięte, wiedziała to, pamiętała, że rzuciła okiem na ogródek, zanim zamknęła zasuwę.

- Chodź no na chwilę, Alice. - Jego głos był dziwnie normalny. - Chcę z tobą pogadać.

- Moment. - Z zaniepokojeniem szybko przechodzącym w paniczny strach, rozejrzała się za drogą ucieczki. Coś jej mówiło, że ten mężczyzna pod drzwiami to nie całkiem Joe, tak jak ona sama, kiedy malowała obrazy z Ofelią, nie była do końca sobą. Poczuła, że znów zaczynają jej drżeć ręce, uspokoiła je gniewnym gestem. Zdusiła w sobie strach, teraz już odczuwalny tylko jako tępy, ale znośny ucisk w dołku.

- Właśnie brałam prysznic - zawołała głośno. - Słyszałam, jak pukałeś. Usiądź, już schodzę.

- Nie ma pośpiechu. - Nowo wyczulone zmysły Alice powiedziały jej, że jego głos jest odrobinę zbyt wesoły. Nag-

le zobaczyła go oczami wyobraźni, stojącego przy bramie wesołego miasteczka jak groteskowy wartownik, z jabłkiem w polewie w dłoni, brązowymi włosami zafarbowanymi na rudo i pasem cienia na oczach.

Pospiesznie rozejrzała się po podeście. Okna były za wysoko nad ziemią, by przez któreś wyskoczyć. Będzie musiała zejść po schodach, stwierdziła; trzeba go będzie jakoś zwieść. Poczowała ciężar noża, zawiniętego w szmatkę i nieporadnie schowanego w rękawie, i zeszła na dół.

Czekał w fotelu i bawił się przyciskiem do papieru, wyrzeźbionym z białego marmuru surrealistycznym kotem wielkości pięści. Pasma włosów opadało mu na oczy, zasłaniając jego minę, ale na dźwięk kroków Alice podniósł głowę. Źle wygląda, pomyślał, widząc jej bladą twarz, wąskie wargi, po czym znów wziął w nim górę ten nieodparty, obcy rytm, wmuszający weń obce myśli. Joe nie próbował z nimi walczyć; prawdę mówiąc, było to przyjemne uczucie, naturalny haj, można by powiedzieć. Pozwolił, by ten rytm nim pokierował.

Alice spojrzała na jego uniesioną twarz, w głębi ducha spodziewając się, że pod okrągłymi okularami intelektualisty zobaczy oczy nocnego wędrowca. Błysnęło światło odbite od szkielec i na usta Joego wypłynął ten jego niepowtarzalny uśmiech, ujmujący i smutny jednocześnie.

- Joe - zaczęła drżącym głosem - mam kłopoty. Nie... nie mogę ci powiedzieć, o co chodzi, ale chcę, żebyś coś mi obiecał.

Wzruszył ramionami.

- No, to zależy...

- Nie! - ucięła Alice. - Musisz obiecać. Dziś wieczorem musisz trzymać się z dala od Ginny. Znajdź jakąś wymówkę. Powiedz, że jesteś chory. Bylebyś trzymał się od niej z dala, tylko dziś. Proszę.

Joe niepewnie zmarszczył brwi. Pamiętał, że chciał porozmawiać z Alice o Ginny, ale jakoś nie mógł sobie przypomnieć, co właściwie zamierzał powiedzieć.

- A co? - spytał. - Coś się stało?

Alice westchnęła.

- Nie jestem pewna - powiedziała. - Tyle jest rzeczy, których nie potrafię udowodnić, tyle rzeczy nie mieści się w głowie. Nie oczekuję, że we wszystko uwierzysz. Ale wiem, że znajomi Ginny są w to zamieszani. Wiem, że zginęła co najmniej jedna osoba i że oni maczali w tym palce... - Spojrzała na Joego. - Wiem, że nie chcesz tego słyszeć - dodała.

- Mów dalej - rzucił.

I Alice, zachęcona tym, że nie wpadł w furję ani nie odmówił wysłuchania jej, wyjawiała mu wszystko, nawet to, czego wyjawić nie zamierzała. Powiedziała mu o obrazach, o śnie, który snem nie był, o pamiętniku Daniela.

- Początkowo myślałam, że to musi być jeden wielki zbieg okoliczności - powiedziała, łapiąc właściwy rytm opowieści. - Wmawiałam sobie, że popadam w obłąd, że wszystko przeinaczam, jak mi pasuje. Widzisz, byłam o nią zazdrosna i dlatego tłumaczyłam sobie, że to, czego się dowadywałam, nie mogło być prawdą, ale za dużo faktów prowadzi do jednego i tego samego wniosku. Muszę ustalić, jaki jest jej udział w tym wszystkim.

Joe popatrzył na nią w milczeniu, po czym skinął głową.

- Rozumiem. - Jego twarz przez chwilę była bez wyrazu, po czym zwiesił ramiona i zdjął okulary, by je wytrzeć.

- Bydlę ze mnie, co? - powiedział przygnębionym tonem. - Rano nawrzeszczałem na ciebie, zrobiłem ci nawet dziurę w ścianie. Zachowałem się jak kompletny palant, a najgłupsze w tym wszystkim jest to, że już wtedy wiedziałem, że nie mylisz się co do tych dwóch gości. Widziałem ich już

wcześniej, dziś znów spotkałem ich z Ginny. Wiedziałem też, że handlują narkotykami, a ona je bierze. Cholera jasna, nie można poznać kogoś takiego i nie... - Odgarnął włosy z oczu. - Po prostu łudziłem się, że to nieprawda, że jeśli naskoczę na ciebie i nie będę cię słuchał, to przestanie być prawdą. Nie mogłem znieść myśli, że znowu dałem się przerobić. - Zawiesił głos. - Przepraszam, Al. - Wykonał nieznaczny, gniewny gest i przetarł oczy grzbietem dłoni.

- Biedaku. - Alice usiadła na poręczy fotela i objęła Joe-go. Poczwała zapach tytoniu, którym przeszedł jego płaszcz, i czystą woń jego włosów. Ogarnęła ją melancholia.

Joe po cichu przełożył marmurowy przycisk do papieru do prawej ręki. Rytm w jego głowie przybrał na sile.

Widząc ruch jego prawej ręki, Alice uchyliła się instynktownie. Przycisk do papieru przeleciał obok jej głowy i uderzył ją w bark. Joe, wytracony z równowagi własnym impetem, wyleciał z fotela, a Alice miała dość czasu, by odskoczyć w tył i poszukać czegoś, czym mogłaby się od niego odgradzić.

Zdażyła pomyśleć: To nie Joe.

Nagle rzucił się ku niej i ręką ściskającą przycisk do papieru wymierzył cios w jej twarz. Alice odskoczyła do tyłu i jednocześnie zamachnęła się na niego prawą nogą, by utrzymać go na dystans. Zachwiała się, omal się nie przewróciła, i zanim w pełni odzyskała równowagę, Joe przypadł do niej, złapał ją za włosy i zamierzył się na nią przyciskiem. Alice znów wierzgnęła nogą i tym razem kopniak doszedł celu, trafił go prosto w pizczele. Zaskoczony, puścił ją, zatoczył się do tyłu i uderzył głową w kant stołu.

Alice w mgnieniu oka poderwała się na nogi i rzuciła do drzwi. Otworzyła zamek drżącymi palcami.

-Alice! Wracaj! Alice!

Ale jego głos był już odległy - słowa zlewały się ze sobą na silnym wietrze.

Alice piekły oczy, gdy wiatr gnał ją ulicami i zaułkami do Grantchester. I może to wina nazbyt bujnej wyobraźni, ale kiedy zmierzała za rzekę, do domu Rosemary, wydawało jej się, że ten znajomy fetor wesołego miasteczka - woń dymu, potu, prażonych orzeszków, karmelu, oparów benzyny i zwierząt - z każdym krokiem przybiera na sile.

CZEŚĆ CZWARTA
BEATA VIRGINIA

1

Znalazła nam kryjówkę; w mieszkaniu, z którego korzystała, zanim poślubiła Roberta. Było całkiem spore, z dwiema sypialniami, łazienką, małą kuchnią i salonem, i nie przestała płacić za nie komornego, by mieć się gdzie zaszyć, kiedy nie chciała, by Robert ją widział.

Nie żeby biedak w ogóle o cokolwiek pytał; wychodząc, mówiła mu, że idzie do znajomych, nieomal rzucając mu wyzwanie, by spróbował tylko coś powiedzieć, ale on bez słowa przyjmował jej wyjaśnienia.

Rosemary zostawiła nas w mieszkaniu, jeden zapasowy klucz dała mnie, drugi Zachowi, a sama poszła do domu. Mieliśmy za sobą długą noc, zamierzała więc wziąć prysznic i położyć się spać. Co do mnie, nie mogłem zmrzyć oka. Przez jakąś godzinę próbowałem wyciągnąć cokolwiek z Elaine, ale tylko leżała skulona na sofie i płakała, z twarzą ukrytą w dłoniach. Porzuciwszy nadzieję, że czegokolwiek się od niej dowiem, dla zabicia czasu zagrałem sam ze sobą w szachy (lewa ręka przeciwko prawej), wysączyłem prawie całą butelkę wina, którą zostawił mi Zach, i usiłowałem cokolwiek zrozumieć z tego, co wydarzyło się tej nocy.

Może nawet wtedy tliła się we mnie nadzieja, że zdołam udowodnić samemu sobie, że wszystko da się logicznie wy-

tłumaczyć, Elaine nie zginęła, tylko straciła przytomność. Inspektor Turner nie wyczuł bicia jej serca, kiedy wsunął dłoń pod gruby płaszcz, który miała na sobie. Pewnie wydaje ci się dziwne, że nie chciałem uwierzyć, ja, człowiek, który widział na własne oczy tyle mrocznych cudów, że powinien już być na nie odporny. Cóż, kiedy nie byłem. Może nawet wtedy liczyłem na to, że przebudzę się z koszmaru. Udo-
wodnię wiecznie optymistycznemu niedowiarkowi we mnie, że wszystkie wydarzenia ostatnich kilku miesięcy można jakoś wyjaśnić. Na przykład tym, że oszalałem. Albo że byłem chory, może nieuleczalnie; może miałem raka mózgu, który wywoływał urojenia. Nie wiedzieć czemu, myśl o śmierci nie przerażała mnie tak, jak zapewne przerażałyby mnie kiedyś. To myśl o życiu, tak, o takim życiu, przyprawiała mnie o dreszcze.

Argumentem, który przekonał mnie, że to, co widziałem, wydarzyło się naprawdę, była prostota tego, co się stało. Gdybym musiał wymyślić, jak dokonuje się wskrzeszenie, wyobrażenia podsunęłyby mi coś skomplikowanego: rytuały, zaklęcia, magię, naukę, wszystko, tylko nie ponurą prostotę tego potwornego aktu. Gdybym miał coś do przeanalizowania, czułbym się pewniej; mogłem wierzyć w monstrum Frankensteinia z powieści Mary Shelley, ożywione z wykorzystaniem nauki, mogłem wierzyć w tajemne amulety, magiczne mikstury, w słowa posiadające moc i święte znaki, ale nie w to. Mój rozum buntował się przeciwko temu.

Straciwszy w końcu nadzieję na sen i spokój ducha, postanowiłem przejść się na krótki spacer, przekonany, że nocne powietrze ukoi moje wzburzone myśli. Nie zniechęciła mnie nawet świadomość, że masakra na komisariacie musiała już wyjść na jaw; stwierdziłem, że w zasadzie jest mi obojętne, czy mnie aresztują, czy nie. Wziąłem płaszcz i kapelusz, otworzyłem drzwi i zamknąłem je za sobą na klucz. Kiedy

zszedłem po schodach na ulicę, nie zobaczyłem nikogo; choć na horyzoncie snuła się nitka brzasku, pora wciąż była za wczesna, by po mieście włóczyli się przechodnie. Już miałem przejść na drugą stronę ulicy i skierować się ku rzece, kiedy rzucił mi się w oczy jakiś ruch, we wnęce z boku budynku, w której stały pojemniki na śmieci. Serce zabiło mi mocniej, ale powiedziałem sobie, że to na pewno tylko pies, węszący po śmieciach w poszukiwaniu ochłapów.

Znów ten sam ruch, jakby coś niespokojnie miotało się wśród pojemników, coś zbyt dużego, by było psem. Zrobiłem trzy kroki do przodu i mrugając oczami, zajrzałem w ciemność. Postać wsunęła się głębiej w cień, jakby chciała wtopić się w mur. To był mężczyzna.

- Hej tam - zawołałem. - Ktoś ty? Wyjź.

Nie odpowiedział, ale usłyszałem, że z jego ust dobył się cichy dźwięk, jakby niewyartykułowana prośba.

- Wychodź! - Owładnięty ciekawością, zrobiłem następny krok do przodu i zobaczyłem, jak mężczyzna błagalnie unosi brudne ręce.

- Zostaw mnie - wymówił niemal szeptem. Jego głos brzmiał jakoś znajomo. Zmrużyłem oczy i przyjrzałem mu się z nowym zainteresowaniem.

- Kim jesteś?

Zwrócił ku mnie twarz, bladą ponad wymiętym garniturem. Przez chwilę mrugałem oczami, nie mogąc sobie przypomnieć, skąd go znam, po czym cofnąłem się gwałtownie, choć w tym stanie nie mógł mi nic zrobić.

- Turner! - powiedziałem, a on się skulił. Jego lodowate opanowanie prysnęło na zawsze, twarz zmieniła się w bezkształtną masę, rozedrganą od tików i skurczy. Wyglądał, jakby był w głębokim szoku.

- Nic ci nie zrobię - zapewniłem i podałem mu rękę. Cofnął się z cichym okrzykiem, ale wszedłem za nim w głąb wnęki.

- Nic ci nie zrobię - powtórzyłem i z kieszeni płaszcza wyjąłem piersiówkę. Potrząsnąłem nią; była pełna mniej więcej w połowic.

- Masz, napij się - rozkazałem. - To whisky. - Brudna dłoń uderzyła moją własną, odtrącając piersiówkę na bok, ja jednak wcisnąłem mu szyjkę do ust. Trochę udało się wlać. Słyszałem, jak przełyka, głośno, jak pies, a potem dobiegł mnie jego szloch.

- Szedłem za tobą - powiedział, prawie niesłyszalnie. - Nie wiedziałem, gdzie indziej miałbym pójść. - Przez chwilę milczał, ja zaś wykorzystałem jego własną technikę przeciw niemu i czekałem, aż powie coś więcej.

- Co widziałeś? - spytałem w końcu.

- Byłem w ubikacji. Ktoś przyszedł. Higgins otworzył. To była dziewczyna. Wpuścił ją... O Boże!

- Widziałeś ją - powiedziałem. - Widziałeś Rosemary.

- Rosemary... nie myślałem, że...

- Co jeszcze widziałeś?

- Weszła - szepnąłem. - A za nią inni. Schowałem się... - Jęknął żałośnie.

- Co jeszcze widziałeś? - Miałem wyrzuty sumienia, że się nad nim znęcam, ale musiałem wiedzieć.

- Poszła do prosektorium... i usłyszałem, jak mówi: „Elaine”. Tylko tyle.

- To wszystko, co powiedziała? Jej imię? - Nie mogłem uwierzyć, że to było tak proste. Z drugiej strony, przecież w ten sam sposób Chrystus wskrzesił Łazarza. „Wyjdź”. Pewnych cudów nigdy nie powinno się czynić. - Turner. Posłuchaj mnie - powiedziałem. - Muszę z tobą porozmawiać.

Spojrzał na mnie wybałuszonymi oczami.

- Wiesz, nie wierzyłem ci - oświadczył. - Myślałem, że kłamiesz albo oszalałeś. Byłem tak pewny swego.

- Słuchaj - powtórzyłem. - Znam jedno takie miejsce. Bezpieczne miejsce. Zabiorę cię tam. Chcę z tobą porozmawiać. - Zniżyłem głos. - Potrzebuję twojej pomocy.

Zwrócił wzrok na mnie.

- Pomocy?

- Tak - przyznałem. - Tam, gdzie pójdziemy, będziesz bezpieczny. Możesz się tam przespać. - Zawahałem się. W tym stanie mógł nie być zdolny komukolwiek pomóc. Z drugiej strony, pomyślałem, jeśli zwariował, może jeszcze będzie z niego pożytek. Rozum był mi zbędny. Potrzebowałem szaleństwa.

- Pomożesz mi - zapewniłem. Objąłem go ramionami i dźwignąłem na nogi. - Zabijemy Rosemary.

Przez trzy dni pielęgnowałem Turnera w opuszczonym szeregowcu pod Grantchester. Początkowo był zszokowany i przerażony, ale z czasem zaczął dochodzić do siebie. Zawiązała się między nami swoista przyjaźń, przebywałem w jego towarzystwie najdłużej, jak mogłem, podczas gdy inni spali. Przynosiłem mu jedzenie, ubrania, wino. Ale przede wszystkim z nim rozmawiałem. Powiedziałem mu, co zamierzam zrobić, już nic dla własnej korzyści, lecz po to, by ocalić zachowaną we mnie resztkę człowieczeństwa. Chwile przytomności umysłu przeplatały się u niego z długimi okresami manii, w których nieodparcie przypominał mi mnie samego w tych pierwszych, mrocznych dniach głodu.

Kiedy dopadała mnie mała śmierć, wybierałem się na samodzielne łowy albo chodziłem do Elaine po resztki z nocnego polowania, ale już nigdy nie uczestniczyłem z pozostałymi w ich wypadach, choćby dlatego, że za bardzo bałem się policji, która wszczęła ogólnokrajowe dochodzenie w sprawie nazwanej „Tragedią na komisariacie w Cambridge”. Z Londynu ściągnięto setki dodatkowych policjantów i od dziesiątej

wieczorem po ulicach krążyły patrole legitymujące wszystkich przechodniów. Wprowadzono półoficjalną godzinę policyjną, choć Lamb z Yardu oznajmił, że zabójstwa prawdopodobnie były dziełem szaleńca. I tak oto, podczas gdy policja uganiała się po całym mieście, sprawdzając plotki i fałszywe tropy, Turner i ja rozmawialiśmy gorączkowo, jakbyśmy sami byli szaleńcami. Przedstawiłem mu swoje ustalenia i teorie, dzieliłem się z nim każdą myślą.

Wszystkie nasze rozmowy krążyły wokół Rosemary, tego, co w niej najbardziej urzekające i najgroźniejsze. Dzieliłem się nią z nim jak kochanką, dzieliłem się jej słodyczą i jej trucizną. W jego obecności wyzwałem się od niej, przyzywałem ją, zabijałem po tysiącokroć w swoich myślach i planach. Przez trzy dni planowaliśmy morderstwo, a potem zaatakowaliśmy.

Był ostatni dzień sierpnia.

2

Nie wiedziała, co zrobiłaby, gdyby kogoś zastała; ale nie natknęła się na nikogo. Dom był zabity deskami i opuszczony, jak wszystkie wokół, i nagle stano dla niej oczywiste, że istoty spotykają się właśnie tu.

Pierwszy raz widziała ten budynek w świetle dnia i zauważyła, że dach częściowo się zapadł, spod zerwanych płytek łupkowych wyłoniły się osmalone belki. Wszystkie okna, oprócz tych na ostatnim piętrze, były powybijane i na w pół osłonięte od deszczu deskami, ale w jednym z nich, pokazującym szklane kły, wciąż wisiał strzęp spalonej zasłony, łopoczący na wietrze jak czarna flaga. Ostrożnie podeszła bliżej, pod same drzwi. One także były zniszczone - drewno zbutwiało, zawiasy były do połowy powyrywane - i stały uchylone, jak drzwi z baśni. Pod popękana szybą po lewej stronie wciąż dawało się odczytać nazwiska dawnych lokatorów:

S .. PPER 1

..SHLEY 2

.. KIN 3

KEN... Y 4

Dom stał pusty od dziesiątków lat. Alice rozejrzała się, ale na ulicy nie było żywej duszy. Wzięła głęboki oddech, pchnęła drzwi i weszła w ciemność.

Wnętrze przesiąkło wilgocią, przez wypełniający je odór moczu i pleśni przebijał zapach cyrku. Nie tylko nocni wędrowcy mieli tu swoją kryjówkę: na parterze Alice znalazła ślady innych gości, papierki po słodyczach, cynfolię, plastikowe torby i puste tubki po kleju. W kącie leżało niedbale rzucone pudełko z zepsutymi zabawkami, pokryte grubą zasłoną kurzu. Mimo woli zaczęła się zastanawiać, jaki los spotkał tych małych intruzów, i przeszedł ją dreszcz.

W domu było tak cicho i pusto, że już zaczynała myśleć, że może się pomyliła i nocni wędrowcy znaleźli sobie inną kryjówkę; ale kiedy tylko pchnęła drzwi mieszkania 2 ASHLEY, stwierdziła, że instynkt jej nie zawiódł.

Jeden z kątów zajmował materac, na którym piętrzyła się sterta koców; był też stół i kilka krzeseł ustawionych pod osmaloną ścianą. Na przegniłych deskach podłogi walały się butelki po winie i rozrzucona talia kart. Na parapecie pudełko po butach zawierające strzykawki i cynfolię. Świecek w butelkach po winie. Przywiązana do kłamki biała szmata pokryta krwawymi hieroglifami.

Ta atmosfera i poczucie przeznaczenia prawie sparaliżowały Alice. Miała wrażenie, że w powietrzu, którym oddycha, są duchy, duchy niczym opary wdzierające się do jej umysłu, i wkrótce sama sobie wydała się nierzeczywista. Na chwilę straciła wycucie proporcji; była nieskończenie mała, a jednocześnie tak przeogromna, że aż bezsilna, zawieszona w próżni, a zarazem pędząca szybciej od światła. Była marionetką, podrygującą to tu, to tam, na skrzyżowanej nitce koloru wiśni, tańczącą, wirującą, usiłującą nabrać tchu...

Wywała się z paraliżu i pobiegła do okna. z trudem łapiąc powietrze. Duchy i złudzenia pierzchły. Zmusiła napięte nerwy, by się uspokoiły, przypomniała sobie, jak się oddycha, poskładała skorupy porozbijanych myśli.

Dość tchórzostwa, powiedziała sobie. Nie miała prawa liczyć na to, że uchyli się od tego zobowiązania, które wzięła na siebie. Kiedy uciekła przed Joem i nękana kłującą w boku kolką kluczyła zaułkami i sklepionymi przejściami, w którymś momencie niemal całkowicie zrzuciła z siebie paralizujące brzemie strachu. Jak to się stało, nie miała pojęcia; wiedziała tylko, że gdzieś między Cambridge a Grantchester postanowiła, że wyjdzie z tego z życiem i że bez względu na to, jak słabo była przygotowana do walki z Rosemary i jej przyjaciółmi, zrobi, co w jej mocy, by ich pokonać.

Z zadumy wyrwał ją jakiś dźwięk i obróciła się na pięcie, czując, jak sztywnieją jej korzonki włosów. Jednym ruchem wyjęła nóż i zwróciła się twarzą do drobnej, szarej postaci, która wyłoniła się z cienia.

- Wreszcie jesteś.

Z nożem w wyciągniętej ręce i szumem nasyconej adrenalina krwi w uszach, Alice poznała te przerzedzone siwe włosy, nieogoloną twarz, zaropiałe oczy i gruby, różowy szalik; to był kłozard, którego spotkała ostatniej nocy. Zawahała się, ale na wspomnienie Joego postanowiła na razie nie chować noża.

Starzec skinął głową, prawie niedostrzegalnie. Teraz wydawał się trzeźwy; może pora była za wczesna, żeby zdażył się porządnie zaprawić.

- Co tu robisz? - Miała suche wargi.

Starzec znów skinął głową.

- To samo, co ty - powiedział. - Mniej więcej. Tak sobie myślałem, że prędzej czy później się zjawisz. - Obrzucił krytycznym wzrokiem jej nóż, bladą twarz, oczy, w których spod strachu wyzierał upór. Bała się, stwierdził, ale miała w sobie też hardość, której sama nie była świadoma.

- Pamiętasz mnie?

Alice skinęła głową, wciąż nieufna.

Starzec uśmiechnął się. Nie był to miły uśmiech.

- Nie jestem tym, za kogo mnie uważasz - powiedział.
- To tylko taki mój podstęp, żeby ludzie zostawili mnie w spokoju.

Alice przyjrzała mu się zmrużonymi oczami, niepewna, czy nie pomyliła się w jego ocenie.

- Pamiętam cię z tamtej nocy. Miałaś w oczach coś takiego... jakbyś coś knuła.

Jego głos zmienił się subtelnie, wystrzył się, plecy jakby się wyprostowały, oczy były już mniej zaropiałe.

- Nie bardzo wiem, o czym pan mówi - powiedziała Alice.
- Pewnie, że wiesz. Wiem, co tamtej nocy widziałas w Grantchester, i wiem, że czytałaś książkę Daniela Holmesa. - Jakby na podkreślenie swoich słów, postąpił krok w jej stronę.

- Nie ruszaj się. - Utkwiła w nim oczy płonące zimnym blaskiem, czubek noża uniósł się lekko. - Skąd o tym wiedziałeś?

Potrząsnął głową z nieznacznym gestem irytacji.

- Odłóż to, dziewczyno, szkoda czasu.
- Nie ma mowy - powiedziała Alice. - Już raz dziś dałam się nabrać na tę sztuczkę. Jeśli chcesz porozmawiać...

Dłoń starca wysunęła się naprzód. Zanim Alice zdążyła odeprzeć atak, złapał ją za rękę trzymającą nóż i gwałtownie wykręcił. Jego palce wbiły się sztywno w grzbiet jej dłoni. Alice odruchowo szarpnęła się do tyłu i stwierdziła, że ostrze noża jest o centymetr od jej szyi, a druga dłoń starca mocnym chwytem unieruchomiła jej lewą rękę w łokciu i barku. Z bólu aż wspięła się na palce. Starzec przytrzymał ją jeszcze parę sekund, po czym zwolnił uścisk,

- Oddaję nóż - powiedział, podając go jej ostrzem do przodu. - Jak następnym razem będziesz musiała nim kogoś postraszyć, wykorzystaj go, żeby się osłaniać i trzymać przeciwnika na dystans. Nie dźgaj na oślep. - W jego

głosie brzmiało rozbawienie. - A teraz może go łaskawie schowasz?

Alice włożyła nóż do kieszeni, wciąż rozcierając bolący bark.

- Czego chcesz?

- Na jakiś czas lepiej się tu zaszyj. Na poddaszu znajdziesz mały pokoić, jest w nim trochę zapasów, ze dwa koce, czekolada, termos z herbatą i tak dalej. Bierz, co chcesz. Zaczekaj tam do zmroku. Mam tam też kilka kanistrów z benzyną, później się dowiesz, po co. Ty...

- Moment - powiedziała Alice, która jeszcze nie wyszła ze zdumienia. - Kim jesteś? Co tu w ogóle robisz, do licha?

- Równie dobrze mógłbym cię spytać o to samo - powiedział. - Obserwowałem cię.

- Czemu?

- Bo już najwyższy czas, żebyś zdała sobie sprawę, z czym masz do czynienia - odparł. - I pozwoliła staremu człowiekowi powiedzieć ci, co wie. - Spojrzała na niego, przez chwilę niepewna, czy rzeczywiście jest tak trzeźwy, jak się wydaje. Jego podkrążone oczy były jak potłuczone szkło, wyzierało z nich szaleństwo. Skinął głową.

- Bystra z ciebie dziewczyna. Wiesz, kim jestem.

I w tej chwili Alice doznała olśnienia.

- Inspektor Turner - powiedziała.

Uśmiechnął się, obnażając ułamany ząb.

- Dużo wody upłynęło od czasu, kiedy był ktoś taki - powiedział. - Inspektor umarł, kiedy zmartwychwstała ta dziewczyna. Przed sobą masz to, co z niego zostało. Teraz jestem Alec, dziewczyno droga, Alec i nic więcej. - Wzruszył ramionami. - W sumie nie jest mi z tym tak źle - dodał.

- Myślałam... - Głos Alice się załamał. - Myślałam, że może...

- Ze jestem tajniakiem, który przybywa na ratunek w ostatniej chwili? - Z jego gardła dobył się chrapliwy, rzęzący śmiech. - Nie. Był czas, że... - Zawiesił głos. - Ale to już przeszłość. Zabiła mnie, tak jak zabiła Daniela Holmesa. Po prostu trochę dłużej to trwało.

Usiadł na parapecie, odwrócony plecami do dogasającego zielonkawego światła.

- Wiesz, powiedział mi o tym pamiętniku - zaczął. - Zanim zgłosił się do Fulbourn. Powiedział, że zostawił go w murze kościoła. Uważał, że jeśli Rosemary kiedyś wróci, tam właśnie pójdzie. Chciał być skremowany, żeby nie mogła go wskrziesić. Ale zależało mu na tym, by pamiętnik był w bezpiecznym miejscu. Bo widzisz, znalazł rozwiązanie. W końcu mu się udało, co prawda za późno, by sam z tego skorzystał, ale dzięki niemu ktoś inny będzie mógł ją uśmiercić na dobre, na zawsze. To, co zrobiliśmy w tamtym mieszkaniu, on i ja...

- Tu urwał, po czym charknął i splunął. - Ale pomysł miał dobry. Można ją zabić i pochować na wieki, pod warunkiem że nie zostanie nikt, kto mógłby ją wskrziesić. To wszystko. Prosta sprawa, co? I kiedy tylko cię zobaczyłem, wiedziałem, że ty to zrobisz... widziałem to w twoich oczach. Ale teraz... - Znów urwał i zacisnął pięści w rękawiczkach bez palców. - Nie jesteś jeszcze gotowa, żeby się z nimi zmierzyć - powiedział. - Co, myślisz, że przyjdą jak jagnięta na rzeź? Widziałaś ich; ona przyprowadzi całą resztę, tych, których Holmes nazywał nocnymi wędrowcami. Jeszcze nie miałaś okazji zobaczyć ich w akcji. Ja przyszedłem z tobą; przyszedłem gotowy. A ty? Myślisz, że coś zdziałasz przeciwko nim wszystkim naraz?

- Jestem gotowa - oświadczyła Alice niezbyt pewnie. - Na tyle, na ile mogę.

- Z tym twoim scyzorykiem? Naprawdę myślisz, że go użyjesz?

- Myślałam...

- E tam, myślałaś. Masz ważniejsze rzeczy na głowie, niż dać się zabić. Musisz zrobić to, co staremu człowiekowi się nie udało; tylko ty możesz to załatwić jak należy. Zostaw mnie tam, w zaułku między domami. Zajmę się tymi, którzy przyjdą.

Zobaczył, że Alice zrobiła wielkie oczy.

- Myślisz, że nie dam sobie rady? Że jestem starym pijakiem z pustymi rękami? - Sięgnął do jednej z kieszeni i coś wyciągnął. - Widzisz to? - spytał i pokazał jej pistolet. Wydał się Alice stary, niemal zabytkowy, ale za to był wypolerowany, z drewnianą rękojeścią nasmarowaną pokostem jak ukochany kij do krykieta, a światło wsączające się przez wąskie okno muskało jego gładką, wyglansowaną powierzchnię chłodnym, szarym blaskiem.

- Zachowałem go przez te wszystkie złe lata - powiedział z dumą. - Kiedy wszystko poszło pod młotek i opuściła mnie żona, kiedy chcieli zrobić ze mnie szaleńca. Kiedy znów zacząłem pić. Cały czas miałem go ze sobą. Wiedziałem, że pewnego dnia może się przydać. - Machnął na nią pistoletem i uśmiechnął się swoim szczerbatym, na poły zdzieciniałym uśmiechem. - Idź - polecił. - Ja będę obserwował ulicę. Nikt nie podejrzewa pijaczka, ani w Cambridge, ani nigdzie indziej. Zobaczę ich, kiedy przyjdą. Powstrzymam ich. A ty zrób to, co konieczne. Będiesz wiedziała, co. - Kiedy Alice się zawahała, rzucił: - Szybko! Później będzie czas na rozmowy. Od lat wiedziałem, że tak to się skończy; rok za rokiem czekałem, czekałem i zastanawiałem się, czy dane mi będzie umrzeć w spokoju, zanim... ale to teraz nieważne. Liczy się, żebyśmy ty i ja zrobili, co konieczne. Tylko bądź ostrożna. Tym razem trzeba to załatwić jak należy. Nie może zostać nikt, kto mógłby ją przywołać z powrotem. Nikt.

Kiedy Alice była już na górze, w pokoiku, o którym powiedział jej Turner, wyjrzała przez okno i miała wrażenie, że widzi go, schowanego w cieniu, ciemna plamę na tle kamieni zaulka, wyobraziła sobie, jak pełni straż, gotów stawić czoło temu, co mogło nadejść.

Była tuż pod dachem, w pomieszczeniu, które kiedyś musiało służyć za strych, z małym, nieuszkodzonym oknem, dającym jej widok na większą część ulicy. Zrobiło się zimno, wzięła więc jeden z koców Turnera i opatuliła sobie nogi, bo połowa dachu otwierała się na szare wieczorne niebo. Znalazła termos z herbatą i kilka batonów czekoladowych. Najadła się, napiła, i od razu zrobiło jej się cieplej; o dzieśniętej zaczęła ją morzyć sen.

Nagle, kiedy już przysypiała, dostrzegła w dole jakiś ruch i cofnęła się instynktownie. Bardzo ostrożnie przysunęła się z powrotem do okna i wyjrzała przez zakurzoną szybę. Tam. Mignięcie w ciemności, jakby bladej twarzy ukradkiem podniesionej ku światłu. Ktoś obserwował dom.

Alice zrobiło się niedobrze, adrenalina uderzyła jej do głowy. Nie teraz, myślała gorączkowo; nie była gotowa. W pełni dotarło do niej, że jest sama w kryjówce nocnych wędrowców, bez niczyjej wiedzy, i do obrony ma tylko to, z czym przyszła. Jeśli zniknie, nikt się nie dowie, co ją spotkało.

Otrząsnęła się w duchu. Przynajmniej może liczyć na element zaskoczenia, stwierdziła. Będzie gotowa na ich przyjęcie, zanim w ogóle się zorientują, że tu jest. Danielowi się udało, i to w tym samym domu. Na pewno nie wiedzieli, że tu jest. Była bezpieczna.

Z drugiej strony, Ginny mogła liczyć na pomoc swoich przyjaciół, i na samą myśl o tym Alice zamieniła się w sopel lodu. Zmusiła się, by wyrzeć raz jeszcze. Tak, coś tam było, coś, co z trudem dostrzegała swoim badawczym, wyostrozonym paniką spojrzeniem. Coś, co obserwowała.

Sięgnęła po nóż, zważyła go w dłoni. Miała absurdalne wrażenie, że trzyma w ręku rekwizyt teatralny. Mimo wszystko jego ciężar dodał jej otuchy i mdłości jakby trochę zelżały. Zmusiła się do tego, by się ruszyć.

Niezwykle cicho, trzymając nóż przed sobą, ruszyła schodami w dół. Wyteżając oczy w ciemności, pokonywała centymetr po centymetrze, bezszelestnie stąpała po przegniłych deskach, z krwią dudniącą w gardle jak bęben basowy. Zmuszała się do tego, żeby oddychać, choć pokusa, żeby nasłuchiwać, wstrzymać dech, by nie uronić najłżejszego dźwięku, była nadzwyczaj silna. Raz... Dwa... Wdech... Wydech... Unikając niepewnych stopni, skupiała się na oddychaniu, na łaskocie krwi i zajmwszy tym myśli, zdołała zejść na sam dół. W domu nie było nikogo oprócz niej.

A zatem na zewnątrz, pomyślała Alice. Widziała tylko jedną postać, ale mogło ich być więcej. Czy powinna wyjść im na spotkanie? Wszystkie jej zmysły zaprotestowały krzykiem, ale Alice wiedziała, że zwlekając, tylko postawi tamtych w korzystniejszej sytuacji, kiedy nastąpi ostateczna konfrontacja. Gdyby tak zdołała się chyłkiem wyśliznąć... Może udałoby się ich zaskoczyć. No i był tam Turner, Turner ze swoim pistoletem. Myśl, że gdzieś tam czekał, ze starym służbowym rewolwerem starannie schowanym pod wełnianym różowym szalikiem, po części podniosła ją na duchu, a po części wzbudziła w niej coś w rodzaju hysterii; cóż mogli zdziałać, on i Alice, przeciwko Rosemary i jej przyjacielom? Pijany, na wpół oszalały starzec i zbzikowana malarka, która sama nie była pewna, czy nie zwariowała?

Usiłowała trzymać się myśli o Turnerze przyczajonym w mroku i zapomnieć o tym, jak bardzo był stary i kruchy, skupiała się na oddychaniu. Nóż wydawał jej się śliski w dotyku, ale kiedy wreszcie wyszła na zaułek, w jej głowie nagle zapanował chłód.

Zaułek, szerokości może pół metra, biegł wzdłuż bocznej ściany. Być może pierwotnie służył jako przejście na tyły szeregu domów albo miejsce, gdzie trzymano pojemniki na śmieci, ale teraz częściowo blokowały go stare puszki, osmalone kawałki drewna i inne rupiecie. Alice, potykając się, brnęła w stronę jego wylotu, kiedy nagle coś chrupnęło pod jej nogą. Zamarła. Przywarła plecami do brudnej ściany i rozejrzała się, opisując spojrzeniem szeroki łuk, z nożem w sztywno wyciągniętej ręce.

Nigdzie żywej duszy.

Przysunęła się bliżej wylotu zaułka, częściowo zasłoniętego przez zaparkowany samochód, rzuciła sobie samej wyzwanie, by wyjrzeć za róg... przygotowała się na widok tamtych, nocnych wędrowców, czekających na nią, ale nie zobaczyła nic. Co teraz?

Jeszcze raz rozejrzała się ostrożnie, przecinając nożem powietrze.

- Cicho! - syknął Turner. - Chcesz, żeby cię usłyszeli? Na ziemię! - Oboje dali nura za samochód.

- Widziałam kogoś - szepnęła Alice.

Turner skinął głową.

- Zostań tu i bądź cicho. Uważaj, żeby cię nie zobaczyli. Ja sobie poradzę. - To powiedziawszy, zrobił w tył zwrot, wrócił do wylotu zaułka i wszedł w światło latarni. Alice policzyla do dziesięciu, schowała się za samochodem i ostrożnie wyjrzała na ulicę spod przerdzewiałego podwozia. Jej pole widzenia było ograniczone i z początku nic nie zauważyła, ale mimo to wiedziała, że na pewno już tam są. Czuła ich, w podszwach swoich stóp, w ziemi pod swoimi dłońmi, w zapachu starych śmieci i zgnilizny. Wiedziała, że tam są.

O dziwo, na ich widok nawet nie doznała szoku. Był tylko zryw serca i ten szum w uszach, który zawsze towarzyszył skokowi adrenaliny. Jakiś nieoczekiwany wewnętrzny głos

zaśmiał się i mruknął *-zamykamy, panowie* - po czym kontrolę znów przejęła Alice, opanowana, praktyczna Alice, którą spotkała w wesołym miasteczku. Nie czas na panikę, pomyślała, na to jest już o wiele za późno - i chyba całą minutę patrzyła pod samochodem na nadchodzących nocnych wędrowców.

Byli wszyscy oprócz Ginny. No tak, ona na pewno zatrzymała się u Joego; z tego mieszkania korzystali tylko jej słudzy. Alice poznała Rafe'a po jego rudych włosach, Javę po wzroście i cichych dźwiękach, z jakimi jego buty do jazdy motocyklem uderzały w chodnik. Wszystkie odgłosy zdawały się magicznie wzmocnione wśród nocnej ciszy i Alice wyężdżając słuch, miała wrażenie, że słyszy kroki każdego z nich z osobna. Obserwując dalej, zobaczyła Elaine trzymającą się z tyłu, w ciemności, z Antonem u boku. Wędrowcy podeszli bliżej, światło latarni, niby matczyne łono, otulało ich twarze i sylwetki przyćmionym blaskiem. Java rozejrzał się leniwie i Alice drgnęła, przekonana, że ją dostrzegł.

Nagle zauważyła, że raptownie zatrzymał wzrok, jakby coś zobaczył. Turner? Usłyszała kroki starca na ulicy, teraz już wyraźne, i wsunęła się kilka centymetrów głębiej pod samochód, żeby popatrzeć. Ośmieliła się tylko na ukradkowy rzut oka zza jednej z grubych, cuchnących gumą opon, ale w jej pamięci zapisał się obraz grupy postaci skupionych wokół latarni, może metr od domu, zajętych rozmową.

Turner podszedł do nich chwiejnym krokiem pijaka, mamrocząc coś pod nosem, jakby mówił do siebie. Potem powiedział już wyraźniej, swoim „ulicznym” głosem:

- Hej! Poratujcie paroma pensami na herbatę, co?

Alice usłyszała reakcję nocnych wędrowców, usłyszała, jak odwracają się, żeby zobaczyć, kto to. Rozpoznała głos Javy.

- Dziadku - powiedział cicho. - Odejdź czym prędzej.

- No co? - poskarżył się Turner. - Starczy miedziak, na herbatę. Dziesięć pensów. Zbawi was dziesięć pensów?
- Słuchaj no. - Głos nabrał ostrzejszego tonu. - Zejdź nam z drogi.

Alice domyśliła się, że Turner jest już blisko, może na wyciągnięcie ręki. Słyszała, jak marudzi bełkotliwie.

- Ostrzegam... - zaczął Java, który teraz był poza jej polem widzenia. Nastąpiła szamotanina, jakby ktoś się z kimś przepychał. Nogi zaszurały po kamiennych płytach. Padł strzał. Ktoś krzyknął. Turner strzelił znowu. Następne dźwięki, szuranie, potem tupot biegnących nóg, dwa kolejne strzały jeden zaraz po drugim. Krzyki. Łoskot, brzęk tłuczonego szkła. Alice odczekała parę sekund, po czym nie bacząc na niebezpieczeństwo, wypadła z zaułka na ulicę, z nożem w rękę. W przyćmionym pomarańczowym świetle niewiele widziała, ale w pamięci zapisał jej się obraz Turnera skulonego przy zaparkowanym samochodzie, wypuszczającego pistolet z rąk. Rafe osuwał się po bocznych drzwiach auta i usiłował ustać na nogach, jego dłonie zostawiały na szybie rozmazane pentagramy. Z lewej strony dobiegł jakiś dźwięk i Alice cięła z okrzykiem, niemal na oślep. Poczowała, że ostrze przecina materiał. Skoczyła ku postaci, którą drasnęła, i na skraju kręgu światła mignęli jej Anton i Zach, wycofujący się na ugiętych nogach w cień. Na chwilę ogarnęła ją euforia. Widziała w ich oczach swoje odbicie, jak w kocich ślepiach; Anton syknął, obnażając zęby, i obaj zniknęli. Usłyszała brzęk metalu po drugiej stronie ulicy. Java był prawie niewidzialny pośród nocy, ale czuła na sobie jego oczy i zanim uciekł, dostrzegła błysk sprzączek i łańcuchów.

Cisza.

Alice znosiła tę ciszę przez może minutę. Wokół stały same puste rudery, nie było nikogo, kto wyszedłby zobaczyć, co się dzieje. Oszołomiona i wyczerpana przypiływem adrenaliny,

zmusiła się, by pomyśleć, ocenić sytuację i pozbierać do kupy oderwane fragmenty wydarzeń sprzed chwili. Świat wirował jej przed oczami jak na pokazie latarni magicznej.

Przypomniała sobie o Turnerze. Zawołała go.

- Tutaj. - Szept był prawie niesłyszalny, dochodził z cienia obok samochodu. Alice rzuciła się w tamtą stronę.

- Turner? - Jego twarz przez moment była błądą, rozmazaną plamą w ostrym świetle latarni, po czym Alice zobaczyła krew na jego szaliku, na policzku. Podniósł ręce do jej twarzy.

- Dwóch trafiłem, skubańców - wydyszał. - Tę kobietę. I blondyna. Ten dryblas też chyba dostał. Reszta uciekła. - Oddychał z okropnym charkotem, dobywającym się z rozciętego gardła, z którego wypływała bulgocząca krew.

- Nie martw się - powiedziała. - Wezwę policję. Zawieziemy cię do szpitala. Trzymaj się. Daj, obwiąż szalikiem...

Przerwał jej gestem.

- Nie ma czasu. - Sięgnął po pistolet, który przy upadku wysunął mu się z ręki i teraz leżał obok niego na drodze. - Masz. Weź to, zanim tamci wrócą. Szybko.

Alice rozejrzała się; mimo wszystko wciąż miała poczucie, że odnieśli zwycięstwo.

- Coś mi mówi, że na razie nie wrócą.

- Szybko!

Ale Alice już chwyciła go pod pachami i zaciągnęła na zaulek.

- Wszystko będzie dobrze - obiecała. - Tylko wytrzymaj.

W panującym wewnątrz półmroku Alice zdołała zapalić świeczkę, zabraną z mieszkania na górze, i w jej świetle obejrzała ranę Turnera. Był przytomny, ale stracił dużo krwi; dygotał z zimna, miał przekrwione oczy. Rozcięcie nie było

tak głębokie, jak się z początku wydawało, nóż (jeśli to był nóż) nie drasnął krtani ani tętnicy.

Alice знаła tylko podstawy pierwszej pomocy, więc mogła jedynie spróbować zatamować krwawienie i przykryć starca kocami, żeby go rozgrzać. Wydawało się, że najcieplej mu będzie w kuchni; mógł się tam położyć na starym materacu i szczelnie opatulić, a że okna były zabite deskami, zmarznąć nie powinien. Pomogła mu przejść do małego pomieszczenia i ułożyła go wygodnie. Zrobiwszy to, wróciła na ulicę po jego pistolet, po czym ostrożnie ukryła ciała w zaułku. Błada, prawie piękną Elaine, z przestrzeloną głową; Rafe'a z trzema czy czterema kulami w piersi, z rozłożonymi chudymi ramionami i rozbryzgiem krwi przecinającym anielską, dziecięcą twarz. Musieli umrzeć niemal od razu.

Kiedy wróciła do środka, z ich krwią na rękach i twarzy, zaczęła analizować sytuację. Nie wyglądało to dobrze. Elaine i Rafe zginęli, ale zostali jeszcze Java, Zach, Anton i, oczywiście, Rosemary. Następnym razem będą czujni, niebezpieczni i żądni zemsty, Turner wciąż krwawił - kto wie, czy się nie wykrwawi na śmierć, a ona nie mogła wezwać pomocy - no i straciła element zaskoczenia.

Zrobiła, co mogła; przyniosła z kryjówki Turnera termos z resztą herbaty i czekoladę, wyjęła pistolet z jego drżącej dłoni i poszła do zdewastowanego holu budynku, by tam czekać. Jedyna pociecha w tym, pomyślała z gorzką ironią, że na pewno nie będzie czekać długo.

2

Ginny wydawała się na wpół uśpiona, głowę miała wtuloną w zgięcie jego łokcia. Migotliwy blask lampy padał na jej twarz i rozświetlał włosy jak fajerwerki. Linia jej szczęki była biała, bez skazy, włoski na karku nadawały bladej skórze złocisty odcień. Miała na sobie sweter Joego, ciemnoczerwony, w kolorze, który nie powinien być dla niej odpowiedni, a jakoś był, podkreślał bowiem jej kruchość, jasność jej dziecięcej cery. Poruszył się ostrożnie, nie chcąc jej przeszkadzać, ale ona otworzyła oczy i uśmiechnęła się do niego.

- Już prawie czas? - spytała.

Joe skinął głową.

- Prawie. Napijesz się czegoś? Czekolady? Może coś przekąsisz?

- Nie jestem głodna - powiedziała.

- Chcesz posłuchać radia? Mam ochotę na coś... rytmicznego. - Jego dłonie poruszały się nerwowo, wybijając na poręczy fotela sobie tylko znany, szybki, skomplikowany takt. Ginny skinęła głową i Joe przełączył radio na FM.

- Lubię tę piosenkę - powiedziała Ginny i zanuciła do wótru czystym głosem: - ...Na na na... Love Street... da-da-da-da. Love Street... - Miała zamknięte oczy i kiwała głową w rytm muzyki, całkowicie nią zaabsorbowana.

Joe się uśmiechnął.

- Dziwię się, że w ogóle ją znasz - zauważył. - Pewnie jeszcze cię na świecie nie było, kiedy ją nagrali. Tylko taki stary pierdziel jak ja może pamiętać tak zamierzchłe czasy.

- Aż tak młoda nie jestem.

Joe próbował się uśmiechnąć, ale bolała go głowa.

- Joe, co się dzieje?

- Głowa mnie boli. Bez obaw, to przejdzie. Wziąłem aspirynę. - Przez chwilę jakby coś mu się przypomniało... coś w związku z Alice. Czy znów go poniosło? Czy ona...? Potrząsnął głową. Nie pamiętał. Nagle ból przybrał na sile. Joemu zakręciło się w głowie, świat rozpadł się przed oczami na tysiące tańczących, wirujących świetlnych punkcików.

- Joe? Wszystko w porządku? - Zamiast głosu Ginny słyszał tylko zniekształcone sylaby. Jego własny wydawał się nieskończenie odległy, niesiony wiatrem pośród białego szumu.

- Masz. Weź to - powiedziała i wcisnęła mu do ręki tabletkę.

- Co to?

- Zaufaj mi. Poczujesz się lepiej.

Joe połknął tabletkę bez popijania. Miała gorzkawy smak, ale zawroty głowy niemal od razu minęły i świat znów nabrał ostrości.

Odetchnął głęboko.

- W porządku?

Joe skinął głową.

- Chyba tak.

Wziął następny głęboki oddech i poczuł gwałtowny przypływ dobrego samopoczucia i pewności siebie. Tak, już wszystko było z nim w porządku. Rozpierany energią, wstał, podniósł Ginny z podłogi i uściskał.

- No, pani doktor, przeszło jak ręką odjął. Jak to dobrze,

ze tu byłaś. - Uśmiechnął się znowu. - Dzięki za już i proszę o jeszcze; czuję się świetnie! - Wtedy twarz mu się wyciągnęła i jakby się postarzała, oczy zwięzły się w szparki. - Pewnie to wszystko przez tę awanturę z Alice - uznał. - Przedtem czułem się dobrze. Ona... - Urwał i jego palce znów zaczęły stukać w poręcz fotela. - Tak mnie wkurzyła tym swoim gadaniem o tobie, że kompletnie puściły mi nerwy. Powiniennem być... - *(ją wykończyć)* - ...spróbować przemówić jej do rozsądku, ale zanim to do mnie dotarło, ona już uciekła. - Zamrugał i przetarł oczy; przez chwilę miał wrażenie, że chyba jednak nie czuje się tak dobrze, jak mu się zdawało. - Gin, trzeba jej pomóc - ciągnął - bo sądząc z tego, co mi mówiła, twoi dawni znajomi już ją omotali. Kupiła ich bajeczkę bez zastrzeżeń. Bóg raczy wiedzieć, co jeszcze jej wcisnęli.

GINNY skinęła głową.

- Wiem - powiedziała. - Można się tylko domyślać, jaką mają nad nią władzę, skoro jest z nimi w tym domu; musisz ją stamtąd wyciągnąć, siłą, jeśli to konieczne. Pomów z nią później, jak już będzie wolna. Zabierz ją stamtąd, im wcześniej, tym lepiej.

Joe zmarszczył brwi, podczas gdy w jego głowie jakieś niejasne wspomnienie uganiało się za własnym ogonem, tuż poza zasięgiem świadomości.

...nie pamiętam. Alice, czy chciałem zrobić ci krzywdę?...

...ciii, nie przejmuj się...

.. .ale czy chciałem czy zrobiłem? ...

- Nie chcę skrzywdzić Alice - powiedział w zadumie. - Może powinniśmy po prostu wezwać policję. Wtedy...

Głos Ginny nagle stał się ostry.

- Wtedy co? Myślisz, że podziękuję ci za to, że wplątałeś ją w taką historię? Mówiłam ci, ci ludzie żyją z handlu

narkotykami i drobnych przestępstw. Myślisz, że policja uwierzy, że Alice nie ma z tym nic wspólnego? Najpierw musisz ją stamtąd zabrać, w przeciwnym razie równie dobrze sam możesz donieść policji, że jest dilerką.

Joe westchnął.

- Może i masz rację, Gin - przyznał znużonym głosem.
- O tej porze pewnie już śpią, więc powinno być łatwiej ją wykraść; ale co będzie, jeśli nie zechce ze mną pójść? Nie mogę ot tak... - Niepewnie zawiesił głos i spojrzał na Ginny, szukając wsparcia. Na chwilę rozmyła mu się przed oczami, jej jaskrawe włosy zmieniły się w snop iskier. Wszystko przesłoniła mgła, pośród której majaczył powidok jej włosów, wypalony na siatkówkach jego oczu jak neon. Joe potrząsał głową, żeby oprzytomnieć, i usłyszał swój głos, dochodzący jakby z daleka, stłumiony, głuchy.

- Naprawdę nie czuję się najlepiej - westchnął. - Może powinienem pójść do lekarza. Chyba w tym stanie nie dam rady...

- Zaufaj mi.

Uśmiechnęła się do niego.

- Musimy znaleźć Alice, pamiętasz? Pójdzie jak z płatką, obiecuję. - Ze swojej torebki na ramię wyciągnęła małą saszetkę, rozpięła ją i pokazała Joemu, co jest w środku. Strzykawka i cztery ampułki z czymś słomkowego koloru.

Zauważyła, jaką zrobił minę, i ścisnęła jego dłoń, żeby dodać mu otuchy.

- Bez obaw - powiedziała. - Dali mi je w szpitalu, kiedy wychodziłam. To zwykłe środki uspokajające. I to w małych dawkach. Po jednej będzie śpiąca i podatna na sugestie. Dwie powinny ją uspić.

- Nie sądzę... - zaczął Joe, ale znów mu przerwała.

- To tylko na wszelki wypadek. Nie zaszkodzą jej, dają ci słowo. A bez nich mogłaby stawiać ci opór, nie chceć

nigdzie z tobą pójść. Pomyśl: wystarczy, że raz krzykniesz, a przyleci cała reszta. Jeśli nie chcesz mieć przeciwko sobie ich wszystkich naraz...

Joe chwilę milczał.

- Dobrze - zgodził się. - Ale to tylko ostatnia deska ratunku. Jeśli nic innego nie poskutkuje.

Ginny uśmiechnęła się do niego. Jej oczy były czyste, niewinne. Starannie zasunęła zamek saszetki i podała mu ją.

- Masz, Joe - powiedziała. - Weź to.

1

W mieszkaniu byli wszyscy: Rafe, Java, Anton, Zach, Elaine, brakowało tylko Rosemary. Powiedziałem im, że chcę zapolować samodzielnie, że nie mają co na mnie czekać. Nie kwestionowali mojej decyzji; zdążyli się już przyzwyczaić do mojego samotniczego trybu życia, a Elaine, jedyna, która mogłaby okazać zainteresowanie lub podejrzliwość, nie odzywała się od czasu, kiedy Rosemary ją wskrzesiła, siedziała tylko z suchymi oczami w swoim kącie, kołysząc się jak przerażone dziecko. Było tuż po północy. Od dziesiątej czailiśmy się z Turnerem w zaułku i prowadziliśmy obserwację, by się upewnić, że wszystko przebiega zgodnie z planem. Rosemary zjawiła się o jedenastej i zaraz poszła, przechodząc tak blisko mnie, że złowiłem w nieruchomym powietrzu nutę jej zapachu i aż się zachwiałem, odurzony. Ustałem jednak na nogach, ręka Turnera zaś zdrząła pod moją i wiedziałem, że on też coś poczuł.

Był tej nocy pełen zapachu, wrzały w nim emocje zrodzone, jak wiedziałem, nie tylko z wina, które wypiliśmy do spótki, żeby dodać sobie odwagi. Po raz pierwszy i ostatni nie byliśmy sami. Tej nocy byłem szczęśliwy.

O północy zakradliśmy się schodami do mieszkania. Ja byłem spokojny, Turner drżał z podniecenia. Otworzy-

łem drzwi moim kluczem i wszedłem do środka. Zastałem ich, tak, jak tego oczekiwałem, w sypialni, gdzie pili wino. Po wieczornych łowach byli senni i nasyceni, niczego nie podejrzewali. Elaine leżała na łóżku, jej włosy rozpościerały się na poduszce niczym włosy syreny.

Cyk... cyk... cyk...

Zmusiłem się, by mówić normalnie, choć w ustach zaschło mi jak od nadmiaru soli, a nerwy miałem napięte jak druty.

- Przepraszam, że tak długo mnie nie było - powiedziałem. - Zostawiliście mi trochę wina?

Zach podał mi butelkę za szyjkę, uśmiechając się sennie. Wydał mi się wówczas bardzo młody i zupełnie obcy. Jego uroda była dla mnie wręcz nie do zniesienia; świadomość, że go zabiję, wysublimowała ją w moich oczach.

- Pójdę po kieliszek - powiedziałem i wyszedłem do kuchni.

W kuchni znalazłem kieliszek i postawiłem go obok zlewu. Następnie odłączyłem kuchenkę od rury w ścianie i puściłem gaz do oporu. Wyjąłem z kieszeni mały klucz francuski i zdjąłem zawór, by nie można go było zakręcić. Potem puściłem wodę do zlewu i zostawiłem odkręcony kran, żeby z zewnątrz wydawało się, że ktoś jest w kuchni. Nie mogę nawet powiedzieć, żeby sprawiło mi to szczególny kłopot; ćwiczyliśmy to dzień w dzień. Z zimnymi myślami brzęczącymi w głowie, zmusiłem się, by sprawdzić, czy okno jest zamknięte. Po cichu wyszedłem z mieszkania i przekręciłem klucz w zamku, po czym zatkałem dziurkę, by nie dało się otworzyć drzwi. Nasłuchiwaliśmy ze wstrzymanym tchem, ale dolatywały nas tylko stłumione głosy z sypialni, gdzie, jak wiedziałem, wszyscy czekali, pili wino i zastanawiali się mgliście, czemu tak długo mnie nie ma. Wyjąłem z kieszeni dużą rolkę taśmy maskującej, takiej, jakiej używa się do izolacji rur, i zabrałem się do oklejania drzwi. Starannie,

specjalnym nożem odcinałem kolejne kawałki, z pietyzmem przykrawałem krawędzie. Okleiłem framugę dwa razy, żeby mieć pewność, że do środka nie dostanie się nawet odrobina powietrza. Teraz pozostawało tylko czekać.

To był punkt krytyczny: jakieś pięć minut, zanim gaz zacznie wnikać we wszystkie zakamarki mieszkania. Gdyby ktoś wszedł za mną do kuchni i usłyszał syk gazu... Nasłuchiwaliśmy, Turner drżał w milczeniu, z oczami okrągłymi jak ślepia sowy. Nikt nie wychodził. Głosy w głębi wydawały się apatyczne, obojętne; ot, spotkanie dziewiętnastowiecznych poetów dyskutujących o sztuce.

Wstrzymałem oddech i czekałem.

Słyszałem cykanie zegarka w mojej kieszeni, wzmocnione jak dźwięk słyszany pod wodą, każda upływająca sekunda była kolejnym krokiem przybliżającym moje ocalenie.

Cyk... cyk... cyk...

1/2

Kiedy światło latarki prześliznęło się po jej twarzy, Alice drgnęła i otworzyła oczy. Była niemal sparaliżowana, po części z zimna, po części wskutek przykurczonej pozycji, w jakiej ostatecznie zapadła w sen, i przewróciła się na drugi bok, usiłując rozruszać przemarznięte kończyny.

Joe złapał się na tym, że ni z tego, ni z owego pomyślał mgliście - *oczy kota masz oczy kota* - o wesołym miasteczku, o tym, jak prowadził za rękę młodszą Alice, z neonowymi gwiazdami w oczach.

Zesztywniała na widok Joego i zerwała się do pozycji siedzącej.

- Co tu robisz? - W jej głosie, wciąż rozespianym, brzmiała nieufność; Joe miał wrażenie, że wie, dlaczego. Jego spojrzenie powędrowało w kąty pokoju, zauważając zakrwawione koce, brud, cynfolię i używane strzykawki na zapleśniałych deskach podłogi. Tak, miał wrażenie, że rozumie.

- Nie bój się, Alice - powiedział, zmuszając się do zachowania łagodnego tonu.

Alice prychnęła ostrym, ironicznym śmiechem. Ona też rzuciła okiem po pokoju, ale jej uwagę zwróciło co innego: sylwetka Ginny, biernie, nieruchomo stojącej w drzwiach.

- To zdarza się nie pierwszy raz, Joe - powiedziała do niego,

nie odrywając jednak oczu od dziewczyny. - Te jej opowieści o ciężkich przejściach, o zagubionej dziewczynce. To dla niej tylko przykrywka, dzięki której nawet jeśli ona sama wpadnie, cenę za to zapłaci jakiś biedny frajer. Dziafa tak praktycznie od zawsze. Zeruje na ludziach, wysysa z nich miłość i życie, z niektórych robi ofiary, z innych potwory. Nie widzisz tego, Joe? Spójrz na nią. Ma to wypisane na twarzy. To twarz kogoś, kto niszczy. Jeśli mi nie wierzysz, w zaułku na zewnątrz są dwa ciała, a za drzwiami leży człowiek, który być może już nie żyje. - Ostrożnie przenosiła swój ciężar na stopy, sprężając się do skoku. Jej dłoń drżała na rękojści pistoletu.

Zapała cisza, zimna i pusta jak kosmos.

Wreszcie Joe zrobił krok do przodu.

Jego twarz była nieprzenikniona. Trzymał ręce w kieszeniach, co z jakiegoś powodu wyglądało groźnie.

- Alice - powiedział. - Jesteś chora. Nie wiem, jakich bredni ci tu nawciskali, nie wiem, co brałaś, ale jesteś chora i to widać. Chcę, żebyś wróciła ze mną do domu. Chcę, żebyś poszła do lekarza. Poddała się terapii.

Zrobił następny krok i nagle coś pojawiło się w jego dłoni - igła?, pomyślała Alice i cofnęła się.

- Co tam masz? - rzuciła ostrym tonem. - Kto ci dał tę strzykawkę?

- To tylko coś, po czym poczujesz się lepiej - zapewnił.

- Nie zrobiłbym ci krzywdy, przecież wiesz.

Mówił irytująco spokojnym głosem, jak do dzikiego zwierzęcia.

Alice nic spuszczała z niego oka. Ruchem podbródka wskazała Ginny.

- Ona ci to dała?

- Nie pozwolę, żebyś ją oskarżała...

- A ty jej wierzysz - powiedziała Alice, cofając się w stro-

nę drzwi i jednocześnie delikatnie wyjmując stary pistolet policyjny. - Tak, jest prawdziwy - rzuciła i stłumiła absurdalną pokusę, by wybuchnąć śmiechem. Nie odrywając oczu od Joego i dziewczyny, nacisnęła klamkę. Coraz trudniej jej było powstrzymać się od śmiechu, myślała, że zaraz pęknie. Ta sytuacja była tak komiczna, ona z tym zabytkowym pistoletem, Joe z tą miną, wybałuszonymi oczami... wbrew sobie, wyszczerzyła zęby w uśmiechu, ale nawet histeria była przyjemna.

Nagle zastygła w bezruchu. Śmiech zamarł jej na ustach. W zaułku rozbrzmiały kroki.

Alice cofnęła się od drzwi i zaczęła majstrować przy pistolecie, usiłując dojść, jak się z niego strzela. Gdzieś musi być jakiś bezpiecznik... cholera, nawet nie wiedziała, czy jest naładowany.

Wciąż jeszcze się z nim szarpała, kiedy drzwi rozwarły się na oścież i weszli nocni wędrowcy.

Alice zdobyła się na to, by spojrzeć na nich zimno, i poczuła dziką radość, kiedy przypomniała sobie, dlaczego nie ma z nimi Rafe'a i Elaine.

- Joe - powiedziała. - Uważaj.

Java zerknął na nią i odwrócił się do Ginny.

- Dwoje naszych nie żyje - poinformował. - Stary ich zastrzelił. - Znów skierował wzrok na Alice. - Poderżnąłem mu gardło, staremu durniowi - dodał. - Więcej nie będzie nas niepokoił.

Wycofując się w ciemności, Alice poczuła, że Joe się wzdrygnął. Wyjście blokowały trzy sylwetki; za plecami miała drzwi, przy których rysowała się drobna postać Ginny, i to właśnie ku nim ruszyła, ostrożnie stąpając po porzrzucanych wszędzie odłamkach szkła, puszkach i śmieciach. Po drodze musiała przejść obok Joego, tak blisko, że prawie się o niego otarła, i pamiętając o tym, jak napadł na nią w jej

domu i że wciąż ma w ręku strzykawkę, która z pewnością nie zawiera Lucozade, ominęła go ostrożnie, z nieufnością. Joe jednak stracił cały rezon; czuła jego zmieszanie, kiedy przesuwała się obok niego w półmroku. Upuścił latarkę, której światło padało wąskim łukiem na drzwi, wydobywając z mroku buty Javy i rzucając na sufit gigantyczne cienie nocnych wędrowców.

- Alice? - spytał podniesionym, drżącym głosem. - O jakim starym on mówi? Alice! - Postąpił krok naprzód i omal nie przewrócił się na czymś śliskim. - Cholera! Co jest grane, do licha? - krzyknął, na chwilę zmieniając się na powrót w starego Joego.

Ale nikt nie zwracał na niego uwagi. Podczas gdy on mówił, Alice rzuciła się do drzwi, precyzyjnie się obok Ginny i zniknęła w korytarzu. Java i Zach ruszyli za nią, ale niezbyt szybko. Śmieci chrzęściły im pod nogami.

- Daleko nie zajdzie - powiedział Java. - Anton, pilnuj drzwi. Zach, ze mną.

Głos Joego, słaby i cienki:

- Alice?

Był tylko ciemny tunel, głęboki na sześcian, a w nim Alice, która przedzierała się przez mrok do schodów. W przypływie panicznego strachu uciekła na górę. Przez chwilę prawie mogła uwierzyć, że frunie pod wiatr, niczym szalona czarownica z włosami opadającymi na oczy i magią w czubkach palców, które jednym gestem mogły ujarzmić wichurę.

- Co to było, do cholery?

Nagle jakby dostała obuchem i jej ruchy znów stały się nerwowe, spanikowane. Co jej do głowy strzeliło? Miała wrażenie, że pamięta, jakby z niejasnej, wymykającej się wizji, uczucie...

Przeznaczenia.

Zachwytu.

Przestrzeni, szybkości.

To było uczucie, jakby nagle stała się czymś więcej niż sobą, czymś tak potężnym, że na chwilę zapomniała o strachu. Skręciła za róg klatki schodowej, trzymając pistolet śliskimi dłońmi, pchnęła drzwi za swoimi plecami i weszła tyłem w mrok. Nie miała żadnej mocy; liczyć mogła tylko na swoją inteligencję i pistolet. Te uczucia były tylko złudzeniami, mającymi ją zmylić. Nagle pokój wydał jej się dużo większy, niż się spodziewała; rozróżniła w mroku nienaruszone okno, oświetlony kwadrat szyby między rozsuniętymi zasłonami, odbłaski światła księżycowego na stole, świecznik, talię kart rozrzuconą w plamie światła. Zamknęła drzwi. Słyszała kroki na schodach, tupot butów w wydrażone drewno, odległe, brzękliwe głosy jak ze ścieżki dźwiękowej starego filmu. Urywek muzyki, na wpół wyobrażony pośród szumu czarnego wiatru, zwariowane dźwięki karuzeli. Jeden obrót - niebo w tle; następny - niebo za fasadą błękitu.

Kroki na podeście; Alice podnosi pistolet. Smuga światła pod drzwiami, przecięta cieniami czyichś nóg.

Cyk...

cyk...

„Gaz! Gaz się ulatnia!”

Głos Turnera był wystarczająco stanowczy, nawet po tym, co się stało, by wyrwać nielicznych innych lokatorów z łóżek; reszty dokonał zapach gazu i w kilka minut opróżniliśmy budynek. Turner dopilnował, by nie dołączyli do nas żadni niedoszli bohaterowie, a ja wziąłem kanister z benzyną i rozlałem ją po całym drugim piętrze. Nie ryzykowałem; te zwęglone ciała nie miały zostać wskrzeszone. W pokoju panowała cisza; zza drzwi dolatywał tylko powiew pustki, niczym czarny wiatr, szum morza w muszli. Umoczyłem moją chusteczkę w benzynie i odwróciłem się, by zejść na dół,

podczas gdy serce odmierzało moje zimne myśli tykającym dźwiękiem brzytwy stukoczącej w kamień.

Czarny wiatr się wzmaga, brzmi jak szept lodowato zimnej muzyki w opuszczonej galerii, jak pieśni nienawiści śpiewane pod czarnym księżycem przez dawno zmarłego minstrela z lutnią z włosów i kości. Wiedziałem, że tam jest, zanim ją zobaczyłem, poczułem jej tchnienie w swoich uszach, odwróciłem się, tańcząc, jak mi zagrała, i ujrzałem jej twarz.

Boże, jej twarz!

Zachwył.

Cyk...'

cyk...

Joe chwieje się i opiera ręką o ścianę, jego wzrok powoli oswaja się z mrokiem i zastępuje oczy wyobraźni. Przez chwilę stoi nieruchomo, czeka, aż świat wróci do równowagi, próbuje myśleć racjonalnie. Słowa Javy nie dają mu spokoju.

„Poderżnąłem mu gardło, staremu durniowi”.

Sylwetka małego żebraka na tle drzwi, pełniącego straż chudego skrzata, na którego twarz pada blade, załamujące się światło. Ginny, o włosach płonących w półmroku, wpatruje się w ciemność oczami jak dwa tunele. Joemu wydaje się niematerialna, jak posąg ze szkła i dymu. Muska w ciemności jej dłoń, ale ona nie reaguje. Joe pojmuje niejasno, że gdziekolwiek Ginny jest, tu jej nie ma.

- Ginny? - Jego okrzyk jest prawie niesłyszalny. Ginny pozostaje nieruchoma, skupiona. Joe z potwornym wysiłkiem zmusza swoje skute lodem ciało, by się ruszyło, ciemność napiera na niego jak gład. Przeszując próg, czuje na szyi zimny oddech małego żebraka i paniczny strach przeszywa go od stóp do głów; ale dzieciak musi pilnować drzwi i choć rozbudzony w nim głód szczyrzy kły i jazgocze na Joego, posłusznie zostaje na posterunku. W kuchni jest czarno choć oko wykol i Joe wyteża wzrok w ciemności, omijając

po omacku przeszkody dzielące go od bezładnej sterty koców pod oknem. Czuć fetor starego kurzu, pleśni i choroby, strasznej choroby, a ten smród choroby przypomina mu szpital, w którym umarł dziadzio, i zapach starej kobiety sprzedającej balony w wesołym miasteczku. Dawny, na wpół zapomniany lęk z lat dzieciństwa chwyta go za gardło; Joe dławi się ze strachu, ucisk w gardle jest coraz silniejszy. Powraca sen, czy raczej wspomnienie snu, tak wyraziste, że na chwilę zapomina, kim jest i gdzie jest.

Cyk...

cyk...

cy...

Drzwi się otwierają i Alice podnosi pistolet. Powstrzymuje ją tylko myśl, że to może być Joe. Do pokoju wdziera się światło, światło wesołego miasteczka, jarzące się tuzinem barw, różem, błękitem, żółcią, zielenią. Powietrze przeszywa ostry, duszny zapach orzeszków ziemnych i piekących się jabłek, i słodka, lepka woń waty cukrowej. Alice na chwilę zapomina, gdzie jest, i - prawie - kim jest; spogląda w dół, na siebie, i widzi (brudne dżinsy rozdarte na kolanach, krew w bruzdach na dłoni, usmoloną bluzę od dresu, pistolet trzymany niepewnie w drżącej ręce) swoją czystą indyjską spódniczkę, końcówki włosów spływających na jej ramiona. Jest coraz bardziej dezorientowana; marszczy brwi i próbuje sobie przypomnieć... ręka opada na jej ramię, rozlega się życzliwy głos.

- Już dobrze, Alice. Nic się nie stało, na chwilę odpłynęłaś, to wszystko.

- Joe?

Uśmiecha się, odgarnia długie włosy ze swoich oczu.

- A myślałaś, że kto? No jak, już w porządku? Przyszłaś sobie powróżyc i musiałaś zemdleć czy coś. Pewnie od upału. Chodź, kupię ci loda.

Alice marszczy czoło.

- Powróżyć?
- Nie pamiętasz?

Kręci głową.

- Ja...

- Zaraz poczuje się panienka lepiej. - Cyganka się uśmiecha.

W jaskrawym blasku wygląda zaskakująco młodo, światło neonu migocze w jej rudych włosach. Dziwne, że jest ruda, myśli Alice półprzytomnie; wydawało jej się, że wszyscy Cyganie to bruneci. Na lewym policzku Cyganki widać wyraźnie odznaczający się tatuaż ptaka; wygląda niesamowicie, jak żywy.

- W porządku? - W głosie Joego brzmi niepokój. - Chcesz już wracać?

Alice kręci głową, wysiłkiem woli skupia wzrok, zdobywa się na uśmiech.

- Nie, nie trzeba - mówi, ale jednocześnie patrzy na Joe-go i zastanawia się, jak on może w parną, upalną letnią noc chodzić w tym szynelu.

Cyk...

cyk...

Turner wierci się niespokojnie pod brudnym kocem, w gardle czuje metaliczny smak i śliski dotyk swojej krwi. Wynurza się ze swoich snów jak waż ze zrzucanej skóry.

W swoich snach słyszał, jak nocni wędrowcy przychodzili i odchodzili, i już-już wyciągał rękę do Joego, już prawie dotykał jego dłoni, ale Joe zniknął, porwany w głąb jasnego eteru. Turner uśmiecha się zaciśniętymi ustami, pokrytymi zakrzepłą krwią, i ponownie odpływa.

Cyk...

cyk...

cy...

Mówiłem ci, że w jej obliczu, przed jej majestatem, wszyscy stajemy się dziećmi. Ona upaja się naszym strachem, wonią naszych łęków z lat dzieciństwa, i żeruje na nich i na nas

wszystkich - jest czarownicą w chatce z piernika, ogrzycą, złą królową, drapieżnym wilkiem, potworem czyhającym w piwnicy, w sercu. To jest jej bronią, ta jedna rozkosz: to, że cofa nas do poziomu dziecka, sprawia, że boimy się tego, co wszystkie dzieci, i wierzymy w to, w co wierzą dzieci.

Kiedy stoję przed nią, Błogosławioną Panienką, esencją każdego snu, każdej baśni, każdej legendy i każdego lęku, przepełnia mnie zachwyty, który wymyka się zrozumieniu; jestem pomniejszony, a zarazem wywyższony. Ona ze śmiechem kręci bakiem, ale ja nareszcie wiem, że jestem gotów. Biegnę po namalowanej linii horyzontu, idealnie okrągłej, wirującej tylko dla mnie. Otaczają mnie namalowane drzewa, domy z oknami namalowanymi na nijakich czerwonych fasadach, namalowane tory rozbrzmiewają turkotem kół nadciągającego pociągu, tego wygłodniałego smoka z głębin namalowanej ziemi. Słyszę go, słyszę jego głos niczym apoteozę wszystkich potworów, słyszę, jak z Rosemary za sterami pędzi prosto na mnie. I nagle uświadamiam sobie, że my też posiadamy moc, wystarczającą, by ją pokonać. Jesteśmy dziećmi; wierzymy. I dzięki tej wierze możemy ją zniszczyć. Tylko wiara dziecka jest prawdziwa, nie owa kaleka wiara wszystkich religii, tych głupawych bajek dla dorosłych, lecz wiara w magię, w prawdziwe szczęście. Weźcie mnie za ręce i wypowiedzcie zaklęcie...

Cyk...

cyk...

Alice podrywa się; przez chwilę miała wrażenie, że była gdzie indziej. Na policzku czuje tchnienie nocy. Spogląda na Joego, który szczyrzy zęby w drapieżnym uśmiechu i z kieszeni szynela wyciąga długi czarny nóż. Gdzieś w tle gra karuzela wielkości zabawkowego baka; na oczach Alice ptak z twarzy Cyganki rozpościera skrzydła i odfruwa.

Cyk...

cyk...

Kiedy Alice traci równowagę, on atakuje i nóż dosięga jej pod niezgrabnym kątem, przebijając dłoń. Jej krzyk przesywa powietrze jak wiócznia. Wesołe miasteczko tańczy wokół niej jak karuzela, w nozdrza wdzierają się zapachy: krew, orzeszki ziemne, ohydny smród zwierząt. Zach rzuca się na nią z pazurami; Alice widzi jego kołyszący się kolczyk i czuje paraliżujący ucisk jego palców na swojej szyi. Wyrzuca nogę w bok i wytrąca go z równowagi. W głowie ma tylko zimny powiew pustki. Dłońmi, które zdają się należeć do kogoś innego, podnosi pistolet i strzela.

Czas na chwilę staje w miejscu.

Strzał zaskakuje ją jeszcze bardziej niż Zacha. Wydaje się, że pistolet wypalił sam z siebie, szarpiąc jej ramieniem i skacząc w rękę jak rozwścieczony kot. Chwilę przed tym, jak dociera do niej szok, Alice widzi, jak w piersi Zacha pojawia się otwór, a on sam chwieje się na nogach i upada, widzi, jak w trakcie upadku wstrząsa nim spazm, a potem nie ma już nic prócz dźwięku, dźwięku i ciemności, i Zacha na podłodze. Chmury przesłaniają jej oczy, a Java po cichu, wolnymi ruchami zbliża się do niej. W jego rękę majączy ciemny kształt noża.

„Zachwył”. To słowo jest obce, jak cudza myśl omyłkowo przesłana do Joego. Przez chwilę nie jest nawet pewien, co ono znaczy, ale kiedy słyszy jego duchowe echo, świat powraca do równowagi z odgłosem jak trzask łamanej kości. Postać przed nim jest mglista, to gigantyczna, to znowu mała, nóż jak ostrze cienia przecinające powietrze. Spogląda w dół, na strzykawkę w swojej dłoni; cały czas miał ją w rękę, nawet nie zdając sobie z tego sprawy, i oto wszystko staje się jasne. Przez krótką, zaskakującą chwilę znów jest Joem, którego fala akordów niesie przez burzę, uczniem czarnoksiężnika dyrygującym orkiestrą wyjących, krzyczących fantomów. Skacze w tę falę, ze strzykawką wzniesioną wysoko ponad głowę.

Świat znów nabiera ostrości, ale jest za późno; Java już ją dopadł, miążdzy jej tchawicę. Alice zamierza się na niego pięścią, wciąż obciążoną pistoletem, i trafia go w skroń, niechlujnie, ale dość skutecznie, by połuźnił uścisk. Nóż upadł na podłogę i jest niemal pewna, że na nim leży, że to, co wpija się w jej żebra, to jego rękojeść, ale nie może go sięgnąć. Czuje, że dłoń Javy wraca na jej gardło, i wykręca się, by go ugryźć, wbija zęby w jego nadgarstek. Prawie się krztusząc, usiłuje podnieść pistolet, ale dłoń ma odrętwiałą z upływu krwi okrywającej rękę aż po łokieć. Śliski od krwi i potu pistolet wysuwa się z jej dłoni i ląduje z boku, za daleko, by mogła go dosięgnąć. Domyśla się uśmiechu Javy, który coraz mocniej zaciska ręce na jej szyi.

Z okrzykiem (zachwytu) radości rzucam (rzuca) się na nią, fragmenty jej złudnego czaru zasypują mnie (go) jak deszcz odłamków szkła. Wreszcie się wyrwałem (wyrwaliśmy) z wirującego bąka jak smok pożerający własny ogon. Nie ma już nade mną (nad nami) władzy, mówię sobie; jestem wolny. Jesteśmy wolni. Wyciągam do nich rękę poprzez dzielące nas lata, do ciebie, do niego, do moich własnych lustrzanych odbić, zwielokrotnionych przez czas jak twarze w gabinecie luster. Daniel to my. Daniel to ty, Daniel młody, Daniel stary, legiony maszerujące przez lata, maszerujące po namalowanym błękitnym niebie. W tej chwili cię widzę. Poznają cię. Podaję ci dłoń, tu, gdzie wszystkie możliwości są rzeczywiste; biorę cię za rękę i przekazuję ci moc, którą wiem, że posiadamy, moc światła, światła wszystkich istot, które umierają i cierpią, które kochają i pragną tego, co nieosiągalne. Boże dopomóż mi, ale w tej niekończącej się, świętej chwili czuję się odkupiony, czuję, że spływa na mnie śmiała pewność, której daremnie będę żałował w późniejszych, bardziej mrocznych latach. Może sprawił to gaz, głód, szok, a może, jak chcę wierzyć, przebudzenie boskiego pierwiastka w mojej duszy,

ale przez ten krótki, upragniony moment czuję, że wbrew Rosemary wreszcie dane mi było ujrzeć Boga. Kiedy walczę z nocnym wędrowcem, moje okulary spadają na podłogę i miażdżą je obcasem na proch. Czuję (strzykawkę w rękę) jej kości pod moimi rękami, czuję, jak wgłębienie w jej gardle ustępuje pod naciskiem (strzykawka opróżnia się, czuję to). Jej ciało nie poddaje się bez walki; wszystkie złudzenia na chwilę pryskają i widzimy jej prawdziwe oblicze, maska spada i spod dziecięcych rysów wyłania się nocny wędrowiec. Przemawia do mnie, obiecuje mi światy, obiecuje wieczne życie. Ale jest osłabiona, odpływa jak na cofającej się fali krwi, gaśnie, kurczy się. Twarz demona zmienia się w płonąca różę, kielich zostaje oddalony.

Ucisk jest nie do zniesienia, tylko krok dzieli ją od śmierci. Krew leci jej z nosa, przed oczami robi się ciemno. Prawą rękę ma niemal zupełnie sparaliżowaną, walczy z Java w powiększającej się kałuży brei powstałej z krwi i kurzu. Jej myśli są zatrwająco proste, schematyczne, nieświadome nawet, że są myślami. Nagle czuje, że Javę przechodzi dreszcz, czuje bijący od niego niewyjaśniony strach, czuje, że jego dłonie puszczają jej gardło. Przez sekundę boi się, że nie będzie się w stanie ruszyć, ale, jak się okazuje, niepotrzebnie. Chwyta jego nóż i zadaje jeden, pewny cios, tuż pod żebra...

Z myślami bezładnie krążącymi w głowie, Joe patrzy z przerażeniem na rudowłosą dziewczynę. Słaba poświata wpadająca przez wybite okno zmieniają w mozaikę światła i cienia, jej włosy w niemal niedostrzegalny różany nimb na tle surowego, brutalnego monochromu. Strzykawka tkwi w jej szyi, tuż pod żyłą, i kiedy Joe chce ją wyciągnąć, dziewczyna odwraca się z sykiem, żeby go ukąsić, z nabiegłymi furią oczami jak dwa białe półksiężyce. Wije się w jego ra-

mionach jak wąż, drapie paznokciami jego policzki, syczy gardłowym, zduszonym głosem. Joe pada na kolana i ukrywa twarz w dłoniach.

Boże, światło!!

Coś się dzieje z Ginny; jej twarz wykrzywia się i zmienia, jej obraz zdaje się rozpadać jak kryształ, który pęka w słońcu.

Porażony tym widokiem, Joe zatacza się w tył i przywiera plecami do ściany. Na wpół oślepiony światłem tańczącym na siatkówkach oczu, widzi klęczącą postać Ginny, syczącą i drapiącą paznokciami powietrze, i choć jej prawdziwe ciało jest niewyraźne, wydaje mu się, że dostrzega skrywającą się pod nim bezkształtną istotę, która rozszarpuje własną twarz, by ukazać coś mrocznego, okrutnego, i wyciąga ku niemu palce, by ich dotykiem włać rozpacz w jego serce. Joe kuli się w embrionalnej pozycji, jego oczy są zamknięte jak drzwi duszy. Czarne kwiaty rozkwitają mu pod powiekami, doznania szczęśliwie giną w głębi tunelu światła, powracają do świata bez dźwięku, świata poza zasięgiem pamięci.

(Pa, pa.)

(Czekaj.)

(Nie nie nie.)

(Czekaj, mówię.)

Głos jest stanowczy i Joe automatycznie się podporządkowuje. Odwraca się i patrzy ze zdumieniem, jak akcenty łączą się w postać nieznanego mu człowieka; jest to młody mężczyzna, mniej więcej w jego wieku, o chudej twarzy intelektualisty, w staromodnych okularach połówek.

(Kim jesteś?)

(To nieważne, przede wszystkim musisz mnie wysłuchać. Mam mało czasu.)

(Czego chcesz?)

(Musisz podpalić dom, dopilnować, żeby doszczętnie spłonął, a potem spalić ciała.)

(Ginny, och, Gin...)

(Nie wypowiadaj jej imienia, nie wspominaj o niej. Musisz o niej zapomnieć; nie może być żadnego grobu, żadnego pogrzebu, nic. Rozumiesz?)

(Ja...)

(To ogromnie ważne. Musisz o niej zapomnieć. Jeśli nie zrobisz tego, co mówię, przywołasz ją z powrotem.)

(...Ja)

Alice potknęła się i omal nie upadła, i w tej chwili miała wrażenie, że w dziwnym, migotliwym świetle zobaczyła postać stojącą w pokoju, młodego mężczyznę w płaszczu, o szarych oczach przesłoniętych grubymi szklami okularów i rzadziejących włosach schowanych pod filcowym kapeluszem, ale kiedy odzyskała równowagę, już go nie było; został tylko Joe, skulony na podłodze przy ciele Ginny. Strzykawka leżała z boku, ale Alice dostrzegła pozostawiony przez nią ślad, siniec i pojedynczą kroplę krwi na białej szyi. Wzięła nadgarstek Ginny w drżące palce i próbowała wyczuć puls, bezskutecznie. Był tylko szum nicości morza w pustej muszli.

Coś poruszyło się lekko obok niej i usłyszała ni to westchnienie, ni to jęk.

-Ginnyyyy...

W mgnieniu oka padła na kolana przy nim, podniosła go.

- Joe? Nic ci nie jest?

- Al? - Usiadł raptownie i Alice miała wrażenie, że przez jego ubranie wyczuwa trawiącą go gorączkę. Musiał być w szoku.

- Gdzie Gin? - Wstał, wciąż z tym sztucznymżywieniem. Alice zadziwiło to, jak normalnie brzmiał jego głos. Domyślała się, że sama też jest w szoku, ale na razie uczucie to było wręcz

przyjemne. Nawet krew, która nadal leniwie ściekała po jej ręce i całym lewym boku, zdawała się należeć do kogoś innego.

- Ginny nie żyje. - Miała wrażenie, że słyszy swój głos z daleka, jakby dopiero co wybudzono ją z narkozy.

- Co? - Prawie nie zwracał na nią uwagi. Delikatnie poklepał martwą dziewczynę po twarzy. - Gin. Obudź się. No, Gin. Zasłabła. Coś musiało być w powietrzu. Kadzidło z narkotykiem czy coś. Ja też zemdlałem. Ginny!

- Nie żyje - powtórzyła Alice cicho.

- Gin? Obudź się, Gin.

- Joe. Mówię ci, ona nie żyje. Zrobiłeś jej zastrzyk strzykawką, którą dała ci z myślą o mnie. Od początku chciała, żebyś mnie zabił.

- Nie! - Potrząsnął nią, tym razem bardziej gwałtownie.

- Ginny! - Odwrócił się do Alice. - Nie oddycha. Trzeba wezwać pogotowie. Ginny! - Na siłę próbował wtłoczyć powietrze do płuc martwej dziewczyny, omal nie szlochając z wysiłku.

- Ginny! Zbudź się!

- To nic nie da. Cokolwiek było w tej strzykawce, nie był to środek uspokajający. Chciała się mnie pozbyć.

- Nie! - Płakał, ale nie przestawał robić sztucznego oddychania. - Zaczekaj! Ginny! Kocham cię!

I nie upływ krwi, szok ani nawet ulga na myśl, że to już koniec, lecz te słowa, które wypowiedział do Ginny, do Rosemary, nawet po tym wszystkim, co się stało, sprawiły, że w Alice wreszcie coś pękło. Opadła z sił i z tym ostatnim „kocham cię” dźwięczącym w uszach (o ileż bardziej bolesnym w pamięci niż w rzeczywistości), zaczęła wymiotować.

Po pewnym czasie znalazła benzynę Turnera i domyśliła się, do czego ma służyć. Dom, choć zawilgocony, palił się dość dobrze.

1

Gdzieś w budynku jest włączone radio; przez ściany słyszę, jak gra dziwne nuty jak ze snu, pewnie jakąś współczesną muzykę. Nie przepadam za współczesnymi trendami w muzyce; chyba po prostu jestem zbyt wielkim purystą. Nawet do jazzu nie potrafiłem się przekonać. Jednak te nuty. dziwaczne, brzmiące niemal fałszywie, rozrzedzone prawie do nicości w grubych ścianach... jakoś mnie poruszają, słyszę głos wokalistki, niski, prawie atonalny, można by rzec, lament; słyszę nawet słowa:

*Pamiętaj mnie, bo nie odeszłam.
Jestem w powietrzu, którym oddychasz -
jestem w każdej cząstce ciebie.*

Nie, niemożliwe, żebym to usłyszał. Musiałem to sobie uroić.

*Pamiętaj mnie, gdy słońce świeci;
Jestem szkłem -
słońce świeci przeze mnie.*

Jakie to dziwne, że moja podświadomość przemawia do mnie poprzez muzykę rockową.

*Pamiętaj mnie, gdy noc przychodzi;
Nawiedzać będę twoje sny.*

2

Pada deszcz i ciche bębnienie kropel w szybę brzmi jak tykanie zegara. Alice przypomina sobie o filiżance herbaty stojącej przy jej łokciu i bierze łyk; już wystygła. Kicia siedzi na jej kolanie, z łapami starannie podkulonymi pod siebie. Alice zmusza się do tego, by skupić wzrok, i ponownie czyta list, wygnieciony ciężarem kota. Do gładkiego papieru przyłgnęły kocie włosy. Włosy są moręgowate, jak kot. Przez chwilę Alice widzi je wyraźniej niż pismo.

Fragment rzuca jej się w oczy i w niemal magiczny sposób przykuwa uwagę.

„*Coś we mnie wciąż pamięta...*”

„*i nigdy jej nie zapomnę*”.

„*Nigdy*”.

Wyglądza papier w roztargnieniu i znów zaczyna czytać; treść zna prawie na pamięć, ale czyta list od nowa, jakby liczyła na to, że w tych gęsto zapisanych wierszach znajdzie jakąś nieujawnioną tajemnicę.

Droga Alice,

Pogrzeb urządzam 21 maja w Grantchester. Bez pompy, chcę tylko, żeby pamiętać o niej zupełnie nie zaginęła.

Chciałbym, żebyś przyszła. Po pierwsze, myślę, że to Ci dobrze zrobi i pomoże sprowadzić wszystko do właściwych proporcji. Po drugie, muszę z Tobą porozmawiać. Nie mogę uwierzyć w to, co mi o niej powiedziałaś; nie mogę i nie uwierzę, że to prawda. Kocham Ginny, a ona kochała mnie. Myślę, że była niezrównoważona; jestem skłonny uwierzyć, że była narkomanką, i, biorąc pod uwagę wyniki dochodzenia, zgadzam się z Twoim przypuszczeniem, że chciała Ci podać śmiertelną dawkę narkotyku, może nawet świadomie. Dobrze choć, że to wszystko nie musiało wyjść na sali sądowej; przyjęli, że zrobiła to sama. Jeśli w całej tej paskudnej sprawie mogę być za cokolwiek wdzięczny losowi, to właśnie za to; bo wiem, że była niewinna. Co do reszty, jestem przekonany, że wszystko, co widziałem w tym domu - czy co wydawało mi się, że widziałem - to narkotyczne halucynacje; tylko takie wyjaśnienie mogę zaakceptować. Byłoby dla Ciebie lepiej, żebyś też je zaakceptowała.

Nie wiem, co bez niej pocznę; pisząc te słowa, zastanawiam się, kiedy zacznę odczuwać ból- chyba nawet najstraszliwsza rozpacz byłaby lepsza od mojego obecnego stanu. Odszedłem z zespołu; stwierdziłem, że nie mam już do tego serca i uznałem, że byłoby nie fair wobec chłopaków, gdybym ciągnął ich za sobą w dół teraz, kiedy zaczyna im niezłe iść. Może pewnego dnia znów się rozkręcę, nie wiem; na razie ilekroć sięgam po gitarę, myślę tylko o Ginny.

Potrzebuję Cię, Alice. Jesteś jedyną osobą, która ją znała, a z którą mogę porozmawiać. Muszę dowiedzieć się o niej wszystkiego, żeby ożyła w moim sercu. Nie próbuj nakłaniać mnie do tego, żebym ją zapomniał; nie mogę. Coś we mnie wciąż pamięta i nigdy jej nie zapomnę. Nigdy. Ona może powrócić do życia, we mnie, w moich myślach i snach. Boże, czasem czuję ją tak blisko, że prawie mogę jej dotknąć. Proszę, przyjdź na pogrzeb; nikt inny się nie zjawi. Zamówiłem białe kwiaty.

Alice przestaje czytać.

Oczami duszy widzi karuzelę, nieruchomą i czarną na tle białego nieba, górującą nad nią jak smok. Idzie przez opustoszałe wesołe miasteczko w jej kierunku. Przez chwilę dostrzega jej misterny mechanizm, czerwony od rdzy i czarny od oleju, słyszy ptaki nawołujące się w nieruchomym, bladym powietrzu. A potem dźwięk, z początku słaby, szemrzący, ale stopniowo nabierający impetu... odgłos pracujących trzewi bestii. Zgrzyt, skrzywienie, tarcie metalu o rdzę, metalu o metal. Dźwięk jakby z maszynerii, która obraca światem wokół jego osi jak karuzelą i utrzymuje krąg błękitnego nieba na swoim miejscu. Powoli, ale z nieuchronnością Losu - a może Wiary - koła idą w ruch.

Epilog

Broniłam się przed tym najdłużej, jak mogłam; aż tyle czasu potrzebowałam, żeby zrozumieć, że tu właśnie jest moje miejsce. Jest cicho, spokojnie; każdy dzień na nowo przynosi ukojenie. Siedzę w oknie, rozczesuję włosy na słońcu i zastanawiam się, czy dziś przyjdzie śmierć. Przychodzi do mnie co rano, niemal łagodnie, wraz ze słońcem, i, o dziwo, po tych wizytach zaczynam rozumieć Daniela tak dobrze, jak nigdy dotąd. My pamiętamy, Daniel i ja: pamiętamy i wiemy, że pozostaje tylko czekać. Koło rusza, zegar tyka, dziewczyna jedzie na karuzeli snów, by zatoczyć pełny krąg i powrócić do punktu wyjścia, pod to samo niebo, które przed laty obracało się nad pociągiem Daniela w jego zabawkowym bąku.

Dawno nie widziałam Joego; teraz, jak o tym myślę, czy podczas tej ostatniej wizyty nie widziałam czegoś w jego oczach, jakiejś jasności i desperacji? Czegoś bardzo bliskiego nadziei?

Biedny Joe. Oczywiście, że ją przywołał; pamiętam go na pogrzebie (byłam, owszem, żeby spróbować sobie udowodnić, że wygraliśmy), pamiętam, jak z suchymi oczami, dziwnie rozkojarzony, ścisnął bukiet konwalii w rękę, tak mocno, że kłykcie bieliły się pod skórą; jego ręce co pewien

czas poruszały się lekko, nerwowo, a ja widziałam wtedy ślady, które jego palce zostawiły na delikatnych listkach, tak zmaltretowanych, że prawie przezroczyście. Nie przyszedł nikt inny; ani przyjaciele, ani rodzina, którą twierdziła, że ma; nikt, a mimo to całe Grantchester zdawało się ją witać, w milczeniu, ze swobodą zrodzoną z długoletniego zrozumienia.

Tak, to wtedy musiał ją przywołać; może w chwili, kiedy wrzucił pogniecione kwiaty do grobu i poczuł wonny zew ziemi; może zobaczył ją, gdy stała przy drzewie głogu, cała w bieli jak nowicjuszka w zakonie. Czasem jestem ciekawa, czy widział, jak na mnie patrzyła. Ale wezwał ją, jestem tego pewna; pewna jak niczego innego na świecie. Karuzela wróciła do punktu wyjścia. Ona nadchodzi. „Kwiecień ją przyniesie” ... Dziś rano miałam wrażenie, że zobaczyłam ją w lustrze, wyglądającą z niego swoimi melancholijnymi, podwodnymi oczami. Czy ją widziałam? Czy widział ją Joe? Czy trzymała pętlę? Kwiecień... ją przyniesie. To brzmi prawie jak obietnica. Coś w niej pamięta... i to coś ją tu przyniesie. Nie sądzę, żebym mogła być taka jak Daniel; nie mam dość siły, by opierać się tak długo, jak on. Zresztą, po co? Mimo wszystkich naszych wysiłków, i tak powróciła.

„Coś we mnie pamięta” ...

My pamiętamy, prawda? Tak, Daniel, Robert, Joe i Alice. Wszyscy pamiętamy i zachowujemy wiarę, dopóki możemy, sami, jak dzieci w mroku. Oto, co nam zrobiła. Nam wszystkim.

Kwiecień ją przyniesie.

Chyba już czas, by tu była.

Coś we mnie pamięta...

Nigdy nie jest łatwo pogodzić się z faktem, że mężczyzna, którego się kiedyś kochało bez pamięci, znalazł dziewczynę swoich marzeń. Alice przekonuje się o tym, gdy Joe przedstawia jej swoją nową sympatię, Ginny. Zazdrosna, czuje odrazę do Ginny, eterycznej piękności otoczonej grupą podejrzanych znajomych.

Wkrótce Alice odnajduje w pokoju Ginny schowany tam stary pamiętnik i czyta o Danielu Holmesie, jego przyjacielu Robercie i tajemniczej kobiecie, która zauroczyła ich obu - Rosemary Virginii Ashley, pochowanej przed półwieczem na cmentarzu w Grantchester- pochowanej, ale bynajmniej nie zapomnianej.

Gdy obie historie splatają się ze sobą, przeszłość i teraźniejszość stają się jednym; Alice uzmysławia sobie, że jej instynktowna nienawiść do nowej dziewczyny Joego może brać się nie tylko z zazdrości, i pogrążyć się w koszmarnym świecie obsesji, zemsty, pokusy - i krwi.